



This is a digital copy of a book that was preserved for generations on library shelves before it was carefully scanned by Google as part of a project to make the world's books discoverable online.

It has survived long enough for the copyright to expire and the book to enter the public domain. A public domain book is one that was never subject to copyright or whose legal copyright term has expired. Whether a book is in the public domain may vary country to country. Public domain books are our gateways to the past, representing a wealth of history, culture and knowledge that's often difficult to discover.

Marks, notations and other marginalia present in the original volume will appear in this file - a reminder of this book's long journey from the publisher to a library and finally to you.

Usage guidelines

Google is proud to partner with libraries to digitize public domain materials and make them widely accessible. Public domain books belong to the public and we are merely their custodians. Nevertheless, this work is expensive, so in order to keep providing this resource, we have taken steps to prevent abuse by commercial parties, including placing technical restrictions on automated querying.

We also ask that you:

- + *Make non-commercial use of the files* We designed Google Book Search for use by individuals, and we request that you use these files for personal, non-commercial purposes.
- + *Refrain from automated querying* Do not send automated queries of any sort to Google's system: If you are conducting research on machine translation, optical character recognition or other areas where access to a large amount of text is helpful, please contact us. We encourage the use of public domain materials for these purposes and may be able to help.
- + *Maintain attribution* The Google "watermark" you see on each file is essential for informing people about this project and helping them find additional materials through Google Book Search. Please do not remove it.
- + *Keep it legal* Whatever your use, remember that you are responsible for ensuring that what you are doing is legal. Do not assume that just because we believe a book is in the public domain for users in the United States, that the work is also in the public domain for users in other countries. Whether a book is still in copyright varies from country to country, and we can't offer guidance on whether any specific use of any specific book is allowed. Please do not assume that a book's appearance in Google Book Search means it can be used in any manner anywhere in the world. Copyright infringement liability can be quite severe.

About Google Book Search

Google's mission is to organize the world's information and to make it universally accessible and useful. Google Book Search helps readers discover the world's books while helping authors and publishers reach new audiences. You can search through the full text of this book on the web at <http://books.google.com/>



Jest to cyfrowa wersja książki, która przez pokolenia przechowywana była na bibliotecznych półkach, zanim została troskliwie zeskanowana przez Google w ramach projektu światowej biblioteki sieciowej.

Prawa autorskie do niej zdały już wygasnąć i książka stała się częścią powszechnego dziedzictwa. Książka należąca do powszechnego dziedzictwa to książka nigdy nie objęta prawami autorskimi lub do której prawa te wygasły. Zaliczenie książki do powszechnego dziedzictwa zależy od kraju. Książki należące do powszechnego dziedzictwa to nasze wrota do przeszłości. Stanowią nieoceniony dorobek historyczny i kulturowy oraz źródło cennej wiedzy.

Uwagi, notatki i inne zapisy na marginesach, obecne w oryginalnym wolumenie, znajdują się również w tym pliku – przypominając długą podróż tej książki od wydawcy do biblioteki, a wreszcie do Ciebie.

Zasady użytkowania

Google szczeni się współpracą z bibliotekami w ramach projektu digitalizacji materiałów będących powszechnym dziedzictwem oraz ich upubliczniania. Książki będące takim dziedzictwem stanowią własność publiczną, a my po prostu staramy się je zachować dla przyszłych pokoleń. Niemniej jednak, prace takie są kosztowne. W związku z tym, aby nadal móc dostarczać te materiały, podjęliśmy środki, takie jak np. ograniczenia techniczne zapobiegające automatyzacji zapytań po to, aby zapobiegać nadużyciom ze strony podmiotów komercyjnych.

Prosimy również o:

- Wykorzystywanie tych plików jedynie w celach niekomercyjnych
Google Book Search to usługa przeznaczona dla osób prywatnych, prosimy o korzystanie z tych plików jedynie w niekomercyjnych celach prywatnych.
- Nieautomatyzowanie zapytań
Prosimy o niewysyłanie zautomatyzowanych zapytań jakiegokolwiek rodzaju do systemu Google. W przypadku prowadzenia badań nad tłumaczeniami maszynowymi, optycznym rozpoznawaniem znaków lub innymi dziedzinami, w których przydatny jest dostęp do dużych ilości tekstu, prosimy o kontakt z nami. Zachęcamy do korzystania z materiałów będących powszechnym dziedzictwem do takich celów. Możemy być w tym pomocni.
- Zachowywanie przypisań
Znak wodny "Google" w każdym pliku jest niezbędny do informowania o tym projekcie i ułatwiania znajdowania dodatkowych materiałów za pośrednictwem Google Book Search. Prosimy go nie usuwać.
- Przestrzeganie prawa
W każdym przypadku użytkownik ponosi odpowiedzialność za zgodność swoich działań z prawem. Nie wolno przyjmować, że skoro dana książka została uznana za część powszechnego dziedzictwa w Stanach Zjednoczonych, to dzieło to jest w ten sam sposób traktowane w innych krajach. Ochrona praw autorskich do danej książki zależy od przepisów poszczególnych krajów, a my nie możemy ręczyć, czy dany sposób użytkowania którejkolwiek książki jest dozwolony. Prosimy nie przyjmować, że dostępność jakiegokolwiek książki w Google Book Search oznacza, że można jej używać w dowolny sposób, w każdym miejscu świata. Kary za naruszenie praw autorskich mogą być bardzo dotkliwe.

Informacje o usłudze Google Book Search

Misją Google jest uporządkowanie światowych zasobów informacji, aby stały się powszechnie dostępne i użyteczne. Google Book Search ułatwia czytelnikom znajdowanie książek z całego świata, a autorom i wydawcom dotarcie do nowych czytelników. Cały tekst tej książki można przeszukiwać w internecie pod adresem <http://books.google.com/>



US 10651.50

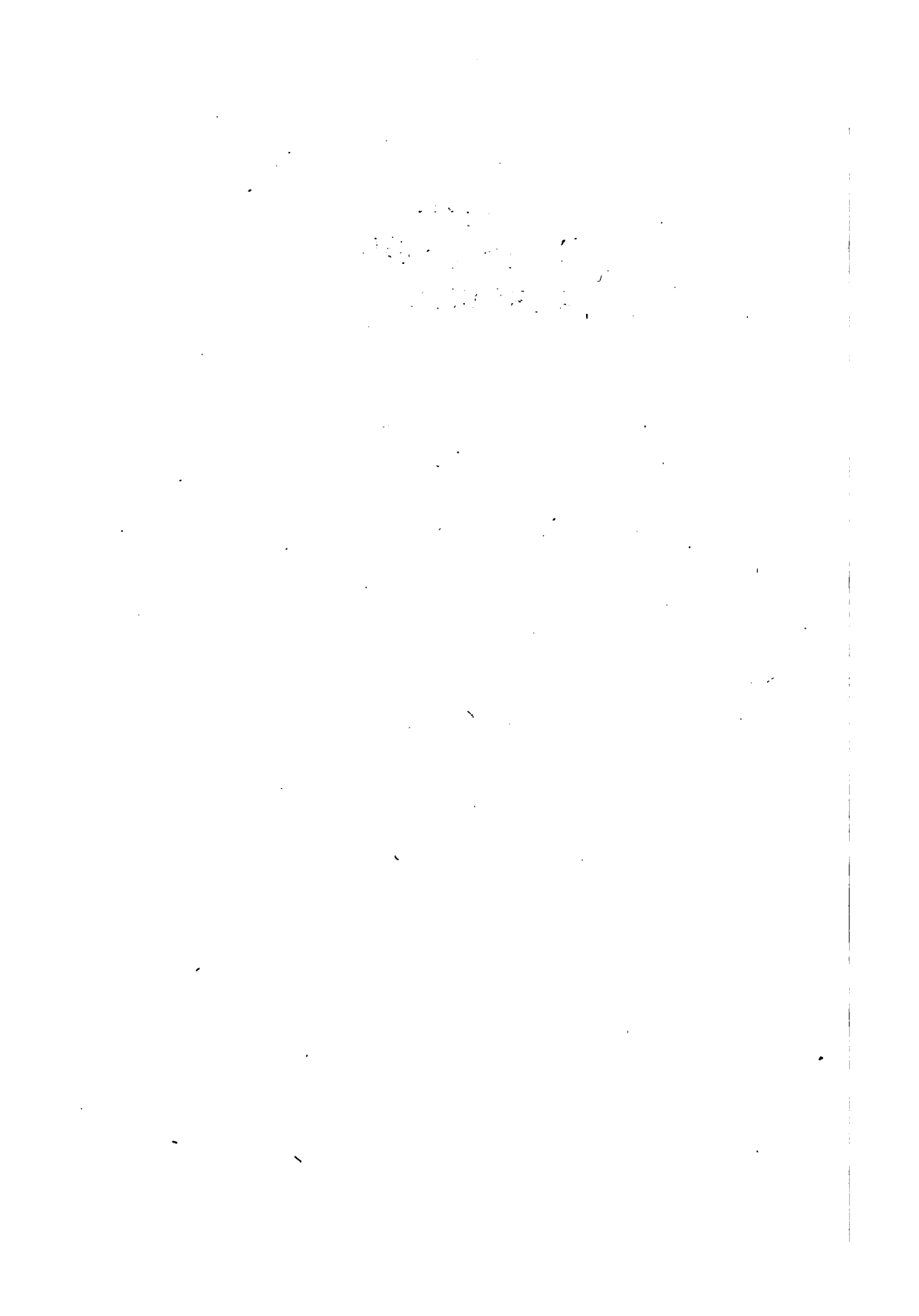
HARVARD COLLEGE LIBRARY

Bought with the income of
THE KELLER FUND

Bequeathed in Memory of
JASPER NEWTON KELLER
BETTY SCOTT HENSHAW KELLER
MARIAN MANDELL KELLER
RALPH HENSHAW KELLER
CARL TILDEN KELLER



„Witasność
* J. DURSKEJC *
" PASAIC, N. J.



„Własność
* J. CURSKIEGO *
" PASSAIC, N. J.

OPOWIADANIE
Z WEDRÓWKI PO KOLONIACH POLSKICH
W AMERYCE PÓLNOCNEJ

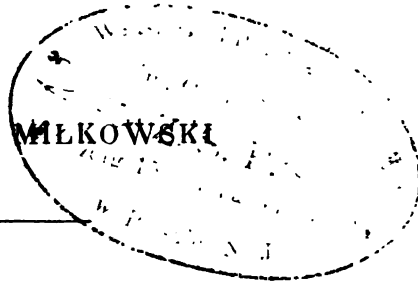
Handwritten text, possibly a signature or name, located in the upper left quadrant of the page. The text is faint and difficult to decipher.

Handwritten text, possibly a signature or name, located in the middle of the page. The text is faint and difficult to decipher.

Handwritten text, possibly a signature or name, located in the lower middle of the page. The text is faint and difficult to decipher.

Handwritten text, possibly a signature or name, located in the lower part of the page. The text is faint and difficult to decipher.

ŻYGMUNT MŁKOWSKI



OPOWIADANIE

z

WĘDRÓWKI PO KOLONIACH POLSKICH

W Ameryce Północnej

WYDANIE DRUGIE

W PARYŻU

NAKŁADEM « GOŃCA POLSKIEGO »

1902

US 10651.50

✓



„Własność
* J. DUKSKIEC *
" PŁASZAIC, N. J.

OPOWIADANIE Z WĘDRÓWKI PO KOLONIACH POLSKICH

W AMERYCE PÓŁNOCNEJ

Przedsiębiorę opowiadanie — proste, bezpretensjonalne opowiadanie, w którym zaletę główną stanowić będzie prawda czysta. Ani na chwilkę, ani na linijkę fantazyi literackiej cudłów nie popuszczę. Jeżeli w ciągu naracyi trafi się literaturą zabarwiony ustęp, to i w razie takim zmyślenie w nim się nie znajdzie. Zdając przed publicznością polską sprawę z wędrówki, przedsięwziętej i dokonanej w celach doniosłością polityczną podszytych, winienem sprawozdaniu nadać charakter dokumentu, przydać się w razie potrzeby mogącego i historykowi.

I.

Równocześnie ze zorganizowaniem Związku Wychodźstwa Polskiego wytworzoną została w kształcie, jaki posiada obecnie, instytucja Skarbu Narodowego Polskiego. Ustawę tak dla Związku, jak dla Skarbu, przedyskutowano i przyjęto w Zurychu, na zjeździe w setną Konstytucyi 3-go Maja rocznicę. W Ustawie skarbowej do zaznaczenia jest szczegół, że opieka nad funduszem i zawiądownictwo rozporządzalną częścią procentów powierzonymi są

z pięciu członków złożonej i raz jeden, przy jej ukonstytuowaniu, przez Związek Wychodźstwa wybranej tak zwanej «Komisji Nadzorczej». Członkowie jej, zajmujący stanowiska dożywotnie, posiadają prawo dobierania sobie towarzyszy w razach ubytku w komplecie, czy to przez śmierć, czy też przez podanie się do dymisji. Rozporządzenie to, napozór z demokratycznym duchem sprzeczne, do Ustawy wprowadzonym zostało dla tego właśnie, ażeby w Zarządzie Skarbowym duch demokratyzmu i niepodległości przechowywał się zawsze. Nie istniało ciało takie, któremu by wybieranie Komisji, w pewnych czasach odstępach, powierzonym być mogło. Związek Wychodźstwa pozostawał, jak wszystkie poprzednie na emigracji organizacje, pod zagrożeniem rozwiązania; przytem charakter i kierunek jego zawsze mógł się zmieniać, w zależności pozostając od żywiołów, przewagę w danej chwili mających; pod naciskiem przeto prądów stronnicych przeprowadzane do Komisji Nadzorczej wybory wydawać mogły rezultaty nieodpowiednie. Ze względu na ewentualność podobną, bezpieczeństwo nakazywało uzupełnianie osobowego składu Komisji powierzyć wybrancom zorganizowanego w roku 1891, a niewątpliwie demokratycznego i postępowego, Związku Wychodźstwa. Z prawa dobierania członków do kompletu Komisya Nadzorcza korzystała dwa razy—za każdym razem z powodu podania się członka jednego do dymisji. Raz na miejsce Józefa K. Janowskiego wszedł Dr. August Sokołowski, drugi raz na miejsce Dra A. Sokołowskiego wybranym został ob. J. E. Jerzmanowski. Związkowi Wychodźstwa, a raczej Zarządowi onego, Wydziałowi Wykonawczemu, Ustawa powierza obowiązek prowadzenia systematycznej agitacji na rzecz Skarbu Narodowego.

W r. 1895 w skład Komisji Nadzorczej wchodził: autor niniejszego opowiadania w charakterze prezesa-sekretarza, Dr. Henryk Gierszyński, wice-prezes, Dr. Zygmunt Laskowski, Dr. Karol Lewakowski i Dr. August Sokołowski, członkowie.

Fundusz skarbowy, dzięki paru wpływom znaczniejszym, dochodził w czasie owym wysokości franków 100.000. Rozpatrzenie się w pochodzeniu wpływów wskazywało wychodźstwo polskie w Sta-

nach Zjednoczonych, jako źródło, na które liczyć można było pewniej, aniżeli na pozostające pod dozorem zaborczym dzielnice Polski, bałamucone przez stronnictwa ugodowców rodzaju rozlicznego, zapobiegających szczególnie rozbudzaniu się samodzielności w społeczeństwie polskim. We względzie tym Skarb Narodowy pełnił właśnie funkcję budzika. Wzmacnianie tej funkcji obowiązkowo ciążyło na założycielach instytucji. Wchodziłem do składu i Komisji Nadzorczej i, w charakterze członka przybranego, do Wydziału Wykonawczego. Losy Skarbu obchodziły mnie mocno. Rozmyślałem nad nimi i zwracałem z tej racji na wychodźstwo polskie w Stanach Zjednoczonych uwagę tembardziej, że od niejakiego czasu jedna z najpoważniejszych i najsympatyczniejszych organizacyi polskich tamecznych, nosząca nazwę *Związku Narodowego Polskiego*, wchodziła ze Związkiem Wychodźstwa w stosunki regularne. Nie pomnę, na którym z odbywających się w mieszkaniu mojem posiedzeń Wydziału Wykonawczego wystąpiłem z wnioskiem wysłania, celem utrwalenia stosunków i postawienia sprawy skarbowej na podstawach pewnych, delegata od Związku Wychodźstwa na mający się odbyć w miesiącu Wrześniu, w tymże roku, w mieście Cleveland, Sejm jedenasty Związku Narodowego Polskiego. Wniosek mój, wchodzący do obowiązków Wydziału Wykonawczego, przez Wydział ten przyjęty, ten wydał rezultat, że na sejm związkowy nie jeden, ale dwóch pojechało delegatów : Dr. Karol Lewakowski i ob. Zygmunt Balicki.

Obecność ich na sejmie clevelandzkim pomyślne zaznaczyły następstwa. Wyraziło je ściślej, niż poprzednio, pomiędzy organizacyami polskimi w Ameryce i w Europie zbliżenie, które szczególnie Skarbowi Narodowemu odczuć się dało.

Dla Związku Narodowego Polskiego Skarb Narodowy żadną nie był nowością. Związkowcy wiedzieli o nim i składali na ten cel pieniądze. Instytucya ta na gruncie amerykańskim powstała za sprawą nieboszczyka Agatona Gillera, z którym korespondowali założyciele Związku : Andrzejkowicz, Lipiński. Nie jasno jeno określono jej zadanie : drogą składek zbierano *na sprawę polską* pieniądze, o zużytkowaniu których orzekać miał

J. Durski,

188 Pierre Ave., Garfield, N. J.

Związek w razach danych. We względzie tym przeto decydować miał chwilowy nastrój opinii publicznej w łonie Związku — mógł zatem fundusze przeznaczać na cele w luźnym do sprawy polskiej pozostające stosunku. Składki szły zrazu żywo, następnie słabły i, doprowadziwszy kwotę skarbową do wysokości 3.414 dolarów, ustały prawie. Dodać należy, że czuwający nad tego rodzaju «występnymi» na wychodźstwie polskiem objawami *Kraj* petersburski ogłosił był, że Skarb Narodowy w Ameryce został skradziony, zaopatrując wiadomość tę w naukę moralną o niebezpieczeństwie, zagrażającym funduszom, nad którymi nie czuwa dozór urzędowy. Nauka ta moralna wyszła z pod pióra, ocenzonego w państwie, w którym kradzież z pod dozoru urzędowego stanowi główny wiary patryotycznej artykuł. Wiadomość była fałszem; sprostowania fałszu *Kraj* nie zamieścił, pozostawiając czytelników swoich w przekonaniu o kradzieży funduszu, złożonego w Milwaukee pod dozorem odpowiedzialnym i przeniesionego w roku 1900 do depozytu rapperswylskiego.

Sprawa Skarbu Narodowego w Ameryce, dzięki inicjatywie założycieli Związku Narodowego Polskiego; dzięki ob. E. J. Jerzmanowskiemu, który, mieszkając w Nowym-Yorku, zebrał, niezależnie od Związku Narodowego Polskiego, kwotę wynoszącą 30 tysięcy fr. z górą i wlał ją również do depozytu w Rapperswylu; dzięki wreszcie ob. ob. Lewakowskiemu i Balickiemu, którzy wyjaśnili znaczenie i zadanie instytucji skarbowej: sprawa ta uregulowała się na gruncie amerykańskim. Komisya Nadzorcza zamianowała w Stanach Zjednoczonych Komisarza Głównego Skarbu Narodowego w osobie E. J. Jerzmanowskiego, oraz w miastach większych i w stanach — Podkomisarzy, obowiązanych czuwać nad pamiętaniem przez wychodźstwo o instytucji, mającej ostatecznie na celu wyzwolenie Polski, obowiązanych również stawać w instytucji tej obronie wobec przeciwników, zapalczywie na nią powstających.

O! bo i w Stanach Zjednoczonych Skarb Narodowy przeciwników zawziętych miał i ma. Sprzeciwiają się mu w Ameryce wszystkie na podkładzie religijnym wykwitające Zjednoczenia, Unie, nie gorzej i nie słabiej, niż w Europie wszelakie stańczykierye, telime-

nizmy, ugody, trójlojalizmy i inne do tej kategorii kwalifikujące się stronnictwa, odznaczające się strusiów odwagą obywatelską. Przeciwnikom amerykańskim za hasło służy katolicyzm i wygłaszane przez nich przy okazji każdej twierdzenie, że się Polska katolicyzmowi wielce zasłużyła. I dla tego, że się zasłużyła, odmawiają zasilków do wyzwolenia jej niezbędnych. W tym razie logika idzie w parze z oryginalnem wdzięczności pojmowaniem. Pomówimy jeszcze o tem w dalszym opowiadania naszego ciągu, zaznaczając tymczasem, że gdyby nie ta poważanych przez lud nasz służ bożych opozycja, postugująca się nieczgodnemi z prawdą insynuacjami, Skarb Narodowy liczyłby w momencie obecnym nie kilka, ale kilkanaście, może kilkadziesiąt setek tysięcy. Szkodzić łatwiej, niż pomagać. Słudzy bozi wysilali dowcipy, chwytali się sposobów z godziwością w jawnej pozostających niezgodzie, szkodzili,—nie byli atoli w stanie napływu składek na Skarb Narodowy powstrzymać. Napływały one powolnie,—napływały jednak ciągle, w obfitości raz trochę większej, znów trochę mniejszej. Ciągłość nie przerywała się pomimo, że ob. E. J. Jerzmanowski, przeniósłszy się na mieszkanie z Ameryki do Europy, funkcję Komisarza Głównego złożył w ręce ob. F. H. Jabłońskiego. Zmiana ta osobistościowa wywołała następnie uchwałę sejmową, mocą której każdorazowy Cenzor Związkowy jest zarazem Głównym Komisarzem Skarbu Narodowego Polskiego na Stany Zjednoczone Ameryki Północnej.

Instrukcja dla wyjeżdżających do Ameryki D-ra K. Lewakowskiego i ob. Z. Balickiego z pod mego wysłała pióra. Zredagowałem ją w charakterze Prezesa-Sekretarza Komisji Nadzorczej. Polecała ona stawianie sprawy skarbowej bez przesadnego nacisku, nie dotykając kwestyi podatkowej, ale rozbudzając gorliwość dobrowolną. Nie znając stopnia ciepła patriotycznego, przenikającego serca wychodźstwa naszego w Ameryce, lękałem się zrazić wychodźców wogóle, zwłaszcza zaś związkowców, na których polegała cała w rzeczy Skarbu waga. Uważałem za lepsze, ażeby się ze sprawą tą powoli oswoili i sami się w niej rozpatrzyli. Odporność ich wobec klątw na nich z ambon ciskanych, wobec

odpędzania członków Związku Narodowego Polskiego od konfesyo-
nału, odmawiania im ślubów, ich dzieciom chrztu, ich zmarłym
pogrzebu — odporność wobec tego wszystkiego dobre w odniesieniu
do zwalczanego przez duchowieństwo Skarbu czyniła nadzieje. Była
się idea ta na gruncie amerykańskim przyjęta, była się zakorzeniła
i zakiełkowała.

Bardzo mi o to chodziło ze względu na trudności, z jakimi idea
skarbową na gruncie polskim łamać się musi. Prostemu doniosłości
jej zrozumieniu przeszkadzają dokuczające Polakom — dla tego,
że Polakami są — w każdej chwili i na miejscu każdym kłopoty i
szykany. Nie jednemu za kilka na Skarb danych groszy nie chce się
na głowę swoją nawoływać procesu o zbrodnię stanu, brzemienne-
go w zaborze pruskim — wyrokiem więzienia kilkuletniego, w mos-
kiewskim — zesłania drogą administracyjną, to znaczy bez sądu, na
porzecze Leny, Jeniseju, lub w razie najlepszym Dźwiny Północnej.
Zbrodnia stanu — to nie przelewki, zarówno w państwie bojaźni bożej,
rządzonem obecnie przez monarchę wesolego, jako też w mocar-
stwie pół Europy i połowę Azji obejmującym, pozostającym pod
władaniem miłośnika pokoju. Polakom poddanym austriackim
myśleć o Skarbie przeszkadzają stańczycy, którym Austria na pa-
stwę Galicyę oddała i którzy rzeczy w tej Polski dzielnicy do tego
doprowadzili, że Galicyanin przeciętny za ważniejsze uważa szar-
panie się, w epoce wyborów zwłaszcza, z nadużyciami starostów,
komisarzów i innych urzędników, aniżeli składanie od czasu do cza-
su na Skarb Narodowy grosza, aniżeli zastanawianie się nad zna-
czeniem idei skarbowej. Kłopoty lokalne, wynikające z potrzeby
bronienia istoty narodowej Polski od zabójczych państw zabor-
czych napadań, pochłaniają uwagę krajowców całkowicie i czynią
ich niezdolnymi do obrony systematycznej wobec systematycznych
napaści.

Obrona tego rodzaju, «*obrona czynna*», tkwi właśnie w idei skar-
bowej, jej nić przewodnią, jej oś, jej istotę stanowi; przenika
ją i wytwarza naturalny, a konieczny pomiędzy krajem pol-
skim, a wychodźstwem polskim łącznik. Łącznik sercowy i rozu-
mowy — patryotyczny i polityczny. Czego robić nie mogą krajo-
wcy, to robić powinni wychodźcy.

Powinność ta nurtowała mi w duszy od czasu, gdy po pogromie pod Temeswarem (r. 1849) wypadł mi z rąk oręż, którym się z dwoma ojczyzny mojej krzywdzicielami mierzyłem. Poszedłem na wygnanie. Na wygnaniu nie zakończyła się dla mnie o Polskę walka. Zmienił się jeno oręż. Marsze i bitwy ustąpiły miejsca manewrom politycznym, mającym ten sam cel, co powstania, spiski, zamachy, dokonywane od czasu rozbiorów Polski. Do manewrów tego rodzaju przybył w czasach ostatnich Skarb Narodowy, — instytucja, wnosząca do « obrony czynnej » systematyczność, spóldziałająca na polu tem z prawie równocześnie założoną Ligą Narodową i nie gdzieindziej istnieć mogąca, tylko zagranicą — na wychodźstwie.

Dla tej to instytucji, dla utrwalenia jej, dla wzmocnienia nawiązanych przez Lewakowskiego i Balickiego węzłów patryotyczno-politycznych między wychodźstwem a krajem, zaopatrzony przez Wydział Wykonawczy Związku Wychodźstwa Polskiego w Europie i przez Komitet Centralny Ligi Narodowej w pełnomocnictwa — przedsięwzięłem do Ameryki Północnej podróż, oraz po Stanach Zjednoczonych wędrówkę misyjną. Com przedsięwziął, tegóm dokonał.

Jak ?...

II.

W podróży do Ameryki w dwóch względach — we względzie zdrowia i we względzie powodzenia — tkwiła dla mnie mocno uciążliwa zagadkowość. Co do zdrowia — w chwili wyjazdu, po długiej, obłożnej, wedle zdania lekarzy śmiercią zagrażającej i recydywą zaznaczonej chorobie, znajdowałem się w stanie nie wyzdrowienia zupełnego, lecz sporo do życzenia pozostawiającej rekonwalescencji. Czuwająca nademną córka (lekarka) byłaby mnie z pewnością nie puściła, gdybym się był jej do trapiących mnie jeszcze symptomatów patologicznych przyznał. Nie przyznałem się w obawie, ażeby powtórne (miałem jechać we wrześniu r. 1899 — na sejm XIII Związku Narodowego Polskiego do Grand

Rapids) na później wyjazdu odłożenie nie spowodowało ponownego zapadnięcia na zdrowiu i nie udaremniło dokonania tego, com za obowiązek mój służbowy w odniesieniu do Ojczyzny uważał. Gdy mi persadowano, przyjmowałem perswazyę w znaczeniu takim, jakie bym nadawał, gdy żołnierzem byłem, odciąganiu mnie od bitwy pod pretekstem, że zginąć mogę. — Chodziło mi o dotrzymanie w sobie tchu do Chicago: o rozmówienie się z Zarządem Związku Narodowego Polskiego, z Komisarzem Głównym Skarbu Narodowego i z paru posiadającymi u Polaków tamtejszych zaufanie osobistościami—o pobranie od nich zobowiązań wniesienia na sejmie XIV sprawy opodatkowania grup związkowych na rzecz Skarbu Narodowego. O to mi tylko chodziło. Przypuszczałem możliwość katastrofy życiowej—z ciężkiej wychodziłem choroby i lat siedemdziesiąt sześć liczyłem; przypuszczałem jednak i możliwość przeciwną. Zresztą—ryzykowałem. *Qui ne risque rien n'a rien*. Byłe się tylko do Chicago dostać!... Niepokoila mnie myśl o rodzinie, nad którą czuwać byłem obowiązany, a którą śmierć moja boleśnie by pod każdym dotknęła względem. Sprawy jednak prywatne publicznym pierwszeństwa ustępować muszą. Tak myślałem.

Bardziej wszelako, aniżeli szanse ze zdrowiem i z wiekiem spóźnionym w styczności pozostające, niepokoila mnie szanse powodzenia. Analiza tytułów moich nie dawała we względzie tym pewności niewątpliwej. Były dane *za*, były i *przeciw*. Któreż przeważały?... Przewagę, jak mi się zdawało, przyznać należało tym drugim, chociażby nie dla czego innego, to dla tego już samego, że wszystko, co mnie zalecało, odnosiło się do *tempi passati*. Byłem niegdyś żołnierzem walecznym; byłem niegdyś autorem cenionym. Lat temu sześć (1894) w Galicyi, w czasie wystawy Kościuszkowskiej, spotkały mnie wprawdzie owacye, lecz miały one charakter—że tak się wyrażę—retrospektywny, taki, jakim by odznaczało się—dajmy na to—Józefa Korzeniowskiego przyjęcie, gdyby był dziewięćdziesięciu siedmiu lat dożył i do Lwowa na zjazd literacki przybył. Łączyło się z tem jeszcze racyj parę, dotyczących w części znawców i smakoszków literackich, w części działaczy polityczno-społecznych, oraz niewymarłych do czasu onego moich towarzyszy broni.

Wspomnienia te atoli wartość niejaką miały w Europie. W Ameryce zaś — kto co o tem, co się mojej tyczyło osobistości, wiedzieć mógł?...

— To jedno... — słowa jednego z przyjaciół moich, który w rozmowie poufnej usiłował mnie od zamiaru podróży odprowadzić. Zachodzi atoli coś gorszego jeszcze... Poprzedziłeś siebie emisaryuszem, mającym ci drogę utorować... Doszły nas wiadomości pewne, że emisaryusz ów, niestety, skompromitował ciebie...

— Kto?... co?... jaki emisaryusz!?... wykrzyknąłem zdziwiony. Przyjaciel mój nazwał osobistość o misję podejrzaną.

Był to domysł z palca wyspany. Emisaryusza nie wysłałem żadnego.

— Pomijając to — ciągnął mój przyjaciel — czeka ciebie fiasco niechybne ze strony tamecznego wychodźstwa polskiego, przejętego na wylot amerykanizmem i ceniącego w ludziach potęgę w każdym względzie : w moralnym i w fizycznym — potęgę, uwieczoną powodzeniem. Zachwyca się ono Paderewskim, czci Edisona, wielbi Vanderbilta za potęgę u jednego artystyczną, u drugiego umysłową, u trzeciego obrotową, dzięki której zgromadzili miliony. Tem zaimponowali. Ludziom tamecznym zaimponowałby Pytłasiński siłą fizyczną. Zaimponowałby im człek rosły, pleczysty, miniały, wąsaty, obdarzony głosem tubalnym. Ty zaś — co?... Ani wziętości, ani majątku, ani postawy olbrzymiej, ani głosu donośnego; nie posiadasz nic, co by tobie, a przez to i zadaniu twemu, powodzenie zapewniało... I ja, i (tu nazwisk kilka wymienił) wszyscy, co ci szczerze sprzyjamy, gorąco pragniemy, ażebyś zaniechał zamiaru, którego szanse wszystkie, we względzie zdrowia przedewszystkiem, są przeciwko tobie... Lewakowski i Balicki młodzi byli i silni, a co z nich Ameryka zrobiła!...

Nie mogłem perswazyom tym i im podobnym względnej bodaj nieprzyznawać słuszności. Ale miałem siebie za żołnierza, idącego świadomie na placówkę straconą i mającego w perspektywie śmierć, kalectwo lub niewolę. Cofnięcie się znaczyłoby ucieczkę — dezercję, której samo przypuszczenie wprawiało mnie w oburzenie.

Działało tu nie rozumowanie, ale uczucie. Z tegom sobie sprawę zdawał i na wynagrodzenie niejako rozumowaniu, że zepchniętem zostało na stanowisko podrzędne, powziętem postanowienie dolażenia całej usilności, celem osiągnięcia pomyślnych z wyprawy mojej rezultatów.

No — i wyprawa do skutku przyszła.

Po sierpniowych zjazdach w Rapperswyłu Rady Muzealnej i Komisji Nadzorczej Skarbu Narodowego, niezwłocznie się w podróż wybierać począłem. Na dwa miesiące przedtem zamówilem na statku miejsce i dałem na nie zadatek. Do przejazdu przez ocean wybrałem linię, obsługiwaną przez Północno-niemiecki Lloyd, własność kompanii, mającej siedlisko swoje w Bremie. Parowiec, co mnie zabrać miał, nazywał się *Grosser Kurfürst*. Wy pływał on d. 18 Sierpnia z Bremy, 19-go z Southamptonu. Wybrałem, aby na okręt się dostać, Southampton i d. 15 Sierpnia, pod wieczór, wsiałem do pociągu, idącego z Zurychu, na Bazyleę, do Paryża, ażeby z Paryża, przez Hawr, do Southamptonu przez cieśninę Kaletańską się przeczucić. Na dworzec w Zurychu odprowadziła mnie rodzina w towarzystwie grona młodzieży z «Ogniwa», stowarzyszenia, wchodzącego do składu Zjednoczenia towarzystw uczącej się młodzieży polskiej zagranicą.

Dzień był posępny i chłodny, jesienny, odpowiadający nastrojem nastrojowi żegnającej mnie gromadki. Dawne przysłowie powiada: «Wiesz, że jedziesz, nie wiesz, czy wrócisz». Myśl w niem zawarta zastosować się daje do wszelkiej podróży dalszej. A ta, którą rozpoczynałem, bliską nie była; przytem znaczenie niejaki miały dźwigane przezemnie na grzbiecie lata. Więc też smutek owiewał gromadkę, przed wnijsciem do wagonu skupioną, gromadkę, w której znajdowały się najbliższe sercu memu istoty: dwie córki najmłodsze i żona. Widok tej ostatniej, kobiety przez losy nie oszczędzanej, przez choroby trapionej, spokoju w późnym wieku potrzebującej i szczerze przezemnie kochanej, głębokim przejmował mnie żalem. Na dawanie jednak żalowi folgi nie było ani czasu, ani możności: moment ruszenia pociągu szybko nadchodził; dostanie zaś miejsca w wagonie wymagało przebicia się

przez tłum podróżnych, jadących do Paryża na wystawę. Rzuciwszy moim: «Bądźcie zdrowi!», wcisnąłem się w ciżbę i, pomagając sobie łokciami, zdobyłem siedzenie w przedziale drugiej klasy, wśród Rumunów, którzy kupą idąc, miejsce mi zrobili. Za ledwie się usadowił, pociąg ruszył.

Nie wesołem było usposobienie moje. Wzruszenia pożegnalne po chwili uspokoiły się nieco; miejsce ich zajęły wyrzuty sumienia.

«A nuż nie wrócę: — co ona pocnie? ...»

«Ona» — żona moja — zchorowana, wiekiem (luboć odemnie o lat szesnaście młodsza) przygnieciona, z myśli mi nie zchodziła. Ostatnie jej na mnie zwrócone, długie, głębokie, rezygnacyi pełne wejrzenie w duszę moją wryło się niejako, do serca sięgnęło i sumienie mąciło, przypominając mi odpowiedzialność, jaka na mnie za nią ciążyła.

Trzydzieści ośm lat temu (1862 r.), wezwany do Warszawy przez Komitet Centralny, rozstawałem się z nią. Wówczas, mimo, że większe groziły mi niebezpieczeństwa, aniżeli burze morskie, bo oczy i uszy żandarmeryi moskiewskiej, nie doznawałem z jej powodu niepokoju takiego. Czy dla tego, że była młodą? — czym ją wówczas mniej może miłował?... Pytań tych nie zadawałem sobie w pośpieszającym do Bazylei pociągu: zajrzały one do myśli mojej teraz dopiero. Jaka na nie odpowiedź? — ta chyba, że lata potęgują miłość w młodości zrodzoną, a rzetelną.

W Bazylei — zmiana pociągu. Musiałem znów miejsce sobie zdobywać przebojem. Podróż dalszą odbywałem w towarzystwie Francuzów, do których straciłem serce od czasu, jak się w carach moskiewskich rozkochali. Patrzeć jednak na nich musiałem i, patrząc, tak w przejeździe z Bazylei do Hawru, jak, w półtrzecia miesiąca później z Cherbourga do Bazylei; jednej dostrzegłem rzeczy, tej mianowicie, że w rękach podróżnych nie widział dzienników innych, tylko wyłącznie reakcyjne. Trudno zrozumieć, czemu dotychczas żaden z wielkich książąt nie naturalizował się we Francyi i nie zajął stanowiska prezydenta Rzeczypospolitej. Czyż

by dwór rosyjski czekał, aż ostygnie we Francuzach miłość dla Moskwy?...

Niesmacznym był dla mnie pobyt w zpanoskwiczonej Francji. Zredukowałem go do rozmiarów jaknajszuplejszych. Na wystawę ani patrzeć chciałem i byłbym na nią nie zajrzał, gdyby córka moja, artystka penzla i dluta, nie skusiła mnie była do malowideł Włodzimierza Tetmajera i Jacka Malczewskiego. Dla nich dwóch zaglądnąłem do działu austriackiego i nigdzie więcej.

Noc z 18-go na 19 Sierpnia spędziłem z wieczora na kolei, dalej na statku parowym, pełniącym służbę przewozową pomiędzy Hawrem a Southamptonem. Znów z ciżbą miałem do czynienia — z ciżbą Anglików, powracających z wystawy. Na kolei było jako tako; na statku ciasnota nie pozwalała nie tylko się położyć, ale nawet usiąść. Ledwie nie ledwie zdobyłem kawałeczek miejsca, ale dostać nie mogłem ani filiżanki herbaty, ani kawałeczka chleba. Przejazd z Francji do Anglii pod jednym tylko zadowolnił mnie względem: wypróbowałem siebie do podróży morskiej, której od r. 1864 nie odbywałem. Po raz pierwszy w życiu na okręt wsiadłem był r. 1850 — i ta najpierwsza podróż morska, obejmująca morza Czarne, Marmora, Egejskie, Śródziemne i skrawek Atlantyku, uilustrowana rozbiciem się statku na wybrzeżach bejostwa Tunezańskigo, srodze mi się we znaki dała. Następnie nie chorowyałem na morzu. Po przerwie atoli trzydziesto ośmio-letniej nie wiedziałem, jak się organizm mój zachowa wobec masy wody gorzko-słonej, zalewającej dolinę między Starym a Nowym światem i gniewającej się niekiedy mocno na skorupy, kolyszające się na jej powierzchni. Tej nocy wiatr dął taki, że bałwany w białe stroiły się grzywy i statek się nie na żarty kolysał, — mimo to morza nie odczuwałem na sobie.

Do portu w Southampton zawinęliśmy około 9 ej rano.

Po drugi to raz w życiu zawijałem do portu tego. Rozbudziły się w umyśle moim wspomnienia dawne, lecz nadaremnie szukałem na wsze strony przedmiotów, co w pamięci mojej tkwiły. Nie znajdowałem nic — nic. Czy się wszystko zmieniło?... Przed laty zachwyciła mnie zieloność, która dla mnie — rozbitka — miała

uśmiech uprzejmy. Obecnie na powitanie jawiły się wybrzeża szare. Przed laty, gdy parowiec do przystani przyszlusował, odezwały się dzwony, których melopea do dziś w uszach mi dzwoni łagodnie, słodko jakoś, niby nucenie matki przy kołysce usypiającego dziecka. Dziś żaden odgłos z brzegu do uszów moich nie doszedł. Przybiliśmy, wysiedli; w komorze celnej oddano mi walizki; dowiedziałem się, że *Grosser Kurfürst* oczekiwany jest nie rychlej, aż o 3-ej po południu, — miałem więc przed sobą godzin kilka, z którymi nie wiedziałbym co robić, gdyby nie R. Dmowski. Mieszkał on pod on czas w Londynie; przyjechał do Southamptonu umyślnie dla powiedzenia mi ostatniego na gruncie europejskim: *good bye*. Poczcziwie to było z jego strony, — że zaś sam świeżo odbył do Ameryki Południowej (do Brazylii) podróż, więc mnie poinformował, zainstalował i ze mną się na pokładzie pożegnał.

III.

Okolo 6-ej po południu *Grosser Kurfürst* oderwał się od wybrzeża portowego, do którego był przyszlusował. Nastąpiło to przy dźwiękach orkiestry okrętowej, egzekwującej bodaj czy nie *Heil der Kaiser*, — to niemieckie *Boże caria chrani*. Nie przyznaję się do absolutnej we względzie muzycznym obojętności; mówiono mi o artystycznej hymnów tych piękności, nie słyszałem ich jednak nigdy. Bębenki słuchowe zamykały się w uszach moich same, ile razy wydawało mi się, że się odzywają hymnów tych akordy. Jak się pokazuje, nie znosi ich ultrarepublikańska natura moja.

Wypłynęliśmy z portu. Niebawem zawiecerzało, dalej noc zapadła — noc księżycowa, jasna, rzucająca na powierzchnię wody szlak świetlany, odbijająca w morzu gwiazdy, — noc jedna z tych, o których poezya powiada: «Niebo nademną i niebo podemną». Do mnie atoli poezya nie przemawiała. Wyznać winienem, iż podróże morskie językiem poetycznym nie przemawiały do mnie nigdy. Poetyczności pozbawiło je może zastosowanie pary do

żeglugi. Zaznaczyło się to na Mickiewicu, który z wrażeń z podróży morskiej na żagłowcu w cudnych wypowiedziach się sonetach; z wrażeń zaś z przejazdu na parowcu nie zdawał sprawy ani przed publicznością, ani przed śledzącymi i notującymi ruchy i słowa jego wszystkie towarzyszami podróży. Parowce, te zwłaszcza co obecnie służą do ułatwienia wędrówki narodów ze Starego do Nowego świata, zalety tej pozbawione są absolutnie. Sprzeciwia się temu przede wszystkim ich ogrom, naprowadzający na myśl fabrykę, następnie budowa, tak rozmiarami, jak kształtem różna od opisywanych ongi przez wędrówców i opiewanych przez poetów łodzi, korwet, okrętów, wielkich—nawet 120 dział na sobie dźwigających — okrętów wojennych.

Okrętom żaglowym akcent poetyczny nadawała, jak się domyślać należy, zależność od wiatrów. Wiatry ważną w poezji grają rolę. Zaś potwory te nowożytnie, zamiast masztów zaopatrzone w rzygające lgnącym do twarzy i płuc ludzkich dymem kominy, żagli nie posiadające wcale, porykujące od czasu do czasu przeraźliwym, nie ludzkim, nie zwierzęcym, « syrenim » jednak, jakby na urągawisko, nazwanym głosem, drżące niby w febrze od kręcącej się ustawicznie pod spodem śruby, a kołyszące się na falach, jak zwyczajne statki żaglowe, i nabawiające jak te ostatnie nie opornych na kołysanie wędrówców choroby morskiej—potwory te nie wiele sobie z wiatrów robią. Poezya opuściła je całkowicie, bezpowrotnie. Czy by ją burza przywołać mogła? Czyby zdołała ona natchnąć Mickiewicza do rozpoczęcia opisu od wyrazów: « Zdarto żagle, ster prysnął », kiedy żagli ani na lekarstwo, steru zaś, ani sternika nigdzie z pokładu, ani na pokładzie nie widać? Burza wprawilaby jeno statek w rozkołysanie się mocne i wywołała wśród podróżnych odgłosy czkawkowe, nie nadające się do zapładniania najlotniejszej wyobraźni poetyckiej.

Na morza, na oceany wraz z parą zawitała proza. Statki przewozowe postradały wszystkie cechy, należące do zakresu piękna. Na zewnątrz mają pozór olbrzymich fabryk pływających; na wewnątrz są to hotele, i charakter, akcent hotelowy przebija się w całości życia na pokładzie, z wyjątkiem odzieży, w jakiej chodzi

obsługa. Garsonów, lokajów młodszych, lokajów starszych, *maitre-d'hôtel*ów odróżnić trudno od majtków, poruczników młodszych, poruczników starszych, od kapitanów. Działalność marynarska, we wnętrznościach potwora ukryta, widzieć się, ani odczuwać na zewnątrz nie daje zgoła...

« Szum większy, gęściej morskie snują się straszyla ;
Majtek wbiegł na drabinę... »

Na statku nowożytnym nic podobnego zdarzyć się nie może. Krążą jeszcze wprawdzie po morzach okręty żaglowe, ale Mickiewiczowie nie pływają nimi. Na tym, co mnie wiózł, parowcu nie było nic, absolutnie nic, co by ducha poetycznie nastroić mogło ; na zewnątrz parowca zaś — co?... — nie bezmiar, który się nie ukazuje w ciemnym, promieniem wzrokowym zakreślonym kółku horyzontu, nie bezdenność, mogąca być umysłowo przedstawiona za pomocą mocnego jeno wyobraźni natężenia. Proza, zimna, powszednia proza rozciągała się nademną, podemną, dokoła mnie dalej, bliżej, najbliżej, dawała się mi nietylko widzieć, ale słyszeć, dotykać, wachać, smakować. Może prozaiczność ta pochodziła ze mnie. Może ~~środe~~ moich towarzyszy podróży znajdował się niejeden, odczuwający poezję w tem, co nas otaczało.

A było nas dużo. W klasach pierwszej i drugiej miejsca próżnego w żadnej nie pozostawało kajucie ; w klasie trzeciej panował ścisk. Statek zaludniało, jak powiadano, osób z górą 2.000. Ludność ta składała się w większej części z powracających z wystawy Amerykanów, w mniejszej — z jadących poszukanie szczęścia w Ameryce Niemców, w drobnej ilości — z różnonarodowców. Śród Niemców odgadywać się dawali żydzi. Żywiołu polskiego w dwóch pierwszych klasach przedstawicielstwo na mojej ześrodkowywało się osobie. W klasie trzeciej spółziomków moich być musiało sporo, podczas bowiem gdy w porcie w Southamptonie wolno jeszcze było po całym chodzić pokładzie, zaprowadził mnie Dmowski do tej klasy, i tam natknęliśmy się na chłopaka lat 13—14, w mundurku ucznia gimnazjum z pod panowania moskiewskiego, i na dziewczynę głośno po polsku targującą się z przekupniem o jabłka. Bliższe z nimi zaznajomienie się odłożyłem na później. Chciałem to usku-

tecznić nazajutrz, lecz, ponieważ klasę trzecią od drugiej, którą jechałem, przegradzała pierwsza, gdym o przejście zapytał, otrzymałem odpowiedź, że pasażerom klas pierwszej i drugiej wdawanie się z pasażerami klasy trzeciej jest *streng verboten*. Nie pytałem o rację zakazu tego.

Rozkład mieszkalny na parowcach pasażerskich dawniejszych różnił się od zaprowadzonego obecnie. Dawniej klasę pierwszą mieszczono na części tylnej okrętu, drugą po środku obok maszyny, trzecią na przodzie. Rozkład taki zatrzymano może na statkach francuskich. Na niemieckich — klasa pierwsza zajmuje miejsce drugiej, druga pierwszej, wgłębiając się na pięter dwa, przedstawiających istny sal, sałek, kurytarzyków i kajut labirynt, w którym się nie od razu rozpoznać można. Błądziłem też z początku, zanim się nauczyłem do mojej trafiać kajuty, którą zajmowaliśmy w szesściu. Kajuty wyglądają jak komórki; łóżeczka mają pozór zasieków, umieszczonych jedne przy podłodze, drugie pod sufitem. Ciasno tam, niezbyt wygodnie i niekoniecznie odpowiednio przepisom higieny, zawszeć atoli pod względem każdym lepiej, niż bywało dawniej. Obecnie na kim się miele, na pasażerach klasy trzeciej się krupi. Kompanie przewozowe mało o nich dbają, wyznaczając dla nich miejsce bardziej niż inne podległe wywołującemu chorobę morską kołysaniu, ściskając ich na małej stonunkowo przestrzeni bez względu na wiek i płeć, karmiąc w sposób do życzenia pozostawiający. Za to karmienie w klasie drugiej bardzo chyba wybrednym podniebieniom do życzenia coś pozostawiać mogło. Odżywiano nas znakomicie: na czczo rozdawano jabłka i pomarańcze; o ósmej rano herbata, kawa lub czekolada, a jako dodatek do potrawy mięsnej chleb, masło, ser; o dziewiątej roznoszono bulion w filiżankach i sandwicze; o południu obiad kompletny, bez wina jednak i piwa; o czwartej podwieczorek; o ósmej po południu wieczerza suta. Po wieczerzy koncert, albo bał, jeżeli pora sprzyjała. Do tańców, rozumie się, służył pokład, na którym dniami całymi odbywały się gry gimnastyczne. W fajczarni pasażerowie poważniejsi (?) grali w karty.

Tak zabijano czas na pokładzie, gdzie niektórzy czytali. Nale-

załem do tych ostatnich. Nie mogąc, z powodu wieku późnego, próbować się na polach gimnastycznym i tanecznym, nie grywając w karty, nic lepszego nad czytanie do czynienia nie miałem. Oddawałem się mu też gorliwie, zaopatrując się w Paryżu w dzieło Piotra Leroy-Beaulieu p. t.: *La renaissance de l'Asie*. Zajęło mnie ono ogromnie dla tego, że pisząc o kulturalnych wpływach Europy na narody na Wschodzie dalekim, daje pogląd na stosunki polityczne mocarstw, upatrujących w kierunku tym zyski dla siebie. Pracy tej wartość — ta podnosi okoliczność, że wyszła ona na rok przed wypadkami, których teatrem w roku przeszłym (1900) stały się Chiny. Autor zajmuje się w niej Chinami, Japonią i Syberją, wykazuje znaczenie tej ostatniej, podając ją za kość, o którą się pogryzą Rosya z jednej, a Anglia i Stany Zjednoczone Ameryki Północnej z drugiej strony. Według p. Piotra Leroy-Beaulieu pozabawienie Rosyi posiadania Syberji — raz dla tego, że Syberja służy Rosyi za pomost do pchania się na daleki Wschód, powtóre dla tego, że zawiera w łonie swoim nieprzebrane, nęcące przedsiębiorczą chciwość, Jankiesów zwłaszcza, bogactwa, których Moskale wyzyskiwać nie umieją i, dla braku funduszy nakładowych, nie mogą, — stanie się, stać się prędzej, czy później musi, dla rasy anglo saskiej wytyczną jej polityki wszechświatowej. Prędzej, czy później — nie dziś, to jutro — albo Anglia w sojuszu ze Stanami Zjednoczonymi, albo Stany Zjednoczone w sojuszu z Anglią zwrócą się przeciwko Rosyi, celem zepchnięcia jej z tego stanowiska mocarstwowego, na jakie ją okoliczności wprowadziły, dozwalając jej przez zabór Polski ciężać na Europie, przez zabór Syberji ciężać na Azji. Autor we wróżby się nie wdając, a opierając się na danych wiadomych, wskazuje wysnuwający się logicznie rezultat, który w perspektywie powikłań politycznych widzieć się daje pod postacią zasadniczej walki na polu realnych handlarskich interesów pomiędzy monarchiczną, w Azji wylęglą i wyhodowaną, ideą samowładztwa, a ideą republikańską nowożytną, europejską i Stanów Zjednoczonych. P. Piotr Leroy-Beaulieu wyrażen tych nie używa: one same, z wywodów jego, niby płaskorzeźba, wystając, ideę uwydatniają i przez nią uszlachetniają przewidywaną, w gruncie zaborczą, poziomą walkę.

Przewidziała się mi walka ta lat temu dwadzieścia trzy, gdym w r. 1878, po zakończeniu Kongresu Berlińskiego, układał, wedle owoczesnych danych politycznych, wnioski do opracowania dla *Ateneum* artykułu p. t. *Kwestya Wschodnia w nowej fazie* (*). Dane owe postawiły przed oczami mojemu mocarstwa ku jednemu i temuż samemu podążające celowi — jedno drogą lądową, drugie wodną. Podążanie to czyni je przeciwnikami, tolerującymi się wzajemnie póty, póki rozmaitość dróg trzyma je w niejakiem jedno od drugiego oddaleniu. Wspólny atoli cel prędzej, czy później sprowadzi pomiędzy niemi zetknięcie się, wyrazem którego nie może być co innego, jeno walka na śmierć i na życie. *Aut — aut*. Jedno drugie w niwecz obrócić, w ziemię wdeptać musi, ażeby celu dopiąć: stać się kuli ziemskiej panem.

Tak się w dalszej, czy bliższej perspektywie przyszłościowej przedstawia walka między dwoma olbrzymami mocarstwowymi, niosąca ludzkości jedno z dwojga: niewolę, albo wyzwolenie, zależnie od tryumfu, bądź to Moskwy nad Anglią, bądź też Anglii nad Moskwą. Rzecz prosta — ani ta, ani ta zatryumfowałyby nie mogła bez poparcia jej usiłowań przez interesowanych. Wśród tych ostatnich wyraźnie się w oczy rzuca i w myśl wbija miejsce dla nas. Po której — po czyjej stronie?...

Pytania tego w r. 1878 nie pozostawiałem bez rozwiązania i nie wątpiłem, że wśród spółziomków moich tej, co w myśl mej stawała, odpowiedzi zaprzeczy taki chyba, co

«..... urzędem, orderem zhańbiony
Duszę wolną na wieki sprzedał w łaski cara...»

W r. 1878 nie czytałem, nie napisanej wówczas jeszcze, pracy p. Piotra Leroy-Beaulieu, do formuły przeto matematyczno-politycznej, wyobrażającej antagonizm moskiewsko - angielski, nie wkluczałem wiadomych tego kalibru, co: Japonia, Korea, Chiny, Syberya, wreszcie Stany Zjednoczone Ameryki Północnej. Dane te w rachubach nie figurowały jeszcze. Japonia się dopiero z jajką wykluwała; Korea posiadała znaczenie wyrazu geograficznego;

(*) *Ateneum* r. 1878, za miesiące Październik i Listopad.

Chiny znane były z uprawy herbaty, konsumpcji opium i z tego, że akuratnie płaciły basarunki za mordowanych regularnie przez poddanych syna słońca misjonarzy chrześcijańskich; Syberya zaś — z tego, że służyła do chłodzenia — w towarzystwie złodziei, oszustów, zbójców — zapalów rewolucjonistów i buntowników wszelkiego rodzaju, do których i Polaków zaliczano. Stany Zjednoczone, nie wciągane do kombinacji politycznych, dotyczących się spraw pozaamerykańskich, na myśl mi się zgoła nie nasuwały. Wepchnął mi je do niej autor książki, zabranej przeze mnie z Paryża dla zabicia czasu na statku w ciągu podróży ośmiodniowej, zagrażającej nudami.

Dzięki książce tej, wyznaczającej Stanom Zjednoczonym, — z racji bliskiego ich sąsiedztwa z Syberją i Chinami, oraz wiążących je z Anglią interesów, — konieczną i wydatną w zatargu z Rosją rolę, nudy na jedną nie czepiły się mnie chwilę. Jechałem do mocarstwa, powołanego do wzięcia się nie dziś, to jutro z zaprzysięgłym Ojczyzny mojej wrogiem za bary; jechałem do kraju, w którym spółziomkowie moi przebywają w ilości znacznej. Dwa miliony... Dwa miliony Polaków!... Czy doprawdy dwa miliony?... Mnie, żołnierzowi staremu, dwa te miliony redukowały się w wyobraźni do liczby dwóchkroć stu tysięcy, ale uzbrojonych, podzielonych na bataliony, szwadrony, baterye, pułki, dywizye, zaopatrzonych we wszystkie impedymenta potrzebne i biorących czynny i dodatni udział w tej, wiszącej nad światem, olbrzymiej walce o wyzwolenie ludzkości.

Wobec tej perspektywy, wywołującej liczne, rozmaite, mniej i więcej skomplikowane, polityczne i militarne kombinacje, nudy bez śladu pierzchły. Miejsce ich zajęła niecierpliwość, której wrazem było pragnienie jaknajrychlejszego stanięcia wobec zamieszkujących w Stanach Zjednoczonych spółziomków, — stanięcia wobec nich dla wyczytania im z oczów: czy zechcą oni i czy są zdolni spełnić ważne, spaść na nich mogące zadanie?

Myśl o zadaniu tem potęgowała w przekonaniu mojem znacznie Skarbu Narodowego.

IV

W rozdziale poprzednim zaznaczyć zapomniałem temperaturę, jaka nam w przejeździe z Southamptonu do Nowego-Yorku towarzyszyła. Na zaznaczenie zasługuje ona z powodu nagłej zmiany, jaka w niej zaszła. Z Zurychu wybrałem się był po zimowemu, w przekonaniu, że chłód zwiększać się będzie w miarę posuwania się pory roku ku zimie. Stało się wręcz przeciwnie. Po dniach czterech żeglugi, gdy pasażerowie rano wysypali się na pokład w ciepłych paltołach, płaszczach, pledach, szalach, futerkach, poczuli odrazu okryć tych zbyteczność. Zamiast porankowego chłodu ogarnęło ich ciepło, które się zwiększało, potęgowało; około drugiej po południu niebo sypało żarem tropikalnym. Służba okrętowa mundury granatowe zmieniła na kitle białe. Każdy na siebie wdziewał, co tylko miał najlżejszego. Ja, bodaj czy nie jeden wśród kilkuset towarzyszy, w ciężkiej sukiennej parzyć się musiałem odzieży. Dokuczało mi to srodze; kryłem się przed upałem, gdzie tylko można było na pokładzie; wyszukiwałem przeciągów i z niecierpliwością oczekiwałem tego momentu, w którym opuszczę statek na pastwę upałowi oddany. Przykrość fizyczną, jaką mi słońce sprawiało, neutralizowało do pewnego stopnia rozmyślanie o tem, co mnie na lądzie stałym amerykańskim czeka.

Co?... — zagadka.

Zadanie, jakie na mnie ciążyło, spotęgowane przypomnieniem o antagonizmie pomiędzy dwoma mocarstwami, od którego przyszłe losy ludzkości, a i ojczyzny mojej zależą, mocno mnie zajmowało. W oczach mi stała rola ważna, do której odegrania powołanem jest polskie wychództwo w Stanach Zjednoczonych. Rozumiałem i czułem potrzebę jak najściślejszego porozumienia pomiędzy tem wychództwem, a tak zwanym przez nie *Starym Krajem* dla oddziaływania wzajemnego na siebie Polaków, dążących ku jednemu politycznemu celowi, a znajdujących się w warunkach odmiennych. O tem wszystkim rozmyślałem i zapytywałem siebie: Czy

mnie przyjmą, i jak przyjmą spółziomkowie na tej drugiej planety naszej półkuli, ku której mnie całą siłą pary okręt niemiecki niesie, i na której spółziomków moich spotkać mam i powitać nie czem innym, tylko i wyłącznie dobrem słowem ?

Dobrem słowem?... Czy *dobrem* w rzeczy samej ? Nie stanę przed nimi z tem, co techniczną niemal nazwę *dobrej nowiny* nosi. Stanę z opowiadaniem o ucisku, o prześladowaniach, o nędzy, o bólach przez zaborców narodowi polskiemu zadawanych, ze skargami i żałami na małoduszność, sobkostwo, tchórzostwo, zdradzanie sprawy ojczystej przez swoich, stanę z domaganiem się pomocy dla tych, co, wierni ideałom narodowym, pracują nad odrodzeniem i wyzwoleniem Ojczyzny. Czy trafi to do serc i umysłów tych, o których powagi(?) twierdzą, że się z Ojczyzny wynieśli dla chleba, i na ziemi obcej chleb ich, nie Ojczyzna, obchoźi?...

Obok tych względów natury ogólnej, trapiły mnie jeszcze przewidywania szczególne, odnoszące się do wyładowania w Nowym-Yorku. Nie wiedziałem, jak się obrócić na wstępie do tej świata nowego metropolii, o której tylé dziwnych słyszałem i czytałem rzeczy. F. H. Jabłoński, prezes Związku Narodowego Polskiego, gdym go prosił o wskazanie pewnego jakiego hotelu, lub skierowania mnie do którego z zamieszkałych tam Polaków, pisał mi wprawdzie, ażebym się o nic nie troszczył, byłem na ład wyszedł z jakąś na sobie oznaką, po której by mnie w tłumie rozpoznać było można. Oznakę zapowiedziałem : kapelusz czarny, białą obwiązany chustką. Należę jednak do tych, co nie dowierzają jednej strzałé w kołczanie. Postarałem się o drugą. Zaznajomiłem się z adwokatem z Toledo, skąd p. A. Paryski przysyła mi wydawany przezeń, a bardzo dobrze przez ob. Tomasza Siemiradzkiego redagowany, tygodnik p. t. *Ameryka*. Adwokat ów nie tylko że mnie w potrzebne zaopatrzył wskazówki, ale dał mi adres hotelu, w którym sam z ciotką i towarzyszącemi jej córkami miał stanąć. Zabezpieczony z tej strony, spokojnie czekałem na zmianę podróży morskiej na ładową.

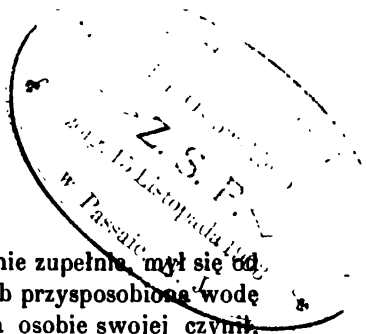
Ład amerykański mimowolną budził we mnie ciekawość. W dniu ósmym po wyjeździe z Southamptonu, od południa do wieczora wyteżałem wzrok, usiłując dojrzeć na horyzoncie smugę szarawą, zna-

mionującą ziemię. Nie pokazywało się nic podobnego. W ogóle, w ciągu całej podróży, gdy wybrzeża Wielkiej Brytanii z oczu nam znikły, na drodze naszej nie pokazywały się nie tylko lądy, które się pokazać nie mogły, ale nic, na wodzie ani w powietrzu, na czymby się wejrzenie chociażby na chwilę zawiesić mogło. Raz tylko, przez godzinę — nie dłużej, konwojowały statek wywracające koziółki delfiny. Gdy zachód słońca się zbliża, zwykle na oceanie z wody wyskakują rybki latające. Tym razem stworzenia te zwyczaj swego nie przestrzegały. Powstrzymały się i rekiny od towarzyszenia nam — ze strachu zapewne wobec okrętu, pozostającego pod berłem niełękającego się nikogo prócz Boga, cesarza niemieckiego. Przypuszczać należy, iż flaga niemiecka trzymała zdaleka stworzenia wszelakie, widokiem swoim podróże morskie ludziom urozmaicające. Mewy nawet na powitanie nasze nie wyleciały z powodu, z pewnością, nie innego, jeno z tego, ażeby pozostawieniem na pokładzie statku niemieckiego przypadkowych śladów swego powitalnego przelotu nie obrazić dzierżącego wysoko sztandar państwowy — mściciela poddanych swoich, pogromcy Chińczyków, gnębiiciela Polaków — monarchy niemieckiego. Z racji tej pozbawiony zostałem sposobności przemówienia do mew językiem Malczewskiego, zmieniając przymiotnik « czarna » na « biała »:

« A ty *biała* ptaszyno, co każdego witasz
I krążysz, i zaglądasz, i o coś się pytasz . . . »

Ani jedna nie powitała nas mewa, mimo żeśmy się znajdowali w pobliżu niewidzialnego wciąż lądu. Ląd w nocy ukazać się musiał. Na zapytanie, o której nazajutrz w porcie staniemy godzinie, służba odpowiadała rozmaicie, wymieniając godziny między drugą, a dziesiątą rano.

Sześciu nas zajmowało kajutę. Zrana wstawaliśmy pojeźdźcy, we dwóch bowiem nie było miejsca na ogarnięcie się do wyjścia. Jam się budził i ubierał najpierwszy. Tym razem powzięłem zamiar wstać wcześniej, niż zwykle, aby nie stracić ani jednego, z poprzedzających wnijsie do portu nowojorskiego, widoków. Zamiar mój jednak spelzł, niestety, na niczem. Uprzedził mnie towarzysz, który miał zwyczaj sypiać najdłużej, i zabrał czasu godzin dwie przynaj-



mniej, golił się bowiem, rozebrał się następnie zupełnie, mył się od stóp do głowy, na co wszystko na sześć osób przysposobioną wodę wyekspensował, dalej masaż rącznikami na osobie swojej czynił, dalej się odziewał, czesał, szczotkował, paznokcie obrabiał, rozpakowane walizki pakował, i pięciu nas obudzonych, niecierpliwących się w łózkach trzymał. Gdy wreszcie wyszedł, ledwie nieledwie dodzwonić się mogliśmy garsona, ażeby nam wody przyniósł. Bez względu na ów towarzyszył był z rodu potomkiem Izraela. Kleł go też, każdy po swojemu, Niemcy i Anglicy; jam się nie odzywał, w przeświadczeniu, że klątwy do niczego nie służą.

Gdym się do wyjścia na pokład sposobił, czulem pod sobą coraz powolniejszy chód statku; od czasu do czasu wydawało się, jakoby śruba obracać się przestawała. Było to jednak złudzeniem: statek się wciąż powolnie posuwał, o czym przekonałem się na pokładzie, z którego na lewo oczom moim przedstawił się w dali zielenią okryty, zrzadka zabudowany, wypukły, fortyfikacją zakończony cypel, — na prawo wybrzeże bardziej płaskie, zieleniejące, bardziej, aniżeli cypel, zaokrąglone i bardzo mało zabudowane. Tam i ówdzie widzieć się dawały łąki, domyślać się każące hodowli bydła. W tem, co się na prawo pokazywało, odgadywałem Long Island; na lewo odgadywanie moje na żadnej zatrzymać się nie umiało nazwie. Na Nowy-York żadną miarą nie wyglądały puste prawie przestrzenie. Dałem więc odgadywaniu spokój i obserwacje na inne zwróciłem przedmioty. Uderzyła mnie woda przede wszystkim. Tyle w życiu mojem widziałem portów, nie przypominam sobie jednak, ażeby w którym z nich woda miała inny pozór, aniżeli na pełnem morzu. W porcie nowojorskim pozór jej jest mętny, wydaje się brudny, jak w zapchanych okrętami i łodziami przystaniach, pomimo, żeśmy się znajdowali w dużem od brzegów oddaleniu i w pobliżu stał nieruchomie tylko jeden okręt, na kotwicy zapewne, drugi zaś powolnie, w przeciwnym naszym posuwał się kierunku. Zresztą ani bliżej, ani dalej żadnych widać nie było statków, tak, że we mnie zrodziła się wątpliwość, czy w rzeczy samej w porcie już jesteśmy. Co to za port, w którym najmniejszy ruch portowy postrzegąć się nie daje !...

Nasz *Grosser Kurfürst* posuwał się i posuwał powoli, — naraż stanął. Czemu? Ze strony prawej pokazał się stateczek parowy, z maszcikiem pośrodku, na którym żółta powiewała flaga. Znaczyło to, że się odbyć miała rewizya sanitarna nie gdzie indziej, tylko u nas, my bowiem jedni, przybywając z drugiej półkuli, z półwyspu przyczepionego do kontynentu aryjskiego, hodującego w Chinach, w Indyach, w państwie Ottomańskim zarazy rodzaju rozmaitego, posądzeni być mogliśmy o przytransportowanie do Ameryki mikroba jakiejś epidemii. Jakoż tak było w rzeczy samej. Ów pod żółtą flagą stateczek, wyglądający obok olbrzyma naszego jak łódeczka malutka, opłynął w półkole *Wielkiego Elektora* z tyłu i przyczepił się do niego z przodu, chowając się tak, że stał się niewidnym z naszego stanowiska w drugiej klasie. Spostrzegliśmy jeno zdaleka ludzi kilku, przechodzących pod przewodnictwem lekarza okrętowego, poznaczonego rapierami na pysku, spoważniałego obecnie ogromnie eks-bursza. Przeszli, na nas się ani popatrzyli, odpłynęli, i *Kurfürst* raźnie lewym ramieniem naprzód ruszył.

Domyśliłem się, że niebawem lądowanie się rozpocznie. Byłem na to przygotowany, równie jak podróżni wszyscy; niewiedzialem jednak, jak się to odbędzie. Co kraj — to obyczaj. Nie miałem się kogo o obyczaje amerykańskie w odniesieniu do komór celnych rozpytać. Spuściłem się przeto na naśladowanie tego, co robić będą inni, oznajomieni z procedurami celnymi. Jest to metoda owcza, szerokie śród ludzi znajdująca zastosowanie. Nie miałem do wyboru innej. Trzymałem się jej przeto, baczne oko zwracając na czyny i gesty towarzyszy moich.

Brak wszelako informacji dokładnych uczuwać mi się dawał. Na przykład: Gdy wiozący nas statek dopłynął do wybrzeża, przy którym duża ilość okrętów znamionowała przystań, nagle pojawił się obok nie większy od sanitarnego stateczek parowy i jął się przeraźliwie ryczeć. Po chwili pojawił się drugi podobny stateczek i zaryczał jeszcze przeraźliwiej. Toż samo uczynił trzeci, czwarty, piąty i t. d. Kilka stateczków, ryczących głosem syren okrętowych, niepodobnym, jak się zdaje, do tych śpiewów czarujących, które w czasach kiedy po morzach pływali Jazon, Tezeusz, Eneasze, Ulisesy,

Telemacy i t. p. bohaterowie, zwabiali żeglarzy na skały podwodne, konwojowało *Wielkiego Elektora* póty, póki ten, minawszy niedawno spalone doki Północno-Niemieckiego Lloyd, nie przyszlusował do nowej przystani. Gdy owe stateczków ryczenie znaczyć miało, nie dowiedziałem się wówczas i dotychczas nie wiem.

Przy syrenich tych rykach, które umilkły, gdy statek do przystani przyszlusował, wynosilem się z głębin wnętrza okrętowego. Nie była to rzecz dla mnie łatwa. Lata przeżyte pozbawiły mnie sił dawniejszych. Ani myśleć mogłem o wyniesieniu na pokład dwóch walizek i trusów. Do jednej zamówiłem garsona, drugą, mniejszą wziąłem na siebie i, na schody ją niosąc, zdźwignąłem się. Nagle pochwycił mnie ból w krzyżach w miejscu, gdzie siedlisko swoje miewa znane mi dobrze lombago. Jęknąłem nie tyle z bólu, co z przerażenia, jakie mnie przejęło na myśl, że choroba ta, gdyby się zechciała nademną popastwić na seryo, obezwładniła by mnie najmniej na dwa tygodnie. Tym razem ścisnęła, ale nie obaliła. Pocieszyło mnie to. Ostrożnie stąpając wywlokłem się na pokład i z trudem niemalym zająłem naprzeciw spuszczonej z okrętu do podłużnej szopy schodów stanowisko w ciżbie oczekującej z pakunkami na możliwość wyjścia. Pod szopą widzieć się dawały tłumy, w których domyślałem się obecności współziomków moich. Żadnego z nich ani z widzenia, ani z nazwiska nie znałem, a przytem, chociażbym którego znał dobrze, nie dojrzałbym go z wysokości drugiego prawie piętra, w oddaleniu kilkuset metrów, jakie mnie od niego oddzielały. Włożyłem na głowę czarny białą obwiązany chustką kapelusz w przypuszczeniu, że znak ten wpadnie w oko komuś z tych, co na moje wyjść mają spotkanie. Nastawiałem się, nie opuszczając miejsca mego, ażeby mi kto walizek nie zabrał, i nadejścia tragarza wyczekując.

Wyczekiwanie na upale trwało godzinę, jeżeli nie więcej. Udało mi się wreszcie zahaczyć tragarza, tłumoczeki mu moje na grzbiet włożyć i wślaz za nim po schodach zejść do komory celnej, gdzie surowej spodziewałem się rewizyi. Kontrabandy nie wiozłem żadnej, z tej więc strony spokojny byłem. Niepokoju nie wzbudzał we mnie przytułek w mieście, posiadałem bowiem adres hotelu,

udzielony mi przez adwokata toledoskiego. Niepokoilo mnie jeno lombago, które mi w ruchach zawadzało i pozbycia się najspieszniejszego wymagało. O lekarzu z instrumentami do wypalenia mi tej ~~niebezpieczności~~ dokuczliwej myślałem, gdy nagle, z tłumy w ucho mi wpadło ~~wywołanie~~ :

— Pułkownik!

I dwaj współziomkowie jawili się obok mnie—jeden szczupły, niemłody, z wyrytym na obliczu cierpień i trosk przeżytych wyrazem, drugi w sile wieku, blondyn, ~~człowiek~~ uprzejmie uśmiechnięty. Obydwa na kapeluszach chustki białe mieli.

— Czekamy... czekamy... po raz ~~już~~ oto drugi i doczekaliśmy się wreszcie...

— Zkądże po raz drugi?... zapytałem.

— W roku przeszłym, przed sejmem w Grand Rapids.

— W roku przeszłym — odrzekłem — o tej porze, zamiast w podróż do Ameryki wybierałem się na dolinę Józefata...

— Słyszeliśmy... słyszeliśmy...

Przywitaliśmy się serdecznie. Od razu z nimi poczułem się wśród swoich, sercu bliskich, niby w rodzinie. Zapomniałem o wszystkich większych i mniejszych przykrościach, o bólach lombagowych nawet. Przyszedłem do swoich — a takich, co przyjscia mego wyglądali. Ci dwaj najpierwsi — przedstawili się mi : Stanisław Nawrocki, bojownik z r. 1863, rodem z Królestwa; Stanisław Prus, wielkopolanin. Jeden z nich pokazał mi wstążkę do przypinania na piersi, przyozdobioną frenzlą sutą i złotym napisem : « Komitet Przyjęcia Pułkownika Zygmunta Milkowskiego ». Z nimi na spotkanie moje wyszły dwie panie, jedna panna i dwaj chłopcy: pani Prusowa z synami i siostra jej pani Renzowa z córką, wdzięczną blondynką. Wszystko to Polacy, Polki. Od pierwszego na grunt amerykański stąpienia znalazłem się między swoimi.

V.

Ażeby z opowiadania mego jaka taka dla czytelników łaskawych wynikała korzyść, rozdział niniejszy przeplotę gęsto informacyjami, tyczącemi się pierwszych kroków cudzoziemca po przybyciu do Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej. Dawniej przybywał kto chciał i jak chciał, granicę przekraczał i nikt go o nic nie zapytywał. I teraz istnieje to samo niby, ale nie dla wszystkich i nie ze wszystkim. Nie ze wszystkim, zaprowadzenie bowiem systemu protekcyjnego spowodowało podniesienie niepomierne ceł, dające się we znaki nie tylko handlarzom, ale — bardziej może jeszcze — i podróżnikom, tym zwłaszcza, co mają zwyczaj przejeżdżać z miejsca na miejsce z ogromnymi i w dużej ilości pakunkami. W pakunkach takich, obok bielizny, odzieży, obuwia, narzędzi toaletowych i rozmaitych bręboryonów, znaleźć się zawsze musi coś z rodzaju kontrabandy. Panom i paniom, jeżdżącym z bagażami ogromnymi, radzę kazać, przed wyjazdem do Ameryki Północnej, przepatrzyć rupiecie swoje biegłemu, świadomemu co jest, a co nie jest w Stanach Zjednoczonych kontrabandą. Tacy bagażowi podróżnicy lokują się na statkach w klasie zazwyczaj pierwszej, trafiają się jednak i w drugiej. Trzecioklasowi podlegają na równi z tamtymi rewizji cłowej; podlegają jednak obok tego jeszcze i rodzajowi egzaminu, zastępującego paszport. Wykazać się muszą znajomością czytania i pisania w jakim bądź języku i posiadaniem majątku, wynoszącego co najmniej dolarów 30 (156 franków); poddać się winni oględzinom lekarskim i dowieść, iż nie są zamówieni do jakiej bądź roboty; podają przytem rok, dzień i miejsce urodzenia, wyznanie religijne, oraz odpowiadają na pytania dorywcze, odnoszące się do *curriculum vitae* każdego z osobna. Po takim dopiero egzaminie, odbytym w specjalnie na ten cel przeznaczonyj budowli, zwanej « Domem emigracyjnym », przed podróżnikami klasy trzeciej otwiera się wstęp do wnętrza kraju wraz ze swobodą umierania z głodu, lub dorabiania się majątku miliardowego. Ze

swobody tej, w taki określonej sposób, Polacy nie korzystają. Ani głodomorów, ani miliardów nie ma pomiędzy nimi. O tem atoli potem. Teraz winienem dalej ciągnąć opowiadanie o wniściu mojem do Nowego-Yorku, którego byłem ciekawy. Zdawało się mi, że w nim już jedną nogą. Myliłem się. Pierwszy na ziemi amerykańskiej krok postawiłem w Brooklynie, do niedawna mieście oddzielnem, obecnie do Nowego-Yorku wkluczonem i złączonem z nim mostem, zasługującym na oglądanie przez specjalistów i na podziw profanów.

Schody, którymi ze statku zeszedłem, przysługiwały tylko podróżnikom klas pierwszej i drugiej. Z wielkimi ich bagażami nie wiem, co robiono. Małe — takie jak moje, które młodszy odemnie człowiek mógł by, bez narażenia się na lombago, w rękach nieść — składano przed stolikiem, przy którym z drugiej strony siedział jakiś jegomość i od którego z boku ciągnął się w półkole szereg ichmościów w surdutach granatowych z metalowymi guzikami, wyglądających na coś w rodzaju urzędników, lokajów, czy coś podobnego. Było ich ze trzydziestu. Stali i do niczego się nie wtręcali, siedzący zaś przy stoliku jegomość nie dokonywał w pootwieranych przezemnie walizach moich rewizyi: zamiast rewidowań, bawił się rozmową z przechodzącymi osobistościami. Widząc, że się to przeciąga, zainterpelowałem go:

- Czekam na rewizję...
- Masz pan świadectwo?... — odparł.
- Jakie świadectwo?...
- Świadectwo...
- Od kogo?...

Na zapytanie to odpowiedzi nie otrzymałem i po jakimś dopiero czasie dowiedziałem się, że chodzi o poświadczenie przez komendę *Wielkiego Elektora*, jako na statku tym zajmowałem miejsce w klasie drugiej. Tego samego domagano się od pasażerów klasy pierwszej, a to dla tego, ażeby zapobiedz możliwemu przekradaniu się podróżników z klasy trzeciej, pozostających, we względzie wkraczania na grunt Stanów Zjednoczonych, na innych, aniżeli tamci, prawach. Musiałem tedy na statek wracać, co, z powodu

lombago, nie przyszło mi z łatwością. Wędrówkę po schodach na wysokość piętra drugiego osłodziła mi ponętna towarzyska, panna Rentzówna; gdyśmy się na pokład wdrapali, wyreczyła mnie w odszukaniu tej władzy okrętowej, co świadectwa wydawała. Panna Ella ogromną mi wyświadczyła przysługę. Dzięki jej wypuszczony narzeczcie zostałem z pod szopy celnej, po zamknięciu walizek nierewidowanych wcale.

To co wyżej, niech posłuży za wskazówkę dla tych, co się do Stanów Zjednoczonych wybierają, niech oraz poświadczy, że szykanowanie podróżnych nie stanowi wyłącznej rosyjskiego imperyum właściwości. Zachodzi atoli wielka w natężeniu różnica. W Stanach Zjednoczonych jest ona przykrością drobniutką, kończącą się na progu. Po przekroczeniu progu, człek staje się wolnym, niby ptak: leciałby, gdyby mu skrzydeł nie brakło.

Wolny?... Niestety, wolność moja sam sobie zdźwignieniem się skrepowiałem. Nie tylko lecieć, ale podskoczyć, ale nawet chodzić swobodnie nie mogłem. A takim był Nowego-Yorku ciekaw!... Gdyśmy do przystani dopływali, uwagę moją ściągnął był na siebie zwal domów, przez Francuzów «pasztetem» (*pâté de maisons*) zwany, z po za którego wyskakiwała w górę wąska i wysoka budowla. Policzyłem na niej szeregi okien—naliczyłem czternaście. Budowla ta o pięter czternaście wznosiła się po nad domy, które zasłaniać musiały pięter dolnych kilka. To tylko w oczy mi się z osobliwości Nowego-Yorku rzuciło. Nie zamierzałem poprzestać na tem. Losy zrzędziły inaczej. To co więcej widziałem, widziałem przelotnie, z pojazdu, który mnie od przystani wioź do hotelu, położonego w oddaleniu od gwaru miejskiego, naprzeciwko niewielkich rozmiarów Squaru. Przejechaliśmy przez most — chlubę Nowego-Yorku. Towarzysze moi, członkowie komitetu, pokazywali mi osobliwości różne i opowiadali o nich; słuchałem ich, alem nie slyszat; głuszył mnie ból, wywoływany przez ruch pojazdu. Przejechaliśmy tedy przez most; przejeżdżaliśmy przez długie, równe ul. ce, wzdłuż leżących na bruku szyn tramwayowych, po pod ułożonemi na rusztowaniach szynami kolei miejskich; o uszy objęły się mi hałasy, huki, skrzypy, jakim równych ani podob-

nych w żadnym z największych w Europie miast słyszeć mi się nie zdarzyło. Te hałasy, huki, skrzypy, przeraźliwe i ogłuszające, są wynikiem ruchu życiowego, wyrażającego się pędem naprzód niepowstrzymanym, rozpychającym wszystko co mu na drodze staje. Nie przesadzają podróżnicy w opisach pierwszego wrażenia, jakie Nowy-York wywiera. Jest ono otumaniające. Mnie otumanilo tem mocniej, że mi w momencie tym nie tyle o oglądanie miasta, co o zubożenie bólów chodziło. Pragnąłem co najrychlej do jakiego takiego dostać się legowiska.

Pragnieniu memu stało się w końcu zadość. Nie zanotowałem sobie nazw ani ulicy, ani hotelu, w którym ulokowany zostałem. Zaniechanie to jest bez znaczenia, tej bowiem gospody polecać bym nie mógł z powodu, że nie dla wszystkich, tylko dla gości przedstawionych właścicielce przez znane jej osobistości, otworem stała. Różniła się też od typowych, o których mowa później będzie, schodząc się jednak z niemi we względzie komfortu i tyjących się jadłodajni zwyczajów. Komfort nic nie pozostawiał do życzenia, dawał nawet więcej, aniżeli życzyć można: nietylko kąpiel w numerze, ale łóżka sypialne tak szerokie, że w każdym miejscu na cztery przynajmniej znajdowało się osoby. Kąpiel zwłaszcza bardzo mi się podobała: liczyłem na to, że mi ona lombago wypędzić pomoże. Zamierzałem urządzić ją dla siebie wieczorem, tymczasem zaś do jadalnej udałem się sali, celem spożycia obiadu. Sposób obiadowania zastanowił mnie, nie był bowiem ani europejskim, ani angielskim. Do tego ostatniego zbliżał się przez to, że goście zasiadali przy oddzielnych, na cztery osoby, stolikach, nie ustawianych atoli, jak w Anglii, w klatkach, w jakich po stajniach wielkopańskich konie się stawiają. Gościowi, jak skoro miejsce zajął, panienska (po hotelach formalnych — garson) podaje jadłospis i równocześnie serwetę (która w Anglii dawniej za zbytęcną uchodziła), chleb, masło, wodę z lodem, gorącą albo zimną herbatę, ale nie piwo, ani wino, chyba iżby kto specjalnie jednego z tych trunków zażądał. Ostrzedz wszelako kogo należy winieniem, że nie wszędzie żądaniu temu zadość czynią. Zdarzają się — i to nie rzadko — gospody, w których śmiertelnikowi do odwilżania gardła

nie dadzą napoju alkoholycznego za żadne skarby świata. Zdaje się, że ta, w której się za pierwszą w Nowym-Yorku bytnością odżywiałem, do tej właśnie należała kategorii. Nie czyniło mi to przykrości najmniejszej z tej racji, że jestem z chorujących na choroby takie niebezpieczne, jak gorzałko-wstręt, wino-wstręt, piwo-wstręt, zaspakajala mnie przeto w zupełności woda z lodem, herbata z lodem i nie próbowałem, czyby mi uczyniono za-dość, gdybym piwa np. zażądał. Po obstawieniu mnie przysławkami, panienska zapytała, co sobie podać każe. Poprosiłem o zupę. Zupę spożyłem po europejsku. Z następnem atoli daniem nie wiedziałem zrazu co począc, ujrzałem bowiem talerz z zażadnym przezemnie (zdaje się) rostbifem obstawiony miseczkami podłużnymi, a na każdej z nich inny jakiś warzywny, owocowy lub mączny preparat. Było tego odmian bodaj czy nie dziewięć. Po zastanowieniu, domyśliwszy się, że są to do potrawy głównej przyprawy, jałem się z miseczek kosztować. Kosztowanie nie doprowadziło mnie do rozpoznania istoty preparatu kaźdego. Niektóre były i dotychczas pozostają dla mnie zagadką. Przy daniu następnem obstawienie powtórzyło się, z innych wszelako produktów, śród których zjawila się, nie figurująca zazwyczaj na stołach u nas, mloda w kaczanach gotowana kukurydza. Na deser wielka owoców rozmaitość — owoców smacznych, z wyjątkiem sprowadzanych z Kalifornii winogron, duzo pod względem smakowitości do życzenia pozostawiających. Wino jednak kalifornijskie ma być dobre. Nie wiem: nie kosztowałem; kosztując zaś, z pewnością bym się nie poznał. Dla zaokrąglenia rzeczy o zwyczajach stołowych w Ameryce, rzec jeszcze muszę słówko o sposobie wnoszenia potraw do sali jadalnej, stanowiącym specyjalność w Europie nie praktykowaną. Potrawę z przysławkami na okrytej serwetą tacy, położonej na sporej tablicy drewnianej, wnosi garson (lub panienska) na wzniesionej do góry z akcentem dłoni. Akcent polega na artystycznym uwydatnianiu kształtów postaci — niewieściej zwłaszcza. Artyz m, spożytkowujący z powodzeniem odaliski wschodnie, będące nie czem innym, jeno pokojówkami, powinienby uwagę baczną zwrócić na usługujące po hotelach w Stanach Zjednoczonych

girls. Zdarzają się pomiędzy niemi, luboć rzadko, bardzo szykowne, nadające się dla malarzy i rzeźbiarzy na modele.

Kąpiel, którą wziąłem, najmniejszej mi nie przyniosła ulgi. Bole uczuwać mi się dawały przy każdym wstawaniu z siedzenia, bardziej zaś z leżenia; wywoływał je każdy ruch żywszy nieco; cho- dzić jednak mogłem, ale z wielką ostrożnością, wystrzegając się wszelkiego zwrotu nieprawidłowego. Z możności tej skorzystałem nazajutrz, urządzając sobie wczesnym rankiem samotną na miasto wycieczkę. Niezapędzałem się daleko. Po przejściu jednak *bloków* (*) paru, natrafiłem na ulicę handlową, nie jedną z celniejszych, lecz zapelnioną po jednej i po drugiej stronie sklepami, i posiada- jącą wszelkie napowietrzne i naziemne środki lokomocyjne, zna- mionujące miasta amerykańskie. W ulicy tej w oczy mi się prze- dewszystkiem rzuciły znajdujące się w każdym prawie bloku na jednym z rogów sklepy z jarzynami i owocami! Co za salery!... Co za pietruszki!... A pomidory, a ogórki!.. Klękajcie narody! Zwróciły moją uwagę szczególnie kawony, przywiezione niby wprost z Ukrainy, z basztanu, i wywołujące we mnie wspomnienia dzieciń- stwa, młodości. Dość na nie się napatrzeć nie mogłem i, oślepiiony niemal przez te wspaniałe okazy, nie odrazu ocenić byłem w stanie wygląd owoców innych — jabłek, gruszek, brzoskwiń, bananów etc., wystawionych na sprzedaż w ilości ogromnej, stogami ca- łymi. Świadczy to o zamożności ludności, potrzebującej dla odży- wiania się przysmaków. Spostrzeżenie to moje — jakem to spr- awdził później — trafnem było; ale w połowie tylko. Zamożność ist- nieje w rzeczy samej, towarzyszy jej atoli nieumiejętność używania darów bożych. Sztuki kucharska, piekarska i cukiernicza nie stoją na tej, co w Europie, wysokości. Nie ulega wątpliwości, iż nie ustę- pują one w wyrobach kuchniom i piekarniom europejskim po domach magnatów, pozwalających sobie na zbytki, uprawiające w podziw największych w starym świecie marnotrawców, jakoteż po hote- lach prawdziwie pierwszorzędnym, jakich po parę znajduje się

(*) Wszystkie w Stanach Zjednoczonych miasta zabudowywane są w szachownice, których kwadraty nazywają się « blokami » i służą do oznaczania odległości.

w każdym amerykańskim mieście wielkiem. Ale wogóle, w tych sferach, w których niekoniecznie « żyją na to, ażeby jeść », nie tylko jadają nieosobliwie, ale przy jedzeniu posługują się nożami tak tępymi, że ani chleba, ani mięsa krajać nimi nie sposób. Jeszczeż do stopnia pewnego ująć może krajanie nożami takimi mięsa i chleba. Ale — krajanie ostryg?.. Krajanie ostryg brzytwą nawet jest — zdaje mi się — barbarzyństwem gastronomicznem, nie dopiero nożem, do tego tępym. Prawda, że gust amerykańców, ceniących wyżej ostrygi duże, niż małe, wymaga rozkrawywania, przed włożeniem do ust, tego rodzaju molusków, dochodzących rozmiarów ogromnych. Gdy, nieświadom rzeczy, chciał jeden z nienajwiększych tego rodzaju okazów przełknąć, o mało się nie udławilem.

VI.

W hotelu w Nowym-Yorku rzadkimi były momenty, w których pozostawałem bez towarzystwa spółrodaków. Wkrótce po zajęciu przezemnie numeru nadszedł w komplecie « Komitet przyjęcia »; prezes wystosował do mnie przemówienie powitalne, na które odpowiedziałem w krótkich słowach i, w przypuszczeniu, że się na tem przyjęcie kończy, poprosiłem o udzielenie mi wskazówek, dotyczących się wyjazdu do Chicago. Zamierzałem się jaknajprędzej wprost do siedziska Rządu Centralnego Związku Narodowego Polskiego dostać, celem porozumienia się z nim co do dalszych, przydatnymi być mogących, wycieczek po zbiorowiskach wychodźców polskich. Wymiarkowałem z mapy, że na połowie drogi pomiędzy Nowym-Yorkiem, a Chicago leży Buffalo, o którym wiedziałem, że jest jednym z miast amerykańskich, posiadającym ludność polską, liczącą mniej więcej głów tysięcy 60. Zatrzymanie się w Buffalo wydawało mi się rzeczą wskazaną tembardziej, że sobie sformował był projekcik obrócenia z powrotem drogi na Baltymorę i Wilmington z powodu, że w pierwszym z tych miast założoną została imienia

mego grupa Związku Narodowego Polskiego, w drugim tegoż imienia gniazdo sokole. Wracając drogą najkrótszą, na Buffalo, nie mógłbym tych, co o mnie w Baltymorze i Wilmingtonie pamiętali, odwiedzić. Opowiedziałem członkom komitetu o planie moim, wyrażając przytem życzenie wyjechania, jeżeli nie nazajutrz, to w dniu trzecim po przyjeździe najpóźniej.

— A nie!... to być nie może... — odezwał się jeden z członków komitetu.

— Czemu?... — zapytałem.

— Urządzamy przyjęcie...

— Przyjęcie?...

— Dowiedziawszy się, że przybywasz nakoniec, grupy związkowe, oraz towarzystwa wojskowe, sokolskie i inne wysadziły komitet, celem przyjęcia ciebie, panie pułkowniku, z taką, na jaką zasługujesz i na jaką zdobyć się możemy, uroczystością.

Nic na to do odpowiedzi nie miałem. Wymawiać się w razach podobnych? Wymawianie się budzi podejrzenie udawania skromności. Nie jest rzeczą miłą na takie podejrzenia się wystawiać. Przewidywałem zresztą, że przyjęcia spotkają mnie, ale nie w Nowym-Yorku, o którym pisma polsko-amerykańskie dały mi, we względzie organizacji wychodźczej, wyobrażenie nie najlepsze. Podają one liczbę przebywających w Nowym-Yorku Polaków na 30 do 40 tysięcy, ale na ogromnej rozsypanych przestrzeni i mieszkających nie w dzielnicach polskich, jak po miastach innych, ale oddzielnie — rodzinami. Że zaś każdy w rzemiośle lub w fabryce zajęty, trudno więc im, po spędzonych na pracy dniach, wieczorami zgromadzać się, bądź dla pobaraszkania w towarzystwie spółrodaków, bądź też dla naradzania się w sprawach publicznych. W ten sposób pisma usprawiedliwiają organizacyjne niedobory wychodźców polskich w Nowym-Yorku. *Zgoda* wymienia, co prawda, wchodzące do składu Związku Narodowego grupy w Nowym-Yorku, tłumaczy się to jednak łatwo tem, że podstawę Związku stanowi interes materyalny, opierający się na asekuracji życiowej, grupy przeto istnieć mogą mimo, że organizacja miejscowa kuleje. Ci, co organizacyi tej zarzuty czynią, tym się świadczą faktem, że w tej

metropolii amerykańskiej porządne pismo polskie utrzymać się nie może. Wiedząc o tem wszystkim, nie liczyłem zgola w Nowym-Yorku na « przyjęcie uroczyste ».

Przedsmak przyjęcia uczuć mi się dał w usłudze gościnnej, jaką mnie komitet, od pierwszego na grunt amerykański stąpienia, otoczył. Członkowie komitetu kolejno się przy mnie zmieniali i myśli moje niemal odgadywali. Potrzebowałem zatelegrafować do żony mojej dla uspokojenia jej, co do przejazdu przez ocean : niezwłocznie po drucie podwodnym do Zurychu pomknęła wiadomość, że zdrow i cały. Obok tego telegraf, za sprawą komitetu, zawiadomił Rząd Centralny Związku Narodowego Polskiego w Chicago, oraz syna mego o przybyciu mojem. Pomijam usługi drobniejsze, świadczone z pełną delikatnością uprzejmością, daleką od tej « szorstkości amerykańskiej », którą mnie w Europie od podróży do Ameryki odstraszyć próbowano. Czulem, że spółrodakom moim na drugiej półkuli jestem gościem miłym. Dawali mi to do poznania na każdym niemal kroku w tym zwłaszcza względzie, że gościnność ich nie była—jak to bywa niekiedy—nużąca. Obecność ich przy mnie nie zdarzała się nigdy w momentach, w których bym wolał nie mieć przy sobie nikogo. A czuwali nademną ustawicznie, odwiedzali mnie pojedynczo i po kilku, i jeden z nich, ob. Władysław Biały, wpadał od czasu do czasu, znosząc mi polskie, angielskie, niemieckie, francuskie dzienniki, tygodniki, miesięczniki, pisma ilustrowane, broszury. To mnie o tyle o ile oznajmiło od razu z prądami bieżącego życia politycznego w Stanach Zjednoczonych.

Jedne z odwiedzin w rozrzucający sposób pozostają w pamięci mojej. Przedstawił się mi siwieć już poczynający, postaci ujmującej, człowiek, który, po wymówieniu nazwiska swego, prosił mnie, ażebym nie powiadał nikomu, że o tem, co mi oznajmi, dowiedziałem się od niego. Praca, której się, obok pracy na życie, oddaje, ma na celu wyzwolenie Polski. « Wyzwolić Polskę—słowa jego—usiłowaliśmy dotychczas drogą bądź dyplomatyczną, bądź walki orężnej i usiłowania nasze doprowadzały nas stale do niepowodzeń na drodze tak tej, jak tej. Nie myśleliśmy o tem, że jest

droga pewniejsza, aniżeli wojenna lub dyplomatyczna. Możemy Polskę wykupić. »

— Za co?... — zapytałem tym tonem, jakim się odpowiada na enuncyacye podobne.

-- Oczywiście, nie za pieniądze... — odrzekł spokojnie — ale, ofiarując zaborcom Polski odpowiednie ekwiwalenty... w ziemi...

— W ziemi?...

— Tak, w ziemi... wydobytej, przy pomocy nauki, z mórz, przylegających do państw, co Polskę rozebrały...

Nie zadawałem już zapytań. Wychodźca prawil dalej :

— Słusznem jest, ażeby nauka wynagrodziła Polsce krzywdy od losów doznane... Mechanika da nam sposoby wyczerpania nadających się na ten cel mórz i przelania ich do głównych zbiorowisk wodnych; chemia dna morskie zmieni w pola urodzajne, a wątpliwości nie ulega, że znajdują się w nich bogactwa, które zaborcom stokrotnie ekonomicznie określoną wartość Polski opłaca, uwalniając ich zarazem od narodu im nieprzyjaznego...

Milczałem, i w milczeniu słuchałem wykładu zasad hydrauliki. Wykład wykazał mi w wykładającym osobistość, posiadającą znajomość przedmiotu. Ośmielilo mnie to do czynienia objekcyi, nie w celu dyskutowania z nim, lecz dla zwrócenia uwagi jego na ogrom przedsięwzięcia.

— Prawda... — odrzekł. Przedsięwzięcie jest ogromne, lecz nie niemożliwe ze względu na to, że w tym samym rodzaju rzeczy coraz to większe przedsiębiorą się i do skutku dochodzą. Nie rozmiary przeto przedsiębiorstwa na przeszkodzie stoją, ale koszta wykonania — koszta, których zmniejszenie do takiego stopnia, ażeby wykonanie możliwem się stało, jest zadaniem do rozwiązania. To właśnie zadanie jest rozmyślań i prac moich przedmiotem. O! gdyby mi się powiodło: zysk cały oddałbym na rzecz Polski... na Skarb Narodowy...

Nie pozostawało mi nic innego, tylko przyjąć do wiadomości oznajmienie przedstawionego zadania — zwłaszcza, że przedstawiciel czego innego nie wymagał odemnie. Prosił jeno o zachowanie nazwiska jego w tajemnicy. Żądaniu temu zadość nie uczynić nie

mogę, choćbym chciał: nazwisko mi z pamięci wypadło całkowicie; to jeno pamiętam, że mówiono mi o nim, jako o człowieku cichym, skromnym, pracowitym i bardzo zacnym. Dodać muszę, że z Nowego Yorku dochodziły mnie dawniej kilkakrotnie oznajmienia o wynalazkach, ofiarowywanych na rzecz Polski. Spodziewałem się kilku z wynalazcami spotkań: skończyło się na tem jednym.

W dniu — zdaje się — w którym wieczorem nastąpić miało przyjęcie publiczne, jeden z członków komitetu przedstawił mi pięciu obywateli, przybyłych ze Scrantonu w charakterze delegacji, wysadzonej przez tameczne grupy związkowe i wysłanej do Nowego Yorku, celem zaproszenia mnie do przebywającej w mieście tem Polonii. Delegacja, której przewodniczył młody człowiek, Stanisław Dangel, wręczyła mi adres, brzmiący jak następuje:

*« Do Czcigodnego i pełnego zastug wobec Narodu i Ojczyzny naszej
pułkownika Zygmunta Miłkowskiego.*

« Szanowny Panie!

Korzystając z okazji pobytu Jego na ziemi amerykańskiej, My Polacy zamieszkali w osadach polskich Scranton, Priceburg, Duryca i okolicy, zorganizowani w poniżej zaznaczone Towarzystwa, niniejszem upraszamy Go o zawitanie i do naszej kolonii.

« Nie czeka tylko chęć zobaczenia oblicza zasłużonego Męża nami kieruje, ale pewność, że wizyta Jego wśród nas pokrzepi nasze narodowe uczucia, pobudzi do większej miłości Ojczyzny i utrwali nas w zamiłowaniu tego co polskie, co nasze, co własne.

« I dla tego mamy nadzieję, że zaproszenie to do odwiedzenia nas i wzajemnego poznania się zostanie tak przez Niego serdecznie przyjętem, jak serdecznie i prawdziwie wyłoniło się ono z serc skrantońskiego polskiego ludu.

« Scranton, Pensylwania, 28 Sierpnia 1900 r.

« Komitet wybrany z łona niżej podpisanych Towarzystw:

« Stanisław Dangel, Ed. Paszkowski, A. E. Rakoczy, Jan Mondrach. »

Delegacje wysłały: Grupa Związku Narodowego Polskiego 105, Grupa 379, Grupa 295, Towarzystwo Rękodzielników Polskich, Towarzystwo św. Stanisława Biskupa i Męczennika, Kółko patriotyczne, Towarzystwo imienia Moniuszki, Grupa 187, Grupa 483, Towarzystwo « Obrona Ludu ».

Powtórzyłem dosłownie adres i wymieniłem Towarzystwa, które delegację wysłały, dla scharakteryzowania odrazu ruchu wśród wychodźstwa polskiego w Ameryce, jaki pojawienie się moje wywołało. Nie wiedziałem o istnieniu miasta pod nazwą Scranton; o istnieniu mojego miasta owe wiedziało. Było to dla mnie niespodzianką i wskazówką zarazem; żaden powód nie sprzeciwiał się przyjęciu zaproszenia na zatrzymanie się w miejscowości, leżącej na najkrótszej z Nowego-Yorku do Chicago drodze.

Byłbym jednak zaproszenia nie przyjął, gdyby wcześniej, niż przybycie delegacji, nadszedł był od prezesa Rządu Centralnego Związku Narodowego Polskiego telegram, wzywający mnie z naciskiem, ażebym prosto jechał do Chicago, nie zatrzymując się nigdzie, chyba ewentualnie w Buffalo. Telegram ów nadszedł za późno. Nie mogłem cofnąć przyrzeczenia, o którym już w Scrantonie wiadano. Z wyjaśnieniem tego obrótu napisałem do ob. F. H. Jabłońskiego i szykowałem się do wystąpienia na przyjęciu w Nowym-Yorku, o które się cokolwiek potargować musialem.

Targ odnosił się do sposobu, w jaki się miałem z hotelu do hali dostać. Komitet zamierzał zawieźć mnie pod eskortą wojskową, z muzyką, w towarzystwie rzesz. Wypraszałem się od tej parady raz dla tego, że przejazd w powozie z portu do hotelu dał mi się srodze we znaki, powtóre dla tego, że w ogóle owacy unikam z powodu czynionego przez nie na mnie tego wrażenia, jakobym tryumfy dla siebie uzurpował. Pochodzi to stąd zapewne, że rażą one demokratyczne uczucia moje, przywołując na myśl tryumfy rzymskie, za pomocą których Maryusze i Sullowie przysposobili Cezarów, oraz przypominając czynione cesarzom, królom i różnym dygnitarzom manifestacyjne owacy, urządane dla nich na podstawie reguły psychologicznej: *populus vult decipi*. Popęd do oszukiwania nie tkwi snadź w naturze mojej. Wypraszałem się przeto, i wyprosiłem. We względzie tym pomogło mi niewielkie, o kilka bloków (*), hali owej oddalenie. W towarzystwie przeto

(*) Miasta amerykańskie, zabudowane w szachownicę, dzielą się na równe równoległoboki, zwane «blokami». Bloki służą do oznaczania odległości.

komitetu, na miejsce zebrania udałem się, jak pragnąłem: piechotą.

Od owacy się jednak nie wykręciłem. Jak skoro w ulicę, przy której się hala znajdowała, wszedłem, uderzyło mnie najprzód szerokie w punkcie jednym oświetlenie, zlewające się na gęsty tłum ludzi; następnie, gdym się do tłumu zbliżył, rzucił się mi w oczy, uszykowany w poprzek chodnika i otwierający przejście swobodne, szpaler wojskowy. Moje w szpaler ów wkroczenie dało hasło do wygłoszenia z akcentem komendy:

— Prezentuj... broń!...

Tego w języku polskim okrzyku od r. 1863 nie słyszałem.

Karabiny brzęknęły. Odsalutowałem.

Wzruszyło mnie to nie w takim atoli stopniu, jak gdy mi, u wniścia do hali, drogę dziewczynki w bieli z koszykami w rękę zastąpiły i, poprzedzając mnie, pod nogi moje kwiaty sypały.

Te kwiaty, te dziewczynki pozbawiły mnie na chwilę przytomności umysłu.

— Co to jest?... co to znaczy?... skąd to się wziąć mogło?...

— zanurtowały mi w duszy szybko spychające jedno drugie pytania.

Te kwiaty!... te kwiaty!?...

Takiego doznawałem uczucia, jakobym się dopuścił świętokradztwa.

Deptanie po kwiatkach bardzo, co najmniej, dziwnem wydać się musiało mnie, do chodzenia po cierniach nawykłemu.

Z upojenia tego otrzeźwiła mnie muzyka — nuta hymnu naszego narodowego, przy którego akordach wstąpiłem na estradę. Ukazanie się moje na estradzie wywołało w dużej, szczelnie ciżbą napętnionej sali długo trwające oklaski i okrzyki. Ale już był opanował sam siebie; odzyskałem zamąconą przed chwilą umysłu przytomność i w dalszym ciągu mogłem z całą swobodą stosować się do przepisów programu obchodowego.

Obchodowi przewodniczył zacny, przez wychodźstwo nasze w Nowym-Yorku szanowany, Stanisław Nawrocki. Zagaił on uroczystość, określając jej cel i powołując na estradę: weteranów walk narodowych, prezesów lub sekretarzy grup związkowych

i towarzystw, oraz komendantów oddziałów wojskowych — weteranów dla zajęcia miejsc obok mnie, innych dla złożenia mi raportów. Zabrało to czasu sporo, a byłoby zabrało jeszcze więcej, gdyby raportów część znaczna nie wyraziła się przez wręczenie mi krótkich na piśmie sprawozdań, z czego to wynikało, że sprawozdania ustne z pamięci mi wypadły, piśmienne zaś zachowałem i przechowałem dla wnuków moich na pamiątkę.

Raporty na piśmie złożyły mi Grupy Związkowe: 30, 43, 44, 51, 234, 260, 282, 333, 415, oddziały wojskowe: Wolnych Polskich Krakusów i Polskich Strzelców, Towarzystwo śpiewu, Sokół Polski, Towarzystwo Młodzieży (św. Alojzego), Towarzystwo Bratniej Pomocy, Towarzystwo Wzajemnej Pomocy i Patriotyczne Towarzystwo Cór Korony Polskiej. Niektórym raportom towarzyszyły upominki w postaci wieńców i bukietów.

Po zakończeniu tej części programu nastąpiły mowy. Zapoczątkował je prezes literacko-patryotyczno-politycznym o mnie wykładem. Po prezesie głos zabrał Podkomisarz Skarbu Narodowego, następnie ktoś jeszcze; ostatni przemówił ob. Białecki w sposób, świadczący, że zdolności krasomówcze nie wygasły w łonie społeczeństwa polskiego. Mowę jego, skończenie co do treści i co do formy znakomitą, zdobił głos pełny do spółki z umiejętnie do treści stosowaną deklamacją. Co to za jeden? — pytałem. « Robotnik przy asfaltowaniu ulic i chodników miejskich; pochodzi z Galicyi; skończył podobno seminarium nauczycielskie dla szkółek ludowych » — odpowiedziano mi na pytania. Eh!... mówca taki!... jakże by się on przydał na gruncie galicyjskim dla oślania ludu od zgubnych, zarówno dla ludowej jak dla polskiej sprawy, z góry, z boków i ze spodu wpływów!

Mówiłem i ja — i oklaskiwano mnie dla tego zapewne, co o mnie inni naopowiadali.

VII.

Przyjechawszy do Ameryki nie w charakterze turysty, ani w żadnym innym, na dowolne czasem rozporządzenie pozwalającym, nawiedzonym przytem zostawszy przez taką, jak lombago, fizycznie, a po części i moralnie, człowieka obezwładniającą dolegliwość, nie zwiedzałem osobliwości nowojorskich. Z zewnątrz zaledwie oglądając zdołałem rzeczy parę. O sławnym moście wspomniałem poprzednio. Tak samo widziałem filantropijne i edukacyjne Coopera zakłady. Dłużej nieco przy jednym tylko zatrzymać się mogłem okazie: przy wspaniałej bramie tryumfalnej, którą owiewa niejako cicha, tęskna nuta złożonej z czterech wyrazów, a przerobionej z przysłowia łacińskiego pieśni:

Sic transit gloria mundi.

Jest to architektonicznej i rzeźbiarskiej kompozycji arcydzieło, idące w ruinę. A miało pozostać trwale, jak *Arc de Triomphe* w Paryżu, sławiąc wobec pokoleń przyszłych czyn bohaterski admirała, co zuchwale na czele dowodzonej przezeń eskadry wkroczył do bronionego przez baterie lądowe i przez flotę portu stolicy wysp Filipińskich. Czyn ten wzbudził ogromny i powszechny w Stanach Zjednoczonych zachwyt. Waleczny admirał odrazu na narodowego urosł bohatera. Myślano o nim, mówiono, układano plany wynagrodzenia go odpowiednio do sławy, jaką okrył Unię Północno-Amerykańską; stronnictwa zawczasu upatrywały w nim prezydenta Stanów Zjednoczonych. To ostatnie nastąpić miało później—później—po upływie czteroletniej Mac-Kinleya na stanowisku prezydyalnem służby. Tymczasem zaś?... Tymczasem coś po amerykańsku—miliardowo—zrobić trzeba było.

I zrobiono.

Na cześć powracającego do ojczyzny bohatera przysposobiono przyjęcie tryumfalne. Pomijam opowiedziane mi przez ob. S. Nawrockiego szczegóły niektóre. Niektóre tylko, na opowiadanie bowiem wszystkiego czasu brakło. Tryumfów wspanialszych nie

zaznał zapewne żaden z konsulów, dyktatorów i imperatorów staro-rzymskich. Węzłowisko tryumfu stanowiła, kolumnami oskrzydłona, brama pomnikowa, ulepiona na prędcie z gliny i gipsu, utwierdzonych na rusztowaniach drewnianych. Pokost odpowiednio zastosowany nadał powierzchniom budowlanym, ozdobom architektonicznym, wypukłościom, posągom pozór: tym kamienia zwykłego, owym granitu, innym marmuru, innym znów bronzu. Postanowionem było, ażeby pozór ten zmienił się następnie w rzeczywistość, pomnik ów utrwalającą na przyszłość bezgraniczną. Rzeczywistość zaś wyraziła się tymczasowo pod postacią upominku. Wódz zwycięski otrzymał w darze dom piękny.

Dar ten stał się powodem upadku wziętości admirała, świadcząc, że nigdzie Skala Tarpejska bliżej Kapitolu, jak w Stanach Zjednoczonych, nie sterczy.

Admirał, wzorem śmiertelnika zwykłego, ożenił się. Pojął za żonę wdowę, matkę syna jedyne, i tej się dopuścił nieostrożności, że w podarunku ślubnym ofiarował jej dom, upominek narodowy. Możeby to uszło było, gdyby pani admirałowa nie zapisała domu tego na imię syna. Zapis ów, z dziś na jutro, męża jej w opinii publicznej zgubił—zgubił z kretezem. Kandydatura jego odrazu, bez dyskusji, upadła. Nie piszą o nim, nie mówią, nie myślą. Imię jego idzie w zapomnienie; z przywiązaniem zaś do imienia pomnikiem czas czyni, co mu się podoba: deszcze pokost zmywają, od słońca pęka glina, kruszy się gips, opadają warstwy nalepu, z po za którego tu i ówdzie pokazuje się wiązanie, niby gnijącego trupa koście.

I... *gloria transit.*

— Czemuż tej lepianki wspaniałej nie rozbiorą?...—zapytałem.

— Przez oszczędność...—usłyszałem odpowiedź.

— Przez oszczędność?...

— Osobno by kosztowało rozebranie, osobno wywózka gruzów, dla uniknięcia przeto kosztów podwójnych czekają, aż się to wszystko samo osypie i rozwali...

Widocznie admirał ów — ów wódz bohaterski, ów tryumfator — nie jest człowiekiem próżnym. Człowiek próżny po takim sławy

przełomie albo by sobie w łeb strzelił, albo by przy życiu z pomieszanymi pozostał zmysłami. Może takiemu końcowi smutnemu żona zapobiegła. Zdarzają się żony, co próżność mężów rozdmuchują ; zdarzają się takie, co tę chorobę leczyć umieją. W długim życiu mojem spotykałem takie i owakie.

No...

I moja — w rozmiarach odpowiednich — próżność na próbę wystawioną została. Te pod nogi sypane kwiaty !?... Ah!.. Spokoju mi one nie dawały. Na szczęście spotkało mnie to w starości, w późnej starości, nie pozwalającej już na budowanie sobie przyśłości na... kwiatkach.

Najbliższa tymczasem przyszłość ukazywała się mi w Scrantonie (czytaj: Skrenton), dokąd, odprowadzony na dworzec kolejowy przez członków komitetu, odjechałem w towarzystwie ob. Paszkowskiego, jednego z delegatów.

W Ameryce, w Stanach Zjednoczonych, i dworce i koleje inaczej, niż w Europie, wyglądają. Na dworce nie wysiła się sztuka budownicza ; na zewnątrz, ani wewnątrz niczem się one nie odznaczają osobliwem. Przedewszystkiem, nie masz w nich podziału na klasy. Podróźni rodzaju i pochodzenia wszelakiego gromadzą się w jednej obszernej, olbrzymiego podsienia pozór mającej, hali, zaopatrzonej w ławki drewniane i w podłużne po pod ścianami lady, służące do sprzedawania — jedne dzienników, czasopism, książek, drugie owoców, przysmaków, wiktualów. Sprzedają się i trunki, ale nie wszędzie : w niektórych stanach gorzalka, wino, piwo są owocem zakazanym. Za to wszędzie prawie dostanie świeżej, smacznej wody, której każdy utoczyć sobie może z kurka od studni, znajdującej się w poczekalni. W poczekalniach na dworcach przejezdnych, na których się odbywają zmiany pociągów, dostać można nocną porą kawy i herbaty gorącej, ale dają je oddzielnie kobietom, oddzielnie mężczyznom. Kobiety siadają przy stolikach osobnych, na krzeselkach zwyczajnych ; mężczyźni lokować się muszą po jednej stronie szeregami, na stołkach wysokich, przy stołach długich, a wąskich. Nie mogłem się dopytać, czemu się tak dzieje. Na zapytania, Polacy i Amerykanie odpowia-

dają: «Taki zwyczaj». Odpowiedź ta jest pochodzenia angielskiego.

Jak w poczekalniach, tak w wagonach podziału na klasy nie ma. Na liniach niektórych znajdują się tak zwane *palace-care* (wozy pałace), nie różniące się od wagonów ogólnych czem innym, jeno ozdobami. Zresztą wszystko, co się wygody tyczy, urządzonem jest jednakowo. Po dwóch stronach środkowego w bardzo długich wagonach przechodu ciągną się przedziały z fotelowemi na sprężynach, w każdym po cztery, siedzeniami. Materacowane podłokcie i na grzbiety oparcia najzupełniejszemu czynią zadość komfortowi, któremu służy oraz wewnętrzne kształtowanie pudeł wagonowych, o zwężających się ku górze dachach, zaopatrzonych w otwory wentylacyjne, nadające się do utrzymania latem i zimą temperatury umiarkowanej. Do komfortu przyczyniają się sypialnie, odosobnione fajczarnie, toaletowe kryjówki, jadalnie, jakoteż usługa, złożona z garsonów, po większej części murzynów, roznoszących z niewielkimi przerwami gazety, pisma ilustrowane, owoce, przysmaki, napoje chłodzące. Wszystkie, słowem, potrzeby podróżnika są na kolejach amerykańskich przewidziane i zaspokojenie znajdują. Za udogodnienia te atoli suto płacić trzeba. Jazda kolejami w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej drogo kosztuje. Koszta wszelako wynagradzają sownie tak te dogodności, o których wyżej, jakoteż staranna i doskonała dróg budowa, to sprawiająca, że pociągi chodzą szybko i lekko. Koła, niby na powietrzu nadętych gumach, toczą się po szynach bez wstrząśnień, ni rzutów. Podróżni jazdy nie odczuwają zgoła.

W stanie zdrowia, w jakim się znajdowałem, lekkość jazdy była jakby dla mnie zamówiona umyślnie. Bez bólów i bez znużenia dojechałem do Scrantonu, gdzie na dworcu spotkałem czekających na przyjazd mój spółziomków. Przed dworcem pojazdy. Widok pojazdów strachem mnie przejął; próbowałem wyprosić się, nie było jednak rady: za wielką pomiędzy dworcem kolejowym, a wybranym dla mnie hotelem odległość nie pozwalała na przechadzkę piechotą. Wytrzymać więc musiałem jazdę kilkukilometrową w kafećce, poprzedzającej karet kilka, wiozących spółrodaków, co na moje wyszli spotkanie.

Jaknajserdecniejsza i jaknajbardziej uprzejma gościność nieodmiennie mnie za każdym ze spółrodakami moimi zejściem się spotykała. Nie ominęła mnie ona w Scrantonie, mieście, które, dzięki odkryciu w górach Pensylwanii pokładów węgla i żelaza, z dzień na jutro, niby grzyb po deszczu, wyrosło. Świeżość powstania osady w oczy się rzuca. Śródmieście, zdobne w duże murowane, okazałe budowle, zajmuje przestrzeń niewielką w porównaniu z otaczającymi je przyległościami, porzniętymi w szachownicę ulicami, ciągnącymi się daleko—daleko. Bliżej miasta, po obydwóch stronach ulic, wznoszą się oddzielnie stojące domy mieszkalne, gustownie wyglądające. Pokazywano mi biskupi, czy arcybiskupi pałac, wcale szykowny, maniaczny, mający pozór ciężkiej z kamienia szarego budowli. Bliższe przypatrzenie się wykazuje materiał drewniany. Ściany zewnętrzne składają się z desek w zamieć, którym sztucznie nadaje się wygląd kamienny, ceglany lub wyprawy mularskiej. Wszystkie, z wyjątkami rzadkimi, domy zamiejskie są drewniane, zwłaszcza w dzielnicach robotniczych.

W Scrantonie po raz pierwszy natknąłem się na dzielnicę wyłączonej przez polskich zamieszkaną wychodźców. Powiół mnie do niej ob. S. Dangieli, redaktor wychodzącego tam tygodnika p. t. *Straż*. Pojechaliśmy tramwajem elektrycznym, zwanym «*karą*» przez ludność polską (po angielsku *car* — wóz). Jazda ową *karą* wyszła dla mnie na istną karę bożą — tak strzęsiony i skolatany zostałem. Tramwaje w Ameryce jeżdżą z szybkością niezrównaną. Idzie to gładko po szynach gładko ułożonych. W Scrantonie na przedmieściach koleje przechodzą po ulicach nie brukowanych i zgoła nie urządzonych, przebiegając przestrzenie kilkukilometrowe po nad przepaścistymi wertepami, przez mosty, które zdala oglądane wydają się, jakby z prętów związane były. Drży to, i skrzypi, i hu-czy, i pędzi, pędzi na karku złamanie.

Karki w Ameryce — jak opisy głoszą — ludzie częściej, niż gdzieindziej łamią. Mnie wypadek ten nie spotkał. W całości z wozu tramwajowego wysiadłem w kurzawę, leżącą na ulicy grubą warstwą. Brnąc w kurzawie po kostki, doszliśmy do celu wycieczki naszej, którym była przy nowo zbudowanym kościele nowo zbudowana szkółka parafialna.

Szkoły, szkółki polskie w Ameryce żywo mnie i mocno interesowały. Była to pierwsza, którą zwiedzić mogłem. Trafiłem na dni kilka przed końcem wakacji, tym razem przeto nie danem mi było oglądanie dzieci i przysłuchanie się nauczaniu. Oprowadzali mnie nauczyciele, mówilem z nimi, — opowiadali mi oni o metodzie, o dzieciach i ich pilności, pokazywali książki, kajety. Wszystko, com słyszał i widział, przejmowało mnie zadowoleniem i wdzięcznością dla ludzi, oddających się pracy tak zaszczytnej, a tak zmudnej i zawsze prawie niewdzięcznej.

Szkołą dyryguje proboszcz miejscowy, ksiądz Hodur.

Z nazwiskiem księdza Hodura, oraz z jego polemicznymi artykułami i literackimi pracami spotykałem się nierzadko w pismach polsko-amerykańskich. Wedle tych piśmienniczych sądząc objawów, wydał się mi on człowiekiem zdolnym i śmiałym, luboć nie koniecznie zachwycała mnie jego w utworach literackich maniera. Zabranie z nim znajomości osobistej ani trochę nie obniżyło powziętej o nim uprzednio na niewidziane opinii. Człowiek młody, wykształcony, w literaturze polskiej rozmiłowany i czytany, z historią ojczystą oznajomiony, patriota polski i demokratą z uczucia i z przekonania, jaknajlepsze na mnie wywarł wrażenie. Nauki pobierał w Krakowie; z pochodzenia jest włościaninem.

Należąc do rodzaju śmiertelników, nie cieszących się zbyt częstą duchowieństwa łaską, próg probostwa w Scrantonie przestępowałem bez ochoty szczególnej. Po upływie jednak godzinki czasu w towarzystwie szanownego proboszcza ochota moja w mocno dodatnim zmieniła się kierunku. Na rozmowie zajmującej i pouczającej szybko mknęły chwile.

Ksiądz Hodur zajmuje wydatne w kościele wojującym stanowisko.

Niedorzecznością się komu wydać może użyta przezemnie nazwa kościoła *wojującego*. Dzięki zupełnej wyznań religijnych swobodzie, na wojowniczość kościelną, z wyjątkiem chyba Mormonów jednych, w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej miejsca niema. Znalazło się jednak miejsce w kościele katolickim. Czego ludzie przy dobrej nie dokażą woli?...

W materji tej obszerniej nieco rozpisać się winienem. Zrobię to później, po zakończeniu opowiadania o pobycie w Scrantonie, upamiętnionym wzruszeniami, jakich kilka sprawiło mi przyjęcie publiczne. W Nowym-Yorku na miejsce zborne udałem się piechotą w towarzystwie członków komitetu. Tu przez miasto całe w paradnym jechałem powozie w otoczeniu gromady ogromnej, idącej w większej części pieszo, w mniejszej — towarzyszącej mi konno. Przed halą i w hali oczekiwały na nas tłumy. Przy wejściu nie sypano mi kwiatów pod nogi, zresztą program obchodu nie różnił się od programu nowojorskiego. Głos zabierało mówców kilku. Śród mów wygłoszonych uderzył mnie w mowie księdza Hodura ustęp, w którym symbolicznie, a mistycznie objaśniał nieznanne mi zgoła, ani przeczuwane przezemnie, pseudonimu mego literackiego znaczenie. Pomędzy innymi głos zabierał po angielsku i major miasta (burmistrz).

Przyjęcie publiczne zajęło czasu sporo—godzin trzy, może więcej, przy nastroju publiczności podniosłym wobec gościa, zalecającego się tem szczególnie, że z orężem w rękę za Polskę walczył, a był oraz wysłańcem organizacyi dla Polski pracujących.

Ponieważ o pierwszej, czy drugiej po północy Scranton opuścić miałem, więc wszyscy prawie, co estradę zajmowali, i innych kilku zeszli się wieczorem w hotelu. Razem do zimnej zasiedliśmy wieczery. Za stołem znalazło się dziesięciu mniej więcej księży, śród nich Rusin-Unita, wszystko młodzi, z wyjątkiem milczącego jednego siwizną okrytego staruszka. Rozprawiano, toastowano. Burmistrz wniósł: « Na niepodległość Polski ! » Dr. Szlupas rzecz o sprawie litewskiej zagaił. W materji tej dkusya się zawiązała i byłaby się rozwinęła, gdyby zbliżająca się godzina odejścia pociągu nie powołała mnie do rozstania się z ludźmi serdecznymi, z którymi się w życiu więcej nigdy już nie spotkam zapewne.

Pożegnaliśmy się.

Gdym z hotelu wychodził, spotkałem przy drzwiach księdza starca, który mnie za rękę pochwycił i w milczeniu, płacząc, długi, gorący, złożył na niej pocalunek. Głęboko to mnie wzruszyło i rozrzewniło, — rozrzewnienia wyrazić nie mogłem inaczej, jak tylko pośpiesznem księdza w głowę pocalowaniem.

W pociągu, od towarzyszącego mi w podróży ob. Dangla dowiedziałem się, że ksiądz, co mnie w taki pożegnał sposób, nazywa się Klawiter i jest proboszczem parafii niezależnej.

VIII.

Dla wytlómaczenia zjawiska, znanego pod nazwą *Kościół niezależnego*, zjawiska, zaszłego wśród wychodźstwa polskiego w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej, przypomnę jedno zdarzenie historyczne.

«W wieku, o którym już nikt nie pamięta», pierwotnym kantonem szwajcarskim, Zug, Schwytz, Uri, Unterwalden, przyszło do głowy zaprowadzić u siebie wybieranie proboszczów przez gminy. Wybieranie takie sprzeciwia się prawu kanonicznemu, oparli się więc temu zrazu biskupi — perswadowali, wreszcie klątwy cisnęli. Klątwy biskupie bez wrażenia przeminęły. Sprawa się o Stolicę apostolską oparła i wywołała klątwę Ojca świętego. Ta upamiętać była powinna Zużanów, Schwytzanów, Uriszanów, Unterwaldzianów, odznaczających się w świecie katolickim głęboką, twardą wiarą i wśród najgorętszych najgorętszą gorliwością religijną. To też obowiązki religijne tak względem dusz własnych, jak względem kościoła skrupulatnie pełnili, Ojcu świętemu do kontyngensu gwardyi papieskiej najlepszych i najwierniejszych dostawali żołnierzy, ale... proboszczów wybierali. Klątwa na nich ciężła, — oni swoje robili. Tak upływały wieki — wieki. Do stosunku, jaki się stąd wywiązał, przyzwyczaiły się strony jedna i druga, i klątwa klątwą pozostała, a gorliwi w pierwotnych kantonach szwajcarskich katolicy nie przestali być katolikami gorliwymi, pełnić skrupulatnie obowiązki religijne i dawać Ojcu świętemu do gwardyi najlepszych, najwierniejszych bojowników...

W położeniu bardzo podobnem znalazł się *kościół niezależny* w łonie wychodźstwa polskiego w Stanach Zjednoczonych. Kościół tego wyznawcy wierzą we wszystko, co kościół święty do wierzenia

podaje, wiare praktykują ściśle i skrupulatnie i Ojca świętego, papieża, za głowę kościoła uznają, licząc na to, że od niego, gdy zostanie *bene informatus*, wyjdzie rozstrzygnięcie sprawy, tłumaczącej się zatargiem pomiędzy polskim ludem katolickim, a biskupami irlandzkiej lub niemieckiej narodowości.

Zatarg ów sprowadził oderwanie się pewnej liczby parafii polskich nie od kościoła, ale od biskupów.

Skąd się on wziął?

W Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej istnieje całkowity i absolutny pomiędzy państwem, a kościołem — raczej kościołami — rozdział. Do spraw religijnych władza państwowa nie wtrąca się zgoła, nie zna hierarchii kościelnych i w stosunkach pasterzy do owieczek, oraz odwrotnie, obchodzą ją jedynie sprawy porządkowe z zakresu policyjnego, jakoteż przepisy kodeksów cywilnego i kryminalnego. Ramię świeckie interweniuje nie inaczej, tylko wyłącznie w wypadkach, gdy z tej lub z owej strony następuje pogwałcenie tych ostatnich. Stąd wynika, że kościoły, stosując się do praw świeckich, własnym utrzymywać się muszą sumptem, zapewniając sobie dochody, o które, w razie danym, lojalnie upominać by się mogły. Na drodze tej zapewnienie opiera się na obustronnej, dobrowolnej, prawnej umowie, zobowiązującej zarówno osobistości pojedyncze, jakoteż stowarzyszenia.

Na podstawie tej, nie pobierając w subsydyach jednego ze strony państwa centa, bez żadnych religijną specjalnie cechą zaznaczonych ze strony wiernych zobowiązań, na pierwotnie purytańskim północno-amerykańskim gruncie osiadł, istnieje, trzyma się, prosperuje i w siły wzrasta kościół katolicki. Kontyngensów dostarczają mu biedą na grunt ów wpędzane wychodźtwa: irlandzkie (najdawniejsze), niemieckie, włoskie, a od szóstego mniej więcej w wieku XIX lat dziesiątka, węgierskie, czeskie, słowackie i, wśród tych ostatnich najliczniejsze, polsko-litewsko-rusińskie.

Istnieje on (o kościele katolickim mowa), trzyma się, prosperuje i w siły wzrasta, zaopatrywany w potrzebne do istnienia środki — pieniężne, rozumie się — przez owieczki. A sutem być zaopatrywanie to musi. Świadczą o tem gmachy, przeznaczone na modlitwy

dla wiernych i na mieszkania dla dostojników kościelnych. Wspólnałość i przepych oczy zrywają.

Idą na to ofiarnością nacechowane zobowiązania, uzyskiwane w sposób, o którym wiedzieć warto.

Nie mówię o wychodźtwach innych, tylko o naszym — o pierwocinach jego.

Przybywają skądś z Polski, od nędzy, od narodowych i religijnych prześladowań uchodząc, ludziska, przebywają pierwsze trudne w obcym świecie, wśród ludzi, z którymi się rozmówić nie sposób, momenty i, dobiwszy się w jednej z gromad, co się w miejscowości pewnej zeszyły, do jakiego-takiego dobrobytu, najpierwszą myślą pobożną zwracają się do Stwórcy, któremu za dobrobyt dziękować, którego chwalić nie mają gdzie. Natrafili wprawdzie na angielskie, niemieckie, włoskie kościoły katolickie, ale — co im po nich!... Z wyjątkiem odmawiania zapamiętanego ze Starego Kraju paciera, żadnych innych obowiązków religijnych pełnić nie mogą. Szło tak póty, aż trafili się tłumacze, którzy pomiędzy władzą kościelną a nimi zapośredniczyli. Przez tłumaczy dowiedzieli się, że mieć mogą nie tylko księdza Polaka, ale i kościół polski, jeżeli zorganizują parafię, która zobowiąże się spłacać częściowo przez lat tyle a tyle dług, zaciągnięty przez biskupa dla nich na zakupno gruntu i wzniesienie na nim świątyni pańskiej, na zaopatrzenie tej świątyni w utensylia potrzebne i zapewnienie proboszczowi utrzymania odpowiedniego.

Warunki takie dobrodziejstwem wydały się wychodźcom. Przyjęli je z zaprawną zachwytem wdzięcznością. Niezwłocznie zorganizowali, na wzór i podobieństwo spółki z poręką wzajemną, parafię, i, za pośrednictwem wybranego przez nią, a upewnionego komitetu, podpisali kontrakt, mocą którego parafia zobowiązywała się spłacać dług, zaciągnięty na zakupno gruntów i wzniesienie na nich budynków... na imię nb. biskupa. Kontrakt czynił wychodźców w parafię związanych — dłużnikami, biskupa — właścicielem-wierzycielem.

Tak się organizowały parafie i budowały kościoły polskie w Stanach Zjednoczonych.

Parafianie nie wiedzieli, że właścicielami nie są. Wybierane przez nich, pod kierownictwem duchownych, komitety, wnosząc do rąk proboszczów raty długu, uważały się za upoważnione do domagania się u księży kalkulacji, celem obliczeń amortyzacyjnych. Domagania się te, zbywane dobrotliwie, usposobiły sporo parafii do zaniechiwania «naprzykrzania się» człowiekowi, wzbudzającemu, z racyi stanowiska przezeń zajmowanego, nieograniczone w duszy ludu polskiego zaufanie. «Ksiądz dobrodziej powiedział, że wszystko w porządku, to... i dobrze». Dotychczas jeszcze wychodzący polscy grosze uciulany składają jedni w bankach na procenty, drudzy u proboszczów. Tych ostatnich ilość dużo jest większą, niż pierwszych, nie mało zaś z nich procentów nie liczy i rewersów nie bierze.

— Wystawię ci kwit. . .

— Ej... na co?... Niech tam ojciec wielebny w księżce u siebie zapisze.

Dobrodusznosc chłopa naszego, w połączeniu z nieznanością interesów, ułatwiała ogromnie ułożenie stosunku wychodźstwa polskiego do wyższego kleru katolickiego z całkowitą dla tego ostatniego korzyścią. Stosunek ten ułożyłby się był zapewne w sposób taki na długo, na zawsze może, gdyby z Europy przybywali byli księża polscy we względzie konduity jeżeli nie wzorowi, to przynajmniej ostrożni. Na ostrożnych nie brakło, a i wzorowi się trafiali, — o ś. p. księdza Moczygęby prowadzeniu się moralnem jaknajchlubniejsze pozostały wspomnienia. Może nawet jedni i drudzy stanowili większość. Większość ta atoli, jeżeli istniała, nie była w możności maskowania mniejszości, nie umiejącej się powściągać w odniesieniu do możliwości korzystania ze swobody amerykańskiej.

Zauważyć należy, że takie jak w Europie, w Ameryce Północnej trzymanie kleru w karbach wstrzemięzliwości obyczajowej fatalnie by się na katolicyzm odbiło. W krainie, w której karyery wszelakie szeroko otworem dla ludzi młodych stoją, komu by się tam chciało oblekać sukienkę, która by noszącego ją pozbawiać miała używalności uciech rozlicznych, takich i innych? Potrzeba utrzymania kościoła katolickiego w Ameryce wymaga zezwolenia księżom na

żenienie się, czyniąc we względzie tym dla nich obecnie to, co się dawniej dla Unitów uczyniło. Kwestya ta jest na gruncie amerykańskim kwestyą czasu. Na oczekaniu rozstrzyga się ona za pomocą patrzenia przez palce na łamanie przez duchowieństwo niektórych zobowiązań stanu.

Łamanie otwarte wydało się polskiemu prostactwu wychodzącemu cynizmem zbrodniczym i stało się najpierwszym powodem postawienia się onego okóniem wobec duszpasterzy. Naiwne parafie niektóre zwracały się do biskupów, oskarżając proboszczów o trzymanie za młodych i za zbyt wobec owieczek despotycznych « gospodyń ». Biskupi delegatów parafialnych zbywali niczem, jeden zaś z nich — jak mi mówiono — skarżącym odpowiedział: « Czy myślicie, że księdzu w żyłach inna, aniżeli u was płynie krew? » Albowiem i biskupi amerykańscy na « gospodynie » pozwalają sobie.

« Od rzemyczka do koziczka, od koziczka do koniczka » — głosi przysłowie. Zaczęło się od pretensyi o gospodynie, doszło do upominania się o prawa własności. Parafie, co ze swoim duszpasterzem o folgowanie sobie w kilku grzechach głównych zadarły, nie poprzestawały na dawanych im przez biskupów odprawach. Znalazły się rady postronne, które im animuszu dodawały. Obok kościelnych i przez duchowieństwo zakładanych organizacyi, stanęła w r. 1873 organizacya świecka pod nazwą Związku Narodowego Polskiego. Wkrótce po założeniu Związku tego kościół nie za żadne od wiary odstępstwo, ale za to, że się z pod zależności księżej wyłamał, wojnę mu wydał. Malkontenci parafialni w Związku, jeżeli nie poparcie, to zachętę do « upominania się o swoje » znajdowali.

« Wy placicie, waszą przeto własnością są grunta, kościoły, probostwa i wszystko, co na tych gruntach, w tych kościołach i probostwach się znajduje... »

Zachodzi w tem pomiędzy prawem, a sprawiedliwością rozterka, której wychodźcy nie rozumieli. Sądząc się w prawie, zwrócili się natarczywie do proboszczów o rachunki. Z tych jedni wyperswadować im potrafili, że są oni (proboszcze) nie czem innem, jeno agentami stolic biskupich, obowiązany rachunki składać bisku-

pom, nie zaś parafianom, obowiązanych ze swojej strony płacić i milczeć, jeżeli chcą z kościołów i posług religijnych korzystać. Perswazy, przyzwocie i z umiarkowaniem wygłoszone, trafiały do przekonania większości wiernych. Nie wszyscy jednak proboszcze na przyzwoitość i umiarkowanie się zdobywali. Niektórzy delegatom parafialnym wymyślali od osłów, głupców, chłopów, bydła, wytrącali ich kolanem w udo z probostwa, gromili przeciwko nim z ambon, grozili klątwami, tym zaś, co do Związku należeli, odmawiali pogrzebów, ślubów, spowiedzi, chrzczenia dzieci i t. p. dobrodziejstw. Na punktach niektórych zapaliła się wojna nie na żarty.

W Detroit, gdzie po stronie parafian stanął ksiądz—Kolaszewski czy Kolasieński (*)—nastąpił najpierwszy wybuch formalny: zdo-bywanie kościoła, bójka na pięście, na kije, bójka, w której czynny udział wzięły płcie obie, a w której sieczna i palna nawet broń w użyciu się znalazły, sprowadzając rozlew krwi, oraz rozjemczą, brutalną policji interwencyę, uwieńczoną procesami i karami dotkliwemi.

W czasach zajścia tego papieskim legatem w Stanach Zjednoczonych był człowiek, któremu po raz pierwszy w życiu zdarzyło się mieć ze sprawą podobną do czynienia. Po ścisłem w niej rozpatrzeniu się, rozstrzygnął on ją na korzyść parafian i ci weszli w posiadanie na własność kupionych za ich krwawicę gruntów, wzniesionych budowli i nabytych sprzętów kościelnych. Świadczy to, że traktowana nie wedle litery prawa, lecz wedle sumienia, sprawiedliwość po ich znajdowała się stronie. Był to jednak jeden jedyny parafian tryumf. Legat, co racyę wychodźtwa polskiemu przyznał, został odwołany; następca jego z tem do Ameryki przybył, ażeby z góry po stronie biskupów *ajryskich* (irlandzkich) stanąć.

Przykład parafii detroickiej naśladowały parafie inne, w innych miastach, — te atoli z upominania się zbrojną o własność ręką

(*) Nie mając zamiaru pisać historii Kościoła Niezależnego, nie zaopatrzyłem się w notaty szczegółowe i za dokładność nazwisk i dat nie odpowiadam.

wynosiły jeno w korzyści guzy i kończące się więziennemi i pieniężnemi karami procesy kryminalne. Sprawy to nie rozstrzygało i we wzrastającym obustronnem rozdrażnieniu wciąż ją na porządku dziennym utrzymywało. Najgłośniejsze było o niej w Buffalo, gdzie ognisty proboszcz-dziennikarz zapalczywie praw do dochodów i stanowiska rozkazodawczego wyższego i niższego kleru bronił.

Sprawa jednak jakoś rozstrzygnąć się musiała. W walce bezpośrednio zainteresowani, a doświadczeniem nauczeni parafianie domyślili się: dać za wygraną pretensjom do niższego i wyższego duchowieństwa, samym powtórnie grunta kupować i na nich, prawnie jako własność parafialna obezpieczone, zakładać parafie oddzielne — « niezależne ».

Niezależność owa tylko i wyłącznie własności gruntów, budynków i sprzętów kościelnych się tyczy, niczego innego. Nie zachodzi tu żadne, najmniejsze we względzie wiary wedle kościoła katolickiego odszczepieństwo. Rzecz cała odnosi się do « dóbr doczesnych », a raczej, do rozdzielania i używania dóbr tych w sposób godziwy, z czystą, ze ścisłą sprawiedliwością zgodny. Kler wyższy, wraz z zależnym od niego niższym, nie tak tę rzecz bierze. Dopuszcza się on w oczy się rzucających i rażących nadużyć na drodze wyszukiwania ciemnoty owieczek w dwóch kierunkach: w kierunku podnoszenia do stopnia najwyższego wystawności majestatu kościelnego i w kierunku zdobywania środków na niedozwolone duchowieństwu zbytkowanie. Pierwszy z tych kierunków nie razi parafian, — przeciwnie: widok kościołów wspaniałych, ornatów bogatych, obrazów w szerokich złocistych, za pieniądze ich sprawionych ramach, wrodzonej ludziom próżności dogadza. Z kierunkiem drugim, mimo, że się już z tolerancją amerykańską oswoili, nie wszyscy zgodzić się mogą. Mnie samego, uwzględniającego słabości ludzkie, na probostwach niektórych nie budował, obok komfortu przesadnego, widok młodych, okrutnie ponętnych dzióbek niewieścich, pełniących poważne gospodyń funkcyę. Zniesienie w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej celibatu księży jest kwestyą czasu — powtarzam.

Wymienione wszelako powyżej kierunki uszłyby może, gdyby nie cechowało ich usiłowanie przeniesienia patriotyzmu ziemskiego w sfery zaziemskie. «Tam twoja ojczyzna!...» — odpowiadał, wskazując palcem na niebo, ksiądz wychodźcy, gdy go ten o sprawę polską zaczepiał. Stosownie do tego przy kościołach prowadzonymi były szkółki, które w ósmym, w dziewiątym, w początku nawet dziesiątego dziesięciolecia wieku XIX, pozostawały w stanie nad wyraz opłakanym. Związek Narodowy Polski — świecka o dążnościach politycznych organizacja — rozumiał potrzebę dla wychodźstwa oświaty, lecz nie posiadając nałożenie na nią odpowiednich środków pieniężnych, mógł jeno u tych, co środki posiadali, domagać się przeznaczania na szkółki części obracanych na zbytki funduszów. Domagał się tego, ale naderemnie. Ufny w przewagę swoją i w potęgę ciemnoty, kler raz obraną kroczył drogą, szydząc w pismach swoich z opozycyi i opozycjonistów, czyniąc im zarzuty często niesłuszne, obrzucając ich obelgami i posługując się w polemice nieparlamentaryzmem rażącym. Ze strony kleru było to pchanie wychodźców do niezależniania się kościelnego. Nie wierzył on w powodzenie na tej drodze. Przerachował się jednak. Niezależność się zrazu parafiom nie wiodła: ani się urządzić, ani prawnie zabezpieczyć nie umiały, — nie dopisywali im przytem księża. Po kilku atoli próbach nieudanych, doświadczenie na właściwą wprowadziło je drogę.

Obecnie w Stanach Zjednoczonych parafii polskich niezależnych funkcjonuje regularnie czterdzieści kilka i coraz nowe przybywają.

Powtarzam: nie jest to odstępstwo żadne, żadna schyzma, ale schyzmą, odstępstwem staćby się mogło, gdyby Rzym z niezależnymi, jak z odstępcami się obszedł. Od odłączenia się powstrzymuje ich: z jednej strony wstrzemięźliwość Stolicy Apostolskiej we względzie nawoływanej na ich głowy przez gorliwców klątwy; z drugiej — w większej mierze — Polska. Z Polską w sercu, spostrzegłszy się, że przeznaczeniem wzniesionych za ich krwawicę kościołów jest wynarodowienie wychodźstwa polskiego, odmówili biskupom posłuszeństwa.

Niezależni budują na wspólną, parafialną własność kościoły; przy kościołach zakładają szkółki; w szkołkach szczepią w umysłach i sercach dzieci patriotyzm polski. To ostatnie zniewoliło zarządy kościołów biskupich do uczynienia zadość temu, czego na nich wymódz nie zdołało domaganie się Związku Narodowego Polskiego. W obawie odstręczenia od siebie wychodźstwa, zakładają, wzorem niezależnych, i oni szkółki o tyle o ile porządne, uwzględniając w nich do pewnego stopnia ojczyznę ziemską.

Pytanie: czy kościół niezależny nadal się na tej stopie polskiej, na jakiej stanął, utrzyma? Do życzenia jest, ażeby się utrzymał, to jest, ażeby się oparł oblegającym go zabiegom i nagabywaniom. Agenci moskiewscy czynią starania o wciągnięcie go do bardzo dla wierzących ponętnego starokatolicyzmu, nie dla wiary, ale dla zaszczerpienia w łonie katolicyzmu na gruncie polskim—przeniesionej z Ameryki—niezgody, celem ułatwienia sobie rusyfikowania kościoła katolickiego. Wszak starokatolicyzm w Polsce propagują generalowie moskiewscy. Tego dość, ażebyśmy się na baczności mieli i ani moskiewskim generalom w celach rusyfikacyjnych, ani *ajryskim* biskupom w widokach oderwania Polaków od Polski wyzyskiwać nie dawali.

IX.

Ze Scrantonu do Buffalo (czytaj: Boffo) towarzyszył mi redaktor *Strazy*, ob. St. Dangel, człowiek młody, wykształcony i szczerze, a gorąco Polskę miłujący. Miłego miałem w nim towarzysza, dowiedziałem się i nauczyłem od niego dużo. W przerwach w rozmowie oddawałem się spostrzeżeniom, jakie mi do głowy nasuwały widoki, przesuujące się przed oknami wagonu.

Fizyognomia kraju w tym nowym świecie mocno mnie interesowała. Śledziłem ją od chwili wyjazdu z Nowego-Yorku i naprzód rzecz jedna w oczy mi się rzuciła. Nie dostrzegłem tego, co nieodmiennie w Europie wielkim miastom towarzyszy: zamiejskich

mieszkań, jakie sobie klasa bogata urządza. Dojeżdżając nie do kilkumilionowego, jak Nowy-York, Chicago, lecz do kilkudziesiąt tysięcy w Starym kraju grodu, wjeżdża się w sferę rozrzuconych tu i ówdzie szaletów, willi, pałaców, wdzięczących się na tle zieleni, artystycznie rozłożonej i odpowiednio w bukiety i szlarki kwietne przystrojonej. Tu nic podobnego. Kolej z miejsca idzie środkiem miasta, ulicami i, dla ostrzeżenia przejezdnych i przechodniów, dzwoni grubym głosem w wielki, na lokomotywie umieszczony dzwon: bam — bam! Na odgłos ten ludzie z drogi uykają. Za miastem dzwonięcie ustaje i — jak za Nowym-Yorkiem — pociąg wbiega w okiem objąć się nie dające rozłogi mokrzydel, okrytych roślinnością bladozieloną. Gdzieniegdzie ukazuje się znamionująca grunt twarły ciemniejsza barwa zieleni, a wśród niej skromna sadyba ludzka. Widoki podobne miałem wyjeżdżając z Nowego-Yorku i dojeżdżając do Buffalo. Poblże Scrantonu, przebyte nocą, nie zaprezentowało mi fizygnomii swojej. Prezentował mi ją kraj pomiędzy Nowym-Yorkiem a Scrantonem, pomiędzy Scrantonem a Buffalo, pokazując się co czas jakiś inaczej. Jedne podrugich przemijały okolice płaskie, górzyste, lesiste, bezleśne, uprawne, odlegiem leżące, a wszystko smutne jakieś i pozbawione tego uroku pejzażowego, jakiego w Europie nie pozbawione są stepy nawet. Lasy wyglądają mają drzemiący i zagadkowy dla tego zapewne, że nie ogłaszają się gwarem ptasim, świadczącym o zamieszkanu ich przez istoty żyjące. Cicho w nich i głucho, gdy wiatr w liściach nie szeleści. Przejezdny nie pokazuje się ani latające, ani poziemne chodzące stworzenia, samym widokiem swoim urozmaicające podróżę ludziom u nas na Ukrainie, na Podolu. Ukrainę i Podole wspominam dla tego, że w wielu razach przypominały mi się one. Przypominały mi je ploty z dylów, kładzionych w oddaleniu mniej więcej piędzi jedne nad drugimi na słupkach podwójnych, raczej na spajających słupki kółkach. Tylko, że u nas ogrodzenia podobne nie wychodziły — za czasów moich — po za obręb siól, podczas gdy w Ameryce służą one do zaznaczania granic posiadłości rolnych, zastępując z podani i procesów znane kopce nasze. Plotami dyłowymi rozgraniczają się działki własnościowe w polu.

W okolicach, przez które przejeżdżałem, nie dawała mi się widzieć rolna kultura na wielką skalę. Przed oczami mojami przesuwały się poletki—własności małe—działki, zwane w Stanach Zjednoczonych *lotami*, nie te, co zasypują rynki europejskie zbożem w stopniu, obniżającym ceny produkcji rolnej w krajach, które niegdyś wyłącznie żywiły chlebem Europę. Działki te, z których na jednych widniały ścierniska zbóż kłosistych, na innych łądygi kukurydziane, na innych trawa, nie konkurują chyba z łąkami pszennymi w Polsce i w Rumunii, z okrytymi kukurydzą milowemi przestrzeniami w Rumunii, na Węgrzech. Konkurencyę prowadzą stany dalej na zachodzie i na południu leżące. Jeden z właścicieli ziemskich w Kentucky opowiadał mi niegdyś o uprawie na wielką skalę kukurydzy, czego przy drodze, którą przejeżdżałem, śladów nie było. Poletki i poletki—i to źle uprawne. Na nieuprawnych pasło się tu mizerne bydelko, indziej chude konie. Ameryka w tych okolicach, pod względem kultury rolnej, prezentuje się wcale nieświetnie. Znać, że to świat nowy jeszcze, luboć pociągom kolei żelaznej nie zastępują już drogi ogromne stada dzikich bawolów. Już i Indyjanie we wschodnich stronach Stanów Zjednoczonych na pociągi nie napadają. Jedzie się wygodnie, bezpiecznie i szybko.

Do Buffalo dotarliśmy za widna, ale jechaliśmy długo, zanim dojechaliśmy na miejsce. Miasto poprzedzają przyległości, których przedmieściami nazwać nie można ze względu na to, że nie ma pomiędzy niemi ciągu. Przerwywają je co moment to moczary, to wodne rozlewy, to znów puste pola. Pustek wogóle w Ameryce dużo. Minęliśmy fabryk kilka i dwa, czy trzy dworce, zanim się pociąg na głównym zatrzymał.

Na dworcu komitet *ad hoc* wysadzony oczekiwał na przybycie moje. Uprzejme, a serdeczne powitanie spotkało mnie i tu—i, ponieważ dworzec w niemałym znajduje się od dzielnicy polskiej oddaleniu, musiałem znów lombago moje na próbę jazdy w powozie wystawić. Próba wypadła zadowolniająco. Ulokowano mnie nad tak zwanym *salunem* (*saloon*), oznaczającym w Anglii salon, w Ameryce szynk. Na parterze znajdował się ów salun, na piętrze

z elegancją i komfortem urządzone mieszkanie właściciela, przebywającego u wód z racy choroby, która go od dłuższego trapiła czasu. Nieobecnego zastępowała żona, jako pani domu ; w interesie zaś wyręczali go córka i zięć.

Salunizm (szynkarstwo) jest jednym z łatwiejszych sposobów dojścia do dobrobytu. Pracy nie wiele, zyski duże, dzięki pociągowi rodzaju człowieczego do spirytualiów, pociągowi, któremu Polacy nie opierają się tak, jakby się opierać powinni dla naprawienia sobie tej opinii, jaką uzyskali w epoce panowania Sasów. Salunizm w Ameryce znaczne niesie dochody, o tem miarkować można stąd, że w każdym szynku wypicie szklanki piwa daje prawo do spożycia przy *barze* (długim, a wąskim stole), stosownie do pory dnia, śniadania, obiadu, podwieczorku, składającego się z chleba, sera, wędlin, jaj, pod warunkiem jedzenia stojący. Szklanka piwa kosztuje 5 centów (25 centymów), odżywianie się przeto nie jest w Stanach Zjednoczonych zbyt drogiem. Można głodu nie zaznać, wydając dziennie nie więcej, jak centymów 50 (około $1\frac{1}{4}$ złp.). Do salunu, nad którym mieszkałem, zeszedłem raz tylko dla widzenia się z niejakim N., członkiem t. zw. «lepszego» towarzystwa, typem z rodzaju wypłoszów, co to «nie sieją, ni orzą», a żyją, i żyją wesoło. Nie wiadomo, po co tacy do wychodźstwa się wplątują. Z tym, co mi w Buffalo wizytę złożył, spędziłem przyjemnie chwil kilka na słuchaniu opowiadań humorem zaprawnych.

— Co on robi?... — zapytałem.

— Nic... — odpowiedziano mi.

— Z czegoż żyje?

Na pytanie to odpowiedzią było wzruszenie ramionami.

Nie wyginęli u nas t. zw. pieczeniarze. Jedni trzymają się klamki wielkich panów, drudzy basują ludowi.

U samemu sobie pozostawionego, t. j. wpływu klas wyższych pozbawionego ludu naszego zauważyłem, że zamożność, tak lub inaczej zdobyta, nie odrywa osobników od fachu, na którym do majątku doszli. W Starym Kraju «dziedzice z podstarościch» zacierają usiłują wspomnienia o drodze, na której się na dziedziców

wykierowali. W Ameryce inaczej. W Nowym-Yorku krawcy bardzo zamożni krawiectwa nie rzucają; w Buffalo szynkarz zubożony dalej szynkuje, córka jego i zięć przy szynkwasię gościom napoje kieliszkiem lub szklanką odmierzają, nie żałując obok tego szklanki piwa i przekąski N., potomkowi zapisanego we wszystkich herbatach rodu szlacheckiego.

Jak wszędzie, tak w Buffalo, gościnności, jaką mnie otoczono, nie brakło ani na serdeczności, ani na delikatności. Członkowie komitetu odbywali przy osobie mojej dyżur dniem i nocą: nocą podpatrzyłem jednego z nich w pokoju obok tego, w którym spałem, drzemającego w fotelu w gotowości niesienia mi usługi, gdybym zapotrzebował. Nie krępowało to jednak mojej woli własnej, z czego korzystając, zrobiłem w dzielnicy polskiej samotnie wycieczek kilka. W jednej z nich natknąłem się na targ—na przekupki nasze—takie nasze, że mi od nich oderwać się z trudnością przyszło. Póki mogłem, pótym się im przypatrywałem i przysłuchiwałem. Targowanie się całkowicie odbywa po naszemu z tą jeno różnicą, że sprzedawcy i sprzedawczynie używają pomiędzy sobą terminu nie «ty», ale «pan», «pani», nawet kiedy się kłócą.

— Bodajbyś się pani udławiała swoim burakiem!...

— Udław się pani swoim!...

W zamieszkałych przez Polaków ulicach roi się od dzieci. U Niemców cicho; u Polaków gwar głosów dziecięcych panuje ustawicznie przy domkach drewnianych, konstrukcyi jednakiej, budowanych pod sznur na długości kilometrów kilku. Stanowią one własność mieszkańców, faworyzowaną przez rządy stanów, ułatwiającą przybyszom nabywanie onej i osłaniającą ją opieką szczególną. *Homestead* — zagroda — należy do przedmiotów, na których wierzyciel aresztu kłaść nie ma prawa, a do posiadania których przychodzi się drogą spląt drobnych na długie rozłożonych lata. Są jeszcze stany, udzielające prawa własności daremnie, te atoli z racyi położenia swego, gatunku gruntów i klimatu nie nęcą kolonistów, zwracających się przeważnie na północo-wschód w Stanach Zjednoczonych i na południo-wschód w Kanadzie.

Wycieczka w ulicę polską doprowadziła mnie do pokaźnie wy-

glądającego kościoła, obok którego wznosiła się sporych rozmiarów budowla z napisem po polsku, oznajmującym, że tu szkoła imienia św. Kazimierza.

Szkoła ta przykuła do siebie całą wyteżoną uwagę moją. Stałem, przypatrywałem się jej, obchodziłem ją, zaglądałem, podglądałem — zapragnąłem wejść do niej. W myśli stała mi ta okoliczność, że szkoły polskie w Buffalo znajdują się pod zwia-downictwem duchowieństwa, któremu przewodniczy zapewne głośny w Stanach Zjednoczonych wśród wychodźstwa polskiego ksiądz Pitasa, wydawca osławionego dziennika p. t. *Polak w Ameryce*. Nie poczuwałem się bynajmniej do prawa liczenia na księdza Pitasa względy i z tej racji nie wydawało się mi wskazaną rzeczą obcesowe wkroczenie do szkoły św. Kazimierza. Trzeba się u kogoś o pozwolenie wystarać. U kogo? U któregoś — rzecz prosta — księdza, a raczej, za pośrednictwem któregoś z księży łaskawszych, u tego, co stanowisko inspektora, czy dyrektora szkół polskich w Buffalo zajmuje. Kiedym nad tem, krążąc około kościoła, rozmyślał, dostrzegłem przy kościele plebanię, przy plebanii porządnie utrzymany ogród i w ogrodzie przechadzającego się powoli jegomością, wyglądającego na księdza. Na widok ten niezwłocznie rozmyślenia zaniechałem, otworzyłem sobie furtkę i, nie zważając na psa, co mnie szczekaniem powitał, zwróciłem się, bez wymienia nazwiska mego, do jegomości z zapytaniem :

— Czy wolno, proszę pana, szkołę zwiedzić ?

— Trzeba o pozwolenie siostrę (czy matkę) przełożoną poprosić...
— otrzymałem odpowiedź.

— Gdzie siostrę przełożoną znajdę?...

— W szkole... — odrzekł jegomość, ręką wskazując.

Podziękowałem za informację i zwróciłem się ku furtce na ulicę wyprowadzającej, lecz usłyszałem za sobą wołanie, na którym się obrócił :

— Tędy, panie, bliżej i prościej!...

Wyrazem tym towarzyszył giest, wskazujący uliczkę ogrodową, którą, gdym się puścił, wnet znalazłem się u wnijscia do szkoły. W sieni zapukałem do pierwszych drzwi, jakie mi się pod ręką nawinęły. Po chwilce we drzwiach stanęła młoda zakonnica.

— Siostra przełożona?... — odezwałem się tonem zapytania.

Zakonnica posłała do przełożonej dziewczynkę. Przełożona nie kazała na siebie czekać długo i, gdym jej oświadczył, że przyszedłem w intencji zwiedzenia szkoły, życzeniu memu niezwłocznie uczyniła zadość z całą uprzejmością. Wprowadziła mnie do jednej, następnie do drugiej klasy. Dzieci płci obojga popisywały się, te znawstwem abecadła i sylabizowaniem, owe czytaniem, recytowaniem wierszyków, biegłością w dodawaniu i odciąganiu. W klasach nauczycielowały zakonnice młode; jedna tylko przełożona zdradzała wiek lat około czterdziestu. Były to podobno franciszkanki; na pewne tego nie twierdzę, wedle ubrania bowiem nie umiem ani żeńskich, ani męskich reguł zakonnych rozpoznawać, z wyjątkiem zapamiętanych z czasów moich dzieciennych kapucynów, z których jeden rok rocznie do rodziców moich przyjeżdżał po kweście, oraz gwoli sycenia miodu. Oprócz franciszkanek oddaje się nauczaniu jeszcze parę innych zakonów żeńskich. Z felicyankami poznałem się nieco bliżej; o nich później napiszę, obecnie zaś zanotuję jeno, że — jakem słyszał — wogóle zakonnice po szkołach nie odpowiadają zadaniu swemu. Są to nauczycielki improwizowane, zgoła nie wykwalifikowane. Po klasztorach przysposabiają je na prędcę i powierzchownie, wyświęcają i nauczanie im powierzają podczas, gdy one same dużoby jeszcze uczyć się powinny. Jedyna ich zaleta na tem polega, że bardzo mało kosztują. Ta atoli zaleta, jeżeli zaszczytu przysposabiającym je klasztorom nie czyni, to tem mniej zaszczytu czyni opiekunom i kierownikom szkolek parafialnych, wydającym dużo pieniędzy na potrzeby daleko mniej ważne, aniżeli nauka.

Po zwiedzeniu klas, zamieniłem z przełożoną kilka zdań. Pytałem jej, czy dzieci chętnie się uczą :

— No... tak... dosyć chętnie... — odpowiedziała.

Pytałem, czy rodzice rozumieją potrzebę uczenia dzieci :

— O tyle — odrzekła — o ile to dzieciom do praey i do zarobków następnie pomaga.

Odpowiedzi te nie były ani nader zadawalniające, ani koniecznie pocieszające, wyrażając pojmowanie potrzeby oświaty z samej

jeno strony utylitarnej. Ale czyż inaczej pojmuje się ją w społeczeństwach ucywilizowanych? Utylitaryzm stanowi podniętę, której lud nasz w kraju nie znajdował niestety, a która koniec końców ma duże znaczenie we względzie rezultatów, jakie wydaje. Z zadowolaniem przeto opuściłem szkołę św. Kazimierza, winszując sam sobie, że do niej dostał bez wymienienia nazwiska mego. Uczyniłem to w obawie, ażeby mnie ksiądz (jeżeli przechadzający się w ogrodzie jegomość księdzem był) z niczem nie odprawił. Wołałem, żeby przypuszczalny despekt ten spotkał mnie bezimiennie.

Na tem jednak nie skończyło się moje zadowolenie w zakresie nauczaniowym. Odwiedziło mnie dwie kobiety: jedna, nazwiskiem, jeżeli się nie mylę, p. Piotrowska, nauczycielka języka polskiego w szkole miejskiej rządowej; druga, p. Józefa z Boguszewskich Kudlicka, bibliotekarka działu książek polskich w czytelni publicznej. Od pierwszej dowiedziałem się, że rządy stanowe chętnie po szkołach zaprowadzają naukę języków ojczystych dla przybywających do Ameryki kolonistów, jeżeli ci się tego domagają. To atoli ostatnie opornie ze strony wychodźstwa naszego idzie. Domaganie się dwie stoją na zawadzie przyczyny: nieużyteczność mowy polskiej w stosunkach z ludnością tuzienną, oraz niechęć duchowieństwa polskiego. Duchowieństwo całkowicie straciłoby wpływ, gdyby w amerykańskich — *bezwyznaniowych* — szkołach należycie języka polskiego nauczano. Z tej głównie racji srodze cierpi nauka mowy ojczystej, wykładanej w parafialnych szkołach słabo, w rządowych — o ile w nich jest dopuszczoną — niedostatecznie.

We względzie dbałości o język własny wychodźstwo nasze na pochwałę tem mniej zasługuje, że nie stoją przed niem w kierunku tym trudności, któreby ono zwalczać potrzebowało. Ze strony tak stanowych, jakoteż państwowych w Stanach Zjednoczonych rządów wynaradawianie Polaków nie praktykuje się zgoła. Przeciwnie — szanowna bibliotekarka dała mi sposobność przekonania się o tem. Dzięki zaproszeniu jej, uprzejmie przez nią oprowadzany, zwiędziłem czytelnię urządzoną wspaniale, postawioną na stopie, świadczącej, że ci, co nad nią czuwają, rozumieją, iż czytelnictwo

stanowi jeden z potężnych środków do podnoszenia poziomu oświaty ogólnej. We względzie tym w zakładzie czytelnianym zaniedbanie spostrzegać się nie daje w niczem. Miejsce onego zajmuje troskliwość o wszystko i wszystkich: o czytelników rozlicznymi mówiących językami, o czynienie zadość potrzebom rozmaitych przysposobień umysłowych, o dzieci nawet czytać nie umiejące. Dla tych ostatnich przeznaczoną jest sala osobna, odpowiednio przyrządzona, umeblowana i przyozdobiona. Ściany okrywają obrazki zdolne zająć uwagę dziecinną; na niskich stołach pełno pism obrazkowych, przy których o każdej dnia porze zastać można przeglądające je dzieci. Co sobota sala szczelnie się zapęlnia małoletnimi płci obojej słuchaczami opowiadań, bawiących ich i nauczających, a wygłaszanych przez specjalnie w tym kierunku przysposobione i uzdolnione prelegentki. Nie słyszałem, ażeby coś podobnego, istniejącego w cywilizującej się Ameryce, w ucywilizowanej istniało Europie.

Dział polski w czytelni buffaloskiej znalazłem o tyle o ile dobrze zaopatrzony. Liczebnie przeważa w nim powieściopisarstwo: nie zauważyłem, ażeby który z autorów celniejszych był w niem pominięty. Poetów najcelniejszych również nie brak. Śród dzieł naukowych, obok historyi i historyi literatury zajmują miejsce prace polityczne, filozoficzne, pamiętniki i — z nauk naturalnych — astronomia. Obfitość i dobór cokolwiek do życzenia pozostawiają, nie osłabiając nadziei — pewności raczej, — że wszelkie bardziej rażące braki (jak np. brak *Historji literatury* P. Chmielowskiego, brak *Życiorysu Kościuszki* T. Korzona i t. p.) z czasem usunięte zostaną, dzięki z jednej strony gorliwości szanownej bibliotekarki, z drugiej ochoczości zarządu czytelni do nabywania książek polskich. Pani Kudlicka mówiła mi, że ani razu zarząd jej trudności w zaopatrywaniu biblioteki w nabytki nowe nie czynił.

— Czy dużo czytają?... — zapytałem.

— Niestety... — była pani Kudlickiej odpowiedź. Czytelników wyszukiwać i do czytania zachęcać potrzeba.

«Gdyby — powiedziano mi — nie saluny, czytelnictwo by rażniej szło.»

X.

W Buffalo w czasie bytności mojej wychodziły dwa pisma polskie: jedno codzienne — *Polak w Ameryce*, drugie tygodniowe — *Echo*. Pisma te, znane mi z czasów dawniejszych,—pierwsze ultraklerykalne, drugie demokratyczne i postępowe, popierające Związek Narodowy Polski, — polemizowały ze sobą zawzięcie. *Polak w Ameryce* w równej i jednakiej trzymał się mierze, jako organ wydawcy, ubiegającego się o zaszczyty w kościele. *Echo* przechodziło koleje, które wywierały na nie korzystny wpływ we względzie wartości przeciętnej pisma. Zmienianie się redaktorów na dobre mu wychodziło. Gdy je nabył i redakcyę objął ob. M. D. Sadowski (Pankiewicz), zdolny i z uniwersyteckiem wykształceniem człowiek, stało się ono wzorowem co do treści i co do formy w polsko-amerykańskim dziennikarstwie, przyczyniając się przez to do podniesienia poziomu jego wogóle. Po wybraniu Sadowskiego na sekretarza w Zarządzie Centralnym Związku Narodowego Polskiego *Echo* w inne przeszło ręce. Wartość pisma pod nową redakcyą nie obniżyła się; nowy jednak wydawca, ob. Nowak, uskarżał się przedemną, że dobrych na niem nie robi interesów. Poświadczył o tem skromniutki lokal redakcyjny, który w towarzystwie wydawcy zwiedziłem.

Nie oglądałem redakcyi *Polaka w Ameryce*, którego ani jednego w Buffalo nie widziałem numeru, o którym ani razu mowy nie było i o którego egzystencji zupełnie zapomniałem. Mówiono mi, że ksiądz Pitasi miał do mnie pretensyę za to, że mu wizyty nie złożył. Moja wina! Nikt mi o nim nie wspomniał, mnie zaś na myśl przyszedł był raz tylko, kiedym nad wtargnięciem do szkoły św. Kazimierza medytował. Słyszałem później, jakoby mnie *Polak w Ameryce* należyte za wykroczenie przeciwko regułom etykiety towarzyskiej osmarował. Nie czytałem tego i w ogóle nie tylko w Buffalo, ale nigdzie w Ameryce z wydawnictwem księdza Pitasi się nie spotkał.

Na przyjęcie publiczne, dzięki bliskości od mieszkania mego hali, w której się ono odbyło, udałem się piechotą, w towarzystwie komitetu, pod eskortą wojskową, w otoczeniu tłumów, przy akordach muzyki, której wtórował bęben nadzwyczaj głośny. Hrrrr... bum bum bum!... Tak doszliśmy do wnijscia. Ciżba przejście otworzyła. Weszliśmy na estradę w kwiaty i w sztandary przystrojona, i nastąpiło przyjęcie, zagajone przemową powitalną, przeplatane mowami, oraz muzykalnymi i wokalnymi popisami. O przyjęciu tem nie mam nic osobliwego do powiedzenia. Cechowała je, jak dwa poprzednie, serdeczna, gorąca uprzejmość. Zauważyłem jeno przy wychodzeniu, że się do mnie ręce wyciągały, że osoby się mojej dotykano, za kolana mnie ściskano, po rękach, po kolanach całowano z wołaniem płaczącym: «Polska!... Polska!...» Owacyjne objawy te rozrzewniały mnie, ale zarazem dziwiły, a nawet upokarzały. Nie poczuwałem się do zasługiwania na nie, nie będąc żadnym artystą, jak Paderewski, Matejko, Modrzejewska, a posiadając jeno skromne kwalifikacye pisarza, niewyrównującego wielkości Mickiewicza, ani świetności Sienkiewicza, i żołnierza, nie mającego za sobą świat zdumiewających zwycięstw. Dziwiły mnie przeto i upokarzały te owacye, póki nie wytłómaczyłem sobie, że odnosiły się niekoniecznie do osobistości mojej. Dla tych, co mnie witali, a zarazem i żegnali, byłem przedstawicielem Polski, ich Ojczyzny rodzonej. Widok człowieka, co przybywał z misją od Ojczyzny uciśnionej i dla tego, że uciśniona, widok człowieka, co w obronie jej oręż nosił, jej służy i dla niej pracuje, wywoływał i rozbudzał w wychodzcach, co ojczyznę tę opuścili, uczucia tęsknoty, żalu, przywiązania, miłości. Odnosiło się to nie do mnie, ale do *Niej*, do znojem i krwią ludu polskiego przesiąkłej ziemi świętej, a płynęło z duszy i sere prostaczych.

Uczestnikami obchodów z powodu mego przybycia urządzanych byli w jednej części zaliczający się do inteligencji rzemieślnicy, w ogromnej zaś większości tak zwany w literaturze «lud siermiężny», ekswołścianie, ludzie co w Starym Kraju rolę uprawiali, a w Ameryce po zakładach przemysłowych zarobkują. Dawały się wśród nich widzieć i oblicza młodociane, ogół atoli składał się z mężów dojrza-

tych, nie rzadko głowami siwizną osrebrzonymi przeświecających.

Kiedym z obchodu wracał, usłyszałem obok siebie pozdrowienie po polsku, ale językiem łamanym wymówione. Przedstawił się mi:

— Dr. Fronczak...

Nazwisko to obcem mi nie było, gdy się zaś z nim był poraz pierwszy zapoznał, żywo i mocno mnie zajęło. Zapoznałem się z nim był w sprawozdaniach o obchodzie pięćsetnej rocznicy Uniwersytetu krakowskiego. Dr. Fronczak wziął udział w obchodzie w charakterze delegata Uniwersytetu Buffaloskiego. Przy okazji tej zdziwił uczestników uroczystości odczytem, znakomitym co do treści i przepiękną napisanym polszczyzną. Zdziwiło mnie to, że zaznaczona w sprawozdaniach piękność polszczyzny wcale piękną nie wydała mi się w ustach szanownego doktora, człowieka wzrostem małego, szczuplutkiego, o obliczu gęsto śladami ospy osypanem. Spotkanie się z nim mocno mnie uradowało, było to bowiem pierwsze spotkanie przedstawiciela tego pokolenia wychodźczego, co na gruncie Stanów Zjednoczonych wzrosło, wyhodowało się i piastuje już pokolenie wnucząt pierwotnego masowego wychodźstwa polskiego. Na pokoleniu tem spoczywa cała waga wychodźstwa naszego w Ameryce Północnej, rozpatrywanego pod względem przydatności politycznej na przyszłość. Jakiem jest to drugie pokolenie, takiego spodziewać się można pokolenia następnego, w tem zaś ostatniem piastuna pokoleń późniejszych.

We względzie tym—widziany pod kątem przydatności wychodźstwa polskiego w Ameryce Północnej dla sprawy polskiej — Dr. Fronczak jaknajlepsze na mnie wywarł wrażenie. Spędziłem z nim cały przy wieczery pożegnalnej wieczór. Nie mówiliśmy ze sobą o czem innem, tylko o Polsce i o sprawie polskiej, a nie inaczej jak po polsku. Język w ustach jego cierpi na akcencie zwłaszcza, wypowiada jednak jasno myśli zdrowe i uczucia gorące, świadcząc przez to, że pojęciowa i uczuciowa narodowość nie zależy całkowicie od szaty zewnętrznej, jaką jest mowa. Wymowne we względzie tym świadectwo składają — pomijając Żydów — Irlandczycy, którym mowa angielska bynajmniej nie przeszkadza z Anglią zawzięcie o niepodległość polityczną walczyć. W tej atoli materii później

obszerniej się nieco rozpiszę, poprzestając obecnie na zaznaczeniu, że ze spółziomkami buffalorskimi rozstał niby z bracią rodzoną.

Zanim jednak rozstania się godzina wybiła, gościnność Buffalan nie zaniedbała uraczyć mnie widowiskiem na kuli ziemskiej jedynem. Paru komitetowych, pod przewodnictwem ob. Maternowicza, zawiozło mnie do wodospadu Niagary. Szybko jeżdżą tramwaje amerykańskie, przejazd wszelako z miasta do wodospadu zabrał czasu godzinę z górą. Na prawo pokazywano mi osady polskie, przylegające do fabryk, funkcjonujących przy pomocy siły, jakiej dostarcza rzeka, której wody, prące się ku rzuconej w poprzek przez naturę grobli kamiennej, nie mogąc jej przełamać, do góry się wznoszą i przez wierzch przelewają z wysokości ogromnej.

Wodospad wytwarza rzeka Niagara, przeprowadzająca wody jeziora Erie do jeziora Ontario. Właściwie wody Erie są zlewem wód, przychodzących z zachodu od jezior ogromnych. Dwa największe z nich i najbardziej zachodnie, Wyższe i Michigan (czytaj: Miczigan), wylewają się wspólnie, jedno z północy, drugie z południa, do Huronu, Huron zaś—przez jeziorko św. Klary—przelewa się do Erie, rzuconego podłużnie od zachodu na wschód i zwężonego na wschodzie na kształt łyżki z jej przeciwległego trzonkowi końca. Z tego to końca wody pchają się w ścieśnione brzegami łóżysko, opływają wyspę, i z szumem a hukim tysięcy zlanych w jedno grzmotów,—rozbijając się o sterczące poniżej skały i rozpryskując w pyły, będące ustawicznym dla słońca, gdy świeci, tęcz podłożem,—rzucają się w przepaść. Smugi wodne w długich pasmach zlewowych, oraz łamiące się w nich i niby w pryzmatach ruchomych na barwy rozkładające się światło silne czynią wrażenie, a tem silniejsze, że stanowią drobne ozdóbki tego zdumiewającego ogromu. W ogromie, zacierającym piękno, tkwi przeważnie wodospadu osobliwość. Porównanie osobliwości tej z malutkimi—w stosunku do niej—wodospadami w Szwajcaryi na jej wypada niekorzystne. W ogromie ginie malowniczość, narzucająca się w ojczyźnie Tella przy lada strumieniu, spadającym w przystrojeniu skał, lasów, mchów

z wysokości zawrotnej. Tu nie brak skał, lasów, mchów, wyżyn, ale są to szczegóły i szczegółiki, nasuwające się na uwagę widza po przeminięciu wrażenia pierwotnego, które oślepia i ogłusza. Powoli, powoli oko i ucho oswajają się jedno z widokiem, drugie z odgłosem i odzyskują możność odróżniania części w tej całości olbrzymiej, w tym wysiłku natury na pokazanie potęgi wody przy pogodzie, nie na oceanie, nie za sprawą burz wichry rozpa-
sujących.

Wycieczce naszej piękna sprzyjała pogoda, pozwalająca nam wszędzie być i wszystko widzieć. Byliśmy więc wszędzie i obejrzelismy wszystko z wyjątkiem zakładów przemysłowych, spożytkowujących siłę prądów, przez parcie się wód wytwarzanych. Na zwiedzanie tych ostatnich czasu nie miałem w podróży mojej, w której wycieczka do Niagary stanowiła tylko uzupełnienie gościnności, jaką mnie zaszczylił spótziomkowie w Buffalo. Gościnność ich nie wyczerpywała się pomimo, że się ze mną, jak ze z cieniutkiego szkła naczyniem, obchodzić trzeba było: sprowadzać, wyprowadzać, nosić prawie, ażeby pokazywać tu spady, formujące ogromne fartuchy wodne, których imitacya miniaturowa, zwana Fartuszkami Dyany, w Humanu, w ośpiewanej przez Stanisława Trębeckiego Zofijówce istnieje, tam strome urwisko, wytwarzające, w kombinacyi ze skałami, rozpadlinami i porostami, godny widzenia pejzaż, ówdzie prąd, wirujący wśród kamieni w poskokach i zwrotach wzbudzających podziw, gdzieindziej płat powierzchni spokojny, uderzający przeciwieństwem napozór nienaturalnem wśród otaczających go wirów prądowych. Co krok prawie inna jakaś przedstawia się osobliwość, dająca się oglądać zbliska lub zdaleka, daremnie lub za opłatą, bez przyrządzeń specjalnych lub z przyrządzeniami. Ażeby wejść za fartuch spadowy, wzuć potrzeba obowie odpowiednie i wdziac na siebie okrycie, osłaniające od zmoczenia postać całą i oblicze. Odzież ta wynajmuje się u stóp wodospadu, w zabudowaniu, dokąd zwozi i skąd wywozi zwiedzających kolejka szpagatowa.

Brzeg prawy Niagary należy do Stanów Zjednoczonych, lewy do Kanady. Łączy je śmiało rzucony przez rzekę poniżej wodo-

spadu most, dla oglądania którego zdaleka zjeżdżają się inżynierowie. Fiakier przewiózł nas na stronę kanadyjską. Za mostem, na gruncie, pozostającym pod zwierzchnictwem będącej jeszcze naówczas przy życiu Jej Wdzięków Pełnej Królewskiej Mości Wiktorii, rozlega się park piękny. Gdyśmy w parku tym przechadzki pieszo zażywali, w oczy wpadł mi pomnik, przedstawiający na podniesieniu popiersie mężczyzny w mundurze wojskowym.

— Czyj to pomnik?...—zapytałem.

→ Niech pułkownik nadpis przeczyta... — odrzekł jeden z przewodników łaskawych.

Przeczytałem, i następujące wyczytałem nazwisko :

Kazimierz Gzowski, pułkownik od inżynierii.

Skąd się on tu wziął i czem na pomnik zasłużył?

Pomyślałem to ze zdziwieniem niejakiem. Nie zdziwiłoby mnie nazwisko polskie na pomniku w Stanach Zjednoczonych, którym Polacy usługi nieśli od czasu do czasu. Trochę ofiarnej krwi polskiej wylało się wspólnie z krwią Jankiesów na ołtarzu ich wolności zrazu, ich wielkości następnie. Po Kościuszcze, Pułaskim, nazwiska polskie przesuwają się w wojnie secesyjnej, następnie w niedawnej z Hiszpanią na lądzie i na morzu rozprawie orężnej. Ale—Kanada? — w Kanadzie? — przy jakiej-że to Gzowski jakiś odznaczyć się mógł okazji?... Rozbudzoną nazwiskiem tem ciekawość zaspokoił napis na pomniku, wzniesionym przez Kanadyjczyków, głoszący, jako pomnik ów wystawionym został w roku 1891 pułkownikowi K. Gzowskiemu za urządzenie parku przy wodospadzie Niagary. Bądź co bądź zasługa to, ale z rodzaju zasług, przewidywanych przez Fouriera w epoce ustalonego na wieki pokoju, kiedy ludzkość, zamieszkała po falansterach, będzie myślała o urządzeniu sobie, przy umiarkowanej pracy, rajy na ziemi. Kanadyjczycy, luboć dla nich epoka falansterów nie nadeszła jeszcze, pokoju zażywają stale, więc, dzieła pokojowe ceniąc, twórcom parków pomniki stawiają. O życiu i sprawach Kazimierza Gzowskiego niczemom się więcej dowiedzieć nie mógł.

Na stronie kanadyjskiej ob. Maternowicz zaprowadził mnie do znajdującego się poniżej mostu — o jakie półtora, może o dwa kilo-

metry od wodospadu—zabudowania nad brzegiem rzeki, pełniącego funkcję tę samą, co zabudowanie po stronie Stanów Zjednoczonych, ułatwiające przystęp do fartucha spadowego. I tu, jak tam, winda czy szpagatówka (nie przypominam sobie dokładnie) w dół nas głęboko brzegiem stromym zwiózła. Znaleźliśmy się na ścieżce udeptanej nad samą rzeką, kłębiącą się i przewracającą po kamieniach i wielkim pędem pośpieszającą do ontaryjskiego wód zbiornika, ażeby przedostać się przezeń do rzeki, która pod nazwą św. Wawrzyńca do oceanu wpada. Na to przeto, ażeby w oceanie zginąć, wodospad Niagary taki wielki, taki nadzwyczajny sprawia w świecie hałas. Gdy myśl ta filozoficzna w głowie mojej strzeliła, rzut oka na brzeg przeciwległy wykazał mi, że nie na tem jeno polega zadanie wodospadu. Brzeg przeciwległy stanowi ścianę wysdką, na której, niżej górnej jej krawędzi, dostrzegłem wyloty rur, ciskające strugi wodne. Z łatwością domyśliłem się, że rury te służą do odprowadzania zbytku wód, spożytkowywanych przez fabryki. Hałas więc towarzyszy użyteczności i sam przez się należy do kategorii wszelakich w przyrodzie przejawów głosowych, grających we wszechzyciu taką ważną rolę.

Gdyśmy z powrotem przez most przejeżdżali, uderzyła mnie różnica, zachodząca pomiędzy panowaniami angielskim, a Stanów Zjednoczonych. Na wstępie do Kanady nikt nas o nic nie zapytał, nikt na nas uwagi nie zwrócił. Swobodnieśmy wjechali, swobodnie wyjechali. Przy wstępie na grunt Stanów Zjednoczonych — *halt!* Nie zażądano wprawdzie od nas paszportów, jak w Rosyi, ani nas nawet, cośmy za jedni, pytano, ale zapytano o towary i oglądano postacie nasze, czy nie wydyma się na nich kontrabanda jaka. Ponieważ nic na nas nie pokazało się podejrzanego, otworzono nam wstęp na grunt wielkiej rzeczypospolitej, od reszty świata odgradzonej komorami celnymi. Po stronie republikańskiej zwiędziliśmy jeszcze dwa parki, jeden naprzeciw mostu, drugi na wysepce, urządzone jeden całkowicie, drugi niecałkowicie na wzór i podobieństwo parków angielskich. Powrót do miasta nastąpił około czwartej po południu, i bodaj czy nie w dniu tym samym odbyło się przyjęcie publiczne, po którym, spożywszy w towarzy-

stwie Dra Fronczaka, członków komitetu i kilkunastu innych obywateli wieczernę w sali, zwanej halą Patrzykowskiego, dystryktora, właściciela salunu, u którego w gościnie byłem, puściłem się w podróż dalszą.

W podróży z Buffalo do Chicago przewodniczył mi wydawca *Echa*, ob. Nowak. Nabrał ze sobą prowizyi, posilaliśmy się i jechali bez wypadku, ale z przeszkodami. Pomędzy ważniejszymi w Stanach Zjednoczonych punktami komunikacye odbywają się na kilku równoległych liniach kolei żelaznych, własnościach tyluż odrębnych kompanii. Na tej, którąśmy się puścili, tor gdzieś zepsuł się i dłuższej wymagał naprawy, dla której pod pociąg pożyczyc należało linię oboczną. Spowodowało to zatrzymywanie się w paru miejscach po godzin parę.

Zdaje mi się, że z Buffalo do Chicago duży szmat drogi odbyliśmy na ziemi kanadyjskiej, przejeżdżaliśmy bowiem przez Detroit, do Detroit zaś pociąg przez wodę promem przewiezionym został, co by nie mogło było nastąpić, gdybyśmy gruntu Stanów Zjednoczonych nie opuszczali. Wskazuje mi to przynajmniej mapa, której się radzę i na której widzę najkrótszą komunikacyę kolejową pomiędzy Buffalo, a Detroit—na gruncie kanadyjskim: przy Detroit jezioro św. Klary, z niego wprost na południe wypływa kanał szeroki, wpadający do jeziora Erie i odgraniczający posiadłości kanadyjskie, na przeciwległym brzegu tego kanału leży Detroit, przez któreśmy przejeżdżali. Wiem o tem z pewnością, zajął mnie bowiem mocno ów prom, co przewiózł cały długi pociąg z jednego brzegu na drugi. W Detroit zatrzymaliśmy się nie dłużej, jeno tyle, ile czasu potrzeba było na pozostawienie podróżnych wysiadających i zabranie wsiadających.

XI.

Chicago!... ah, Chicago!... Dobiłem się nareszcie do celu podróży mojej. Ogarnęło mnie z racyi tej uradowanie wielkie, skutkiem którego, gdym się pod przewodem ob. Nowaka wydobył z ciżby towarzyszków podróży i znalazł wśród oczekujących na przybycie nasze spółziomków, poczułem potrzebę nieprzepartą uściśnięcia z nich każdego z osobna. Nie znalazłem żadnego, z wyjątkiem syna mego, którego napróżno oczami szukałem. Nie było go. Pierwszym, co mi się pod rękę nawinął, był ob. Jabłoński, Prezes Związku Narodowego Polskiego. Korespondowałem z nim i na tej drodze poznałem go ze strony spółnictwa pomiędzy nim, a mną w uczuciach, przekonaniach i w politycznych poglądach na sprawę polską. Rzuciłem się na niego, celem wykazania mu dotykalnie mocy uradowania mego, i kto wie, jakby szanowny prezes na tem był wyszedł, gdyby mi z objęć nie wydarł go dużego wzrostu drab, przestrzegacz porządku publicznego. Tak dobitnie i z takim giestem wyhuknął on nam rozkaz opróżnienia miejsca, żem po naszymu (z dubeltówki) ucałować dostojnego prezesa nie zdążył.

Wynieśliśmy się z dworca co rychlej — ach! — do pojazdów. Spylony przez policyanta, jużem się ani opierał, ani wypraszał, oddałem się na wolę łaskawych, co po mnie przyszli, dałem się do powozu wsadzić i zawieźć nie na kwaterę, którą dla mnie syn u siebie był przysposobił, ale do jakiejś bardzo eleganckiej jadalni, w której, w liczbie osób dwudziestu, może trzydziestu, zasiedliśmy do posiłku. Spółbiesiadnicy przedstawiali się mi, ale tak czułem się znużonym i zbolalym, że uwagę moją na sobie zatrzymała postać jednego tylko Dra Leona Sadowskiego, Cenzora Związku Narodowego Polskiego, zarazem Komisarza Głównego Skarbu

Narodowego Polskiego (*), i drugiego — redaktora *Zgody*.

W Buffalo była mowa, że z Drem L. Sadowskim zjedziemy się w Detroit, i bylibyśmy się zapewne zjechali, gdyby pociągu, co nas wiozł, kilkugodzinne nie spotkało spóźnienie. Nie wszyscy o spóźnieniu wiedzieli. Wieść się rozeszła, że przyjechał linią innej kompanii i stanął w hotelu, którego nazwy nikt wymienić nie umiał. Wieść ta zbałamucila syna mego, który podczas, kiedy w wieczerał, obiegał hotele i o mnie się dopytywał. Nieobecność jego dziwiła mnie, dziwiła też i innych, gdy powiedział, że był specjalnie o mojem przybyciu zawiadomiony. Wydawało się to rzeczą zagadkową.

Zagadka rozwiązała się w Domu Związkowym, dokąd po wieczery zawiózł mnie sz. prezes i gdzie wręczył mi kilkanaście telegramów, przesłanych do mnie z różnych miejscowości pod adresem Domu (102-104, W. Division str.). Wśród telegramów tych znalazł się telegram, wysłany z Buffalo do syna mego, mieszkającego o kilkanaście numerów dalej przy tej samej ulicy. Zmyliło to, tak posłańca telegramy roznoszącego, jako też tego, co w Domu Związkowym telegramy przyjmował, i stało się powodem bałamuctwa, dzięki któremu syn mój nie rychlej, aż około godziny pierwszej po północy, zdyszany i zrozpaczony, do mieszkania swego powrócił, gdzie mnie w łóżku zastał. Łatwo się domyślić, jaką z racji tej była i jego i moja radość.

Od Nowego-Yorku do Chicago podążałem ze zwiększającym się z dniem każdym upragnieniem. Pragnąłem—w sprawach publicznych—dostać się do ogniska życia wychodztwa naszego w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej; obok tego przejmowało mnie pragnienie osobiste — pozbycia się lombaga. To ostatnie na pierwszy wysunęło się plan. Po przywitaniu się z synem i wyjaśnieniu

(*) Najpierwszym w Stanach Zjednoczonych Komisarzem Głównym Skarbu Narodowego Polskiego był ob. Erazm J. Jerzmanowski. Ob. Jerzmanowski ustanowił na stany i na miasta znaczniejsze Podkomisarzy (Podskarbach). Po przeniesieniu się jego do Europy, komisarstwo główne objął ob. F. H. Jabłoński i dzierżył je, póki Sejm, uchwałą specjalną, funkcji tej nie powierzył każdorazowemu Cenzorowi. Pierwszym wskutek tej uchwały Komisarzem był ob. T. M. Helinski, po nim został Dr. Leon Sadowski.

powodu balamuctwa, dzięki któremu zbiegał się biedak po mieście, zapytałem go o Dra Midowicza i, dowiedziawszy się, że to lekarz dobry i człowiek zacny, poprosiłem, ażeby go nazajutrz do mnie zaprosił z narzędziem do wypiekania ciała wzdłuż dolnej kończyny kości pacierzowej. Prośbie tej zadość się w połowie tylko stało. Szanowny doktor przyszedł nazajutrz, ale bez instrumentu, którego użycia wręcz mi odmówił.

— Za nic ! . . .

Prosiłem; świadczyłem się operacyami, dokonanemi na mnie z powodzeniem zupełnem przez dwóch lekarzy, profesorów uniwersytetu. Dr. Midowicz żadnym przekonać się nie dał argumentem. Nie przepisał mi salicylatu nawet. Zamiast tego wszystkiego—masaż, — masaż dwojaki: przez nacieranie, oraz przez dawanie klapsów w miejsca, na których pozostały blizny po rozpalonem do białości żelazie. Zalecił przytem miejsca te latem i zimą osłaniać futerkami. Chcąc niechcąc, musiałem się do przepisów doktora zastosować i poddać otrzymywaniu od syna co wieczór, przed pójściem do łóżka, klapsów, zrazu nie bardzo mocnych, następnie coraz mocniejszych i mocniejszych, na końcu bardzo mocnych. Chodziło o pokonanie bólu bolem, na czem również polega leczenie tej choroby za pomocą wypiekania. Masaż ma ją z organizmu wypędzać gruntownie. *Avis aux intéressés.*

Leczyłem się, rozglądałem i rozpoznawałem. Nie miasto mnie obchodziło, ale ludzie—i to nie wszyscy: nie-Polacy o tyle tylko, o ile w styczności z Polakami byli. Chodziło mi przedewszystkiem o styczność polityczną; ponieważ jednak z nią łączą się, jej służą, albo nią się posługują sprawy rozmaite, więc i sprawy owe moją na siebie ściągają uwagę. Przedewszystkiem atoli ludzie najbliżsi mi przekonaniami i uczuciem, znajdujący się nie gdzieindziej, jeno w szeregach Związku Narodowego Polskiego, organizacyi świeckiej polityczno-społecznej, przez nich stworzonej, ich dziełem będącej, a zatem o nich, o ich wartości i przydatności świadczącej, —ci ludzie, w odniesieniu do organizacyi owej, zajmowali mnie najbardziej. Z nimi obcując, o nich, a przez nich o ich dziele, nabierałem pojęcia, z którego wobec publiczności polskiej w Starym Kraju sprawę zdać winienem.

W Starym Kraju, to jest na gruncie polskim w zaborach oraz wśród wychodźstwa w Europie, uwaga na wychodźstwo nasze w Stanach Zjednoczonych zwraca się— że tak powiem — od niechcienia. W czasach ostatnich zajęcie żywsze rozbudziło było wychodźstwo do Brazylii. Reklamowano je z naciskiem, nie koniecznie usprawiedliwić się dającym, skazując lekkomyślnie na rzecz jego na zagładę instytucje polskie, posiadające rację bytu na miejscu istnienia swego. O wychodźstwie zaś w Stanach Zjednoczonych prawie zapominano—i zapomniano by o niem zupełnie, gdyby od czasu do czasu nie pojawiały się o niem korespondencje w wielkopolskich organach klerykałnych i w *Kraju* petersburskim. Pierwsze dawały folgę oburzeniom zarówno na herezję niezależnych, jakoteż na heretyzm Związkowców, przedstawiając jednych i drugich za *ambo meliores*; drugi (*Kraj*) zajmuje się polskiem wychodźstwem w Ameryce Północnej bądź dla tego, ażeby publiczność polską zawiadamiać ewentualnie o rzeczach takich, jak np. kradzież Skarbu Narodowego, z którego nigdy jeden centym skradzionym nie został, bądź dla wykazywania konieczności (*konieczność* jest ulubionym konikiem ugodowców) wynarodowienia się i zaprzepaszczenia emigracji polskiej w anglo-saskim świecie. Zaczemu temu organowi pewnej części wychodźstwa polskiego w Petersburgu chodziło i chodzi o zdyskredytowanie emigracji polskiej na Zachodzie i za oceanem, celem pozbawienia jej w sprawach polskich głosu— głosu, który, wychodząc ze środowiska nie pozostającego pod polityczno-pedagogicznym austro-prusko-moskiewskim naciskiem, nie mógłby być innym, jeno anti-ugodowym, powołującym do obrony czynnej, do przysposabiania materiałów dla odzyskania bytu utraconego. To jedno pismo, luboć w duchu, do którego się redaktor jego przyznał w ogłoszonym niedawno memoryale (1), interesuje się wychodźstwem polskiem w ogóle oraz w Stanach Zjednoczonych i podaje o niem wiadomości. Dla pism krajowych innych, wstecznych i postępowych, konserwa-

(1) Patrz: « *Zasługi petersburskiego «Kraju» wobec Rosyi, jej rządu i dynastyi* », Kraków, 1901, str. 29-30.

J. Durski,
188 Pierre Ave., Garfield, N. J.

— 81 —

tywnych i liberalnych, nie istnieje ono. Prawda, że przeszkadza im w tem tu cenzura, ówdzie prokuratora (1), jednak i na jedną i na drugą znalazłyby się sposoby, gdyby nie zbyt liczne zaparflanianie się w zaborach, nie dopuszczające działaczom polityczno-patriotycznym do wyglądania przez okienko własnej, przez austro-prusko-moskiewskich policyantów strzeżonej chałupy, na świat szerszy, bodaj dla rozpoznawania pól, na których z korzyścią działać by można dla sprawy polskiej.

O jednym z pól takich winienem zdać sprawę — jakem się wyraził powyżej. Sprawozdanie to moje rozpocznę od rzutu oka na dzieło, którego wychodztwo nasze dokonało, wytwarzając wśród siebie organizację poważną, świecką, zapewniającą członkom korzyści materialne, oddziaływującą na nich moralnie, oraz zaznaczającą przynależność do opuszczonej przez nich Ojczyzny i ich względem Niej obowiązki. Zadanie, jakie wychodztwo to na siebie wzięło, poznać się da w wykazie celów, zawartym w artykule II Konstytucji, ułożonej, prawnie na sejmie nadzwyczajnym w Chicago w dniach 19-24 Marca r. 1900 zawotowanej, i przez « komisarza od asekuracji » w rządowe uznanie (*Charter*) zaopatrzonej. Artykuł ów brzmi jak następuje :

« Cele, dla których ta organizacja (Związek Narodowy Polski w Stanach Zjednoczonych Północnej Ameryki) jest założona, są następujące :

1. Szerzyć przyjaźń, jedność i prawdziwą miłość chrześcijańską wśród jej członków.

2. Zapewnić wypłatę benefitów w razie kalectwa lub śmierci, wynikłych wskutek choroby lub wypadków. Wypłata tych benefitów powinna we wszystkich wypadkach zależeć od zastosowania się członka do konstytucji, reguł i praw tego Związku.

3. Zapewnić pomoc członkom chorym i strapionym, oraz ich rodzinom.

4. Popierać członków pod względem moralnym, społecznym i intelektualnym.

5. Rozwijać patriotyzm wśród jej członków, oraz podnosić i wzmacniać umysłowo, społecznie i materialnie tę część ludności Stanów Zjednoczo-

(1) Za zamieszczanie wiadomości o podróży mojej ulegały konfiskacie dzienniki w zaborze austriackim.

nych, która zrodziła się na ziemiach Polski, Litwy i Rusi, jak również jej potomków.

6. Upamiętniać odpowiednimi obchodami główne rocznice polskich wypadków narodowych, podtrzymywać i rozwijać wszelkimi honorowymi sposobami ducha narodowego ludu polskiego.

7. Związek Narodowy Polski w Stanach Zjednoczonych Północnej Ameryki jest i ma być wiecznym uosobieniem protestu przeciw systematycznemu wysiłkom tępienia języka polskiego, zwyczajów, swobody politycznej i wolności sumienia w granicach Rzeczypospolitej Polskiej z roku 1772 przez ciemiężycieli europejskich.

Zadanie Związku podstawowe wyłuszcza punkt 2; w punkcie 5 jest mowa o rozwijaniu patriotyzmu obywateli Stanów Zjednoczonych, przybyłych z Polski; punkty 6 i 7 do Polski się zwracają wyraźniej nieco, lecz powinnościom względem niej nadają charakter życzeniowy i protestacyjny. We wszystkim tem nie ma właściwie kierunku politycznego, przebija się on jeno uczuciowo, jako wskazanie zaprogramowe, zobowiązujące moralnie, to jest, zobowiązujące tych tylko, co się zobowiązać chcą.

Organizacja polska, coby sobie takie tylko, jak w powyższych siedmiu punktach, wytknęła cele, zadowolnić by nie mogła Polaka rzetelnego. Następnie Konstytucja zawiera same rzeczy porządkowe w artykułach trzydziestu siedmiu, stanowiących ramy organizacyjne. Z nich dowiadujemy się, że składowemi częściami Związku są grupy, do których, w liczbie najmniej jedenastu członków płci obojej, wchodzić mogą Polacy, Litwini i Rusini dobrem cieszący się zdrowiem i liczący lat nie mniej jak 18, nie więcej jak 60. Wiek i stan zdrowia poświadczonymi być winny urzędowo. O moralnych i intelektualnych kwalifikacyach członków, o ich społecznych i politycznych przekonaniach i religijnych wyznaniach, jako o warunkach przynależności do Związku, Konstytucja milczy; natomiast nadaje im prawa i wkłada na nich obowiązki. Prawa polegają na wyborach Zarządów dla grup—przez członków każdej z osobna, oraz dla Związku — przez delegatów od grup, zjeżdżających się, w wybranej na ten cel z góry miejscowości, co dwa lata w miesiącu Wrześniu, lub Październiku, na Sejm zwyczajny, zwany « walnym », którego trwania nie oznacza Konstytucja;

wedle przyjętego jednak zwyczaju trwa on nie dłużej, jak dni trzy. Sejm jest ciałem obradującym — prawodawczem: kontroluje Zarząd poprzedni i odbywa rewizję Konstytucyi, którą, stosownie do uznania większości członków Sejmu, poprawia, uzupełnia, zmienia.

Obowiązki członków Związku, oraz obowiązki grup dotyczą głównie stosowania się do przepisów konstytucyjnych odnośnie do uiszczania się z wpłat, idących, obok utrzymania Związku, na wypłaty członkom ubezpieczeń, zwanych « pośmiertnem ». Wpłaty wstępne, jakoteż opłaty podatkowe regulują się wedle wieku członka i wysokości ubezpieczenia. Ubezpieczenia są trojaki: na dolarów 300, na 600 i na 900. Najmniej płacą członkowie nie liczący lat 25, najwięcej od lat 45 do 50. Te opłaty i wynikające stąd wypłaty stanowią podstawę bytu Związku.

Związek, pozbywszy się w r. 1895, na Sejmie w Cleveland, opieki klerykalnej, wystawił się był na pociski, które mu wielką przyniosły korzyść. W krzyżowym ogniu napaści i oszczerstw hartował się niby stal, zaciepiany bronił się, kontrolowany ze z góry powziętem postanowieniem wyszukania w nim stron słabych i ujemnych, nadużyć, występków, ba zbrodni nawet, — na ustawicznej mieć się musiał baczności w administrowaniu powierzanych mu funduszów. Skutkiem niesłusznych zarzutów, oskarżeń, potępiań i ciskanych nań nawet z przed ołtarzy klątw, — słowem, prześladowań — Związek pozyskiwał zaufanie, wzrastał w liczbę i w zasobność, doskonaląc urzędy sprawujące interesy jego w grupach i w Związku samym. Stało się ze Związkiem mniej więcej to, co z ludnością polską w zaborze pruskim, w której prześladowania rozbudziły patriotyzm polski.

Urząd, sprawujący interesy związkowe, wybierany co dwa lata na Sejmie, nosi nazwę: Zarządu Centralnego. W skład Zarządu Centralnego wchodzi: Prezes, Wice-Prezes, Sekretarz generalny, Kasjer i pięciu Trustysów (wierników), razem osób dziewięć. Doliczyć tu należy, nie posiadającego głosu rozstrzygającego w Zarządzie, lecz pełniącego funkcję ważną i przez Sejm obieranego: Redaktora organu urzędowego, *Zgody*. Z urzędników tych

jedni—Prezes, Sekretarz, Kasyer, oraz Redaktor — stałą, oznaczaną na Sejmach, pobierają pensyę, składając (z wyjątkiem Redaktora) również na Sejmach oznaczaną kaucyę; inni pobierają wynagrodzenia od obecności na posiedzeniach. Opłacani są również pracujący po biurach urzędnicy niżsi, zecerzy, obsługa w Domu Związkowym, bibliotekarz.

Art. VI, § 8 opiewa :

« Żaden z urzędników Związku, pobierający pensyę wyższą nad 600 dolarów rocznie, nie ma prawa przyjmować innych obowiązków, któreby zabierały mu czas potrzebny do pełnienia obowiązków związkowych » (*).

Jeszcze o jednym urzędzie ważnym, nad Związkiem czuwającym, wspomnieć należy. Na sejmach delegaci grup wybierają Cenzora i czterech Wice-Cenzorów. Cenzora funkcją jest dozоровanie Zarządu Centralnego. Współ z Wice-Cenzorami wchodzi on do Wydziału Apelacji i Zażaleń, przyjmującego i rozstrzygającego skargi i odwoływania się do Zarządu Centralnego Grup i członków pojedynczych.

Nie wchodzącym do Zarządu urzędnikiem jest Naczelny Lekarz Egzaminujący, zobowiązany przeglądać świadectwa lekarzy egzaminujących w grupach. Dobre zdrowie stanowi warunek niezbędny dla kandydatów, podających się do Związku o ile mają oni korzystać z przywilejów ubezpieczeniowych.

Konstytucya nie obejmuje wszystkich do Związku wkluczonych instytucji, jak np. Wydziału Oświaty, Skarbu Narodowego i in. Pochodzi to stąd, że wobec rządu krajowego Związek występuje w charakterze towarzystwa ubezpieczeniowego (asekuracyjnego), jako taki pozostaje pod dozorem rządowym i jest przed rządem odpowiedzialnym za stan funduszków i za użytek, na jaki

(*) Konstytucya związkowa wyznaczając urzędnikom wyższym skromną i nieproporcjonalną (niższą Prezesowi, aniżeli Sekretarzowi) pensyę, zabraniając im przytem przyjmowania obowiązków postronnych, krzywdzi Związek, uniemożliwia bowiem ludziom zdolnym, a niezamożnym oddawanie mu usług. Wybrany na Prezesa w r. 1899 ob. F. H. Jabłoński, człowiek ze wszech miar acny, rozumny i w Związku zasłużony, zrezygnować przed czasem musiał ze względu na rodzinę, nie znajdując w pensyi prezesowskiej (dolarów 500) środków do zaspokajania jej potrzeb.

je obraca. Z racyi tej w Konstytucyi o Skarbie Narodowym następująca tylko przy końcu znajduje się wzmianka :

« Wszelkie fundusze, nie należące do funduszków rezerwowego i pomsierznego Związku Narodowego Polskiego, mają przejść w razie rozwiązania tegoż Związku na rzecz Skarbu Narodowego Polskiego. »

(Art. XXXVII, Uchwały nie paragrafowane).

XII.

W rozdziale poprzednim Związek Narodowy Polski w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej (takim jest tytuł jego urzędowy) nazwałem organizacją świecką, polityczno-społeczną. Wedle Konstytucyi, której zarys dałem, organizacja owa świecką jest i społeczną, co się atoli polityczności jej tyczy, to tę twórcy Konstytucyi w takim postawili cieniu, że o niej wątpić by można. Tak by być mogło, gdyby Konstytucya stanowiła wyłączne organizacyjne wiązanie. Została ona jednak ułożoną, uchwaloną, do przepisów prawnych przystosowaną i pod dozór rządowy oddaną przeważnie celem zabezpieczenia funduszków ubezpieczeniowych. Czuwa nad nią specjalnie komisarz rządowy, który by nie pozwolił na mieszanie *sacra cum profanis*—instytucyi asekuracyjnej z niemającymi z nią najmniejszej styczności przekonaniem, poglądami politycznymi i wyznaniem patriotycznymi. Tego by nie dopuścił żaden wyłącznie do spraw pieniężnych przystawiony urzędnik, nie dopuściłby tembardziej, że zaparagrafowana urzędownie z takim dodatkiem politycznym przez Polaków ułożona ustawa miałaby ze strony Stanów Zjednoczonych znaczenie wyzywające w odniesieniu do Austrii, Prus i Rosyi, mocarstw, z którymi Stany w przyjaznych pozostają stosunkach. Byłoby to i niepolitycznie i niedyplomatycznie. Rząd sankcyonować by nie mógł Konstytucyi, zawierającej w sobie zobowiązanie walczenia o niepodległość Polski, a nawet udzielania walce tej pomocy w pieniądzech (Skarb Narodowy). Dla tego Konstytucya legalna, w sankcyę rządową zaopatrzona, mate-

ryi tej dotyka ubocznie, ciepławo, z punktu obywatelskości amerykańskiej.

Nie mniej przeto Związek Narodowy Polski jest organizacją polityczną, wyznającą przekonania demokratyczne, przejętą gorącym patryotyzmem polskim, i do tego na całkowicie legalnym stojącą gruncie.

Na legalnym stoi ona gruncie dzięki swobodom, jakie prawa w Stanach Zjednoczonych zapewniają nie tylko obywatelom krajowym, ale przybyszom, cudzoziemcom. Zabraniają one wykraczać przeciwko uznanym powszechnie regułom etyki, porządkującym stosunki społeczne. Ludzie wprawdzie umieją obchodzić reguły, ściśle się do litery prawa stosując, jak widzieliśmy to w nabywaniu gruntów pod kościoły rzekomo polskie; lecz sztuczki podobne, świadczące o niedoskonałości dzieł ludzkich, nie świadczą zgoła przeciwko swobodom amerykańskim.

Na gruncie Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej każdemu wolno zakładać stowarzyszenia, zwoływać zgromadzenia, wyrażać opinię swoją ustnie i na piśmie i posilkować się wszystkimi w kodeksach moralności zaznaczonymi sposobami, służącymi do zapewnienia stowarzyszeniom, zgromadzeniom, opiniom powodzenia w dopięciu wytkniętego celu. A ponieważ wolność ta pozostaje pod opieką praw krajowych, zatem, na co one pozwalają, to na prawnym, na legalnym stoi gruncie — na legalnym tak dalece, że zobowiązań względem stowarzyszeń (związków, zjednoczeń, unii, i t. p.) powziętych, a niedotrzymanych dochodzić można drogą procesu. Wszelkie np. zrzeszone wyznania religijne są, w oczach praw amerykańskich, stowarzyszeniami, używającemi swobody na równi np. z anarchistami, o ile ci ostatni nie gwałcą ustaw, normujących stosunki społeczno-polityczne i regulujących zasadnicze wymagania moralności. Za przekroczenia podlegają karze indywidua, ale nie stowarzyszenia (*).

(*) Przed laty anarchistów kilku żywot za wyrokiem sądowym na szubienicy zakończyło. Grupy ich jednak, w dwóch czy trzech miastach istniejące, nie-
tknięte pozostały. W Nowym-Yorku anarchiści jawnie zbierają się, obradują,
ćwiczą się w sztuce zamachowej na manekinach, wyobrażających cesarza nie-

Mormoni do odpowiedzialności pociągani bywają za wielożeństwo tylko, nie zaś za zamiar założenia królestwa bożego na ziemi, zamiar w gruncie z etyką nie pozostający w sprzeczności, jak z punktu moralności jest teoretycznie dopuszczalnym marzony przez anarchistów porządek w świecie bez monarchów, prezydentów, parlamentów, policyantów i wszelakich obecnie panujących lub urzędujących przestrzegaczy porządku. Ponieważ jednak środki przedsiębrane dla dopięcia tych celów pozostają w rażącej sprzeczności z pojęciami potocznej moralności, przeto jedni, za realizowanie królestwa bożego na ziemi za pomocą wielolicości małżonek, narażają się na dłuższe lub krótsze więzienie, drudzy, za porządkowanie świata ziemskiego za pomocą wyprawiania na tamten świat przestrzegaczy obecnie istniejącego porządku, narażają się na szubienicę. W jednym i drugim wypadku w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej do odpowiedzialności wobec prawa pociągane są środki, nie cele, zarzut nielegalizmu spada na jednostki, nie na stowarzyszenia, — z wyjątkiem, rozumie się, szajek zbójceckich, band opryszków i rzezimieszków, i t. p. stowarzyszeń.

Stowarzyszenia zawiązują się; o zawiązaniu się zawiadamiają władzę: na tem polega całkowicie ich legalizacja. Tak się zawiązują parafie, sekty, tak się zawiązywały związki Fenianów, związki wyzwolicieli Kuby z pod panowania hiszpańskiego, którzy wyprawy orężne na własne przedsiębrali ryzyko, tak powstają związki przyjaciół Burów, walczących przeciwko Anglii. Władza do działalności ich nie wtrąca się i w nią nie wgląda — chyba, iż same tego zażądatają, poddając się w razie takim kontroli rządowej. Tak uczynił Związek Narodowy Polski, jako instytucja ubezpieczeniowa. Jako zaś stowarzyszenie polityczne uznania oficjalnego nie potrzebował. Uznanie znalazło się samo, tak na zewnątrz, jak wewnątrz.

mieckiego, cara moskiewskiego i innych mniejszego kalibru berlonośców. W obradach ich i ćwiczeniach udział biorą ajenci rządów europejskich, zawiadamiający kogo należy o każdym wyruszeniu anarchisty w zamiarze królobójczym do krajów, uszczęśliwionych panowaniem Wilhelma, Mikołaja i im podobnych. Często zawiadomienie jest wynikiem zbytnej gorliwości ajenta, nie przeszkadza to jednak temu, że na Wilhelmach skóra cierpnie.

Na zewnątrz — ze strony władz stanowych, oraz władzy państwowej w Stanach Zjednoczonych — znalazło się ono nie tylko z tej racyi, że je do tego prawa krajowe zmuszają, ale i z tego powodu, że żaden interes nie przeszkadza Amerykanom w sprawie, reprezentowanej przez spółziomków Kościuszki, Pułaskiego, widzieć sprawę noszącą na sobie cechy wysokiej moralności. Jaki, przez Moskwę, Niemcy, Austryę nie opłacany (są tacy, niestety) Amerykanin śmiałyby temu zaprzeczyć? Który z Amerykanów odważyłby się zaproponować rządowi zgwałcenie w odniesieniu do wychodztwa polskiego praw krajowych za pełnienie najszczytniejszej z cnót — za miłość Ojczyzny?

Legalnie tego uczynić nie można; przeciwnie, uznać należy zupełną prawowitość organizacji, dołączającej, drogą uchwał sejmowych, do wymienionych w Konstytucyi zobowiązań ubezpieczeniowych, nie tylko wydatki na szerzenie w Ameryce oświaty w duchu polskim (stypendya, konkursy, czytelnie ruchome i t. p.), ale i datki na zasilanie w Europie, na gruncie polskim, walki o byt narodowy, walki poręczającej odzyskanie w bliższej lub dalszej przyszłości niepodległości politycznej. Robi się to pod opieką władz miejscowych, jawnie, otwarcie, głośno; dyskutuje się o tem na Sejmach, publikuje i polemizuje w dziennikach; najwyższy urzędnik Związku Narodowego Polskiego, Cenzor, jest, na mocy uchwały sejmowej, Komisarzem Głównym Skarbu Narodowego Polskiego na Stany Zjednoczone Ameryki Północnej. Zaznacza to łączność tej organizacji z organizacją Związku Wychodztwa Polskiego w Europie, nie mającą nic z żadnem ubezpieczeniem życiowem do czynienia, ale za to mającą na celu niepodległość Polski i obowiązek prowadzenia agitacyi na rzecz Skarbu Narodowego. Władze amerykańskie o tem wszystkim nie tylko wiedzą, ale czynny w tem biorą udział.

Organizacyi polskich w Stanach Zjednoczonych naliczyć by się dało bardzo dużo; poważniejszych atoli jest kilka, wśród tych zaś żadna tak dobrze, pod względem mianowicie finansowym, jak Związek Narodowy Polski nie stoi. Zwiększona już od czasu mego w Ameryce pobytu liczba członków Związku wynosi, według za-

mieszczónego w *Zgodzie* sprawozdania z d. 1 sierpnia 1901 roku, 29.480 członków, z tych 28.755 ubezpieczonych i 725 nieubezpieczonych. Majątek Związku w gotówce i w nieruchomościach (dom oceniony na 34.606 dol. 94 ct.), wynosił d. 1 sierpnia 1901 r. t. j. w niespełna rok po wyjeździe moim — dol. 148.779 ct. 58, w tej liczbie funduszu rezerwowego dolarów 79.592 ct. 44. Stan ten przeto zupełnie się przedstawia pomyślnie. Wśród grup trafiają się takie, w których końce schodzą się zaledwie, w ogólności atoli panuje mierny dostatek, pozwalający na składanie w bankach nadwyżek dochodów nad rozchodami, nadwyżek, dosięgających w poważnych liczebnie i dobrze administrowanych grupach wysokości dol. 1.000—wyżej nawet.

Ze względu na pomyślny stan Związku wśród związkowych panować by powinno zadowolenie. Ba!... Zadowolenie by panowało, gdyby na przeszkodzie nie stawała natura ogólnie ludzka, nie poprzestająca na tem co jest, chociażby to najlepszem być miało. Przedmiotem niezadowolenia zawsze i przedewszystkiem jest naturalnie Zarząd Centralny. Wynika to stąd najprzód, że pochodzi on z wyborów, wypadających nadzwyczajnie rzadko jednomyślnie. Bezpośrednio przeto po wyborach niezadowolona czuje się mniejszość, której kandydaci nie przeszli.

Niezadowolenie, poruszając miłość własną, wywołuje potrzebę usprawiedliwiania się, gwoli którego chwyta się pierwszego lepszego pretekstu. Lat temu kilka dla pretekstu podobnego jeden ze związkowców wywołał głośną w Domu związkowym awanturę, został obity, proces wytoczył i przegrał. Przyjazd mój do Chicago wypadł po świeżem zakończeniu procesu, wytoczonego Zarządowi za nieprawne jakoby wydanie paru tysięcy dolarów na kupno prasy drukarskiej. Proces ten również pozywający przegrali, pokazało się bowiem, że Zarząd do zrobienia wydatku tego został upoważniony przez Sejm nadzwyczajny, który formalnie uznał potrzebę prasy nowej ze względu na to, że stara, rozbita, nie do użycia już była.

Czepianie się byle o co jest na porządku dziennym, zwłaszcza wśród grup rozlokowanych w stanach wschodnich, wzdłuż wybrze-

zy atlantyckich. Niechęć ku Zarządowi Centralnemu ogniskuje się przeważnie w Filadelfii i z Filadelfii się wypromienia, a powodem tego ta jest okoliczność, że Związek przez Andrzejkowicza, Lipińskiego, Popielnickiego i dwóch jeszcze, których nazwiska z pamięci mi wypadły, tam założonym został. Tam również, w tej pierwotnej Stanów Zjednoczonych stolicy, w tym Krakowie amerykańskim, za sprawą Agatona Gillera, zaświtała dla polskiego w Ameryce wychodźstwa idea Skarbu Narodowego Polskiego. Zainstalowanie przeto stolicy związkowej w Chicago, przytwierdzenie jej do bruku tego miasta przez zbudowanie w tej metropolii nadmichigańskiej murowanego Domu Związkowego, uważanem jest przez zamieszkałych w Filadelfii związkowców za nieposzanowanie kolebki związkowej, za ubliżenie zarówno pamięci założycieli, jak sobie; mówiąc o krzywdzie tej dają nawet do zrozumienia, że przy głosowaniu w kwestyi pobytu Zarządu większość osiągnięta została podstępnie. Stąd Filadelfianie w odniesieniu do Zarządu są malkontentami bądź co bądź. Oni to wywołali i głównie popierali proces o drukarnię, którego przegranie jeszcze ich gorzej dla Chicago usposobiło.

Mimo przeto pomyślność, z jaką się Związek rozwija, w łonie jego nurtują niezadowolenia. Jedno z nich zauważyć mi się dało u kobiet, które Konstytucya z r. 1900 zrównała z mężczyznami we względzie pośmiertnego. Dawniej kobiety nic nie płaciły i po śmierci męża otrzymywały pośmiertne całkowite, mąż zaś po śmierci żony dostawał połowę tego, co by ona po śmierci jego dostała. Wynikał stąd ciężar finansowy, potrzeba bowiem było za wkładkę 1 zwracać $1\frac{1}{2}$, wypłacając pośmiertne i za męża wkładającego i za żonę niewkładającą. Przytem znaleźli się spekulanci, którzy hojność tę ubezpieczeniową wyzyskiwać potrafili. Wyzysk w ten wyrażał się sposób, że ludzie młodzi po dwa, po trzy razy żenili się z kobietami, którym wiek i stan zdrowia wróżył prędkie światła tego pożegnanie, i za każdym razem pośmiertne po nich pobierali. Obecnie kobieta na równi z mężczyzną musi płacić wkładki i składać świadectwo lekarskie o stanie zdrowia. Wkładki jak wkładki, ale oględziny lekarskie mocno się niewiastom nie podobają.

— Ja tam... wedle tego—w obecności mojej rezonowała w materji pośmiertnego pewna matrona energiczna—płacić?—to płacić... Ale żeby mnie jakiś tam cyrulik oglądał, macał... a! nie... Na to nie pozwolę... Zasię mu do mnie!...

Mimo to Związek wzrasta.

Wzrastałby zapewne szybciej i szerzej, gdyby w masie wychodztwa umysły przysposobione były do zrozumienia korzyści asekurowania się na życie. Ci co by ją poinformować mogli, informują, ale w kierunku wręcz przeciwnym. Od nich nasi eks-włóścianie, przeistoczeni w suto płatnych wyrobników, dowiadują się, że związki, unie, bratnie pomoce i t. p. stowarzyszenia zawiązują złodzieje, którym o to tylko chodzi, ażeby ludzi skubać — nie o co innego.

— Chce ci się związku, chłopie?... masz związek w parafii: na co ci inny?... Pracuj, zarabiaj, na kościół płac: będzie ci dobrze na ziemi i na królestwo niebieskie zasłużysz...

Takie informowanie «chłopów» powstrzymuje masy nietylko od związków świeckich, ale i od religijnych (Zjednoczenie katolickie, Zjednoczenie Matki Boskiej Częstochowskiej, Unia i in.), z wyjątkiem bractw, do których garną się przeważnie kobiety pod przewodnictwem dewotek. Mężczyźni zarabiają, oszczędzają i grosz oszczędzony lokują jedni w bankach, inni — jakem poprzednio zaznaczył — u księży.

Wymienione powyżej w nawiasie organizacje są przeciwniczkami i spółzawodniczkami Związku — walczą z nim bronią niekoniecznie godziwą, którą się postugują wedle reguły, że «cel uświęca środki». Odznacza się, a raczej odznaczało się w tym względzie Zjednoczenie katolickie, które w pewnym momencie lepiej, aniżeli Związek stało. Podupało ono skutkiem—jak mi powiadano—z jednej strony wadliwej administracyi, z drugiej zbytycznej katolickiej wyłączności. Pozbycie się tej ostatniej wielce się do rozwoju Związku przyczyniło.

Związek r. 1895, na sejmie XI w Cleveland, szeregi swoje otworzył dla Polaków wszelkich religijnych i społecznych wyznań pod warunkiem opierania przekonań swoich na zasadach demokra-

tycznych i świadczenia czynem troski o niepodległość Polski. Czynna troska owa, znamionująca spólną dążność polityczną z tą w Europie i w Polsce organizacją polską, co «politykę obrony czynnej» uprawia, wyraża się za pomocą udziału, jaki Związek Narodowy Polski bierze w formowaniu funduszu, przeznaczonego na utrzymywanie w ciągłości walki o Polskę, znanego pod nazwą Skarbu Narodowego Polskiego. W warunkach, w jakich w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej wychodztwo polskie pozostaje, wśród okoliczności zachodzących w czasie obecnym, na tej jedynie drodze i w tym jeno kierunku może ono czynnie sprawie polskiej służyć.

Żeby rzecz o Związku zakończyć, dodam, że na wychodztwie w Ameryce nie stoi on w odosobnieniu. Przynykają do niego organizacje sokolskie, dużo śpiewackich, Związek młodzieży, Związki kobiece. Nawet parafie, pozostające pod zawiadownictwem księży świeckich, nie wszystkie wobec Związku się boczą. Wychodztwo ma zwyczaj poprzedzania nabożeństwem obchodów narodowych. Po sejmie clevelandzkim proboszcze wogóle udziału w obchodach odmawiali. Obecnie coraz częściej trafia się ksiądz, co nie tylko mszę na intencję Polski odprawia, ale i kazanie patryotyczne wygłasza.

XIII.

Poowacyach, jakich doznałem w miastach, w których się przed przybyciem do Chicago zatrzymywałem, przygotowany już byłbym na to, że w stolicy wychodztwa polskiego nie ominie mnie publiczne a urzędowe niejako przyjęcie. Jakoż — nie ominęło. W dniu oznaczonym, o godzinie wieczornej, zabrano mnie z mieszkania i powieziono krok za krokiem, powolnie, w otoczeniu towarzyszących piechotą tłumów, pod eskortą wojskową, przez miasto do sali, zwanej halą Kościuszki. Towarzyszyły nam tłumy; tłumy na nas czekały. Pochód zabrał bodaj czy nie więcej, aniżeli godzinę czasu

z racyi odległości dzielnicy, w której rzeczona hala leży, od dzielnicy, w której się wznosi Dom związkowy. W miarę jakśmy się posuwali, ludu przybywało, luboć nie wszyscy przyłączali się świadomie. Nie jednego pociągał widokjądącej ciżby. W mniemaniu niektórych manifestacya, odnosząca się do osoby mojej, znajdowała się w ścisłym związku z agitacyą, tyczącą się wyboru prezydenta Stanów Zjednoczonych.

— Co to?...—pytał jeden drugiego, widząc Polaków w pochodzie uroczystym.

— Nie wiesz?... A dyć to wiozą polskiego Bryana...

Bryan, który — jak wiadomo — stanął był jako współzawodnik Mac-Kinleya, objeżdżał w miesiącach wrześniu i październiku Stany Zjednoczone i wywoływał —urządzone przez stronników kandydatury jego — manifestacye, należące do rodzajów, kwalifikowanych *monstres* przez Francuzów. Amerykanie lubują się w manifestacyach na wielkie rozmiary. Wzięcie przeto pochodu, w jakim mnie przez Chicago prowadzono, za manifestacyę dla Bryana daje miarę parad, jakie polscy wychodźcy w Ameryce uważali za potrzebne szykować dla przyjęcia gościa ze Starego Kraju. Gościnność ich wzorowała się na zwyczajach miejscowych i nie mnie wyłącznie spotkała. Nie mniej gościnnie przyjmowani byli przedemną: prof. Dunikowski, ob. ob. Lewakowski i Balicki, ksiądz Wawrzyniak. Przyjechałem, rzecz można, na gotowe -- na zwyczaj już przyjęty dla czczenia gości w ogóle, dla uczczenia we mnie przez jednych pełnomocnika Ligi Narodowej i Związku Wychodźstwa, przez drugich demokratę, patriotę polskiego, pisarza znanego, żołnierza, przez innych... polskiego Bryana. A zdarzali się i tacy, co powiadali, że:

— Panowie sprowadzili sobie jednego takiego Polaka i pokazują go...

Tak manifestacye, przez osobę moją spowodowane, wómaczyły sobie niewiasty niektóre.

Nie brakło i takich, co mi radzi nie byli, — z tymi atoli spotkałem się później, i o nich w czasie swoim będzie mowa. Do przyjazdu mego do Chicago droga mi się, że tak rzekę, kwieciami słała. Na

przyjęcie mnie w Chicago hala zapełniła się po brzegi; drugie tyle przed halą stało i na wyjście moje czekało. Przyjęcie odbyło się wedle programu ogólnie dla okazji takich przyjętego: przedstawienia, mowy, wokalne i instrumentalne popisy, przytem upominki. Kupiectwo polskie z Bridgeportu (dzielnica) ofiarowało mi szczerozłotą, brylantami wysadzaną spinkę.

Co dospinek — na drugi, może na trzeci po mojem przybyciu dzień zauważyłem, że każdy, z kim się schodziłem, miał na piersi z lewej ~~strony~~ do odzieży przypięty medalion białawy, mniejszy trochę aniżeli ~~pięć~~ piątofrankówka, zaczerniony po środku jakimś wizerunkiem. Nie ~~obeszło~~ ani zaciekało mnie to. W parę dopiero dni później medalion ~~na~~ jakimś w oczy mi się zbliższy rzucił. Brwi się mi zfałdowały mimowolnie: ~~w~~ wizerunku poznałem siebie.

— A toż co!?... — z ust się mi wyrwało.

Mieli rację ci, co się we mnie Bryana polskiego domyślali, wzorując domysł wedle takich samych ~~znak~~ znaków, świadczących o uznawaniu kandydatów do krzesła prezydyjalnego. Stronnicy Mac-Kinleya i stronnicy Bryana wizerunki ich w medalionach na piersiach nosili.

I mnie podobne spotkało uczczenie — uczczenie, które tłum w hali gromadnym współczucia objawem mocno podkreślił.

W hali głos zabierali: D^r Sadowski, D^r Midowicz, ob. Czrzanowski (redaktor *Dziennika Narodowego*) i inni, — w końcu i ja.

Zabierałem był głos wszędzie poprzednio, ile razy przed zgromadzonymi tłumnie spółrodakami moimi stawałem. O przemówieniach moich nie rozpisywałem się dotychczas nie przez skromność, ale dla tego, że tak ze względu na formę, jak ze względu na treść nic o nich do powiedzenia nie miałem osobliwego. Rzymianie twierdzili, że «poeci rodzą się, mówce się robią». Nie urobiłem się na mówcę dla braku sposobności. Ochoty we względzie tym mi nie brakło, ale życie moje tak się ułożyło, że możliwość służenia Ojczyźnie otworzyła się dla mnie w pisarskim, nie zaś w krasomówczym kierunku. Na mównicy nie dopisywały mi ani płuca, ani frazesy; słuchaczy nie porywałem: niekiedy do przekonania im trafiałem. Trafianie do przekonania stałe mi w Ameryce dopi-

sywało dla dwóch racyi: poprzedziła mnie reputacya, czyniąca ze mnie ecce Polonus; z reputacyą tą wchodziłem na grunt pod nią właśnie uprawiony. Świadomi w rzeczach patriotycznych przyjmowali mnie, jak się przyjmuje nauczyciela, kapłana, wodza. Ten był powód, dla którego w Ameryce powodzenie sprzyjało mi jako mówcy. A — o czem mówiłem?

Osią, około której się mowy i przemówienia moje obracały, był Skarb Narodowy. Wykazywałem znaczenie instytucji tej dla sprawy obrony czynnej. Złatwością mi to przychodziło, najnieprzystępniejszy bowiem dla rozumowania umysł zrozumie, że do czynnej obrony przeciwko takim potężnym wrogom, jakimi są Moskwa, Prusy i Austria, potrzebne są środki — środki pieniężne — środki, które w Polsce, na gruncie, z konieczności rzeczy czerpią się z kapi-tału, nie pozostawiając zapasu na jutro. Konieczność stąd pochodzi, że trwająca ustawicznie walka ustawicznie w sposób naglący kosztła za sobą pociąga. Doświadczenie nauczyło nas, że prowadzenie walki za pomocą tak zużytkowywanych środków co moment ją zrywa i, przez urywanie co moment, więcej szkody, aniżeli korzyści sprawie naszej przynosi. Gdyby przodkowie nasi, którzy na obronę Polski, obok krwi przelanej, miliardy wydali, nie dawniej, jak sto lat temu Skarb Narodowy byli założyli — o ile by nam dziś różniej i pewniej szła obrona!... Tymczasem, nie myśląc o jutrze, o przyszłości, wszystko od razu na jedną stawialiśmy kartę, — i dla tego, po doznawanych niepowodzeniach przychodziła regularnie roz-pacz, następował upadek na duchu, który należało zwalczać przed rozpoczynaniem na nowo walki z wrogami.

Dla zapobieżenia temu na przyszłość, dla utrzymania obrony w ciągłości nieprzerwanej, założyliśmy Skarb Narodowy, na który fundusze ściągamy z datków, pochodzących z kraju i z po za kraju — zewsząd, gdzie jeno Polacy przebywają. Do wychodztwa polskiego w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej, wychodztwa liczego, zamożnego i wyswobodzonego z pod ucisku żelaznych dloni zaborców, zwracamy się w tej nadziei, że odczuje ono i zrozumie zarówno potrzebę walki obronnej na dziś, jak i potrzebę przysposobienia środków, celem zmienienia tej walki obronnej w zaczepną, gdy sposobna po temu nadejdzie pora.

W taki sposób, ściśle z prawdą istotną zgodny, a zdaje się jasny, wykladałem znaczenie Skarbu Narodowego.

Instytucya ta posiada przeciwników w Starym Kraju, posiada i w Ameryce. Później w opowiadaniu mojem nastęrczy się sposobność wyjaśnienia powodów sprzeciwiania się jej w ojczyźnie Washingtona. Na tem miejscu zaznaczę czyniony jej zarzut pierwszy, jaki do wiadomości mojej w Nowym-Yorku doszedł. Zarzut ów na tem polegał, jakoby fundusze skarbowe obracane były na stypendya, i to na stypendya dla młodzieży wyłącznie szlacheckiej. Do wykładu przeto o znaczeniu i o zadaniach Skarbu Narodowego dołączałem wykład o znaczeniu i zadaniu funduszów stypendyalnych, gromadzących się około legatu ś. p. Ostrowskiego a istniejących całkowicie odrębnie. Staralem się we względzie tym prostować opinie, bałamuconą przez ludzi, mających w tem interes, ażeby Skarb Narodowy nie istniał. Prostowałem mniemania i opinie. Czym sprostowałem? Na pytanie to twierdząco nie podejmuję się odpowiedzieć. W sprawie instytucyi skarbowej miałem do czynienia z przeciwnikami onej, nie wahającymi się posługiwać kłamstwem pobożnem. W materyi tej nieraz jeszcze w ciągu opowiadania mego zdarzy mi się okazać rzecz słowo. Na ten raz powiem tylko, że kłamstw kłamstwami nie zbijałem, z argumentami zaś jakoś sobie radziłem.

I tak :

Jednym z najpospolitszych i najpoważniejszych argumentów przeciw Skarbowi Narodowemu jest przeciwstawienie mu oświaty, jako oręża pewniejszego, aniżeli cokolwiek innego, w rzeczy obrony sprawy polskiej, a zatem na szkoły, nie zaś do Skarbu Narodowego składki zwracać się powinny. Na to innej nie miałem odpowiedzi, tylko, że oręż zależy od władającej nim ręki. Moskale szkoły zakładają na moskwiczenie, Prusacy na prusaczenie, Austriacy na austriaczenie Polaków. W szkołach tych otwierają się umysły młodzieży do pojmowania rzeczy, ale do umysłów tych nie są rzeczy polskie przypuszczane; rzeczy zaś moskiewskie, pruskie, austriackie nie tylko wprowadzane są ustnem i pisanem nauczaniem, ale oraz za pomocą obchodów politycznych i religijnych, modłów, ofiar wy-

muszanych, a dobrowolnemi zwanych, na upominki dla wrogów Polski, i sposobów wszelakich, mających na celu zniszczyć doszczętnie nawet pamięć o Polsce!

Spółceństwo polskie broni się przeciwko temu, ale dorywczo, nieporządnie, bez ładu i systemu. Instytucya skarbowa nadaje obronie to, na czym jej braknie, a mianowicie kierunek, ujęty w stałe organizacyjne formy, zapewniające ciągłość pamiętania Polaków o Ojczyźnie. Grosz każdy na Skarb Narodowy dawany przypomina dającemu takowy o istnieniu sprawy polskiej i o obowiązku bronięcia jej. Przypominanie takie szczególnie wielkie ma znaczenie w dozorowanych przez zaborców szkołach: grosik przez ucznia na Skarb Narodowy dany staje się dla pobieranej przezeń nauki tem, czym jest sól w podtrzymujących życie człowiecze pokarmach: czyni udzielaną przez wrogów wiedzę polskim, zdrowym pokarmem umysłowym. Proste datkowanie na Skarb zapewnia Polsce obrońców na dziś, na jutro, na zawsze.

Zdaje się, że argumenty powyżej przytoczone trafiły do przekonania słuchaczy. Pewny atoli jestem, że nie uzyskały one uznania większości wychodźstwa polskiego w Ameryce, ulegającego perswazyom, niedopuszczającym repliki. Według perswazyi tych upadek Polski jest dziełem woli bożej, której wyroki są niezbadane; od woli tej zależy odbudowanie Polski. W sprawie tej ludzie nie do czynienia nie mają. Patryotom nic nie pozostaje innego, tylko modlić się. Bóg ich wysłucha, jeżeli taką będzie wola Jego święta, a wysłucha tem pewniej, im Polacy służyć mu będą gorliwiej. Z tego wynika, że zamiast na Skarb Narodowy Polacy pieniądze dawać powinni na kościoły.

Na argumentowanie podobne, nieupoważniony przez Boga do przemawiania w imieniu Jego, nie do powiedzenia nie miałem. Dodać winienem, że ani razu do dyskusyi w materyi tej wyzwany nie był. O argumentacyi w sensie tym słuchy dochodziły mnie z boku, lecz w ciągu całego mego pobytu w Stanach Zjednoczonych nikt z ludzi świeckich ani z duchowieństwa mnie w materyi tej publicznie ani prywatnie nie zaczepił. Podobno w kwestyi tej zaczepka byłaby mnie nie ominęła, gdybym się był w Ameryce

w sprawie Skarbu Narodowego pojawił lat temu dwadzieścia. Czas do spółki z cywilizacyjnym wpływem otaczającego powietrza i ludzi tej miary, co Lipiński, Andrzejkiewicz, Gryglaszewski, Sadowski i inni, nie mało na drodze postępu zrobił.

Dzięki obrobieniu umysłowemu, jakiemu wychodźstwo polskie w Ameryce przez samo ocieranie się o społeczeństwo wolne i oświecone uległo, słuchacze rozumieli mnie, gdy im wykładałem, że Polska posiada dostateczne siły do odzyskania bytu utraconego; potrzeba jednak, ażeby siły te należycie uporządkowane, wyrobione, skupione i do oczekującej nas walki przysposobione zostały. Przysposobienie zarówno materialne, jak moralne, wymaga nakładu pieniężnego, skierowanego ku temu, ażeby się wewnątrz wszechstronnie uporządkować i na zewnątrz uzyskać kredyt polityczny. Kredyt polityczny, jak kredyt pieniężny, zdobywa ten, co pieniądze posiada. Zadanie przeto Skarbu polega nie tylko na przyczynianiu się do porządkowania się wewnętrznego na drodze obrony czynnej, ale oraz na gromadzeniu kapitału w monecie obiegowej, celem pozyskania kredytu politycznego. Kredyt posiada sprawa irlandzka, posiada sprawa żydowska, pobrząkują bowiem milionami; posiada jeszcze i sprawa Burów nie dla tego, że stary Krüger wedle wskazówek biblijnych kieruje polityką transwalską, ale ponieważ podejrzewanym jest, że oprócz funduszów, które ze sobą wywiózł, ma jeszcze w rozporządzeniu swoim ogromne, zakopane gdzieś w miejscu niedostępnem w Afryce południowej, kapitały. O! ileżby sprawa polska lepiej w świecie stała, gdyby Skarb Narodowy liczyć się począł na miliony...

Sprawa polska sama przez się, dzięki racjom etnograficznym, psychicznym, cywilizacyjnym, strategicznym, ekonomicznym, posiada wartość polityczną wielką, o czem dowodnie świadczą usiłowania zaborców wyrzucenia jej z pomiędzy spraw politycznych za jakąbądź cenę. Wrogowie Ojczyzny naszej wartość jej znają i oceniają. My zaś?... czy ją znamy?... Jakie znajomości jej dowody składamy?... W jakim stanie znajdują się przeznaczone na obronę jej fundusze?... Czyż szczupłość ich nie świadczy, że albo wartości sprawy własnej nie znamy, albo, znając ją, nie

dbamy o nią i przez to sami własnowolnie wartość jej w oczach świata do zera obniżamy?...

Czy takie traktowanie przez nas własnej sprawy nie upoważnia wszystkich na świecie cudzoziemców, Francuzów zwłaszcza, którym niegdyś za Ojczyznę wysługiwaliliśmy się, a którzy obecnie wysługują się wrogom naszym, do uważania i głoszenia sprawy polskiej za nieistniejącą, — za uśmierconą i pogrzebaną?...

Drogą zapytań powyższych do dwóch dochodziłem rzeczy :

1° do wytlómaczenia powodów, dla których, w sprawie Skarbu Narodowego, przez Ligę Narodową i Związek Wychodźstwa Polskiego w Europie do wychodźstwa polskiego w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej przysłany zostałem ;

2° do przedstawienia, według rozumienia mego, obowiązków Polaków wobec sprawy polskiej.

Co do punktu pierwszego, opowiadałem, że zorganizowanie czy to składkowania, czy datkowania, zwłaszcza zaś podatkowania na Skarb Narodowy, urządzić by się dało tylko wśród ludu uświadomionego, z którym by się otwarcie i głośno w materji tej rozmówić można było. Podobna w kraju możliwość bezwarunkowo nie istnieje. Lud w dziewięciu dziesiątych częściach swoich jest gorzej niż nieuświadomiony, bo uświadomiany przez wrogów sprawy polskiej na rzecz nie Polski, ale Rosyi, Prus i Austrii. Ażeby przeto z ludem tym, nieświadomym, a przytem ubogim, w ogóle w nędzy pogrążonym, o Skarbie Narodowym mówić można było, potrzeba go przedtem, mimo trudności ogromnych i przeszkód, przez policyjne szpiegowskie dozory na każdym kroku stawianych, ze sprawą polską oznajomić.

Działalność Ligi Narodowej w momencie obecnym zwróconą jest przeważnie na uświadamianie patryotyczne dziewięciu dziesiątych części ubogiego, a przez wrogów bałamuconego ludu, w czem część dziesiąta, oświecona, niecała, niestety, Lidze Narodowej w działalności jej pomaga. Nie pomaga jej ta gromadka « wyborowa », której działalność publiczna zużywa się w Monaco, na recepcjach u « najjaśniejszych », na balach « najwyższych » i — w razie najlepszym — na mecenasowaniu, jeżeli na to pozwala majątek,

literaturze, sztukom pięknym, i naukom, wreszcie na filantropijnych lub stypendyalnych zapisach pośmiertnych. Nie pomaga jej, w przeważniej swej części, warstwa przemysłem i kupiectwem się trudniąca dla nienarażenia się władzom, od których całkowicie a bezwzględnie zależy. Nie pomaga jej też znaczna część duchowieństwa dla tych samych, co przemysłowo-kupiecka warstwa, powodów. Przeszkadza, posuwając się aż do denuncyacji («szlachetna denuncyacja»), stronnictwo ugodowe, które się w czasach ostatnich skryształizowało w trójlojalizmie i wszelkich dośkłada usiłowań, celem pozabawienia Polaków raz na zawsze ochoty myślenia o Polsce i pracowania dla niej. Dla tych to powodów, wykladałem na zebraniach słuchaczom moim, Liga Narodowa wysłała mnie do wychodźstwa polskiego w Ameryce, ażeby u niego — zalegającego takiemu, jak ludność polska w kraju, prześladowaniu, posiadającego świadomość polityczną i zamożność taką, iż drobne, na Skarb Narodowy datkowanie uszczerbku nie przyniesie nikomu — wyjednać sprawie polskiej zapewnienie kredytu politycznego.

Polska ma prawo i potrzebuje posiadać majątek własny.

Co do punktu drugiego.—Z tego, co powiedziano wyżej, obowiązki Polaków wyprowadzają się same przez się. Naród polski tak się urządzić i przysposobić powinien, ażeby się uzdolnił do skorzystania z nadarzającej się sposobności do wywalczenia niepodległości, oraz, ażeby posiadał przymioty, czyniące go pożądanym na sprzymierzeńca antagonistom i przeciwnikom zaborców Polski. Przymioty te sobie zapewnić pomoże mu w pierwszym rządzie Skarb Narodowy, gdy wysokość onego przekroczy choćby np. dziesięć milionów.

Zapełnijmyż go jaknajrychlej!...

Niepomnę w którym miejscu, gdym liczbę dziesięciu milionów wymówił, ktoś z pośród słuchaczy tonem zapytania zawołał:

— Dolarów?!...

— Na początek, zamiast dolarów, na frankach poprzestańmy... odpowiedziałem.

Odpowiedź tę pokrył grzmot okłasków.

W dalszym wędrowki mojej ciągu przekonałem się, że w ogóle mowy i przemówienia, z jakimi się do rzesz zwracałem, jakoteż rozmowy, jakie z rozmaitymi ludźmi w rzeczy sprawy polskiej toczyłem, nie przemjały bez wrażenia.

— «Liczą nas Polaków w Ameryce dwa miliony — odezwał się jeden z mówców na zgromadzeniu, bodaj czy nie w Filadelfii — niech każdy jeden (wyrażenie polsko-amerykańskie) złoży co roku dolara jednego, zaraz w roku pierwszym znajdzie się w kasie Skarbu Narodowego dolarów dwa miliony, to znaczy więcej niż dziesięć milionów franków... Jakże by natenczas wszyscy Polsece czołem bili!... Czy nie mówiono by o nas: otóż to jeden naród, co o sobie pamięta!?»...

Nie jest to obrachunek na wiatr, na takim bowiem obrachunku opierają się w Ameryce dochody wyznań, sekt i stronnictw. Sądzić o tem można po podziw wzbudzających kościołach i pałacach biskupich. W Nowym-Yorku, wśród gmachów wspaniałych, jednym z najwspanialszych jest kolegium jezuickie, zbudowane z dolarów składkowych. I Skarb Narodowy rychlej by wzrastał, gdyby temu nie przeszkadzały z jednej strony: obawy wobec prześladowań, względy na interesy zawodowe i osobiste, zachłanność polityki ugodowej, — z drugiej: perswazyje, że ponieważ Polska z woli bożej upadła, więc ją wola boża odbuduje, i nie nam troszczyć się o to, raczej módlmy się i ofiary składajmy na kościoły, nie zaś na jakieś tam Skarby Narodowe, które kto wie na co idą... Może je rozkradają...

W Ameryce wytworzyło się brzydkie, bo interesowne a jednostronne, pomiędzy kościołem a patryotyzmem współzawodnictwo. Jest ono jednostronne, ponieważ patryoci na sprawę narodową łożą bez najmniejszego dla ofiarności na rzeczy religijne uszczerbku, — przeciwnie: modlitewną ich gorliwość potęguje potrzeba prośnienia Boga o pomoc w pracy dla Ojczyzny. Każdy obchód rocznicy patryotycznej poprzedzonym być musi przez uroczyste w kościele na intencję Polski nabożeństwo. O księżach, co patryotyczne wygłaszają kazania, mówi się z szacunkiem szczególnym. Nie zdarzyło mi się w Stanach Zjednoczonych, wśród wychodźców

polskich o Polsce pamiętających, spotkać ateusza. Polskę kochają oni gorąco i w Boga wierzą twardo, składając wiary swojej dowody w ścisłym pełnieniu obrządków religijnych.

XIV.

Zdałem już poprzednio sprawę z mów i przemówień, jakie na zgromadzeniach wygłosiłem, i z rozmów, jakie w czasie pobytu mego w Ameryce do przybycia do Chicago toczyłem w sprawie, dla której głównie przez Ligę Narodową i przez Związek Wychodztwa do wychodztwa polskiego w Stanach Zjednoczonych w ogóle, do Związku Narodowego szczególnie wysłany byłem. Do sprawozdania tego dodać mam to jeszcze, że nim do Chicago przybyłem, dawałem do poznania, a nawet następnie wyrażniłem się o podatki na Skarb Narodowy domagał z powodu, że służyć Ojczyźnie powinniśmy nie z łaski, lecz obowiązkowo. Powód ten moralny wspierałem praktycznym, tyczącym się ładu w rachunkach i ułatwienia przy układaniu bilansów rocznych, przy czem — wedle Ustawy — $\frac{1}{3}$ odsetków przyłącza się do kapitału, $\frac{2}{3}$ zaś przeznaczają się na prowadzenie obrony czynnej (« nie na żadne stypendya » — z naciskiem przy każdej powtarzałem okazji).

I słuchany byłem przez spółziomków moich z gorącą patriotyczną życzliwością; i stawałem się przedmiotem zajęcia ogólnego różnonarodowościowych mieszkańców miast, w których się zatrzymywałem. Zajęcie atoli objawiało się inaczej w wielkich, inaczej w pomniejszych miastach amerykańskich. W tych ostatnich ludność cała żywo interesowała się gościem wychodztwa polskiego — nawet w przyjęciach udział brała. W wielkich jednak miastach, w takich jak Nowy-York, Buffalo (*), Chicago, w których manife-

(*) *Gazeta Buffalaska* z sierpnia r. b. (Nr 34), przytaczając z *Gonca Polskiego* ustęp *Opowiadania* mego o przyjęciu publicznym, zgotowanym dla mnie przez tameczne wychodztwo polskie, przeczy, jakoby przy wyjściu z hali był w kolana całowany. Być może, pamięć mnie zawiodła, odnosząc na rachun-

stacye publiczne, gromadne, dla różnych wywoływane powodów, zdarzają się jeżeli nie co dni parę, to raz przynajmniej co tydzień, manifestacye polskie przemijają bez zwracania na siebie uwagi szczególnej. Zazwyczaj pojawiał się u mnie reporter i nazajutrz w jednym z dzienników znajdowała się krótkka o przybyciu mojem wzmianka, życzliwie lub obojętnie zredagowana. Coś podobnego byłoby i w Chicago nastąpiło: w ogromie tej metropolii michigańskiej, zajmującej niewiem ile mil kwadratowych przestrzeni i liczącej mieszkańców dwa miliony z górą (w roku 1835 mieszkało w Chicago 5.000 ludzi), fakt przybycia mego byłby wpadł, jak wpada kropla do jeziora Michigan, gdyby nie zabiegliwość jednego z reporterów, dzięki któremu rozgłos nazwiska mego przetrwał tygodni kilka nietylko w Chicago, ale w całych Stanach Zjednoczonych.

W dniu przybycia mego wieczorem, do jadalni, w której członkowie Rządu Centralnego przekąską mnie podejmowali, wszedł młody Ch., Polak w Ameryce zrodzony, biegle ale z mocnym angielskim akcentem po polsku mówiący, reporter dziennika *Record*, jednego z największych w Chicago. Wszedł, przedstawił mi się, notatki odemnie pobrał i pożegnał. Nazajutrz pojawiło się w dzienniku życzliwe — może nawet nieco przesadnie życzliwe — o mnie zawiadomienie, które do mieszkania mego ściągnęło reporterów płci obojej, zmieniających jeden drugiego. Odwiedzanie reporterów nie ustało w dniach następnych, rozeszła się bowiem ze szpalt *Record'a* nie reporterska już, ale półoficyjalną cechą zaznaczona wiadomość, jakoby ambasada rosyjska, celem śledzenia kroków moich, wyprawiła najbieglejszych w rzemiośle szpiegów.

— Czy to być może?... — zapytałem kogoś ze znających stosunki miejscowe.

— Bardzo być może — była odpowiedź, oparta na doświadczeniu.

nek Buffalo, co mnie w innem — i to nie w jednym ze strony mężczyzn i ze strony kobiet — spotkało miejscu. Raz — przypominam sobie — żegnającego mnie w ten sposób uczestnika przyjęcia podnieść musiałem. Hołdów tych nie przypisywałem sobie (tóm zaznaczył wyraźnie), ale sprawie polskiej, którą reprezentowałem. Podobne patryotyzmu okazywanie nikomu ani trochę nie ubliża — przeciwnie: chlubę przynosi.

Rząd rosyjski, interesujący się wychodztwem polskiem w Ameryce bardziej, aniżeli nasza publicystyka krajowa i nasi mężowie stanu krajowi, trzyma w Stanach Zjednoczonych agentów specjalnych tak dla nagładania za działalnością wychodztwa, jakoteż dla wywoływania wśród Polaków rozmaitych szkodliwych im objawów. Należąca już dziś do wspomnień przeszłości nienawiść pomiędzy Polakami a Litwinami, podobna do tej, jaka, dzięki zabiegom moskiewskim, panuje obecnie pomiędzy Polakami a Rusinami na gruncie galicyjskim, wywołaną była w Ameryce przez agentów rządu rosyjskiego. Zainteresowanie się przeto osobą moją ambasady moskiewskiej nie zaliczało się do rzeczy nieprawdopodobnych. Nie wydało się to nam jednak niebezpiecznym; nie mieliśmy się z czem ukrywać przed szpiegami, których ciekawość mogły budzić chyba tylko nazwiska członków Komitetu Ligi Narodowej. Jest-że rzeczą przypuszczalną, ażeby się o tem agenci ambasady rosyjskiej w Waszyngtonie odemnie dowiedzieć mogli? Nie usuwało to zgoła prawdopodobieństwa wysłania ich. Co się nam wszelako pod postacią wymysłu prostego przedstawiło, to nasłanie wraz ze szpiegami morderców, mających mnie wyeksperymentować na tamten świat. Dodatkowo wieść ta głosiła, że Rząd Centralny Związku Narodowego Polskiego, zawiadomiony o intencji ambasady moskiewskiej, otoczył mnie wartą, nad bezpieczeństwem mojem czuwającą. Była to nieprawda; mimo to postrzegać się dawało czujniejsze niż zwykle nad dzielnicą, w której u syna mieszkałem, dozorowanie policyi.

Wszyscyśmy atoli zamach na moje życie uważali za nieprzypuszczalny i mieli mocno za złe Ch. rozmazanie tej wieści, która się nam nakoniec kompromitującą wydawała. Dzienniki amerykańskie wyzyskiwały ją w sposób niekoniecznie, wedle pojęć naszych, godziwy, przytaczając rozmowy, toczone jakoby przeze mnie z kimś, z kim słowa jednego w życiu nie zamieniłem; jedna zaś z gazet zamieściła na szpaltach swoich list mój sfałszowany. Ch., co całego tego piwa nawarzył, ani się pokazywał, domyślając się zapewne, że z wychodzców niektórzy zamierzali mu uszów natrzeć. Wieści tymczasem, jedna sensacyjniejsza od drugiej, po-

wtarzały się, krążyły po Chicago, przedostawały się na zewnątrz, stawały się w całych Stanach Zjednoczonych pastwą opinii publicznej. Aż poranku pewnego *Record* zawiadomił publiczność o dokonaniu napaści.

Zawiadomienie to oblekały wszelkie pozory prawdy. Dokonaniu morderstwa przeszkodziła — jakoby — ustanowiona przez Związek Narodowy, celem czuwania nademną, warta, która zbójcom drogę zastąpiła. Wywiązała się stąd bitwa, bitwa zażarta, zakończona rozlewem krwi. Trupem nie padł nikt, ale byli ranni, z tych jeden w aptecę opatrzonym został. Dziennik wymieniał: miejsce bitwy, adres apteki i nazwisko rannego. Czy potrzeba dowodów pewniejszych?

Ze wiadomość ta wrażenie sprawiła, to najmniejszej nie ulega wątpliwości. Wyjaśnienie nastąpiło niebawem. Było to zwyczajne zajście uliczne, wyzyskane przez reportera na rzecz pierwotnej wieści o wysłaniu szpiegów z Waszyngtonu. W podobnych atoli razach wyjaśnienie nie usuwa wrażenia, rzecz niesensacyjna najbardziej prawdziwa ustępuje sensacyjnej, najwyraźniej skłamanej, mającej to z oszczerstwem spólnego *qu'il en reste toujours quelque chose*. W nas, zwłaszcza zaś w obdarzonym temperamentem burzliwym synu moim, wywołała ona oburzenie.

— Niech Ch. prosi Boga, ażebym się nie zeszedł z nim nigdy!... — odgrażał się.

Zejsście się z Ch. nastąpiło bodaj czy nie w dniu rzekomej napaści. Byliśmy we dwóch — ja z synem — gdy on próg przestąpił. Józef zerwał się z siedzenia i byłby go zapewne za drzwi wytrącił, gdyby nie dał się powściągnąć przezemnie...

Ch. odrazu zaczął:

— Gniewacie się na mnie; — przekonam was, że niesłusznie... Czy dopuściłem się czego złego?... Dopuściłem się reklamy, nie czego innego tylko reklamy, bez której się ani tu, ani w Europie, na polu czy to handlowem, czy przemysłowem, czy politycznem, nie robi nic... Do Stanów Zjednoczonych rozmaite a rozmaite przyjeżdżają wielkości: generałowie, mężowie stanu, arcybiskupi, monarchowie; przyjazdy ich notowane dziś w dziennikach, jutro

sę zapomniane nawet w razach, gdy te eksceleńcy i superekscelencye w ważnych przybywają sprawach... Pułkownik (tu do mnie wprost mowę zwrócił) przybyłeś do nas w sprawie polskiej, o której trzeba, żeby świat wiedział i pamiętał. Z mego repórterskiego stanowiska usłużyłem jej możliwie najlepiej raz dla niej samej, powtóre dla tego, ażeby pokazać, że my w Ameryce zrodzeni Polacy — Polakami, gotowymi służyć ojczyźnie, jesteśmy... Proszę mi więc wybaczyć, jeżeli zawinił...

· Czy nie wybaczyć można było?...

· Interesowano się osobą moją w mieście; dzienniki zarówno polskie, zwłaszcza postępowe, jakoteż angielskie rozpisywały się o mnie i ten był zapewne powód, dla którego *Dziennik Chicagoski*, specjalny organ Zmartwychwstańców, posiadających w Chicago parafię największą i odgrywających w wychodźstwie polskiem rolę wybitną, zamieścił wzmiankę, odnoszącą się uprzejmie do osoby mojej i zapewniającą mnie sposobem upomnienia, iżbym i dla Polaków, do Związku Narodowego nie należących, był gościem miłym.

· Wyczytawszy tę wzmiankę, niezwłocznie kartę moją w redakcyi dziennika złożyłem. Rewizyta nie dała na siebie czekać długo i dała mi poznać w osobie dwóch redaktorów, pp. Szwajkarta i Neumana, ludzi wykształconych i miłych. Ujęli mnie oni odrazu, zdaje się bowiem, że się domyślili, czem mi dogodzić mogli, zaczynając ze mną od pierwszego niemal słowa rozmowę o szkołach polskich. Na rozmowie się nie skończyło. Spotkała mnie z ich strony propozycya zwiedzenia zakładów naukowych, w których, równocześnie prawie z mojem do Chicago przybyciem, rozpoczął się nowy rok szkolny. Propozycyę tę — rozumie się — z wdzięcznością przyjąłem i w towarzystwie jednego z tych panów udałem się do leżącej nieopodal od mieszkania mego akademii.

· Pierwsze to, wstępne zwiedzenie było pobieżne. Ks. rektor oprowadził nas po salach, klasach, gabinetach, laboratoryach, sypialniach, przygotowanych do przyjęcia nazajutrz nauczycieli, słuchaczy i lokatorów. Wszędzie w oczy uderzały czystość i skromność. W gabinetach i laboratoryach widzieć się dawało zgromadzenie

aparatów, materiałów i okazów, służących do nauczania fizyki, chemii i historii naturalnej w skróceniu. Z rozmowy z księdzem rektorem dowiedziałem się, że wykład matematyki kończy się nadwumianie Newtona. Trzyletniość kursów oraz łączenie gałęzi naukowych na wydziałach wskazywały metodę wykładania sposobem encyklopedycznym, celem przygotowania słuchaczy — z wyjątkiem przysposabiających się do stanu duchownego — do wykładów uniwersyteckich na wydziałach lekarskim, prawnym i filozoficznym. Po polsku wykładają się: język, literatura i historia polska, — przedmioty inne po angielsku i po łacinie.

Zaproszony na dzień następny przez ks. rektora do asystowania wykładom w akademii, jakoteż lekcjom w szkole parafialnej przy kościele św. Stanisława, rano godzin parę spędziłem w akademii; — następnie, spożywszy wraz z profesorami i słuchaczami obiad w refektarzu, poprowadzony zostałem do budynku, zapelniającego się codziennie setkami i setkami dziatwy płci obojej. Istne roje. Nie mogłem się dokładnie o ilości dzieci, uczęszczających do szkoły św. Stanisława, dowiedzieć. Podawane cyfry wydawały się mi przesadne (1.200—1.500). Od oka atoli sądząc, schodzi się tego dużo, bardzo dużo. Zachodziliśmy do klas kilku i w każdej zatrzymaliśmy się dla popisów nieprzygotowywanych z powodu, że po wakacjach był to dzień pierwszy lekcyi.

Dzieci na wakacjach nie uczyły się; jeżeli co umiały, to był to nabytek dawniejszy, dający dokładniejszą aniżeli w innych warunkach miarę metody, wedle której do głowin dziecinnych wlewana jest wiedza. O to też mi właśnie chodziło. W poplpsach, do jakich uczniowie i uczennice w rozmaitych klasach powoływane były, rozpoznałem metodę mnemotechniczną, najłatwiejszą dla nauczających, ale nie przez wszystkich pedagogów uznawaną za najpożyteczniejszą dla nauczanych. W Ameryce koniecznem jest uciekanie się do niej z powodu braku odpowiednich sił nauczycielskich. Ku celowi temu służą zakonnice, naprędce na nauczycielki na podstawie sztucznie wszczepianego w nie powołania przysposabiane. Nauczycielki takie wprawiają się w pełnienie funkcji swojej mechanicznie. Mechaniczne też wynikają stąd rezultaty — rezultaty.

nie dające uprawionego gruntu pod posiew samoistnego myślenia.

Z góry o tem wiedziałem i w popisach dosłuchiwałem się szczególnie polskości w mowie i kierunku. W mowie znajdowałem ją zadowalniającą: dzieci po polsku wyrażały się dość gładko dzięki temu, że wymowę przejmują od rodziców, którzy ją z Polski przywieźli. Kaleczenie języka na dwa, powiedzieć można, rozkłada się warsztaty. Najprzód dzieci wraz z rodzicami przejmują wyrazy, służące do nazywania przedmiotów użytku codziennego i tą drogą do mowy polskiej wkradają się nazwy angielskie: ulicy (*street*), kwartału (*block*), dzielnicy (*warda*), nawet noża (*knife*), łyżki (*spoon*) i t. d., wymowa zachowuje jednak akcent jako tako. Następnie akcent na sztych wystawionym zostaje w fabrykach i szkołach wyższych, gdzie młodzież polską całkowicie język angielski ogarnia.

Co do kierunku zaś, ten jest polskim, ale zanadto interesom kościelnym podporządkowanym. W opowiadaniach historycznych, w pieśniach patriotycznych miłość dla Ojczyzny ziemskiej i—co za tem idzie—ofiarność dla niej na poczesnem nie figurują miejscu. Losy Polski zależą od Matki Boskiej — Królowej Polskiej, od Pana Jezusa, od patronów Polski, św. Stanisława, św. Kazimierza, którym zasługiwanie się jest wszystkim, co Polacy dla Ojczyzny czynić mogą i powinni.

Mimo to wypowiedzieć się nie dającego doznawałem zadowolenia wśród działy polskiej, wśród tego na obcym gruncie kiełkującego posiewu, mającego wyrość i dojrzeć, a mogącego wydać owoce bądź obojętne względem tej ziemi, w której dziadów, pradziadów ich kości spoczywają, bądź też obracające się na jej pożytek, albo i na szkodę. Ale... *spiritus flat ubi vult*. Duch polski dał nieraz niespożytości swojej dowody. Nie daje się on okiełznać Moskalom, Prusakom, ani nawet «sprzyjającym» nam Austryakom, można się więc spodziewać, że okiełznać się nie da i bagatelizującym w oczach jego Polskę pedagogom. Powtarzam jednak, że mnie popisy zadowolniły — zadowolniły bardziej w klasach elementarnych, aniżeli w audytoryach akademickich. W tych ostatnich, o ile o zaznaczenie potryotyizmu polskiego chodziło, czuć się dawało (może się mylę—może mi się tak wydało) lekceważenie, znamio-

nujące branie od niechcenia rzeczy o Polsce. Zauważyłem też u młodzieńców większą łatwość wystawiania się po angielsku, aniżeli po polsku. Jest to konieczne następstwo życia w otoczeniu świata angielskiego. W pokoleniu w Ameryce zrodzonym urabia się narzecze mowy polskiej, narzecze, które w pierwszym zetknięciu się z mówiącymi niem jest absolutnie niezrozumiałem.

Ksiądz rektor ten mi wyświadczył zaszczyt, że tak w akademii jak w szkole parafialnej był dla mnie przewodnikiem i informatorem. Poczuję się do obowiązku wyrażenia mu na tem miejscu wdzięczności mojej za informowanie mnie, oraz uznania za gorliwość, z jaką pełni włożony nań nie łatwy obowiązek. Kiedy mnie oprowadzał i, na zapytanie moje odpowiadając, wykladał mi miejscowe stosunki i wymogi edukacyjne, stawała mi w oczach postać Stanisława Konarskiego. Przywidzenie podobne nie byłoby nastąpiło, gdyby nie zachodziło podobieństwo funkcji, z dodatkiem podań o gorliwości tego pijara, którego nazwisko tak pięknie zapisało się w historii edukacji w Polsce. Prawda, że czem byli Pijarzy, tem nie są Zmartwychwstańcy. Różnica tyczy się celu pracy, nie zaś charakteru podążania ku celowi.

Pod przewodnictwem księdza rektora zwiedziliśmy również kościołów św. Stanisława, od którego dzielnica nazywa się Stanisławowem. Od patronów kościelnych dzielnice przez Polaków zamieszkałe noszą nazwy: Stanisławowo, Wojciechowo, Jadwigowo i t. p. Wśród kościołów katolickich w Chicago kościół św. Stanisława odznacza się ogromem i zaletami architektonicznymi na zewnątrz. Wewnątrz uwagi mojej nie zwróciło na siebie nic osobliwego, ani nawet mocno zachwalane dużych rozmiarów w głównym oltarzu malowidło, nie zdradzające pendzla mistrzowskiego.

W parafii św. Stanisława proboszczem jest Przełożony Missyi Ojców Zmartwychwstańców na wychodźstwie polskiem w Ameryce Północnej. Pod zwierzchnictwem jego pozostają zwiedzone przezemnie zakłady naukowe. Z racyi tej należała się mu odemnie wizyta. Złożyłem ją w nieobecności gospodarza, zatrzymanego u jednego z parafian na chrzcinach. Jeden z księży, co się do nas przy zwiedzeniu kościoła przyłączyli, w imieniu proboszcza zaprosił mnie i syna mego nazajutrz na obiad.

Stawiliśmy się nazajtr.

Po raz pierwszy w życiu mojem znalazłem się w tak licznym towarzystwie księży. Ludzi świeckich było, jeżeli się nie mylę, sześciu wraz z nami dwoma: dwaj redaktorowie *Dziennika Chicagoskiego*, poważny obywatel jeden (członek Związku Narodowego Polskiego) i p. Piotr Kiołbasa, osobistość ciekawa nie z tego względu, że znaczny stosunkowo majątek z niczego zrobił, ale z tego, że wybrany na kasjera miasta Chicago, na stanowisku tem nie tylko ~~stał~~ ~~wzorem~~ innych nie oblowił, lecz zwrócił kasie miejskiej kilkadziesiąt tysięcy dolarów procentów, uważanych jako postronny, ale prawowity kasjera dochód. Skrupulatność ta sprawiła, że go już więcej na kasjera nie obierano.

Zdawanie sprawy z obiadu ~~zbytecznem~~ chyba by było. Znana jest rzeczą, że zakonnicy wszelkich reguł ~~jadą~~ ~~umieją~~. Do zanotowania w materji tej to jest tylko, że osoba moja przy wszystkich w Ameryce obiadach, bankietach i częstunkach była stale przedmiotem podziwu z powodu wstrętu, jaki do wszelakich ~~spiritua-~~ ~~llów~~ czuję. Na wychodztwie pierwszy się ze Starego Kraju taki trafił gość. Prof. Dunikowski posiadał spust należyty. Lewakowski i Balicki za kołnierz nie wylewali. Ks. kanonik Wawrzyniak powyróżniał księżom piwnice. Dla mnie się we względzie tym gościnność wysilała nadaremnie.

— «Co to za gość taki, co mało je, wcale nie pije, nie pali, w karty nie gra!..»

Zoszono mnie jakoś z przywarami temi.

Po obiedzie, w salonie ks. Przełożonego Misyi, w którym, obok innych obrazów, ściany zdobił duży litografowany portret niedawno zmarłego generała OO. Zmartwychwstańców, Walerego Przewłockiego, mego niegdyś kolegi wojskowego i przyjaciela, zawiązała się rozmowa o demokracji — przekonaniu spólnem wszystkim organizacyom polskim na wychodztwie w Stanach Zjednoczonych. Prym w rozmowie trzymał redaktor *Dziennika Chicagoskiego*, p. Neuman. Księża potakiwali. Ksiądz Przełożony, człek okazały i poważny, skinieniem głowy uznanie zaznaczał. Ja naśladowałem go — słuchałem i dosłuchałem się wypowiedzianego mocno i sta-

nowczo zdania, że demokracja nieodzownie potrzebuje oświaty.

Zdanie to, od czasu jak mnie polityczne i społeczne sprawy zajmować poczęły, mojem jest zdaniem. Przyświadczyłem mu więc z naciskiem.

— «Zawiązaliśmy — ciągnął mówca — towarzystwo pomocy naukowej, celem uprzystępnienia nauki młodzieży ubogiej a zdolnej. Spodziewamy się — słowa następne zwrócone były do mnie — że szanowny pułkownik zechce nam ten wyświadczyć zaszczyt i do towarzystwa pomocy naukowej przystąpi...»

Wezwanie zaskoczyło mnie zniecacka. Przy Rządzie Centralnym istnieje Wydział Oświaty, udzielający stypendyów ubogiej a zdolnej uczącej się młodzieży, Towarzystwo to więc zawiązanem zostało celem spółzawodniczenia z Wydziałem. Spółzawodnictwo na tej drodze do pomyślnych zazwyczaj prowadzi rezultatów. Po chwili przeto milczenia, które zachowałem dla namyślenia się nad wezwaniem, pozwoliłem sobie do liczby członków Towarzystwa zapisać.

Odpowiedź moją przyjęto oklaskami, po których nastąpiły objawy zadowolenia, wyrażające się dziękowaniem mi.

I byłbym w Towarzystwie pozostał, i obowiązki członka pełnił, gdyby nie zamieszczone w dniu następnym w *Dzienniku Chicagoskim* zawiadomienie, jakoby się do Towarzystwa pomocy naukowej wprosił. W podobnym sensie zawiadomienie poprzedziło rozpoczęcie przedruku w *Dzienniku Chicagoskim* powieści mojej: «Nad rzekami Babilonu». Zmusiło mnie to do zaprzeczenia w *Dzienniku Narodowym* i jednemu i drugiemu. O zamiarze przedruku powieści nie wiedziałem. Było to jednak w porządku. Stany Zjednoczone, jak Rosya, nie szanują własności literackiej.

Z pobytu w gronie OO. Zmartwychwstańców wyniosłem upominek, ofiarowany mi przez wynalazcę, ks. Spetza: pancerz z tkaniny jedwabnej, chroniący od kul rewolwerowych.

Gdy gościnne ks. prowincyała opuszczał prozi, p. Kiołbasa, wiedząc o zamiarze moim jechania nazajutrz do Milwaukee, oznajmił mi, że córka jego, pani Kwasigrochowa, udaje się tam również, będąc proszoną o śpiewanie na koncercie.

Czyniąc zwyczajowi zadość, po obiedzie zaproponowano mi przejażdżkę. Jeden z redaktorów, jeden z księży i ja z synem puściliśmy się w powozie otwartym w objazd po dzielnicach przez Polaków zamieszkałych. Dzielnice te nie czynią miastu zaszczytu : haniebnie brukowane, brudne, tem jeno ze światem cywilizowanym styczność zaznaczają, że we wszystkich kierunkach na ziemi i nad ziemią poprzecinane są przez koleje tramwajowe, w szalonym przejeżdżającym pędzie. W przejażdżce oglądaliśmy świeże ślady przetoczenia z miejsca na miejsce na blokach kościoła i plebanii. W innym miejscu ksiądz czy redaktor wskazał nam skromny przy kościele dom i rzekł z przekąsem :

— Oto pałac biskupi...

W domku tym zamieszkiwał natenczas biskup niezależnych, ksiądz Kozłowski.

Biskupi zależnych mieszkają inaczej — w pałacach na prawdę.

XV.

Wyjazd do Milwaukee nastąpił w Niedzielę.

W Milwaukee wychodzi *Kuryer Polski*, pismo codzienne, przy którem współpracownikiem był p. Stanisław Osada, dobry mój znajomy z Genewy, skąd się do Stanów Zjednoczonych wyniósł. P. Osada przyjeżdżał na obchód, urządzony dla powitania mnie przez związkowców w Chicago, i przywiózł mi zaproszenie do Milwaukee. Ponieważ dnia na tę wycieczkę oznaczyć z góry nie można było, umówiliśmy się, że uprzedzę drogą telegraficzną. Nie telegrafowałem był jeszcze w Ameryce. Poszedłem na telegraf z synem i, gdy on na drodze nawrócił do apteki, zapytałem go :

— Cóż masz w aptece za interes?...

— Mamy telegrafować przecie...

— Z apteki?...

— Z apteki...

Dowiedziałem się, że w Stanach Zjednoczonych każda apteka jest

biurem telegraficznym, równie jak hotele. Zdziwiło mnie to, naturalnie, jak wiele innych w Ameryce spotykanych osobliwości.

Udaliśmy się na dworzec — na jeden z dworców kolei żelaznej, których Chicago kilka czy kilkanaście posiada. Główny — ma pozór dużej, ów podrzędny — mniejszej budy. W poczekalni podróżnych zebrała się liczba spora; wśród nich przypuszczalnie znajdowała się artystka, mająca tegoż wieczora wystąpić na koncercie, córka pana Kiołbasy, pani Kwasigrochowa. Uśmiechała się nam nadzieja, że będziemy jej przedstawieni. Nadzieja tą zawiodła nas, bądź dla tego, że pani Kwasigrochowa innym pojechała pociągiem, bądź dla tego, że na dworcu nie odprowadzał jej nikt ze znajomych naszych. Pojechaliśmy przeto w towarzystwie samych nieznajomych, brzegiem jeziora Micygańskiego, nad którym jednym prawie ciągiem rozsadowiły się, na dzikości trącącym tle, osady, fabryki, miasta.

W Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej ta na zanotowanej zasługuje szczególność, że ogólne tło kultury, doprowadzonej do najwyższego stopnia, trąci dzikością. Zauważyłem to we wszystkich przejazdach moich. Szczególność ta stanowi kontrast pomiędzy światami starym i nowym. Nie mówiąc o krajach jak Francya, Szwajcarya, Belgia, Niemcy, nawet u nas, nawet w Turcyi europejskiej, nie daje się spostrzec nic podobnego. U nas wprawdzie wszędzie nie rzuca się w oczy kultura wysoka, wszędzie jednak widnieje uprawa i towarzyszący jej ruch, obejmujący ludzi i zwierzęta domowe. W Ameryce Północnej, na zewnątrz osady każdej, ruch nagle zamiera na rozległych polach, w zagadkowej ciszy pograżonych lasach. Takie wywierały na mnie wrażenie widoki, rozlegające się z okien wagonów kolei żelaznej. Gdybym konno jeździł lub piechotą chodził, kraj zapewne byłby mi się wydał inaczej.

Wysiadłszy z wagonu w Milwaukee, spotkaliśmy się z niespodzianką: wiedzieliśmy o zawiązanym w grodzie tym dla przyjęcia mnie komitecie, którego na dworcu śladuśmy nie znaleźli. Nadaremno było oglądanie się i czekanie. Nikogo i nikogo. Stała przed nami zagadka, dla rozwiązania której ulokowaliśmy się w przyległym do dworca hotelu, syn zaś mój pojechał tramwajem

do p. Osady. Zagadka rozwiązała się niebawem, jako osobliwość amerykańska. Para wyprzedziła iskrę elektryczną: przybyliśmy przed depeszą, przybycie nasze oznajmującą, komitet przeto nie o nas nie wiedział. Dowiedział się najprzód od syna mego, następnie — dużo później — z depezy, na którą już nie czekał.

Powiaдаło mi, że w ojczyźnie Edisona częściej, niż w Europie, zdarzają się podobne wypadki na drodze telegraficznej, a to z powodu kumulacyi zajęć w aptece. Apteki służą nie tylko do przyrządzania leków, ale — jak już wiemy — do przesyłania depezy drogą telegraficzną, obok tego do sprzedawania przyborów piśmiennych i innych rozmaitych rzeczy; w stanach zaś, w których zakazane są napoje alkoholiczne, amatorowie znajdują je w aptekach pod nazwą lekarstw. Trąci to zabytkiem tych czasów, w których wychodztwo europejskie organizowało się w Ameryce poczynalo. Wówczas musiały łączyć się w jedno różne fache. Połączenie takie w roku 1850 spotkać mi się zdarzyło w Afryce, w bejostwie Tunetańskim, w miasteczku nadmorskiem Kalibia, w którym w jednej izbie mieścily się: wyrób ingrediencyi aptekarskich, warsztaty stolarski, białoskórniczy i jakiś jeszcze, oraz agencye konsularne kilku mocarstw; aptekarstwo, stolarstwo, białoskórnicstwo, jakieś jeszcze rzemiosło i agentury sprawował jeden człowiek, nb. Polak. Zapewne lat sto temu — może nie tak nawet dawno, kumulacye podobne zwyczajną w Stanach Zjednoczonych były rzeczą.

Komitet, skoro się o obecności mojej dowiedział, niezwłocznie pośpieszył do mnie z przeprosinami za winę, której nie popelnił. Z hotelu dworcowego przeniesiono mnie do miasta, obok ratusza. Na wieczórzy byliśmy u państwa Osadostwa, do których nagle i niespodzianie przybyła delegacya od Komitetu urządzającego koncert w celu zaproszenia nas na koncert. Wymawiałem się. Niezupełnie jeszcze od lombaga ośwobodzony, czując się przytem znużonym, nie miałem ochoty do północy, jeżeli nie dłużej, słuchać popisów instrumentalnych i wokalnych. Wogóle, mimo że muzykę i śpiewy cenię wysoko, nie przepadam jednak za nimi namiętnie. Wymawiałem się więc i wypraszałem usilnie i długo... nadaremnie. Skorzystałem to jeno, że m poznał do jakiej potęgi podnieść się

może natarczywość prośby. Podobnie gości do jedzenia i picia zapraszają gospodynie Rusinki. Nie było sposobu oprzeć się. Poszliśmy na koncert. W sali dopiero oprzeć się zdołałem prośbie zajęcia miejsca na estradzie. Po odegraniu introdukcji jakiejś przez orkiestrę, zdobyłem się na opór po raz wtóry. Przewodniczący, zdaje się, komitetowi koncertowemu znów mnie na estradę zapraszał z tem, ażebym do publiczności przemówił. Dało mi to poznać, że na koncert zwabiony został dla odegrania roli tego «pana, co go pokazują». Nowej tej prośbie przez pół jeno zadość uczynilem. Bez wchodzenia na estradę przemówiłem, wyrażając zadowolenie ze znajdowania się w gronie spółrodaczek i spółrodaków, oraz żal, że z powodu starości i znużenia pozostać z nimi dłużej i do końca wysłuchać tak pięknie rozpoczętego koncertu nie mogę.

— Żegnajcie i bawcie się wesoło!...

Pożegnany oklaskami wyszedłem. Straciłem jedyną, jaka mi się była nastreczyła, sposobność słyszenia znakomitej podobno w rzeczy samej śpiewaczki, pani z Kiołbasów Kwasigrochowej.

W dniu następnym, przeznaczonym na obchód ku uczczeniu osoby mojej, złożyłem wizyt kilka, między innymi majorowi (merowi, burmistrzowi) miasta w ratuszu, zasługującym na szczególną wzmiankę z powodu konstrukcyi. Z przodu — budowla zajmuje na szerokość nie więcej jak metrów dwadzieścia, dwadzieścia parę, w głąb — długa, wysokość wynosi pięter kilkanaście (dwanaście czy piętnaście — nie liczyłem); wewnątrz schodów ani śladu. Winda wynosi ludzi na piętra, na korytarze, z których po jednej i po drugiej stronie drzwi wprowadzają do biur administracyjnych, sądowych, finansowych, szkolnych i t. p. urzędów. Major przyjął nas w elegancko umeblowanym salonie recepcyjnym, do którego weszliśmy pod przewodnictwem sekretarza jego, młodego człowieka, w Ameryce zrodzonego i wychowanego Polaka, mówiącego po polsku płynnie, ale z akcentem. Przyjęcie majora i udział jego w rozmowie, jaką z nami zawiązał, cechowały uprzejmość, życzliwość i — rzecz można — patriotyzm polski, patriotyzm nie w sensie zdawkowej ze stemplem cudzoziemskim monety, ale świadomy rzeczy, wyrozumowany, poj-

mujący polityczną i cywilizacyjną przydatność Polski. Co do powierzchowności, człek wzrostu dużego, pokaźny, należący do typu tak zwanych «intelektualnych».

Odwiedziliśmy wice-cenzora, salunistę (nazwisko z pamięci mi wypadło), człowieka zamożnego, który majątkiem swoim odpowiadał za część Skarbu Narodowego, wynoszącą 3.414 dolarów, trzymany dawniej w Ameryce i przesłany w roku 1900 do depozytu rapperswylskiego. Obywatel ten, szanowany przez spółrodaków i posiadający ich zaufanie, był jednym z tych, co się sprzeciwiali wlaniu depozytu milwauckiego do kasy ogólnej. Większość oświadczyła się za wlaniem. Uległ więc, pieniądze wydał, lecz przy opinii swojej pozostawał póty, póki, za przybyciem mojem, rzecz dla niego nie wyjaśniła się w zupełności. Poznał, że zużytkowywanie na sprawę polską funduszów w Polsce przeważnie miejsce mieć może i powinno.

Zwiedziłem redakcyę *Kuryera Polskiego* i złożyłem wizytę powstającemu z choroby obłożnej założycielowi pisma tego, p. Michałowi Kruszcze, prezesowi spółki wydawniczej, tej najstarszej w Ameryce polskiej gazety codziennej. Przy *Kuryerze* wychodzą jeszcze, jako pisma oddzielne, *Kuryer tygodniowy* i *Tygodnik rolniczy*, noszący tytuł *Gazety Wiskonsińskiej*, założony na użytek wychodźców polskich, którzy w stanie Wisconsin zakładali kolonie rolnicze. Pisma te, demokratyczne co do zasad, pałryotyczne i w umiarkowanym utylitarnym prowadzone kierunku, nietylko się trzymają, ale prosperują. To ostatnie świadczy, że są czytane. Poczytność pism zaciekała mnie nie tyle w stosunku do pism, ile do czytelników, zwłaszcza tygodnika rolniczego. Zaciekawili mnie oni, jako ludzie piśmienni, a rolnicy. Ze zaś pomiędzy nich pójść i z nimi bezpośrednio zetknąć się nie mogłem, rozpytywałem więc o nich tych, co z nimi w styczności pozostawali. Takimi są wydawcy pism tamecznych, a raczej obsługujący pisma kolporterzy, którzy, roznosząc je po osadach kolonialnych dla zapewnienia im prenumeratorów, gościąc u nich przyjmują, ich trybowi życia się przypatrują i niejedną chwilę na rozmowie z nimi spędzają. Syn mój, który, po przybyciu swoim do Ame-

ryki Północnej, zajmował się czas jakiś kolporterką na rzecz wydawnictw p. A. A. Paryskiego w Toledo, nachwalić się dosyć nie może gościnności rolników polskich na farmach osiadłych. Zaletę tę przyznają im wszyscy, co mi o nich opowiadali. Najwlecej ich tyczących się informacyi udzielił mi p. Józef Kruszka, młodszy brat założyciela *Kuryera*, wice-prezes spółki wydawniczej. *Audita refero*. Com od niego i innych w tej ciekawej i ważnej materji posłyszał, to spiszę.

Upowszechniło się mniemanie, że wychodztwo nasze uchowałoby narodowość swoją na zawsze, gdyby się nie po miastach, przy fabrykach, lecz po wsiach, przy roli osiedlało. Ci, co zdanie to głoszą, pojęcie narodowości przywiązują do języka, jakby nie było na żydach, cyganach, mówiących językami rozmaitymi, na Belgach, Kanadyjczykach, mówiących po francusku, na Irlandczykach, mówiących po angielsku, na Szwajcarach, porozumiewających się w językach francuskim, niemieckim i włoskim, przykładów, świadczących, jako mowa, będąca jedną z cech narodowościowych, sama przez się narodowości nie stanowi. Na zapytanie moje, czy wychodzczy na farmach mowę polską zachowują :

— Zachowują... odpowiadano mi.

— Czystą?...

— Taką, jak po miastach.

Przekonałem się o tem później ze spotkań z farmerami i farmerkami, w których ustach język polski jest tak samo kazonym i koszlawionym, jak w ustach robotników fabrycznych. W najlepszym razie na wychodztwie polkiem w Stanach Zjednoczonych urobi się narzeczę na podkładzie podwójnym: polskim i angielskim. Prowadzi do tego siła rzeczy, której nic zapobiedz nie jest w stanie, najmniej kościół, w naczelnej władzy swojej usiłujący zangliczyć wszystkich napływających do Stanów Zjednoczonych różnonarodowościowych wychodzców. Najwyraźniej i najwcześniej dążność tę zamarkował arcybiskup dyecezyalny, rezydujący w Milwaukee, ogłaszając rozporządzenie, utrudniające wyświęcanie kleryków Polaków na księży. Tkwi w tem interes kościoła katolickiego, mającego na celu i widoku zkatoliczenie Anglii, co łatwiej przyj-

dzie, gdy na nią nie pstry jak obecnie w języku, ale angielski ze Stanów Zjednoczonych zkatoliczony naród masą całą naciśnie. Arcybiskupa milwauckiego rozporządzenie powtórzyło innych kilku ksiąząt kościoła. Czekają oni, aż to pokolenie wychodźcze, co po angielsku za ledwie piąte przez dziesiąte rozumie, z tego zejdzie świata, a wówczas, ponieważ budowle i wszelkie dobytki kościelne ich są prawną własnością, księży i nauczycieli Polaków w ten lub inny pozbędą się sposób i drugie wychodźcze pokolenie zangliczą zupełnie—w mowie i w duchu. W dążności tej powtarza się dążność Moskali i Niemców—wynarodowienia nas przez kościół, nb. w Ameryce bez udziału rządu. W tem różnica cała. Rząd jednak nie broni narodowości polskiej. Jak w kraju przeto, tak i na wychodźtwie obroną całkowicie na barkach naszych spoczywa—i nie tylko co do mowy, ale co do wszystkiego innego. Co do ducha, np.

Pytałem i o to.

— Jakże z tem na farmach?

— Nie najlepiej... — brzmiała odpowiedź.

Farmerzy odosabiają się, raz dla tego, że dobry byt nie nagli ich do przyłączania się do ubezpieczeniowych organizacji polskich, powtóre dla tej przyczyny, że ich od tego odprawiają księża. Ponieważ po największej części z pruskiego zaboru pochodzą, są przeto piśmienni i radzi czytają pisma i książki polskie. Wśród nich to szczególnie w ilości ogromnej rozchodzą się: «Senniki», «Najprawdziwsze kabaty», «Piękne Magelony», «Piękne Meluzyny» i t. p. niedorzeczności. Idą jednak i rzeczy poważniejsze. Ale na tem interesowania się ich rzeczami publicznymi koniec.

— A Skarb Narodowy—czy wiedzą o nim?... — zagabnałem.

— Wiedzą i dawaliby ochoczo i suto, gdyby ich ze strony poważnej nie ostrzegano, że to robota złodziejska...

Ze na farmy wyłącznie prawie idą ludzie stateczni, z większym lub mniejszym do Ameryki przybywający zasobem pieniężnym, rychło przeto dochodzą do zamożności, pozwalającej im żyć dostatnio iłożyć na staranne dzieci wychowanie. Dla dzieci na miejscu nie ma szkółki polskiej. Jest szkółka w pobliżu, ale angielska. Do tej więc dzieci rodziców polskich idą i prędzej od ich mowy odwykają, aniżeli dzieci po miastach.

Mówiono mi o ujemnym wpływie farm na pleć niewieścią.

Po miastach kobiety zameżne, matki dzieciom, z nawyku i potrzeby oddają się zajęciom domowym, od których uwalnia je śmierć dopiero. Mąż haruje, zarabia, dolar do dolara dokłada i przy pomocy kredytu łatwego dochodzi do *homestead*, t. j. do zagrody własnej. Każdy robotnik, bez trudu wielkiego, właścicielem domku i kawałka gruntu stać się może, ale rzadko który własności z gory nie obciąża długiem częściowo spłacalnym. Na uiszczenie się z długu pracować trzeba dalej siłami zespolonemi ojca, matki i dzieci, — ojciec i dzieci po za domem, matka w domu. W sposób ten synowie i córki od wczesnej młodości przyzwyczajają się i wciągają do pracy; póki mieszkają u rodziców, pracują na nich i na siebie. Dziewczęta dom rodzicielski opuszczają, gdy za mąż wychodzą, i, ażeby nadejście momentu zmiany stanu dziewiczego na małżeńsk przyspieszyć, muszą się na często urządzanych wieczorkach, balach, koncertach, przedstawieniach teatralnych, na nabożeństwach wreszcie, kawalerom pokazywać w wytworach własnej pracy. Pracują więc gorliwie na sukienki, wstążeczki, bukieciki, trzewiki, pończochy — na zawracanie chłopcom głów. Ta sama co, jako Kaśka albo Baśka, boso by się wytańcowywała w Starym Kraju, tu, pod imieniem wyszukańszem Jadwigi («królowej»), Wandy («co niechciała Niemca»), lub innem podobnem, występuje pod postacią panny eleganckiej i uroczej. Każda na niej ozdóbka zapracowana jest przez nią samą — co czyni ją w samej sobie hardą i na małżonkę pożądaną — i co świadczy, że w sferze niewieściej owoćność pracy stanowi potężne wędzidło obyczajnościowe. Praca własna, zaopatrując kobiety w świecidełka, będące natury ich potrzebą, uwalnia je od zaspokajania jej na innej drodze. Stąd zepsucie obyczajowe po miastach nie istnieje prawie pomiędzy Polkami w Ameryce. Upadki wśród nich zdarzają się wprawdzie, ale rzadko, wyjątkowo.

Na farmach również Polki na dobrą pod względem obyczajowym zasługują markę. We względzie pracowitości jednak ustępują mieszkańcom z tej racji, że w zamożności rodziców znajdują środki zaspokajania potrzeb błyskotnych, nie mając przytem potrzeby

brania udziału we właściwych naturze męskiej robociznach na roli, przy hodowli bydła, obróbce materiału drzewnego i t. p. Mniej, aniżeli ich siostrzyce po miastach przebywające, pracują, za to więcej mają czasu na rozczytywanie się, jeżeli nie w «Pięknych Meluzynach» i «Magelonach», to w powieściowych i nowelistycznych utworach ilustrowanych literatury angielsko-amerykańskiej, w ogromnej po kraju roznoszonych ilości. Rozczytywanie się to romansowo nastraja z pączków na farmach wykwitające Poleczki.

Różnica przeto na wychodźstwie naszym w Ameryce pomiędzy miastem a wsią na niekorzyść wsi wypada. Ekonomiczna przewaga tej ostatniej zagraża poczuciu narodowościowemu nie tylko w mo-
wie, ale i w duchu.

Powtarzam, że *audita refero*, luboć-żem się bowiem z farmerami spotykał — nawet jednemu dziecko do chrztu trzymałem, — ale farm polskich nie objeżdżał, ani obchodził. Relacje o nich skrętnie, gdzie mogłem, na sposób śledztwa, zbierałem; w najautentyczniejsze zaopatrzył mnie ob. J. Kruszka, mianowany następnie przez Sz. Cenzora Podkomisarzem Skarbu Narodowego na miasto Milwaukee.

Nie zapomnę uciechy, jaką obecność moja sprawiała jednemu z członków komitetu. Manifestowała się ona w ten sposób, że członek ów, oprowadzając mnie po mieście, zatrzymywał każdego ze swich znajomych, Polaków i Amerykanów, i z naciskiem powiadał im, na osobę moją wskazując:

— Widzisz pan?... to pułkownik Miłkowski...

Co jednak dla mnie pamiętnem pozostanie, to ugoszczenie, jakim zaszczycił mnie ksiądz kanonik Gulski. Rzecz — naturalnie — z góry być ułożoną musiała, przyszedłszy bowiem na probostwo z wizytą, zastałem komitet w komplecie i z nastroju min oraz z zamiany pomiędzy obecnymi znaków porozumienia nie trudno było domyślać się, że się coś — jakaś niespodzianka — gotuje. Ksiądz, człek nie stary, wspaniałej tuszy, wesoly, rubaszny, z parafianami żartował, żartobliwie się do mnie o nich odzywał, traktował nas piwem i bawił rozmową. Godzina być mogła mniej więcej czwarta po południu, gdy za wejściem czyjśmś proboszcz z zapytaniem do mnie się zwrócił:

— Nie zechciałby pan pułkownik halę naszą szkolną oglądnąć?...
— Owszem... — odrzekłem.

Wyszliśmy towarzystwem całem; przechodząc przez szmat gruntu pustego, ksiądz opowiadał mi, jak i kiedy *loty* jedna po drugiej na własność kościelną nabywane były. Po chwili przekroczyliśmy próg okazańie wyglądającej budowli i znaleźliśmy się w dużej — z estradą w głębi — sali, zapelnionej dziećmi, na ławkach siedzącymi. Wolne po środku przejście prowadziło ku estradzie, również przez dzieci zajętą. U stóp estrady widniał obraz żywy: chłopczyk w stroju krakowskim na podwyższeniu trzymał w rękę sztandar polski; za sztandarem w powietrzu rozwijała się w półkolistym kształcie kartonowa wstęga z napisem, trzymana za końce przez dwie dziewczynki w bieli, stojące po dwóch stronach chłopczyka.

« O Polsko ty nasza ! »... — westchnąłem, do głębi na widok ten wzruszony.

Proboszcz do dzieci przemówił, mnie im przedstawiając. Odezwałem się i ja słów kilka. Żal mi się zrobiło dzieci, figurujących w pozycyi wyprężonej w żywym obrazku, — ucałowałem je i z podwyższeń pozejmowałem; za ledwem się jednak odwrócił, one znów miejsca swoje zajęły i posągowe przybrały postawy. Nastąpiły śpiewy i deklamacye patryotyczne, zakończone — na pożegnanie mnie — hymnem *Jeszcze Polska nie zginęła*.

O! nie zginęła... i nie zginie — i tem pewniej byt niepodległy odzyska, im więcej kanoników Gulskich pasterzować ludowi będzie.

Wieczorem odbył się obchód przyjęciowy z mowami i wokalnymi oraz instrumentalnymi popisami. Cechowała go serdeczność, która przez cały czas pobytu mego w Milwaukee dawała mi się czuć na każdym kroku. Nazajutrz na dworzec odprowadzony i serdecznie pożegnany z takim z powrotem do Chicago odjechałem uczuciem, z jakim się od bliskiej odjeżdża rodziny.

XVI.

Czy dla moich przymiotów towarzyskich, dzięki którym jedni mnie za bardzo przebiegłego, drudzy za mocno naiwnego mają, czy może dla tego, że mnie z przedostatnim ich generałem koleżeńską niegdyś wiązała przyjaźń, pozyskałem był szczególne Zmartwychwstańców chicągoskich względy. Z powodu choroby dwuletniej, która mój wyjazd z Europy do Ameryki poprzedziła, straciłem był z oczu bieg spraw na wychodźtwie polskim w Ameryce Północnej i nie wiedziałem, że katolicyzm zmartwychwstańczy wyróżnił się od katolicyzmu, wyznawanego w organizacyi, znanej pod nazwą «Zjednoczenia katolickiego polskiego». Dawniej trzymały się one razem—ks. Barzyński hetmanił jednemu i drugiemu. Posiadał on organizacyjne i administracyjne zdolności, których na czele kościoła po śmierci jego zabrakło. Głuszona za życia jego niechęć pomiędzy świeckim a zakonnym duchowieństwem ujawniła się. Zmartwychwstańcy murem stanęli przy biskupach, pozostających pod wodzą arcybiskupa Irlandi i piastujących ideę wynarodowienia Polaków przez kościół; świeccy wywiesili sztandar patriotyczny i na nim wypisali hasło: «zrównanie duchowieństwa polskiego z duchowieństwem irlandzkim i niemieckim». O nożyce poszło — o nożyce, któremi się owce strzygą. Od dawna czynią się w Watykanie starania i zabiegi o biskupów Polaków dla wychodźstwa polskiego w Ameryce Północnej. Kołatano nawet o wyznaczenie do Ameryki zprześladowanych przez rządy moskiewskie to arcybiskupa Felińskiego, to arcybiskupa Hryniewieckiego, wkońcu biskupa Simona. Zarzucano mającej w Stolicy apostolskiej posłuch arystokracji polskiej we względzie tym obojętność, a nawet niechęć; przypisywano złą wolę figurom wysokie, jak kardynał Ledóchowski, w kościele zajmującym stanowiska i pozostającym w bezpośredniej z Ojcem św. styczności. Pokazało się jednak, że postępowanie duchowieństwa polskiego w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej dziełem jest nie ich, ale wyższego kleru irlandz-

kiego, mającego na widoku opanowanie anglo-saskiego świata przez kościół (*). Z widokiem tym schodzi się wynaradawianie Polaków przez kościół. W sprawie tej razy kilka, cieszący się opinią liberalnego i postępowego księcia kościoła, ks. Ireland, do Rzymu jeździł. Liberalizm jego atoli tego jest gatunku, co zamilowanie pokoju przez Mikołaja II i Wilhelma II, pragnących, gwoli pokoju, Polaków jeden zmoskwiczyć, drugi zgiermanizować.

Musimy jednak coś być warci, kiedy ze stron tyłu potęg tyle naszą dybie narodowość. Sprzymierzanie się przeciwko niej interesów wstecznością nacechowanych duże sprawie polskiej nadaje znaczenie. Dla tego też bodaj samego chlubnie jest być Polakiem.

I dla tego zapewne, ażeby wychodztwo polskie chluba tą przejęte nie miało w niej podniety do pogrążenia się w grzechu pychy, kler wyższy irlandzki — a raczej irlandzko-niemiecki — pozbawić je mowy ojczystej zamierza. Powód ten, odpowiadający charakterowi władzy duszpasterskiej, dołączony do innych, podsycą gorliwość działaczy i tłumaczy « z łona Polski » wyszły zakon.

— « Póki wychodzcy będą pacierz po polsku mówili, póty narodowość polska w Ameryce nie zaginie » . . .

Powiedzenie to w sensie aforyzmu słyszałem często z ust jednego ze świeckich, fachu nauczycielskiego, adherentów zmartwych-wstańców.

« Póki . . . póty ». To prawda. Owóż władze wyższe kościelne irlandzko-niemieckie liczą na to, że « póty » owo trwać będzie « póki » zrodzone na ziemi polskiej pokolenie nie legnie kośćmi swemi w ziemi amerykańskiej. Następstwo takie przewidywać się daje w naturalnym rzeczy biegu. W tym samym porządku, po

(*) W sprawie tej od znawcy praw kanonicznych dowiaduję się, że wedle praw tych papież biskupów mianować nie może inaczej, tylko terytorjalnie, dla pewnej przestrzeni, chociażby na niej ani jeden nie znajdował się katolik. Gdzie przebywają wierni, tam dla nich ustanawiają się proboszcze, kapelani, podlegli zawiadującemu przestrzenią biskupowi. Na podstawie praw tego mianowani bywają biskupi *in partibus infidelium*. Niesłusznie więc były pretensje nasze o n e-naznaczenie biskupów dla zamieszkujących Stany Zjednoczone Polaków. Biskupem zamianowanym być może i Polak, ale nie dla Polaków, lecz dla katolików w określonej ściśle terytorjalnie dycezyi.

wynarodowieniu w mowie, nastąpi wynarodowienie w duchu jeżeli się patryotyzm polski wyłącznie na pacierzu opierać będzie. Irlandczycy pacierze odmawiają po angielsku, są zaś czynnie patryotami irlandzkimi nie dla pacierza, lecz dla tego, że posiadają swój Skarb narodowy i łożą nań nie odciągani od łożenia przez księży swoich, — przeciwnie — mocno przez nich zachęcani.

Nie rozumiem przeto, czemem ja, jeden z gorliwszych Skarbu Narodowego promotorów, zasłużył sobie na względy żarliwych instytucji tej przeciwników. Przypuszczam, że im o nawrócenie mnie chodziło, nie dość bowiem przypisywania mi dla obozu ich zasług (wproszona się na członka założonej przez nich komisji pomocy naukowej i ofiarowania im jednej z prac moich), których się nie dopuściłem, ale oraz ostrzegali mnie przed zagrażającym mi jakoby niebezpieczeństwem. Niebezpieczeństwo tym razem inaczej się przedstawiało, aniżeli to, które wykomponował był reporter *Record'a*. Rozeszła się pogłoska, że należące do Związku Narodowego Polskiego grupy niezależnych sposobią owacyę dla mnie. Zdaje się, że obóz zmartwychwstańczy, powiadamiany zawsze o tem, co się w innych obozach dzieje, o pogłosce tej pierwszy publiczność polską zawiadomił. Do wiadomości mojej doszła ona po moim z Milwaukee powrocie, — dowiedziałem się zarazem, że zaprosin niezależnych z pewnością nie przyjmę (czy też już im odmówiłem), inaczej bowiem dopuściłbym się ciężkiej zbrodni patryotycznej, polegającej na tem, iżbym użył poparcia ludziom, pozostającym z Moskalami w porozumieniu i prowadzącym z nimi konszachty. Ze znanemi mi były sposoby, jakich się chwytają stronnictwa w polemice z przeciwnikami swojemi, oskarżenia te najmniejszego nie sprawiły na mnie wrażenia. Gdy się przeto pogłoska sprawdziła i nadeszło od grup niezależnych zaproszenie, przyjąłem je bez wahania, wymówiwszy sobie tylko, ażeby się ceremonia jak najskromniej odbyła.

Równocześnie panowie redaktorowie *Dziennika Chicagoskiego* zaprosili mnie na posiedzenie Klubu polskiego. Przyjąłem. Zdaje się, że Klub ów świeżo w domu, w którym się redakcja *Dziennika Chicagoskiego* mieści, założonym został.

I jeszcze jedno spotkało mnie zaproszenie — bardzo dla mnie mile: od Związku młodzieży polskiej.

Nie przypominam sobie chronologicznego zaprosin tych porządku, więc się go trzymać nie mogąc, zaczęłam opowiadania od młodzieży.

Ze Związkiem młodzieży, o którego istnieniu, z pism polskich, w Ameryce wychodzących, wiedziałem, zetknąłem się był raz na drodze listownej. Nie pomnę w którym roku w Genewie otrzymałem z Chicago od jednego z należących do Związku młodzieńca list z prośbą o wyjaśnienie stosunku, jaki zawiązał się pomiędzy organizacją młodzieży w Ameryce a organizacją w kraju. Stosunek ów w ten wyrażał się sposób, że tajemnicza jakaś władza z kraju obsyłała młodzież polską w Ameryce rozkazami, nadzwyczajnie do wykonania trudnemi. Rozkazy pochodziły od komendy wojskowej i do wojskowej odnosiły się formacyi. Wedle nich młodzież podzieloną być powinna na bronie: piechota, jazda, artylerya, inżynierya, — bronie na części składowe (czyli dywizye, dywizye na brygady i pułki, pułki na bataliony, szwadrony etc.). Formacja ta pozostać winna pod rozkazami naczelnej władzy wojskowej w Ameryce — władzy, którą zamianowanym został zarząd Związku. Zarząd wziął nadaną mu rolę na seryo, ale nie wiedział, co z tym fantem robić. Ten był powód, dla którego kilku członków Związku powzięło myśl poinformowania się u mnie — myśl wyrażoną pod postacią listu poleconego, zawierającego opis treści rozkazów i żądającego odemnie poświadczenia ich rzeczowości. Od razu domyśliłem się mistyfikacyi i odniosłem ją do któregoś z gimnazyów galicyjskich, z których w jednym zawiązał się był raz pewnego spisek: spiskowcy dorwali się do drukarni, odbili w niej w formie urzędowej rozkaz do wójtów gmin i burmistrzów po miastach w Królestwie Polskiem, opiewający jako przysposobić powinni żywność dla ludzi i koni, oraz kwatery dla nadejść mającego wojska polskiego i rozkaz ów rozęslali. Figiel ten studencki zaalarmował sferę rządową rosyjskie tak dalece, że wojskom pogotowie wojenne nakazaniem zostało. Za powtórzenie się albo znaśladowanie spisku onego wziąłem relacyę o rozkazach, otrzymywanych przez organizacyę młodzieży polskiej

w Ameryce, nie przypuszczając, ażeby pomiędzy nimi a rozkazami redagowanymi, pod natchnieniem nieboszczyka Franciszka Smółki, przez nieboszczyka Karola Widmana, otrzymywanymi przezemnie w czasie kiedy się na wojnę pomiędzy Austryą a Rosyą zanosilo, jaka zachodziła styczność. Dowiedziałem się o tem w Chicago dopiero, po odczytaniu broszury napisanej przez znanego we Lwowie maniaka, K. W., fantazyującego na temat wojny niechybnej a bliskiej — z dziś na jutro — bądź to pomiędzy Austryą a Rosyą, bądź też pomiędzy Anglią a Rosyą. Kiedy czasu onego K. W. zaprzestał był już rozkazy rozsyłać, on jednak za wygranę nie dawał i do dziś nie daje, rozkazów wprawdzie nie rozsyłając, ale w druku — gdy drukować ma za co, i w listach wypisując skargi na osobistości, co według niego mogły a nie chciały do wojny tej w danym doprowadzić momencie. W liczbie oskarżonych i ja się znajduję niekiedy. On też to zmystyfikował młodzież w Ameryce. Nie domyśliłem się tego, gdym z Genewy młodzieży na list odpisywał i dla tego w dalsze moim informacjami grzeszyły niedokładnością, skutkiem której na zjeździe delegatów Związku, większość przyłączyła się do domysłu, że organizacja krajowa, co rozkazy posyłała, nie przypuściła mnie do tajemnic swego istnienia i działalności swojej. Argument ten starczył na czas jakiś. Wkrótce później mistyfikacja sama przez się, jak oliwa na wierzch, wypłynęła. Nie potrzebowałem o niej z młodzieżą mówić.

Na zgromadzeniu, które się na moją, w liczbie 30 — 40 osób, zeszło intencją, mowa była o potrzebie nawiązania stosunków pomiędzy młodzieżą polską w Ameryce a młodzieżą polską w Europie, w Polsce. Nawiązanie stosunków nie byłoby trudnem. Trudność tkwi w niejednakowości mianownika intelektualnego, którego wyrównaniu przeszkadza odległość. Organizacje młodzieży w Starym Kraju obejmują młodzież uczącą się — uniwersytecką; w Ameryce — rzemieślniczą. Różnicę tę mogłaby wyrównać ciągła na zjazdach w Europie i Ameryce obecność delegatów tych i tamtych. Gdym o tem wspomniał, zaczępiono mnie zapytaniem :

— Kto koszta podrózne opłaci?...

Co jednak, celem utrzymania t. zw. «czucia do lewego», łatwa

jest i zupełnie możliwą rzeczą, to wzajemne komunikowanie sobie ustaw, odezw, odczytów, zwłaszcza zaś sprawozdań z działalności. Związek młodzieży w Ameryce wydaje pismo miesięczne, *Sztandar*, który jest oficjalnym jego organem.

Wieczór w gronie młodzieży polskiej w Chicago spędzony pozostanie dla mnie wspomnieniem jednym z miłszych. Znalazłem ją nie tylko po polsku czująca, ale i ogólnie prawie bez akcentu angielskiego po polsku mówiąca.

Dla wykazania, jaki mistyfikacje wpływ mieć mogą, dodać winienem, że gdym o owej lwowskiej *Drogi* M. wspomniał, Dr. ręce załamiał i odrzekł:

— Pulkowniku!... co się dziwić młodzieży?... Na te plewy wziąć daliśmy się i my stare wróble...

W robotach politycznych w ogóle, a w naszych, które tajemnicą osłaniać musimy, w szczególności, mistyfikacje są grzybami trującymi, których się jaknajmocniej wystrzegać należy. Zmystyfikowana w r. 1870 Francya zapewnieniem, że pogotowiu do wojny ani jednej nie brak sprzączki, cisnęła Niemcom rękawicę i dziś z najlepszą miną mistyfikować się daje Moskwie, opłacając się jej miliardami. Alboż—nie mistyfikowanie to: wmawianie w ludzi, że do zbawienia Polski niczego nie potrzeba innego tylko... modlitwy?... O! modlitwa potrzebna nam «O niepodległość, całość i wolność Ojczyzny naszej» («Litania pielgrzymska» Mickiewicza).

Prowadzę opowiadanie moje nie koniecznie we względzie chronologicznym porządnie z powodu, że daty z pamięci mi wypadły. Być przeto bardzo może, że pierwej niż u młodzieży gościłem u ludzi dojrzałych w Klubie polskim. Klubowi mnie zaprosili — poszedłem. Wyraźnie to zaznaczam, celem zastrzeżenia się przeciwko możliwemu zarzutowi, jakobyem się gdziebądź w Ameryce wprosił, lub nieproszony wszedł. Jak nie wpraszałem się do Towarzystwa pomocy naukowej, jak nie narzucałem się przedrukami pracy mojej, tak nie czynilem tego nigdy i nigdzie. Odmawiałem miękiedy: Wezwany do St. Paul, do Grand-Rapids, nie jeździłem tam dla braku czasu. I do Klubu polskiego, o którym redaktorowie

Dziennika Chicagoskiego powiadali mi, że otwartym jest dla Polaków wszystkich stronnictw, byłbym z własnego nie poszedł natechnienia.

Klub mieści się na pierwszym—o ile przypominam sobie—piętrze domu, będącego podobno *Dziennika Chicagoskiego* własnością. Spotkałem kogoś na dole i ów ktoś wprowadziłm nie na górę do przyzwoicie umeblowanego salonu, w którym nie zastałem nikogo. Na razie pomyślałem, że się pośpieszył. Nie długo atoli samotność mnie otaczała. Chwilka — i z izby przyległej wyszedł jeden z redaktorów, pełniących — jak się zdaje — funkcję gospodarzy. I tak zapewne w rzeczy samej było, albowiem redaktor ów przedstawiał mi wszystkich następnie z tejże izby wchodzących, jednych z nazwiska tylko, innych z nazwiska z dodatkiem: «członek Związku narodowego». Wśród tych ostatnich dodatek do nazwiska jednego brzmiał: «były prezes Związku narodowego». Spotkałem związkowców na obiedzie u przełożonego Zmartwychwstańców; spotkałem ich i w Klubie zmartwychwstańczym: nie dowód-że to tolerancyi ze strony zakonu, nie cieszącego się szczególną wziętością patriotyczną w opinii publicznej ani w kraju, ani na wychodźstwie? Zachodzi wszelako pytanie, czy to pokazywanie przeciwników w gronie swoim o tolerancyi czy też o prozelityzmie świadczy?

Bawiliśmy się rozmową o różnych i tym podobnych rzeczach, nie dotykając kwestyi ważniejszych. Ktoś oświadczył mi, że powinien żałować, iżem opuścił sposobność usłyszenia śpiewu pani Kwasigrochowej; ktoś inny znów z przekąsem odezwał się o niezależnych i wywołał parę złośliwych pod ich adresem dowcipów. Z niezależnych wśród obecnych nie było nikogo. Zapewne Klub, dla «wszystkich» otwarty Polaków, otwartym nie był dla nich. O ile przypominam sobie, nie zdarzyło mi się spotykać ich w towarzystwie Zmartwychwstańców, stanowiących na wychodźstwie w Ameryce skrajną klerykalizmu prawicę — klerykalizmu, nie rozumiejącego Polski inaczej, tylko w służbie papieża.

Na tem, jak rzekłem, posiedzeniu klubowem nie dotykano kwestyj ważniejszych. Gawędka przelamywała się z przedmiotu na

przedmiot. Gawędzono trochę o sztuce, trochę o literaturze, trochę o mojem «nie polskiem» zachowywaniu się wobec wniesionego do salonu i w pełnym towarzystwie kieliszków na stole postawionego napoju, serce rozweselającego. Dyskusya nie wytoczyła się żadna. W obchodzeniu się ze mną czuć się dawał brak serdeczności, obok grzeczności i uprzejmości, nie do życzenia nie pozostawiającej, a nawet *sui generis* życzliwości. Boć nie co innego chyba, jeno życzliwość natchnęła złośliwe o niezależnych wzmianki, pochodzące zapewne z chęci odciążenia mnie od kompromitacyi, dotyczącej już osobę moją szerzącą się coraz bardziej pogłoską o czynionych przez nich przygotowaniach celem uczczenia mnie. Przypuszczam, że, gdym zgromadzenie klubowe opuszczał, zostałem nie dla czego innego, tylko dla oszczędzenia mi kompromitacyi, zaproszony do hali św. Stanisława na wysłuchanie i oglądanie instrumentalnych, wokalnych i deklamacyjnych popisów, oraz gimnastycznych i wojskowych ćwiczeń, w których udział wziąć miały odpowiednie towarzystwa cywilne i wojskowe. Jeżeli mnie pamięć nie zawodzi, odegraną być miała i sztuka jakaś teatralna. Wszystko to dla osłonięcia mnie przed kompromitacją przez niezależnych — a może... dla wyrządzenia im przykrości. W walkach stronnicych klerykali odznaczają się bezwzględnością.

Znając tę przeciwników niezależnych właściwość, nie brałem na seryo opowiadań o bezceństwach, jakich się oni — jakoby — dopuszczają. Największe z zarzucanych im bezceństw czysta osłania sprawiedliwość. Chcą, ażeby kupowane przez nich nieruchomości i ruchomości ich pozostawały własnością. Czy jest co do zarzucenia temu? Czy jest co w chceniu tem występne?... Biskup ich, ks. Kozłowski, jest — jakoby — biskupem samowładnym. Nie czułem się ani upoważnionym, ani kompetentnym do wnikania w tę sprawę, tem mniej, że na biskupa wyświęconym on został przez uznawaną przez państwa regularne władzę kościelną. Zarzucano mu konszachty z Moskalami. Zarzut ten zyskałby na powadze, gdyby za podstawę i za dowód nie służyło mu to tylko, że ksiądz Kozłowski z Moskalami gadał. Komuż się z nas z Moskalami gadać nie zdarzyło!...

„Nie słyzałem — i nikt ponoć nie słyzaał — o żadnym pomiędzy przedstawicielstwem niezależnych a władzami kościoła prawosławnego układzie, o żadnych ze strony tego «odszczepieństwa» wobec rządu rosyjskiego zobowiązaniach — pomimo, że i rząd rosyjski mocno o zjednanie odszczepieńców tych dla siebie się stara, i prawowierni katolicyzmu wyznawce wepchnąć ich w objęcia Moskwy usiłują. Dotychczas Moskałom nie dali się wziąć, klerykałom nie dali się wepchnąć i bardzo, bardzo trudno przypuścić, ażeby z konszachtów biskupów ich z moskiewskim generałem czy z prawosławnym protojerejem takie wyniknąć miały następstwa: przyłączenie się parafii niezależnych do Związku Narodowego Polskiego, datkowanie na Skarb 'Narodowy Polski, wreszcie urządzenie owacyi dla tak przez rząd rosyjski lubionej osobistości, jak moja. Tego im ani generałowie moskiewscy, ani protojereje z pewnością nie doradzili i, wedle tego sądząc, lepszymi Polakami są oni, aniżeli ci, co do Związku Narodowego Polskiego nie należą i na Skarb Narodowy nie datkują.

Z tego co wyżej wyraźnie się pokazuje, że nie istniała dla mnie żadna dobra racya nieprzyjęcia ze strony niezależnych zaproszenia — przeciwnie: racya jaknajlepsza nakazywała mi pójść do nich. Zastrzegłem się tylko przeciwko wszelkim w przejeździe przez miasto parodom — przeciwko pojazdom.

— « Pojazdów nie będzie, tylko jeden — zapewnił mnie uroczyście pośrednik, co się ze mną o szczegóły umawiał. Przyjedziemy po pułkownika o pół do czwartej i na miejsce zajedziem za pół godziny, bo to nie blisko... »

Zapomniałem zastrzedz się przeciwko eskorcie, gdy przeto ta w umowie luka na myśl mi przyszła, powziąłem, po naradzie z synem, postanowienie: uprzędzić przybycie pojazdu i wybrać się sumptem własnym karą czyli tramwajem. Tak też zrobiliśmy. Ażeby nam kto nie przeszkodził, przeczekałiliśmy u Dra M. i o trzeciej z chemś, ciągnieni iskrą elektryczną, pędziliśmy na punkt zborny. Punkt ów znajdował się przy kościele, w szkółce pańsiałnej. Gdyśmy z tramwaju wysiedli i na boczną, przy której kościół niezależny się wznosi, ulicę wkroczyli, w zdumienie wprawił mnie

widok, jaki mi się w oczy rzucił. Nie spodziewałem się podobnej uczestników owacy ilości. Ulica literalnie zapchaną była ludźmi. Tłoczyli się mężczyźni dojrzały i młodzi, kobiety—niektóre z dziećmi na rękach, dzieci. W ciżbie trudno się było przecisnąć. Ledwie nieledwie przebiliśmy się do furtki, otwierającej ciasne do «pałacu» biskupiego przejście.

Niespodziane pojawienie się moje sprawiło zdziwienie i stało się powodem zamartwienia dla dowódcy dragonów. Ponieważ zapomniałem był zastrzedz się przeciwko eskorcie, przybyć więc miał po mnie, stosownie do umowy, powóz jeden, ale jednemu temu powozowi towarzyszyć mieli dragoni, jako eskorta wojskowa. Przybycie moje w niwecz część programu obchodowego obróciło. Zład wielkie nieukontentowanie dragonii, którą ominęła sposobność przejechania się w paradzie po mieście, — nieukontentowanie, które młody o marsowym wyglądzie wódz, głośno wypowiadać począł, aż go ktoś umitygował. Trzeba było w programie wstęp cały na prędce zmienić. Dokonało się to pomyślnie. Nieukontentowanie ustąpiło miejsca zadowoleniu. Parada wojskowa wyraziła się w formowaniu szpalerów w miejscach, kędy przechodziłem. Wódz gromko komenderował, dragoni się szykowali; podziw wzbudzały marsowość ich min i piękność mundurów. Patrząc na nich, przypominałem sobie podania historyczne o epoce Sasów w Polsce, kiedy to, zaczynając od r. 1722, zredukowana do *minimum* siła zbrojna służyła nie do obrony granic Ojczyzny i osłony cywilizacji europejskiej, ale, jeżeli nie do t. zw. «kempementów» (August II), to do parad przy uroczystościach kościelnych, zwłaszcza przy kilkanaście razy za panowania Augusta III powtórzonych koronacjach Matek Boskich. Nie zachwycał mnie przeto widok wojskowych przy obchodach asystencyj.

Obchód u niezależnych na dwie rozpadł się części: jedna pod gołem niebem, druga w hali. Część pod gołem niebem była konieczną, w żadnej bowiem w Chicago sali nie zmieściłby się tłum, wynoszący 12 do 15 tysięcy ludzi. Widok ten był dla mnie dostateczną nominacją ks. Kozłowskiego biskupem ratyfikacją. Tłum ów zadowolnił się wysłuchaniem dwóch przemów: księdza biskupa

z mojej, wygłoszonych z zaimprovizowanej ze stołu mównicy, a przyjętych, za pomocą grzmiących i długo trwających oklasków, uznaniem dla zawartych w nich myśli patryotycznych. W hali przemowy przeplatały śpiewy i deklamacje.

Parafie niezależne w czasie obchodu złożyły na Skarb Narodowy kwotę, wynoszącą z górą dolarów 40, — zadeklarowały przytem nieustający w dawkowaniu na tę instytucję patryotyczną udział.

W dni parę później ksiądz biskup, w towarzystwie proboszcza jednej z parafii niezależnych, znajdujących się w Chicago w liczbie kilku (pięciu czy sześciu), zaszczycił mnie wizytą swoją.

Ponieważ poprzednio powiedziałem o niezależnych wszystko, co zdaniem mojem do powiedzenia o przyczynach tego zjawiska było, nie będę się przeto powtarzał. Pozwolę sobie jeno na uwag parę dotyczących się przedmiotu tego.

Znamienną jest oporność Kuryi rzymskiej we względzie rzucenia na niezależnych klątwy, o co ją mocno ultra-żarliwi katolicy nagabują. Zdaniem mojem oporność ta na całkowite ze strony naszej zasługuje uznanie. Klątwa—jakiemy wywołała następstwo? — Oderwanie się od Rzymu na razie kilku, kilkunastu, może kilkudziesięciu tysięcy wiernych. Szkoda to nie wielka dla kościoła, przywykłego do tracenia milionów, ale — pytanie: czy nie pociągnęłaby ona za sobą większej szkody?... Odnosi się to do Rzymu. Co się zaś nas—sprawy polskiej—tyczy, rzecz przedstawia się dziś tak samo, jak się przedstawiały sprawy z dysydentami w czasach niepodległości Polski. Ułatwiały one ogromnie wrogom Ojczyzny naszej fomentowanie u nas niezgód wewnętrznych, o których wpływie na jej losy mówić nie potrzebuje.

Jeżeli zgubnie oddziaływało to w czasach, kiedy Polska niepodległą była, to cóż dopiero obecnie, gdy ona sobą nie rozporządza swobodnie i walka o nią toczyć się musi w «lochach podziemnych»... I obecnie wrogowie jej fomentują niezgody wewnętrzne: szczepiąc i rozdmuchując miłą socyalistom «walkę klas», szczwając Rusinów i Litwinów na Polaków i usiłując za pośrednictwem swoich generałów i protojerejów trafić w sedno katolicyzmu i wytworzyć w nim ropiącą, na ostateczną zgubę Polski, ranę. Mamyż im w tem pomagać?

Ksiądz biskup Kozłowski nie wydał mi się takim zbrodniarzem przerażającym, za jakiego go przeciwnicy podają. Zewnętrznie mógłby on dla malarza posłużyć za model poczciwego proboszcza wiejskiego. Wzrostu średniego, blondyn, lat 40 — 50, o wesołym i dobrotliwym wyrazie oblicza, w rozmowie nie zdradza tej tępości umysłowej, jaką mu przypisują; wygląd zewnętrzny nie mówi o tych wadach, jakie mu zarzucają. Ma on być np. pijakiem: natóg ten cechuje ludzi, znacząc oblicza ich piętnami, po których się oni poznać dają, a od których wolnem jest oblicze ks. Kozłowskiego. Może i inne jego wady tak jak ta wyglądają. A są i takie, które mu nie ubliżają wcale, jak np. to, że był organistą. Sykstus V, jeden z najznakomitszych papieży, zaczął od pasania nierogacizuy. Przed wyłamaniem się z pod władzy krzywdzących wychodztwo polskie i usiłujących je wynarodowić biskupów irlandzkich, ks. Kozłowski był—jak mi powiadano—wysoce poważanym proboszczem w jednej z najdochoodniejszych w Cbicago parafii. Czynione mu przeto rozliczne, miejscowe i postronne zarzuty mocno się podejrzanemi wydają.

XVII.

Środowiska, w jakich ludzie przebywają, wywierają wpływy nietylko na dzieci, nietylko na młodzież, ale i na osobistości dojrzałe. W Ameryce, na wychodztwie, objawia się to w sposób rażący wśród kierowników opinii publicznej. Przy pismach politycznych, na stołku redaktorskim, rzadko zasiada człowiek, wyznający dziś przekonania wczoraj wyznawane. Zmienianie przekonań odbywa się na drodze nie rozumowania, lecz interesu. Kwestya rozegrywa się pomiędzy tem, co popłaca, a tem, co nie popłaca. I uważa się to za rzecz całkiem naturalną i godziwą. Iks np. zapytuje zarobkującego w dziennikarstwie Igreka: « Czemuś z dziennika socjalistycznego przeszedł do klerykalnego? » — « Bo socjaliści płacili mi tygodniowo dolarów dziesięć, klerykali dają piętnaście. »

Temu się nikt nie dziwi; tego nikt za złe nie bierze. Handlarze przekonani poważani są na równi z handlarzami wszelakiego innego rodzaju—jak np. saluniści (szynkarze). Praktykuje się to i w Europie, ale nie zawsze na sucho zmiennikowi uchodzi. Masłowscy niekiedy ściągają na siebie kije i dla uzyskania u opinii publicznej przebaczenia trzeba, ażeby zmiennik wielkim talentem literackim, rzeczywistym arcyzmem słowa, upadek swój zamaskował. W Ameryce o potrzebie wytrwania w tym względzie mowy nie ma. W polemice zmiennictwo się wypomina; lecz przy zdarzonej okazji wypominający nie powstrzymują się od niego. Sprzeniewierzenie się przekonaniom tłumaczy i usprawiedliwia całkowicie zarobek.

To co wyżej, odnosi się do wpływu środowiska polskiego na Polaków. Nie zaszczerpiło się w niem poczucie etyczne, a nie zaszczerpiło się dla przyczyny prostej i naturalnej: weszło na grunt, na którym nie kwitnie ono. Podania przedstawiają nam, Europejczykom, grunt ów niekoniecznie wiernie. W literaturze polskiej « wujaszkwowie z Ameryki » specjalne mają znaczenie; w ogóle pod nazwą « Amerykanina » przedstawiamy sobie istotę człowieka, obdarzoną nadzwyczajną energią życiową i prawością surową, brutalną, niecierpliwą. Że w Ameryce, częściej niż gdzieindziej, wyrastają osobniki podobne, winna temu dziewiczość gruntu tamiecznego, zwłaszcza społecznego, nadającego się zarówno do niezbyt trudnego dochodzenia do dobrobytu drogą pracy uczciwej, jakoteż do wycisku ludziom zręcznym i nie koniecznie na to, co się godzi, co nie godzi, zważającym. Energia osobników takich wyładowuje się wyłącznie w kierunku zdobywania fortuny.

W punkcie tym zachodzi przełom etyczny.

Pytanie bowiem: czy zdobywaniu fortun, w miliardowych wyrażającym się cyfrach, dziwiącemu nas i zaoskomiającym społeczeństwu Vanderbildtów, Morganów, Carnegie'ich i innych, nie towarzyszą nadużycia żadne? Czy fortun takich gromadzenie możliwym jest na drodze ściśle uczciwej? — bez krzywdy, nieczyjej? — bez wyzyskania tych, których rękami i na których grzbietach bogactwa niezmiernie do ich skarbców zniesione zostały?... Prawda — niektórzy z nich społeczeństwu się hojnie udzielają: zakładają szkoły,

uniwersytety, biblioteki, muzea, galerie obrazów, budują szpitale, teatry, ale... niektórzy... ci tylko, co się do niejaki na drodze zdobywania fortun poczuwają nieprawości. Inni—a ci w ogromnej są większości — nieprawości przenoszą na wszystkie pola, na których się im one do potęgowania zapewniającego potęgowanie wpływów stanowiska przydać mogą. Znane są olbrzymie, potworne spółki (trusty) kapitalistów na polu ekonomicznym. Zespółkowują się oni również na polu politycznym, celem dzierżenia władzy w rękę, dla zapobiegania stanowieniu ustaw, któreby im w wyzyskiwaniu społeczeństwa zawadzać mogły. W rodzaju tym działalność spółkowa ukazała mi się na wielką skalę w czasie agitacji wyborczej, poprzedzającej głosowanie na prezydenta Stanów Zjednoczonych. Do walki wystąpiły stronnictwa: republikańskie (Mc Kinley) i demokratyczne (Bryan), których kierunek naczelny znajdował się w rękach spółek kapitalistycznych, stosujących politykę do interesów spółkowych. Nastroj taki nie może ani na ogół zaludnienia w Stanach Zjednoczonych, ani na imigrujące wychodźstwa dobrze we względnie etycznym oddziaływać.

Jak w dawnej Polsce na czele stronnictw stali dynastowie rodu, którzy do posługi na sejmikach i sejmach potrzebowali pyskaczy, gotowych w ich sprawie głowy swoje gwoli krescytywy nadstawiać; tak w Stanach Zjednoczonych w obecnym momencie dziejowym, stoją dorobkiewiczze przemysłowi, posługujący się pyskaczami, gotowymi dla nich ryzykować życie, mając atoli osobiste na widoku korzyści, dla których rzuciliby pryncypała, gdyby przeciwnik jego pomyślniejsze rokował im widoki. Smutną stawać się np. spółka Tamany, dzierżąca władzę w Nowym-Yorku, złożona z łotrów i każąca się w każdym terminie odnawiania składu municypalności wybierać(*). Łatwo sobie wyobrazić, jak złym praktyki podobne świecą przykładem. Wytwarzają one energię — to prawda, ale... jaką! — energię rycerzy przemysłu, genialnych

(*) Przy ostatnich r. 1901 Rady municypalnej w N.-Yorku wyborach spółka Tamany, za wpływem — jak wieści głoszą — prezydenta Roosevelta, zlamana została.

kręcicieli biczów z piasku. W epokach agitacyjnych występują oni pod postacią t. z. « politykierów » — agentów, czyniących reklamę trojaka : ustną, pisaną i obrazowaną. Jedni, darem słowa obdarzeni, jeżdżą po kraju, zwołują zgromadzenia i pozyskują ludność dla stronnictwa, które im za to płaci; drudzy rozpisują się w dziennikach, pamfletach, broszurach; trzeci obrazują bronioną przez nich sprawę w ilustracjach i za pomocą żywych obrazów.

Ilustracje w ogromnym są w Stanach Zjednoczonych użyciu. Pism ilustrowanych wychodzi bez liku — wszystkie prawie dzienniki raz na tydzień przynajmniej dają numery ilustrowane.

W czasie pobytu mego w Ameryce we wszystkich miastach widzieć się dawały, na wszystkich wystawach i na głównych ulicach, na przeciągniętych w poprzek zawieszonych drutach ogromnej wielkości portrety kandydatów na prezydenturę: republikanów, Mc Kinleya i Roosevelta; demokratów, Bryana i wiceprezydenta (nazwisko zapomniałem). Raz wieczorem, o zmroku, w ulicy, przy której mieszkałem, słyszeć się dała muzyka, przeplatana bębnieniem marsza wojskowego. Wojsko?... w Chicago?... Zdziwiło mnie to. Otworzyłem okno — patrzę i, po upływie chwil kilku, widzę w szyku plutonowym przeciągające jedna za drugą, poprzędzane przez pochodnie, orkiestrę i doboszy, kolumny wojskowe. Zdziwienie moje spotęgowało się, gdym w szeregach rozpoznał spółziomków moich, umundurowanych trochę fantastycznie, ale pokaźnie.

— Co to znaczy?...

— •Manifestacya na rzecz Mc Kinleya...

Reklama.

W Pittsburgu w tymże czasie manifestacya polska na rzecz Mc Kinleya, przystrojona w kierezye krakowskie i w rogatywki a uzbrojona w kosy na sztorc o drewnianych na stalowo pomalowanych żeleźcach, zesła się z manifestacyą amerykańską na rzecz Bryana, również mającą pozór wojskowy. Pomiędzy dwiema temi manifestacyami do starcia na ostre przyszło. Zwycięstwo odnieśli Polacy. Amerykanie pierzchli, pozostawiając plac boju okryty nie trupami, ani rannymi, ale kapeluszami.

Reklamy tego rodzaju ogromnie są kosztowne. Idą na nie dziesiątki, jeżeli nie setki milionów, — nie z kieszeni jednak kandydatów. Na reklamowanie kandydatów, wyobrażających pewne polityczne i ekonomiczne kierunki, łożą zainteresowane w kierunkach tych spółki kapitalistów, właściciele przedsiębiorstw handlowych i przemysłowych na olbrzymią skalę — spółki, działające przez wynajmowanych *ad hoc*, grubo płatnych polityków, kierujących się tą drogą na kapitalistów. Z miliardarów amerykańskich połowa przynajmniej karierę swoją od tego zaczęła, że w latach dziecińczych trudniła się sprzedawaniem dzienników na ulicach.

W przedpołudniowych i popołudniowych godzinach, w których dzienniki wychodzą, po miastach rozbiegają się chmary dziewięcio i dziesięcio-letnich chłopaków, okrzykujących tytuły, wtykających przechodniom pisma w ręce i z zadziwiającą zręcznością wskazujących na w pędzie całym przelatujące tramwy. Z pośród tych to chłopaków wyrastają «królowie» dróg żelaznych, «królowie» nafty, «królowie» miedzi, «królowie» stali, etc., odgrywający w społeczeństwie amerykańskim rolę bardzo podobną do tej, jaką u nas ongi odgrywały «królewicze». Różnicę stanowi droga, którą do niej dochodzą. Nasze królewicze nie terminowały na ulicy, nie odbywały nowicyatu w szeregach politykierskich, nie przebiegały się łokciami i kułakami w pchających się ku jednemu i temuż samemu celowi ciżbach.

W ciżbach tych oglądałem — niestety — Polaków. Mówię: «niestety» ze względu na etykę, mocno w tego rodzaju manewrach w walce o byt cierpiącą. Na spółziomków naszych wzory działają i oni idą za nimi — idą, ale nie dochodzą. Brak im — zdaje się — nie energii, lecz sprężystości jeżeli nie fizycznej, to moralnej, raczej umysłowej, nadającej zwinność przy wymijaniu zapadni kodeksu karnego i wskakiwaniu do pędzącego całą elektrycznością siłą rydwanu fortuny. W łonie wychodztwa polskiego nie wyradzają się bohaterowie tego kalibru. Może to nastąpi później, kiedy się wychodztwo nasze do głębi zamerykanizuje. Oby jeno przejęło ten hart patryotyczny, co Amerykanów cechuje, nie zapominając o starej matce przez wrogów mordowanej!

A są tacy, co o Polsce nie zapominają. Zetną — o tem miałem sposobność przekonywania się często w stykaniu się tak z tłumami; jak z pojedynczemi do warstwy inteligencyi należącemi osobistościami. O wszystkich znacznych rozpisywać się nie sposób. Nie ze wszystkimi w Chicago spółziomkami zbliżyłem się tak, ażebym z całą świadomością sumienny o nich mógł sąd wydać. Do kilku jednak osobników zbliżyłem się o tyle, że pominięcie ich milczeniem byłoby ze strony mojej nie do darowania opuszczeniem, a poniekąd i niewdzięcznością. Pomiedzy nimi pierwszym, co mi się pod pióro nawija, jest Dr. Kazimierz Midowicz. Wspominałem już o nim: leczył mnie i wyleczył, a nad to gościł. Nie dla tego jednak tylko zaliczam go do ziaren dobrych, powołanych do zagłuszenia bujących chwastów na społecznej niwie wychodźstwa polskiego, ale dla tego, że w przejeździe z Nowego-Yorku do Chicago wszędzie, gdzie się jenó zatrzymał, w uszy mi kładziono: «Oto człowiek!», w Chicago zaś powiedzenie to potwierdzano. Przytem nazwisko mnie intrygowało. Po upadku powstania, do jesieni r. 1866 mieszkałem w Belgradzie, w Serbii; znałem tam Dra Medowicza, o którym wiedziałem, że nazywał się istotnie Midowicz, przybył do Serbii z Galicyi i nazwisko zmodyfikował, ponieważ pod nazwiskiem prawdziwym rząd serbski byłby musiał wydać go Austrii jako spiskowca, skompromitowanego politycznie wespół ze Smolką, Ziemiańkowskim, Dunajewskim i in. Gdym D-rowi M. w Chicago o tem powiedział:

— «To mój stryj rodzony!...» — odrzekł mi.

Pokazuje się, że przysłowie: «Rodem kura czubata», nie zawsze zawodnem bywa. Stryj, lekarz znakomity, zajmował wysokie w owoczesnem Księstwie Serbskiem lekarza naczelnego stanowisko i posiadał reputacyę człowieka zacności murowanej. Synowiec w niczem, z wyjątkiem stanowiska, stryjowi nie ustępuje. Stanowisko Dra K. Midowicza było (może jest i obecnie) nie tak wysokie, ale nie mniej poczesne: przewodniczył Wydziałowi oświaty w Związku Narodowym Polskim. Od niego zależało polecenie stypendystów do Seminarium w Detroit oraz przyznawanie nagród

w konkursach na tematy, wyznaczone przez Wydział oświaty; jego też, jeżeli się nie mylę, akcyonaryusze *Dziennika Narodowego* stawiali na czele towarzystwa swego. Sz. Dr. służy rzeczy publicznej udziałem w służbie i przykładem.

Szanowny Doktor udzielał się mi nie tylko przez poradę lekarską. Zaszczycił mnie odwiedzinami swojemi, gościł w domu swoim i pokazał mi miasto Chicago ze strony najpiękniejszej: parku rozlegającego się nad jeziorem i przyległej do niego zamiejskiej dzielnicy, wypełnionej domami bogaczy, przedstawiającemi ciekawą i zajmującą różnaitość architektury. W domu Doktora panuje obyczaj polski, przestrzegany przez panią Doktorową, Polkę, przez ich synka, hodowanego na Polaka, przez stryjecznego brata Doktora, jakoteż krewnych (młodzieńca i dorastającą panienkę), których Doktorstwo przy sobie tuli.

Drugiego, nadającego się do tłumienia wyrastających na niwie wychodźczej chwastów człowieka, poznałem w osobie również lekarza o wiele od Dra Midowicza młodszego: Dra Kazimierza Żurawskiego.

Dr. K. Ż. jest synem człowieka, mocno przez rząd rosyjski prześladowanego za sposób myślenia niezależny, pomimo że urzędowo zajmował stanowiska. Nie znałem go osobiście, ale chwilowo zetknąłem się z nim na drodze zamiany listowej. W roku niepomnę dokładnie którym, w każdym razie w początkowych latach ostatniego dziesięciolecia w wieku XIX, otrzymałem z Londynu list, któremu towarzyszyła po rosyjsku, p. t. *Polsza, Sibir i Rossija*, napisana książka—jedno i drugie z podpisem Wincentego Żurawskiego. Zdaje się, że i w książce i w liście skreślił autor swoje *curriculum vitae*, zdające sprawę z zajęć z rządem, obok tego charakteryzował ów rząd i naturę jego, scharakteryzował kilka osóbności, biorących udział w wypadkach r. 1863 i dał ogólny na sposób prowadzenia politycznego sprawy polskiej pogląd. Pogląd ów skierował na Stany Zjednoczone Ameryki północnej, wskazując Syberję jako jedynie najpewniejsze pole walki z Rosją o Polskę. Zdaniem jego amerykańskie wychodźstwo polskie podjąć powinno zadanie wyzwolenia Ojczyzny, na dokonanie czego wystarczy

sformowanie korpusu dziesięcio-tysięcznego dla podbicia Syberyi, bez której Rosya straciłaby bytu państwowego podstawę i byłaby zmuszoną Polskę oddać dobrowolnie. Z tym wysoką fantastycznością nacechowanym planem w głowie i z gorącą miłością Ojczyzny w sercu, autor z żoną i z dziećmi przeniósł się do Stanów Zjednoczonych. Śmierć rychła przystąpić do wykonania planu nie dała. Pozostała matka z gromadką dzieci, wśród których syn najstarszy nauki gimnazyalne pobierał w Krajach Zabrzanych, zdaje się, w Niemirowie, częścią w Kijowie.

Ten to właśnie syn ukończył w Ameryce wydział medyczny i zajął w Chicago stanowisko poważne i pożyteczne jako lekarz, jako członek zarządu (*trustes*) w Związku Narodowym Polskim, jako człowiek rozumny i Polak Ojczyznę miłujący. Miłe wspomnienie wyniosłem z kółka jego rodzinnego, w którym danem mi było razy parę po godzin kilka spędzić w towarzystwie młodziutkiej pani doktorowej, jej matki pani Czerne z Białorusi, braci doktora i jego matki, mojej spółpowietniczki, rodem z Tulczyna — takiej typowej tulczynianki, z którą się na nią dosyć napatrzeć i dosyć jej nasłuchać nie mógł. Jej widok, rozmowa z nią, sposób, w jaki praktykowała gościnność, odtwarzały mi we wspomnieniach lata moje dziecinne, moją młodość i stanowiły interes osobisty, który mnie do domu Sz. Doktora ciągnął. Dodać winienem, że dom ten posiadał dla mnie pociąg magnetyczny w tem jeszcze, że pani Doktorowa utwory Szopena egzekwowała po polsku. Słuchając jej grania, miałem złudzenia gry mojej żony. W domu Sz. Doktora panuje całkowiec czysto polska atmosfera, przeniknięta ciepłem patryotyzmem i zacznem postępowym.

Nie jednego atoli Dra K. Żurawskiego takim jest dom polski w Chicago. Pisałem już o ogniskach domowych D-rów Midowicza i Kuflewskiego. Nie bywałem u wszystkich zamieszkałych w stolicy wychodźstwa polskiego Polaków. Niezawodnie ognisk podobnych znajduje się więcej, że wymienię jeszcze dom pani Czerne, teściowej Dra K. Żurawskiego; oraz dom p. Smulskiego, adwokata, młodego człowieka, małżonka młodziutkiej kobiety, dobrej muzyczki i śpiewaczki. On czysto po polsku mówi; ona leciutko

akcentem angielskim zarywa. W salonie ich miłych parę spędziłem wieczorów. Zdaje się, że mieszkają w domu własnym, na parterze bowiem znajduje się sklep, dawniej księgarnia, założona przez nieżyjącego ojca adwokata, prowadzona przez staruszkę jego matkę na to, jak się zdaje, ażeby pozostające w niej towary w książkach, przyborach piśmiennych i różnych innych artykułach wysprzedać i budę zamknąć. Znalazłem w budzie tej przedmiot, który bym był chętnie nabył, gdyby nie sprzeciwiające się temu okoliczności. Przedmiotem tym był sporych rozmiarów obraz olejny pędzla Włodzimierza Tetmajera, jeden z okazów tego rozbicia, jakiemu uległa wysyłka artystów polskich na wystawę chicagoską. Wysyłka tak dokonana została nieoględnie, że obrazy uległy zaprzepaszczeniu: ktoś je posprzedawał, pieniądze dla siebie zabrał i... siekierka utonęła.

Kancelarya adwokacka p. Jana Smulskiego w Chicago znajduje się w olbrzymim budynku, w pobliżu ratusza i sądów. Odwiedziłem raz w niej p. Smulskiego i pod jego przewodnictwem złożyłem wizytę burmistrzowi, z którym kilka jeno zamieniłem frazesów grzecznych; zwiedziłem też różne dykasterye, między innemi izbę sądową dla spraw kryminalnych. Dzień był taki, czy też taką była godzina, czy może trwała jeszcze (nie przypominam sobie) pora wakacyjna: w izbach, do których wchodziliśmy, ducha nie było żywego, z wyjątkiem ostatniej. W tej duch żywy przedstawił się nam pod postacią starca, siedzącego wobec ław pustych na wywyższeniu, na krześle prezydyalnem i zajętego przeglądaniem złożonych przed nim na stole papierów.

— Sędzia najwyższy... — rzekł do mnie przewodnik mój, gdyśmy do obszernej, zastawionej w półkole ławkami sali wkroczyli.

Nimeśmy do wywyższenia doszli, miałem czas wysłuchać objaśnień, dotyczących się zajmującej krzesło prezydyalne osobistości. Starzec ten przed laty wydał głośny w czasie swoim wyrok na anarchistów, skazując kilku z nich na śmierć mimo zanoszonych do niego przez mężów wybitnych instancyi oraz śmierć mu zapowiadających ze strony socyalistów pogrózek, (w czasie owym socyalizm jeszcze się był od anarchizmu nie wyróżnił). Nie wzruszyło go jedno, nie zastraszyło drugie.

Groźny ów sędzia powitał nas uprzejmie i, wskazawszy siedzenia obok siebie, zawiązał z nami rozmowę o Polsce. Sprawa polska obcą mu nie była: znał krzywdę naszą, nasze wobec zaborców potężnych położenie; przyznawał nam w domaganiu się niepodległości rację, ale wyraził wątpliwość, ażebyśmy niepodległość wywalczyć zdołali.

— Możemy się doczekać powikłań politycznych, nasuwających sposobność, która nam walkę ułatwi — zauważyłem.

— Prawda... — odrzekł.

— Przewidywać się nawet daje—dodałem—pomiędzy głównym wrogiem naszym, Rosją, a Stanami Zjednoczonymi zatarg orężny, w którym Stany Zjednoczone Polakom a Polacy Stanom Zjednoczonym przydać się mogą...

— Prawda... — powtórzył.

Była jeszcze następnie mowa o wychodźstwie polskiem i o agitacji, odnoszącej się do wyborów na prezydenta. Po zamienieniu w materyi tej frazesów kilku, pożegnaliśmy sędziego i zakończyliśmy zwiedzanie miejsc urzędowych śniadaniem w klubie dziennikarskim, wykwintnie urządzonej i obejmującej pysznie umeblowanych salonów kilka. Z członków nie zastaliśmy nikogo. Jako literat, dziennikarz, gość z Europy, musiałem do przeznaczonej na cel ten księgi nazwisko moje wpisać.

Szanownego przewodnika mego żywo, jako urzędnika, aldermana (ławnika) miejskiego, wybrańca jednej z *ward* (dzielnic), wybory na prezydenta interesowały.

Urzędowanie Smulskiego świadczy, że Polacy brać już poczynają w Stanach Zjednoczonych w życiu politycznym udział niejaki. Stanowisko aldermana, w takim zwłaszcza jak Chicago mieście olbrzymiem, wysokiem jest i zaszczytnem. Stanowisko wyższe, o ile wiem, zajmował jeno (nie w czasie pobytu mego) Kiołbasa. Na stanowiskach niższych (policjanci, listonosze, dozorczy, powstańcy) spotykać się dają spółziomkowie nasi w każdym prawie mieście. Dojdzie atoli do tego, że w dzielnicach polskich urzędnikami od wyborców będą Polacy sami.

I obecnie Polaków na urzędach byłoby więcej, gdyby nie zawiści

stronnicze. Gdy w dzielnicy jakiej na kandydata staje związkowiec, niezawodnie zjednoczeńcy albo zmartwychwstańczone przeciwstawiają mu innego i — na odwrót. Takim porządkiem rozbijają się głosy polskie; dobrze jeszcze, jeżeli Polacy, na przekór przeciwnikom, nie głosują na Niemca lub Ajrysza (Irlandczyka). A i to się zdarza. W czasie ostatnich wyborów municypalnych, zmartwychwstańczone na aldermana w jednej z ward przeprowadzili Niemca przeciwko Polakowi, Drowi A. Szwałkartowi, znanemu i szanowanemu powszechnie lekarzowi, zjednoczeńcowi, ale kandydatowi związkowców. Zjednoczenie, które niegdyś prym wśród organizacyi polskich dzierżyło i nienawiścią do Związku dyszało, złagodniało w czasach ostatnich i do Związku najbliżej z pomiędzy stowarzyszeń klerykałnych przymyka. Zawsze jednak Związek na ostrożności mieć się musi. I życzliwość bowiem niebezpieczną bywa.

Ze Zjednoczeniem, jako z takim — jako z organizacją, nie przyszło mi się zetknąć. Z wyjątkiem Zmartwychwstańców, żadne ze znajdujących się pod kierownictwem księży stowarzyszeń nie objawiło ochoty wdania się z osobą moją. Widocznie na zaszczyt ten nie zasłużyłem sobie; odemnie zaś daleką była chęć odegrywania roli gościa nieproszonego. Nie stroniłem od nich; nie unikałem ani organizacyi, ani należących do takowych osobistości; ale — trzymałem się z boku. Co o nich wiem, tegom się dowiedział ze słyszenia. Dowiedziałem się, że organizacyi klerykałnych jest kilka i że się dość często nowe zawiązują. Żadna z nich, ani liczebnie, ani co do stanu interesów nie stoi tak, jak Związek Narodowy Polski, pomimo że wszystkich podstawę stanowi ubezpieczenie życiowe. Ogromną atoli większość wychodztwa polskiego nie znajduje się w szeregach Związku. Stosunek związkowców do ogółu wyraża się przez 3:200, to znaczy, że do Związku wszedł odsetek nie wyższy od $1\frac{1}{2}\%$; reszta, t. j. $98\frac{1}{2}\%$, należy w części do organizacyi kościelnych ubezpieczonych, jakimi są Zjednoczenie polsko-katolickie, Zjednoczenie katolickie Matki Boskiej Częstochowskiej, Unia, w ogromnej atoli większości do organizacyi parafialnych (bractw). Bractwa od organizacyi, bądź to wprost,

bądź pośrednio zajmujących się sprawą polską, największą Polaków odciągają ilość, stanowiąc główny zaczyn wynarodowienia, parafie bowiem samym sobie zostawione o wiele mniej niż wyżej wymienione organizacje odpornymi są wobec nacisku, jaki na nie wywiera episkopat amerykański, celem podniesienia jaknajwyżej liczebności katolików, modlących się do Pana Boga po angielsku. Ze nacisk ów świadomie istnieje i działa, do tego arcybiskup (kardynał) Ireland przyznał się Bourgetowi w czasie jego pobytu w Stanach Zjednoczonych.

Wynarodowienie atoli zupełne, takie, jakiemu ulegają Niemcy w kraju polskim, nie daje się przewidywać. Nastąpić ono może z jednego z dwóch następujących powodów: albo skutkiem zupełnego do Ojczyzny rodzimej zubożenia; albo gdy wychodząca żeni się z kobietą tuziemią, która zostawszy matką, staje się wychowawczynią w obcej mu mowie i w obcym duchu rodziny. Od zubożenia dla Ojczyzny pierwotnej chroni Polaków wrodzona im do kraju z grobami ojców a udzielająca się ich dzieciom tęsknota; ożenki zaś Polaków z Amerykankami i wychodzenie Polek za Amerykanów tak są rzadkie, że ich w rachubę brać nie można. Szkodę nam małżeństwa mieszane przynoszą w Niemczech, we Francji, w Anglii, gdzie płci męskiej nie towarzyszy żeńska — i to szkodę względną, będącą następstwem braku prezerwatywy. Gdzie wychodzą polscy o sobie pamiętają i dbają o siebie, tam Polacy Polakami, po zatracie nawet języka, być nie przestają. Fenomenowi tego przykładem jest emigracja polska we Francji, wśród której w trzecim—ba w czwartym już—pokoleniu utrzymuje się i w społeczeństwie francuskim nurtuje patriotyzm polski (*). W Ameryce, w Stanach Zjednoczonych, dzięki wolności zapewnionej przybyszom na równi z tuziemcami, jeżeli Polacy bądź sami, za pomocą szkół, prasy, spółek własnościowych i organizacji politycznych, bądź za sprawą kurji rzymskiej, zabezpieczyć się potrafią przeciwko naciskowi kościelnej episkopatu amerykańskiego

(*) Świadczy o tem wydawany w języku francuskim *Bulletin Polonais*, oraz założony świeżo *A l'Assaut*.

polityki, wynarodowienie ani w obecnem, ani w następnych nie grozi im pokoleniach. Zrzec się musimy nadziei, ażeby się wśród nich w czystości mowa polska zachowała. Po za mową atoli, mają oni swoją ziemię obiecaną, do której lgną duszą i sercem i którą, w znaczeniu świętości spadkowej, dzieciom swoim przekazują.

XVIII.

Nie wybaczyłbym sobie, gdyby pamięć taką wyrządziła mi przykrość, iżby z opowiadań o przygodach i zdarzeniach w czasie mojej po Ameryce północnej wędrówki usunęła ugłoszczenie, jakim mnie zaszczyliły Polki. Szykowałem się już do wyjazdu z Chicago, mającego nastąpić na pozajutrz, gdy nadeszło niespodzianie zaproszenie, wzywające mnie na godzinę 2-gą czy 3-ą po południu na przekąskę w towarzystwie wyłącznie kobiecem. Wymówić się sposobu nie było. Wieczór dnia tego spędzić miałem w rodzinie Dra Żurawskiego; z obliczenia się z czasem wypadło jednak, że możliwem było pogodzenie jednego z drugim. Tu godzin parę, tam reszta wieczora. Obliczenie tem łatwiejszem do zrobienia było, że zaproszenie wyznaczając godzinę oznajmiało, że przybyć po mnie ma sekretarka Związku Polek—nie powozem, ale tramwajem — i przewodniczyć mi na przejeździe do punktu zbornego w znanej mi już hali, w niej bowiem grupy Związku Narodowego Polskiego urządziły były przyjęcie dla mnie.

Polki na wszystkich urządzanych dla mnie przyjęciach widywałem wśród mężczyzn, ale nie zetknąłem się był jeszcze ani razu z organizacją kobiecą. Organizacyi, co mnie zaprosiła, przewodniczyła natenczas lekarka, doktor medycyny, panna, nosząca nazwisko litewskie z kategorii nazwisk tego brzmienia, co Dowgiello, Dowmund, Domejko i t. p. Towarzystwo, jak mi powiadano, liczyło członków z górą 100, wyznawało zasady Związku Narodowego Polskiego i było jednym ze świeckich towarzystw kobiecych, istniejących i funkcjonujących w Chicago.

Towarzystw kobiecych kościelnych, pod nazwą bractw różańcowych i innych, jest dużo, te atoli trzymały się czy też trzymane były odemnie zdaleka — i słusznie. Pasterze polskiej katolickiej trzody w Ameryce nie naśladową pasterzy trzody irlandzkiej, zachęcających ówieczki do zajmowania się sprawą narodową i nawet do łożenia na nią. Ci ostatni sprawę zbawienia duszy utożsamiają z troską o zbawienie Ojczyzny. Tamci w większości swojej na rzecz tę zapatrują się inaczej. Że zaś duchowieństwo znany na słabszą rodzaju człowieczego połowę wywiera wpływ, ztąd wynika, że kobiety na wychodztwie nie tylko same w szczupłej do organizacyi świeckich garną się ilości, ale i drugą od nich odciągają połowę. W takich zwłaszcza jak zbawienie duszy rzeczach chłop zwykle idzie za babą dla świętego najczęściej spokoju, niewiasta bowiem, w bliższych z wielebnym pozostając stosunkach i dokładniej przez to będąc w nich poświadomioną, dobitnie je małżonkowi wykladać umie. Nie daremnie twierdzi przysłowie francuskie: *Ce que la femme veut, Dieu le veut*. I Polki chcieć w sensie chcenia bożego umieją. Stąd w znacznej części pochodzi taki ilościowo mały procent organizacyi świeckich męskich w stosunku do ogółu wychodztwa. Procent świeckich organizacyi kobiecych jeszcze o wiele jest mniejszy.

Z organizacyi tych z jedną się tylko, i to na krótko, zetknąłem. Nie daje to mi prawa do mówienia o wewnętrznych i zewnętrznych ich stosunkach. W Związku, co mnie gościł, przedstawiły mi się one zadowolniająco ze względu na harmonię, jaka panowała w gronie kilkudziesięciu kobiet, wśród których się znalazłem. Nie przedstawiały mi się każda z osobna; z pozoru atoli sądząc, były to w większości kobiety zamężne, poważne, matki, które się zebrały i mnie przed oblicze swoje powołały, ażeby człowiekowi, co sprawie polskiej służy, powiedzieć, że i one sprawę tę znają, że je sprawa ta na równi z męską wychodztwa połową obchodzi, że i one Polskę gorąco kochają i gotowe są ofiary dla Ojczyzny nieść. W przemawianiach, w rozmowach z niemi, w rozmowie z przewodniczącą, obok której przy stole siedziałem, ta jedna stale jako temat ogólny przebijała się propozycya :

« I my przecie w staraniach około Polski przydać się możemy. »
O! i jak...

Kobieta obywatelka wiele znaczy i wiele może. W pracach moich literackich (« Uskoki », « Dachijszczyzna », « W Zaraniu », « O Byt » — powieść, której tytuł cenzura zmieniła na : « Rycerz chrześcijański » i w innych) przekonanie to czytelnik znajdzie niejednokrotnie dosadnio wyrażone i w czynie wykazane. Kobiety, jak dzieje świadczą, ważną w gienetycznych i przełomowych narodów momentach odegrywały rolę.

Z przekąską sprawy zdawać nie będę. To jeno zaznaczę, że grono tych polskich za oceanem niewiast jaknajlepsze na mnie sprawiło wrażenie i żem z pośród nich, niły z otoczenia siostrzanego, otuchy pełen wyszedł.

* * *

Jeszcze o jednej ze zbiorowości polskich w Ameryce wspomnieć w opowiadaniu winienem. Socjaliści czy są? — ten i ów zapyta. A są. W Stanach Zjednoczonych socjalizm w ogóle inaczej aniżeli w Europie wygląda. Wsiąknął on w siebie dużo z trustów i oddał się w ręce politykierom. Stąd związki, unie robotnicze są przez tych ostatnich na szeroką wyzyskiwane skalę. W ciągu wyborczej agitacji na prezydenta w r. 1900 zaszło było olbrzymie w kopalniach węgla bezrobocie. Wyszło ono jednak nie od robotników; ale od politykierów, spekulujących na brak węgla na korzyść jednego, a na szkodę drugiego kandydata, wedle stosunku zasadniczego, w jakim tych ostatnich wyznania wiary polityczno-ekonomicznej do górnictwa pozostawały. Na strejku tym robotnicy bardzo wyszli źle; ucierpieli też Polacy, którzy w wielkiej liczbie zarobek przy kopalni węgla znajdują i do związków robotniczych należeć muszą. Obok tych pod firmą socjalistyczną organizacyi olbrzymich, służących do wyzysku wielkim kapitalistom, organizacya socjalistyczna polska tak maleje, że dużo dobrej potrzeba woli, ażeby ją dostrzedz. Kilka socjalistycznych grup należy do Związku Narodowego Polskiego; zdaje się, że Chicago jedną, może dwie grupy posiada. Nie przesadzę *in minus*, gdy powiem, że

w Stanach Zjednoczonych socjaliści Polacy są; socjalizmu atoli specjalnie polskiego, jakim się cieszy Stary Kraj, nie ma. W Chicago wychodzi tygodnik, czy dwutygodnik, p. t., jeżeli się nie mylę, *Robotnik*, żyjący po największej części przedrukami. Pismo to, po moim z Ameryki wyjeździe, mocno mnie za coś sponiewierało — co, mówiąc nawiasem, krwi mi zgoła nie psuje, luboć niekiedy osobistość moja srodze i na gruncie europejskim przez organy tego stronnictwa szarpaną bywa. Na gruncie amerykańskim tak ze strony pisma, jakoteż ze strony osobników kilku, do socjalizmu się przyznających, spotykały mnie uprzejmości, nie bardzo się od uznania różniące. Dla czego więc później ciosy na mnie spadły? Może z Europy nadeszło napomnienie; może redakcja *Robotnika* zmiarkowała, że mnie pochwałami w dumę wbijać nie należy. Z socyjalistami w Chicago i w innych miastach schodziłem się; znajdowałem w nich ludzi przyzwoitych, przystępnych, pozwalających ze sobą dyskutować nawet.

* * *

Śród spółziomków naszych w Stanach Zjednoczonych człowieka rzetelnie w tym zamerykanizowanego względnie, że jest wcieleniem posuniętej do *nec plus ultra* ruchliwości, spotkałem jednego tylko. W natłoku roztargnienia sprawiających spotkań, rozmów, zajęć, zapomniałem z jego się zaznajomić biografją, niewiem przeto na jakim mianowicie, czy na europejskim, czy na amerykańskim na świat przyszedł gruncie. Wedle tego jednak sądząc, że siostry jego i brat, których poznałem, równie jak on bez akcentu po polsku mówią, przypuszczać należy, iż cała ta rodzina światło dzienne ujrzała w jednym z trzech zaborów i, władając już mową tak zawzięcie przez Moskali i Prusaków tępioną, do Ameryki przybyła.

Rodzina ta nosi nazwisko Kuflewskich. Jeden z jej członków, obdarzony od natury świetnym głosem tenorowym, woli, aniżeli spółzawodniczyć braciom Reszke, sprawować rzemiosło (jeżeli się nie mylę) stolarskie, drugi, z którego osobistością zaznajomić chcę czytelników moich, Władysław mu na imię, jest: doktorem medycyny, profesorem chirurgii, naukowym w tej gałęzi leczniczej

pracownikiem, lekarzem naczelnym Związku Narodowego Polskiego, członkiem Komitetu zarządzającego czytelnicy miejskiej i lekarzem praktykującym. O ruchliwości *ultra-amerykańskiej*, jakiej jest okazem, daje miarę rozkład dziennych jego zajęć, znajdujący się w ogłoszeniach dziennikarskich.

Oto ów rozkład: w mieszkaniu godziny konsultacyjne od 2 do 4 po południu i od 7 do 9 wieczorem; w *Columbus memorial Building*, (w klinice chirurgicznej), na 10-em piętrze, od 10 rano do 12-jej w południe, z wyjątkiem niedzieli; w aptecce S. Kuflewskiego od 6 do 7-jej wieczorem; na Milwaukee-ave. pomiędzy 12 a 1-szą w południe; w *Clinical School* (w Szkole klinicznej) od 9 do 10 rano (dwa razy w tygodniu). Okrom tego odwiedzi chorych w mieszkaniach. A wiedzieć potrzeba, że w Chicago odległości pomiędzy punktami jednym a drugim są ogromne, po kilka mil angielskich wynoszące. Czytając powyższy rozkładu godzin konsultacyjnych wykaz, a znając chicagoskie przestrzenie, wydaje się jakby się czytało o czynach sławnego w pierwszej ćwierci wieku XIX-go Pineti'ego, o którym opowiadano, że, kiedy mu rząd z Berlina wyjechać o pewnej godzinie nakazał, wyjechał w jednej i tej samej co do minuty porze wszystkimi na raz bramami.

Ruchliwość maluje się na młodej, wykazującej lat nie więcej nad trzydzieści kilka, Sz. Doktora postaci. Średniego wzrostu, szatyn o czerwonym w włosach odbiciu, mocno zbudowany, w ruchach, w giestach, w mowie wydaje to, cobyśmy nazwali pośpiechem wesółym. Wesolość z oczów mu patrzy. Powszechnie uważaną jest ona za świadectwo dobroci. Nie przypuszczam, ażeby, co się osoby Dra W. Kuflewskiego tyczy, inaczej być miało. Na moją wszelako o nim opinię wpływać do pewnego stopnia może wielka względem mnie jego łaskawość, której doznałem kilkakrotnie.

Po raz pierwszy spotkała mnie ona wieczorem, po zakończeniu owacyjnego w hali Puławskiego przyjęcia, jakiem osobę moją zaszczyliły grupy związkowe. Doktor osób ze dwanaście, włącznie ze mną i z synem moim, zaprosił do siebie na wieczerzę. Suta wieczerza nie była jedyną wieczoru ozdobą. W urozmaiceniu onego udział wzięły rozmowy, opowiadania, gra i śpiewy patryotyczne

panien Kuflewskich, wreszcie obecność jednego z niezaproszonych, niejakiemu P., z fachu golibrody, z usposobienia gaduły, będącego postrachem obrad wszelakich, na których regularnie pełnił funkcję obstrukcyonisty, nie z umysłu, ale dla tego, że, gdy mówić zacznie, to mu się gęba zamknąć nie może. Człek w gruncie dobry, jaknajlepszych pełen intencji i zamiarów, krytyk z natury, obdarzony zdolnością krasomówczą łatwego wiązania frazesów, wynajdowania nagle porównań i przenośni, przeplatania tego o czem mówi, przykładami, przypowieściami i przysłowiami, nie uczony przytem, do mówienia rwał się i, gdy się dorwał, wytrząsał z siebie wszystko, co mu ślina na język nasuwała. Do Doktora przyjechał podgotowany w znacznej części wzruszeniem, jakie mu się udzieliło w hali, po części odwilżeniem gardła na wychodnym w znajdującym się na dole salonie. W hali zajmował miejsce na estradzie w gronie weteranów polskich, do których zaliczał siebie z powodu nie innego tylko z tego, że się Polakiem urodził i czuł. Nie z winy własnej był jednym z «Bartków zwycięzców» i, z tego wzięwszy asumpt, podochociwszy sobie przytem trochę u Doktora, jak raz zabrał głos, tak go już nie popuścił do końca naszego w gościnie pobytu. Za motyw gadaniny służyła mu obecność mego syna, który żołnierkę we francuskich praktykował szeregach i którego z racyi tej miał za swego w latach 1870 i 71 przeciwnika. Wyprowadzał stąd tragizm losu Polaków, zmuszanych do walczenia ze sobą na rzecz, a często i na korzyść ojczyzny ich wrogów. Przypominał bitwy i, podając synowi memu dłoń, wołał :

— Poruczniku ! biliśmy się przeciwko sobie ; ale teraz, gdy do wojny przyjdzie, jeden obok drugiego za Polskę bić się będziemy. ..

I co moment syna mego do walki o Polskę wzywał, przypominając mu bitwy, w których w przeciwnych walczyli szeregach, przeciwko czemu syn mój, ze względu na to, że w r. 1870 na świat przyszedł, nadaremnie protestował.

— Przeciwko sobie za djabli wiedzą czyją biliśmy się sprawę !...
— powtarzał. Teraz jeden obok drugiego... ramię do ramienia... naprzód !... za Polskę !...

Miłym mi był widok tego eks-pruskiego żołnierza, przerobionego

w Ameryce na żołnierza polskiego. Tak by się tam wszyscy prze-
rabiali i na pokolenia następne oddziaływali, gdyby nie wtręty
i przeszkody, z którymi czytelników moich oznajmiać się staram.

Sz. gospodarz przeproszał mnie za gadulstwo gościa nieproszo-
nego. Miałby za co przeproszać, gdyby było ono następstwem
przebrania miarki w odwilżeniu gardła, nie zaś wzruszeń, jakimi
duszę P. przejęły wygłoszone w hali mowy patryotyczne i cały
obchodu nastrój. Jeżeli na krasomówstwo P. zwilżenie gardła
wpływ jaki wywarło, to nie inny, jeno w sensie: *in vino veritas*.

Dwukrotnie byłem w domu Dr^a Kuflewskiego gościem; raz jeden
zaś sprawił mi bal nad bale, zawióźszy mnie do czytelni miejskiej
i przewodnicząc w zwiedzeniu biblioteki.

Library — niestety, znaczenie wyrazu tego odnosząc do po-
chodzenia łacińskiego, Anglicy a za nimi Amerykanie mianują nim
biblioteki i czytelnie, mieszczące się zazwyczaj po miastach Stanów
Zjednoczonych pod jednym dachem. Biblioteka w Chicago, jedna
z większych i znaczniejszych, zaopatrzoną jest przeważnie w spro-
wadzone z Europy dzieła, do których przyłączają się wzrastające
szybko liczebnie produkty naukowe i nadobnej literatury miej-
scowej. Powtarzam to ze słyszenia, w pobieżnym bowiem zwie-
dzeniu nie miałem możności ocenienia wartości księgozbioru. Na to
mi, jeżeli nie czego innego, to wprost czasu brakło i dla tego
bardziej niż biblioteka właściwa obchodziła mnie czytelnia, a w niej
dział polski. Na ten ostatni złożyła się po największej części lite-
ratura piękna. O ochocie czytelnianej Polaków w Chicago dowie-
dzić się nie mogłem, z powodu nieobecności urzędnika, przysta-
wionego do dozoruwania i wypożyczania książek. Dowiedziałem
się jeno, że wydatki na opłatę urzędnika i nabywanie dzieł
polskich ponosi całkowicie miasto. Jeżeli to nie jest sprzyjaniem
Polakom, to co sprzyjaniem nazwać? « Takie same sprzyjanie
— ktoś powie — okazują Amerykanie Niemcom, Włochom i innym »
To prawda; z nami atoli ta zachodzi osobliwość, że narodowość
nasza, z pod prawa wyjęta, z trudnością uznanie w Europie —
w Szwajcaryi nawet — uzyskuje. W Ameryce wyjęcie nas z pod
prawa uznania nie posiada. To coś przecie znaczy.

Zwiedzanie biblioteki i czytelnicy zakończyliśmy w sali posiedzeń zarządu tych instytucji, którego Dr. Kuflewski jest członkiem. Właśnie się obrady odbywały. Spotkał mnie ten zaszczyt, że, zaproszony przez przewodniczącego do asystowania im, przysłuchiwałem się opiniom mężów poważnych (było ich ze dwunastu), czuwających nad działem oświaty publicznej, uważanym w Ameryce za bardzo ważny.

Śród sal dla czytelników przeznaczonych nie ma w Chicago sali dla czytać nieumiejących. Brak ten, z powodu snadź, że zakład podobny wielce mnie w Buffalo zastanowił, w oczy mi się rzucił. Zapytywałem o przyczynę sz. przewodnika — nie umiał mi jej wyjaśnić.

* * *

W Chicago przed oczami moimi dużo przesunęło się osobistości, z których nie jedna zasługiwałaby na zanotowanie w opowiadaniu o wędrówce. Najpierwszy sekretarz generalny Związku Narodowego Polskiego, zacny, powszechnym cieszący się szacunkiem, T. M. Heliński. Poznałem się z nim i widywałem go nigdy inaczey, tylko w Domu związkowym, przy biurze urzędowym. Oddany pracy, której ma wyżej głowy, nie tęgi we względzie zdrowia, czas, co mu po pracy pozostaje, obraca na spoczynek dla nabrania sił do pracowania w ciągu dalszym. Jest to wzór urzędnika, pełniącego obowiązek swój nie z musu, lecz ze zrozumienia pożytku, jaki stąd wynika. Urzędników podobnych jemu nie wielu zasiada po biurach.

Na tymże co biuro sekretaryatu korytarzu mieści się biuro redakcyi *Zgody*, pisma urzędowego Zarządu Związku Narodowego Polskiego. O redaktorze owoczesnym nie wiele mam do powiedzenia. Był to człowiek rozumny, dziennikarz rutynowany i pisarz dobry. Czytelników nie zadowalał z powodu — jak mi powiadano — że był dla nich za rozumnym. Jak się zdaje, ulegał on wpływowi swego na redakcyjnym kresle poprzednika, którym był Franciszek Hieronim Jabłoński, zajmujący w czasie pobytu mego stanowisko prezesa Zarządu Centralnego Związku Narodowego Polskiego.

Jabłońskiemu obszerniejsza nieco należy się wzmianka.

Osobiście, do momentu mego do Chicago przybycia, nie znałem się z nim; aleśmy sobie obcy nie byli: on znał mnie zapewne z reputacyi, jaką sobie na żołnierskiej, literackiej i politycznej urobiłem drodze, ja zaś poznałem go najprzód z kilku listów, które do mnie wystosował, następnie z dziennikarskiej jego w *Zgodzie*, gdy ją redagował, pracy. Jego pojawienie się na wychodźczym gruncie w Ameryce uradowało mnie wielce z tego mianowicie względu, że przedstawił mi się jako człowiek ugruntowany w zasadach demokratycznych i postępowych, nie zacierzwiony jednak, jeden z tych, do których ludzie się garną. Na sejmie w Cleveland, za jego głównie sprawą, Związek stał się rzetelnie świeckim, i następnie, zawsze za jego sprawą, przestał być przedmiotem zawziętej ze strony duchowieństwa polskiego nienawiści i celem ciskanych nań z kazałnic klątw. To, co ze względu na stosunki tameczne nie łatwą było rzeczą, że Związek szeregi swoje dla wszystkich — dla socyalistów, dla niezależnych nawet — otworzył Polaków, Jabłoński przeprowadzić potrafił. Ostre organizacyi tej kanty ogładził i zaokrąglił powoli.

W działalności tej atoli, jak się zdaje, przesadził i to w odniesieniu nie do organizacyi, ale do siebie samego. Związek przyswoił sobie organizacyjne społecznych i religijnych wyznań równouprawnienie i, rozwijając się w ramach tych pomyslnie, czuł w nich zadowolenie. Związkowiec przeciętny na tem poprzestawał, znajdując w nich ze strony ubezpieczeniowej pewność, z politycznej zaspokojenie. Pierwszą dawało uporządkowanie administracyi; drugie było następstwem podniesienia poziomu uświadomienia patryotycznego.

Do tego ostatniego — zaznaczam tu nawiasowo — przyczyniło się nie mało zacieśnienie stosunków pomiędzy Związkiem Narodowym Polskim w Ameryce a Związkiem Wychodźstwa w Europie. Odwiedziny Lewakowskiego i Balickiego wzmocniły węzły; przedruk wszystkich niemal we względnie zasadniczym ważniejszych z *Wolnego Polskiego Słowa* w *Zgodzie* artykułów wstępnych wyjaśnił pojęcia, wytknął drogi, wykazał spólny w Polsce utkwiony cel.

Tego było — jak wyżej rzekłem — dosyć dla związkowca przeciętnego. Lecz Jabłoński ściśle przeciętnym nie jest. Po nad poziom wynosi go wykształcenie uniwersyteckie, na wydziale — zdaje się — teologicznym, pobierane we Wrocławiu, wespół z wielkim nowoczesnym poetą, Janem Kasproviczem.

O wydziale nie mówię z pewnością — domyślam się, opierając po części domysł mój na niezmiernie słodkim obchodzeniu się jego z bliźnimi sposobie. Jest on słodczy i uprzejmości wcieleniem żywym. Nie wyobrażałem go sobie takim; pod względem nawet powierzchowności osobistość prezesa Zarządu Związku Narodowego Polskiego inną mi się — bardziej imponującą i poważną — przedstawiała. W zdziwieniu prawie wprawiał mnie w osobie jego widok człowieka lat mniej więcej czterdziestu, wzrostem niewielkiego, tłuściutkiego, dobrodusznie wyglądającego, łysego, ciągle uśmiechniętego. W rozmowie należy on do rodzaju powściągliwych: więcej słucha niż mówi i rad wypytuje; w towarzystwie należy do tych co nie zawadzają; co zaś mnie w domyśle, że na uniwersytecie teologii słuchał, utwierdza, to istnieje księża komponcya, z jaką dary boże spożywa i serce rozweselające płyny w usta wpuszcza. Ruch i giest w kierunku tym każdy znawcę i amatora zdradza.

Sposobności dowiedzenia się o umysłowych Jabłońskiego kwalifikacjach nie miałem innych, jeno te, które w *Zgodzie z czasów*, kiedy ją redagowałem, znajdowałem. Zaczepiłem go raz o bieżącą polską literaturę: dziwiło go mocno, com mu o koledze jego, Kasproviczu, mówił.

— Nie zanosilo się na to, nie zanosilo... — powiadał.

Jabłoński bywał u mnie; gościł mnie w domu swoim razy parę, w gronie rodziny swojej, którą się w Ameryce otoczył. Byliśmy ze sobą na stopie jaknajlepszej; mimo to do wzajemnego w sprawie, co mnie do Ameryki sprowadziła, wynurzenia się poufnego, a koniecznego pomiędzy dwoma z pod jednego znaku bojownikami, do takiego wynurzenia się pomiędzy nami nie przyszło. Raz Jabłoński oznajmił mi, że otrzymał dyplom na członka Ligi. Powiedział to tonem takim, jakim się tajemnice udzielają. I tyle. Czekają może, ażebym, biorąc z oznajmienia jego asumpt, wyciągnął go na

rozmowę o interesach. Ale i ja czekałem, — czekałem zaś dla tego, zem dostrzegł latającego pomiędzy nami zagadkowego ptaka dyplomacyi, wkładającego tajemnicze na język pęta.

Zagadka, piastowana przez ptaka onego, rozwiązała się po moim z Ameryki wyjeździe.

Jabłoński, jakim zaznaczył powyżej, nie jest związkowcem przeciętnym, poprzestającym na pomyślnym Związku Narodowego Polskiego rozwoju. Pożądania jego ku szerszym zwracają się horyzontom — ku szerszym a łatwiej dostępnym, aniżeli te, ku którym związkowców ciągną organizacye w Starym — na drodze nielegalnej pracujące — Kraju: ku zorganizowaniu w jedno ciało całego w Stanach Zjednoczonych wychodztwa polskiego. Nie byłoby to rzeczą niemożliwą, gdyby się udało Związek skojarzyć z inną poważną organizacją.

Najpoważniejszym po Związku jest Zjednoczenie katolickie polskie. Do nie tak bardzo dawna wojowało ono ze Związkiem zawzięcie; w ostatnich atoli czasach złagodniało i, po zadarcu ze Zmartwychwstanizmem, stało się przystępnem dla układów na podstawie ustępstw wzajemnych. Ustępstw — jakich?... Nie domyślam się, jakieby ustępstwo Zjednoczenie Związkowi zrobić mogło. Chybaby się zobowiązało klątw nie ciskać. Co się zaś Związku tyczy, dyplomacya związkowa dwa posiada punkty, których puszczenie kantem posłużyłoby przypuszczalnie mogło najprzód do zlania w jedno dwóch najpoważniejszych organizacyi wychodźczych, następnie do ujęcia w jedną, spólną, olbrzymią organizację wychodztwa całego.

Punktami temi są: Niezależni i Skarb Narodowy.

O niechęci Jabłońskiego dla pierwszych, świadczącej o wyzwoleniu się z więzów tolerancyi religijnej, dowiedziałem się w Nowym-Yorku.

Z dyplomacyowaniem na rachunek Skarbu, srodze organizacyom klerykalnym niemitego, oświadczyły mnie w Europie już, za powrotem, artykuły *Zgody*, pod adresem tych ostatnich redagowane, usiłujące przekonać je, że Skarb Narodowy nie jest rzeczą tak ważną, ażeby zjednoczeniu się z nimi Związku przeszkadzać

mogło. Znaczyło to oddawanie wychodztwa polskiego w kleszcze organizacyi teokratycznej. Czy nie ten to niefortunny dyplomatyczny zwrót spowodował, w przewidywaniu grubej na sejmie XIV kompromitacyi, przedwczesne do dymisyi podanie się i redaktora *Zgody*, i prezesa Zarządu Związku Narodowego Polskiego?...

Na dyplomacyi nie zawsze się dobrze wychodzi.

XIX.

Nadszedł dla mnie wreszcie moment odjazdu ze stolicy wychodztwa polskiego w Ameryce. Nie powiem, zem Chicago opuszczał z radością i z ochotą. Przyjęto mnie tu tak uprzejmie i serdecznie, że mnie radować nie mogło rozstawanie się z ludźmi, co mi takie sprawili przyjęcie. Co się zaś ochoty tyczy, byłbym miał ochotę zostać jeszcze dla przypatrzenia się bardziej zbliżka życiu, widziannemu przezemnie ze strony zewnętrznej jeno. Nie oglądałem nawet wielkiej osobliwości chicagoskiej: bydłobójni olbrzymiej, pozbawiającej żywota po kilka tysięcy sztuk bydła, owiec, nierogacizny dziennie i przysposabiającej z tej niezmiernej ilości mięsa spożywane przez nas w Europie konserwy, znane pod nazwą: «chicago», w specjalnych blaszanych sprzedawane pudełkach. Konserwy te w sekrecie zapewne z Ameryki wywożą, bom ich w żadnym z miast amerykańskich nie widział; gdym zaś o nie ludzi pytał, nikt o nich nie słyszał. Słyszano o przewożeniu do Europy mięsa świeżego, w stanie mrożonym, lecz o konserwach nie wiadano. Miałem możność przypatrzenia się akcyi rzezania i sprawiania sposobem mechanicznym wołów, wieprzów, baranów, ale—wyznam—ciekawość mnie do zakładu, w którym się ta czynność odbywała, nie pociągnęła. I wielu innych jeszcze zapewne godnych widzenia rzeczy nie oglądałem. Nie brak ochoty był tego powodem. Ale mi się już—po dokonaniu tego, co do zrobienia było—z powrotem do chorującej żony spieszyć zaczynało.

Wyjazd z Chicago był pierwszym ku powrotowi do Europy krokiem. Nastąpił on 27 czy 28 września.

Zapytującym mnie o dzień i godzinę odjazdu nie dawałem odpowiedzi wyraźnej, nie chcąc ich na odprowadzanie na dworzec kolei wyciągać. Zawiadomiłem tylko kilku. We wigilię wyjazdu zesłiliśmy się wieczorem w piwiarni, w której objady jadałem; w pokoju osobnym, przy popijaniu piwa, na pogadance przyjacielskiej, spędziliśmy godzin parę. Zgromadziło się nas ze dwudziestu. Widzę ich: Jabłoński, doktorowie Midowicz, Kuflewski, Żurawski, redaktor *Dziennika Narodowego* Czarnecki, współpracownicy pisma tego, paru członków Zarządu Związku Narodowego Polskiego, paru z widzenia mi nawet nieznanych — pomiędzy tymi ostatnimi średniego wieku człowiek, słuszny, smukły, rysami oblicza i wejrzeniem przypominający mi kogoś dawno niewidzianego.

Trudno znaleźć większe syna do matki, mężczyzny do kobiety podobieństwo, aniżeli człowieka tego do pani Wild, małżonki Karola Wilda, księgarza-wydawcy lwowskiego. Znałem ich i przyjaźniłem się z nimi. Wildostwo oboje dawno już pomarli. Dwaj ich synowie do Ameryki się wynieśli: jeden w wojsku zajmuje zwracające nań uwagę i rokujące mu przyszłość stanowisko; drugi, Leon, nie wiem, czym się trudni na drodze zarobkowej; w czasie wieczora pożegnalnego poznałem w nim człowieka o zdrowych poglądach, postępowych zasadach, wykształconego; dowiedziałem się oraz, że jest to osobistość powszechnego używająca szacunku, osobistość, któraby od dawna już figurowała w składzie Zarządu Związku Narodowego Polskiego, gdyby się o zaszczyt ten ubiegać zechciała. Obecność p. Leona wielce mi była miłą, wywołując wspomnienia dawnych czasów i osób z tego zeszytych świata: rodziców jego, Jana *Dobrzańskiego*, Kornela *Ujejskiego*, Walerego *Łozińskiego*, Brunona *Bielawskiego*, Ludwika *Wolskiego*, Józefa *Szujskiego* (nie stańczyka na onczas jeszcze) i innych, i innych — a!... Co za mnóstwo już ludzi na tamtym poprzedziło mnie świecie!...

W towarzystwie tem, do którego i ci — nieobecni — należeli, upłynął mi ostatni w Chicago wieczór. Rozstaliśmy się późno — późno. Przy pożegnaniu prosiłem wszystkich razem i każdego z osobna, ażeby mnie nie odprowadzali na dworzec. Żeby zaś

zmusić ich do uczynienia prośbie mojej zadość, nie powiedziałem, którym wyjechać zamierzyłem pociągiem. Do podróży za towarzysza i przewodnika miałem syna.

Do wyjazdów i przyjazdów kolejami żelaznymi w Stanach Zjednoczonych wielkie zaprowadzono ułatwienia. Dla dostawienia na dworzec pakunków zamawia się komisyonera specjalnego, samemu jedzie się «karą», która z każdego najbardziej w mieście oddalonego punktu dowozi podróżnego na dworzec, gdzie komisyoner z recepisą czeka. Po przyjeździe na miejsce również troska o walizy podróżne jest rzeczą komisyonera; kto zaś do hotelu zajężdża, ten w biurze hotelowym recepisę oddaje i od wszelakich uwalnia się kłopotów.

Co się hotelów amerykańskich tyczy, o tych pisałem już; mam jednak jeszcze o nich do powiedzenia słówko. Urządzone są one ku zupełnej podróznym wygodzie, ale podróznym amerykańskim. Europejczyka świeżo przybyłego dwa rażą braki: nie znajduje przy łóżku świecy; wśród służby hotelowej nie masz urzędnika od czyszczenia butów i sukien. Świece zastępuje zawieszony na środku izby kandelabr, zaopatrzony w gazowe lub elektryczne, albo w gazowe i elektryczne lampy, nie wyręczające do pisania i czytania ani świecy stearynowej, ani też lampy na stole postawionej. Z butami zaś i odzieżą, gdy podróżny nie wozi ze sobą narzędzi i materiałów, służących do nadawania im pozoru przyzwoitego, musi się z nimi wynosić bądź na ulicę, gdzie przy specjalnej instalacji, składającej się z ustawionego na wyniesieniu fotelu i z podstawek na nogi, specjalista, zwykle sędziwy, poważny murzyn, czeka z szuwaksem i szczotkami,—bądź do zakładu fryzjerskiego, posiadającego zazwyczaj—zwłaszcza w pobliżu hotelów—instalację dwojaką: jedną dla brodogolenia, przyrządzoną w taki na podnoszonych i zniżanych za pomocą wind fotelach sposób, że pacjent operowanym jest leżący, drugą, taką samą jak na ulicy, dla buto- i sukno-czyszczenia.

Po tej krótkiej w stronę porządków hotelowych dygresyi, wracam do wyjazdu z Chicago.

Bez żadnej spółrodaków asystencyi, we dwóch — ja z Józefem —

o wczesnej porannej godzinie, po wzięciu przy okienku biletów, wchodzimy do poczekalni i na pustych ławkach widzimy w głębi jedną tylko osobistość męską, siedzącą w zamyśleniu.

— Ktoś bardziej niż my pośpieszył się... — zauważył jeden z nas.

Podchodzimy i w ktosiu owym poznajemy Dra Żurawskiego.

Niespodzianka ta była jedną z najmilszych, jakie mnie kiedy w życiu spotykały, wyraziła bowiem życzliwość pochodzenia podwójnego: polskiego w ogóle, podolskiego w szczególności. A dodać należy, że sz. doktor z tej wspólnej naszej najściślejszej Ojczyzny wyniósł sposób bycia, żywcem mi przed oczyma młodzież tameczną stawiający. Serdecznem też było pożegnanie nasze.

Najbliższym w momencie owym podróży mojej celem był gród nadmichigański, Detroit.

Detroit, którego nazwę nie na francuski — *oa* — lecz na polski wymawiać należy sposób, do dwóch ciągnął mnie osobistości: do księdza Dąbrowskiego i do profesora Tomasza Siemiradzkiego. Pierwszego znałem z posłuchów; drugiego raz przelotnie we Lwowie, w czasie wystawy Kościuszkowskiej, widziałem, lecz znajomość z nim bliższą również na drodze posłuchowej zabrałem, na której od czasu jak p. A. Paryski z Toledo, Ohio, począł mi swój tygodnik, *Ameryka*, przysyłać, osobistość p. T. Siemiradzkiego coraz to się uwydatniała wyraźniej. Najwyraźniej uwydatniła mi ją praca jego historyczna: popularnie napisany tom I-szy historii porozbiorowej Polski (1). «Oo... — pomyślałem sobie po przeczytaniu tej książeczki — to człowiek, co się nie nadaremnie przez życie przesunie, a ślad, jaki po nim w świecie polskim pozostanie, będzie jasny.» Bardzo też mnie ciągnęło do niego i do wymienionego powyżej księdza.

Pociąg, do którego się otwarcie przyznaję, do księdza powinien by mi łaski trochę zaskarbić u ludzi, pomawiających mnie o bezwzględnie wrogie dla bliźnich rewerendy noszących usposobienie.

(1) «Porozbiorowe dzieje Polski czyli jak naród polski walczył za Ojczyznę», nakładem Antoniego A. Paryskiego, Toledo, Ohio.

Tak nie jest. Gniewają mnie, i mocno gniewają pasterze, co obowiązki swoje pełnią na przekór przekazom Chrystusowym, opiewającym o miłości bliźniego i nakazującym być we wzglądzie tym wzorcem dla owieczek ; gniewają mnie księża, co wykraczają przeciwko pierwszemu w «Dziesięciorgu» przykazaniu bożemu, służąc nie Ojczyźnie, ale bogom moskiewskim, pruskim lub austryackim ; gniewają mnie księża ci zwłaszcza, co zgorzenie i zepsucie szerzą, spychając w sposób ten owieczki, nad których moralnością czuwać winni, z drogi prawej. Tacy bezecnicy jak ks. Stojałowski, jak księża, znieprawiający lud w Galicyi przy wyborach, jak ci, co odciągają parafian od działalności patryotycznej w Stanach Zjednoczonych, co do takich wolałbym, ażeby się pod nimi ziemia rozwarła i czeluście piekielne ich pochłoneły. Że tacy są i w większej niż potrzeba ilości—któż zaprzeczy? Są jednak i inni.

Ksiądz Dąbrowski należy do tego ojców duchownych rodzaju, którego okaz historia polska podaje w osobie księdza Piotra G. Baudouina. Jak ten ostatni bez grosza przy duszy, gorliwie się krzątał a na przykrości i zniewagi narażając, ze składek wybudował i urządził Dom podrzutek i szpital dla dzieci, tak samo tamten założył, pod nazwą «Seminarium Polskiego», wyższą dla młodzieży polskiej szkołę oraz klasztor Felicjanek — przytulisko dla dziewczynek osierociałych, będące zarazem szkołą dla panienek starszych. Wszystko to zrobił z niczego, za grosz wyproszony, i utrzymuje, nie posiadając funduszu, zapewniającego jutro. Nie dziw przeto, że mnie głęboka dla księdza takiego przejmowała cześć i czułem nieprzepartą potrzebę moralną pokłonić się cudotwórcy takiemu.

Późnym do Detroit dotarliśmy wieczorem. Na dworcu powitał nas komitet, do którego wchodził prof. T. Siemiradzki, i zawiózł do jednego z zamożnych obywateli, p. Żółtowskiego, właściciela browaru, hali i domu, u którego na nas czekała wieczerza.

Do stołu zasiadło gości osób kilkanaście, mężczyźni samych — kobiety usługiwały. Usługiwanie kobiet, powszechne przy ugoszczeniach, zastanawia w kraju, w którym płeć niewieścia posiada prerogatywy, zapewniające jej nad płcią męską przewagę. Tłuma-

czy się to liczebną szczupłością klasy służebnej, zniwalająca obywatelstwo średniej ręki do obchodzenia się bez sług. Że zaś mężczyzn zajęcia trzymają zazwyczaj za domem, domowa przeto obsługa całkowiec spada na kobiety: one jadło gotują, do stołu podają, talerze zmieniają, w mieszkaniach czystość i porządek utrzymują, słowem pełnią funkcję tak zw. gieniuszów domowego ogniska w sensie jaknajrealistyczniejszym.

Ponieważ natura nie obdarzyła mnie zmysłem gastronomicznym, z wieczerzy przeto do zanotowania mam jeno wywołany przez jednego ze spółbiedników incydent. Przy stole znajdował się podkomisarz Skarbu Narodowego. Podkomisarzowi jeden z obecnych ofiarował niewielką jakąś na Skarb Narodowy kwotę i do kwoty tej drugi z obecnych dodał sztukę monety dla zaokrąglenia jej. Ten atoli dodatek kwoty nie zaokrąglił, więc się tego podjął trzeci. I ten nie zaokrąglił. Nie zaokrąglił również ani czwarty, ani piąty, ani żaden z następnych, aż zaokrąglenie ustało, gdy kwota doszła poważnej kilkudziesięciu dolarów wysokości. W sposób ten przy dobrym spółbiedników humorze i obok obfitości jada, które bardzo być musiało smakowitem, odbyła się dla mnie powitalna w Detroit wieczerza.

Wieczora tego nie mogłem księdzu rektorowi uszanowania mego złożyć. Przedstawiłem się mu nazajutrz. Przywitaliśmy się jak dawni dobrzy znajomi. Gdym się wobec niego znalazł, wydało się mi, że go już gdzieś kiedyś w życiu mojem widział. Nie widziałem go oczami cielesnymi, ale takim jak on wyobrażałem sobie kapłana polskiego, rzetelnego duszpasterza, świecącego ludziom przykładem życia cnotliwego i miłującego bliźnich wedle przykazu Chrystusa bezwzględnie, pozostawiając Panu Bogu rozdzielanie ludzi wedle wierzeń na kozłów i baranów. Postać jego nie była mi obcą. Była to postać robotnika, szorstka, opalona, zdradzająca hart i siłę, lecz nie zdradzająca rozmiłowania się w sobie, czemu świadectwo dawały: połatana i pocerowana sutanna, zachodzone obuwie, w najdalszej styczności z elegancją nie pozostająca powierzchowność cała, wydająca nie kogo innego, jeno robotnika, tem się tylko zalecającego, że z oczów jego i oblicza bił wyraz

mówiący : « Człowiškowi temu bezwarunkowo ufać można i należy, on bowiem i zrobić i drogę wskazać potrafi ».

Takie na mnie wrażenie wywarł ks. rektor, wrażenie, które, jak się później od mieszkańców detroickich dowiedziałem, zawodnem nie było ani trochę. Założyciel ten i kierownik wyższej szkoły dla młodzieży płci męskiej, również założyciel i dozorca, a zapewne i kierownik, szkoły dla młodzieży płci niewieściej, często — przy zdarzonej potrzebie, stawał osobiście do murowania, do ciesielki, do stolarki, do ślusarki, « żeby pieniędzy nie wydawać na to, co samemu zrobić można ». Podanie głosi, że, gdy gmach seminaryjny się stawał, widziano księdza rektora pracującego wraz z robotnikami.

Seminaryum mnie mocno i żywo interesowało. Ks. Dąbrowski odgadł snadź to, nie bawiąc się bowiem długo w ceremonie powitalne, oprowadził mnie najprzód po domu szkolnym, pokazując mi rozkład onego. Zwiedziliśmy gabinaty naukowe, kuchnię (w której nas powitała Polka-kucharka, siwa a z postawy na grenadyera wyglądająca), składy gospodarskie; wyjrzeliliśmy na podwórzec obszerny, przeznaczony na ogród, lecz używany przez uczącą się młodź na plac zabaw, zastępujących zaniedbywaną w ogóle w Stanach Zjednoczonych gimnastykę. Po pokazaniu nam (mnie i synowi memu) zabudowań, poprowadził nas czcigodny gospodarz do audytoryów na wykłady. Asystowaliśmy lekeyom: języka łacińskiego (prof. T. Siemiradzki), literatury polskiej (prof. R. Piątkowski) (1), matematyki (prof. ks. Moneta), poczem, zaproszeni na obiad, przeszliśmy do refektarza i spożyli dary boże, przysposobione na sposób polski. Po obiedzie ksiądz rektor zaprosił mnie do apartamentu swego rzekomo na drzemkę, do której ani on, ani ja ochotyśmy nie czuli. Zamiast drzemki — gawędka.

Ksiądz Dąbrowski w r. 1863, w Kaliskiem, wziął w powstaniu udział. Niechętna w tamtych stronach w odniesieniu do powstania

(1) Tłómacz « Krytyki czystego rozumu » Kanta, pozostałej jeszcze, niestety, w rękopisie. Kasa Mianowskiego wydała tylko « Prolegomena ». Tłómaczenie to zaleca się przepięknym językiem polskim, katącym z niecierpliwością wyglądać wydania « Krytyki ».

postawa ludu wiejskiego zraziła go do akcyi orężnej ; opowiadał o trudnych i niebezpiecznych doznanych przezeń przejściach osobistych i zeszedł na seminarjum. W opowiadaniu o powzięciu pomysłu, staraniach i uskutecznieniu założenia tej instytucyi edukacyjnej przebiła się cała duszy tego księdza piękność. Nie— to nie on seminarjum założył — nie ! Wymieniał mi osobistości, między innemi niełaskawego na mnie, zawziętego Związku Narodowego pogromcę, ks. Pitasa, które datkami przyczyniły się do wykonania dzieła. Gdyby nie świadkowie, którzy sekretu nie robili, byłbym na miejscu o zasługach księdza Dąbrowskiego nie słyszał. Inni mi o zasługach założyciela opowiedzieli ; dowiedziałem się przytem o stawianych przez biskupów irlandzkich trudnościach i przeszkodach w wyświęcaniu na księży kleryków Polaków, nauki w seminarjum detroickim pobierających. Przeszkody te mają na celu wynarodowienie przez kościół wychodźstwa polskiego.

Gościnność sz. księdza rektora nie zakończyła się w seminarjum. Po parogodzinnym wypoczynku poobiednim, przy którym drzemki nie było wcale, czcigodny gospodarz zaproponował zwiedzenie klasztoru Felicjanek.

— To niedaleko...— mówił. To także szkoła...

Przy tej samej co seminarjum ulicy, nieco opodal, widnieje duża, murem opasana, zamknięta budowla. Otworzyło ją zadzwonienie do furty. Odzwierna wprowadziła nas do skromnie umeblowanej i czysto utrzymanej świetlicy, w której przedstawieni zostaliśmy staruszce przełożonej, kobiecie średniego wzrostu, szczupłej, noszącej na całej postaci swojej bijący z oblicza, z oczów, z uśmiechu wyraz dobroci i słodczy iście macierzyńskiej. Patrząc na nią usta składały się same do przemawiania do niej: « matko ». Przy niej była zakonnica młoda. Po przywitaniu się, po zamienieniu frazesów kilku, udaliśmy się, pod przewodnictwem młodej zakonnicy, do klas, w których właśnie odbywały się lekcye.

Nim drzwi pierwszej z klas się przed nami otworzyły, na schodach i korytarzach uderzyła mnie najjuńszego zarzutu nie dopuszczająca czystość : ściany jaśniały białością niepokalaną ; na podłodze drewnianej, żółtawej barwy, świadczącej, że piaskiem

jest szorowaną; najmniejsza dostrzedz się nie dawała plamka. Korytarze szerokie, jasne, bez cienia woni podejrzanej, przenikającej powietrze domów, zamieszkałych przez dużą istot ludzkich ilość. Sprawdzić to można w pierwszym lepszym szpitalu i w każdym internacie. W klasztorze Felicjanek w Detroit psuciu się powietrza zapobiega dobrze urządzona wentylacja.

W klasach również z wyszukaną spotkaliśmy się czystością na przedmiotach nie tylko martwych, ale i żywych. Dziewczynki małe, równie jak panienki w wieku podlotków, umyte, uczesane, ochędźnie odziane, a przytem zdrowo i czerstwo wyglądające, widokiem swoim prawdziwą sprawiały przyjemność. Nauka w polskim odbywa się języku. Wyklada się i język angielski, ale klasowym jest polski — co zaprowadzonym by być mogło we wszystkich w Stanach Zjednoczonych szkołach żeńskich w łonie wychodźstwa polskiego. W potocznych życiowych sprawach, a nawet w handlu i przemyśle, kobiety łatwiej niż mężczyźni obejść się bez biegłości w języku Szekspira mogą. Szkoła polska dla dziewcząt utwierdziłaby w rodzicach mowę ojczystą i zapobiegła wynarodowieniu emigracyi. Z roskoszą przysłuchiwałem się szczebiotaniu dziewcząt i dziewczątek, wydających lekcye, odpowiadających na pytania, deklamujących wierszyki, śpiewających pieśni i piosneczki narodowe.

Miałem czego słuchać, ale miałem i na co patrzeć. Ubranie ścian świadczyło, że w klasach niższych praktykuje się nauka poglądowna; w wyższych zaś w każdej prawie na widnem miejscu rzucało się w oczy uilustrowane osoby mojej powitanie. Jedno dłużej uwagę naszą na sobie zatrzymało. Ilustracja przedstawiała jeża wyciągniętego z piórem w łapce na sztandarach, karabinach i pałaszach; do koła wieniec, we środku napis powitalny, u góry orzeł biały. I wzruszyła, i ubawiła nas ta kompozycya pensyonarska (1). W jednej z klas przypatrywaliśmy się mapie Polski

(1) Fotograf miejscowy, p. J. Sowiński, właściciel z rzetelnie artystycznym smakiem prowadzonego zakładu fotograficznego, obdarzył mnie świetną ilustracyi tych reprodukcją oraz wizerunkami: księdza rektora i profesorów Siemiradzkiego, Piątkowskiego i ks. Monety.

przedzoborowej, w innej chronologicznej historii literatury polskiej tablicy, jeszcze w innej robocie przez panienki pończoch na maszynie. Zwiedziliśmy wszystko, co do zwiedzenia było, i po spożyciu skromnego podwieczorku wyprowadzeni zostaliśmy na obszerny, owocowych drzew pelen, do klasztoru przylegający ogród, w którym, na wydzielonej ku temu przestrzeni, uczennice rekreacyjnym oddawały się zabawom. Panienki starsze wobec obcych powagę zachowywały, młodsze biegały, skakały, krzyczały, piszczały, najmłodsze zaś, dwu-trzy-cztero letnie dziewczątka otoczyły mającego snadź zwyczaj pięścić je księdza rektora, a z nim i mnie. Pozostawałem chwilę wśród dziatwy wesolej, swobodnej, świecącej zdrowiem. Każda czyściutko ubrana, uśmiechem okraszona dziewczynka była do małowania. Radował mnie ich widok—widok matek przyszłych, co dzieciom swoim będą w Ameryce po polsku kołysanki przyśpiewywały, i po polsku do nich przemawiały—i na Polaków ich wychowywały.

Obyz się podobne, jak Felicjanki w Detroit, zakłady edukacyjne dla dziewcząt w jaknajwiększej w Stanach Zjednoczonych mnożyły ilości!

Z Detroit dużo o przyszłości wychodźstwa dobrze rokujących, z zakresu zwłaszcza oświatowego, wyniosłem wspomnień i spostrzeżeń. Do tych ostatnich to nadewszystko odnosi się spostrzeżenie, że na wychodźstwo nasze w narodowym — w szerszym i poważniejszym wyrazu tego znaczeniu — względzie, wpływ ogromny wywierają *polskie* zakłady edukacyjne. Do nich zaliczyć należy dział polski w czytelni miejskiej, znajdujący się pod pieczę panny Dobrzyleskiej, osoby miłej i wykształconej. Oprowadzała mnie ona po wspianiałym na zewnątrz i wewnątrz, z komfortem, nie bez uwzględnienia wymóg estetycznych, urządzonym budynku, przedstawiła dyrektorowi, obdarzyła katalogiem polskim i powiedziała mi rzecz bardzo pocieszającą, że wychodźcy polscy z ochotą przychodzą. Nie wszędzie tak jest. W ogóle czytelnictwo saloony przeskadzają, saloony, których w Detroit nie tyle pod firmami polskimi, co po innych widzieć mi się zdarzyło miastach.

W opowiadaniu mojem pominąć nie mogę faktu jednego, świad-

czącego o troskliwości, z jaką Moskwa urzędowa czuwa nad wychodźstwem polskiem w Stanach Zjednoczonych. Przed paru laty grono onego powiększył człowiek młody, mizernie wyglądający, z akcentem rosyjskim po polsku mówiący, noszący nazwisko: Radliński. Pod nazwiskiem tem z dobrej dał się poznać strony i dostał jakieś skromne przynoszące mu dochód zajęcie. Nagle policya miejscowa za nim poszukiwania rozpoczęła. W kraju, gdzie osoby przybywające nie są obowiązane meldować się, policya, poszukując kogoś, musi o niego ludzi rozpytywać i podawać tyżące się go szczegóły. Na drodze tej Polacy dowiedzieli się, że nazwisko Radlińskiego jest przybranem i poszukiwanie za nim odbywa się na żądanie ambasady rosyjskiej, podającej go za złoczyńcę zwykłego, podlegającego wydaniu wedle układu, zawartego pomiędzy Rosją a Stanami Zjednoczonymi za prezydentury p. Clevelanda. Zawiadomiony o tem rzekomy Radliński wyznał znajomym, że nazwisko nosi zmienione, jest atoli przestępcą nie zwyczajnym, ale politycznym: byłym urzędnikiem, zajmującym stanowisko w służbie, pełnej tajemnic państwowych, które on interesowanym wydawał. Spozrzegłszy się, że ta działalność jego doszła do wiadomości władz wyższych, a nie życząc sobie zakończenia kariery swojej na Sachalinie, opuścił służbę bez pożegnania, szczęśliwie pod nazwiskiem przybranem przez Europę się przemknął, do Ameryki się dostał i w Ameryce nikogo o nazwisku swoim prawdziwym nie zawiadomił, przed nikim powodów wychodźstwa swego nie opowiedział i nikogo znajomego z Rosyi nie spotkał. Wytropili go agenci tajemni, szpiegami pospolicie zwani.

Przestępcy politycznego Stany Zjednoczone by nie wydały; pytanie atoli, czy przez grzeczność między-państwową nie uwierzyłyby ambasadzie rosyjskiej na słowo, że w razie tym chodzi o przestępstwo pospolite? Anglia nie zna się na grzecznościach tego rodzaju (1). Zbieg przeto, przekradziony przez prof. T. Sie-

(1) Zdaje się, że powodem oburzenia cnotliwych Niemców, cnotliwych Moskali i ucnotliwionych przyjaźnią z tymi ostatnimi Francuzów, za obchodzenie się Anglików z Burami (lepiej aniżeli Niemcy w roku 1870-71 obchodzili się z Francireurami i Moskałami w r. 1863-64 z powstańcami polskimi) w znacznej

miradzkiego na przeciwległy brzeg rzeki Detroit, do leżącego na gruncie kanadyjskim miasta Windsor, oddał się tam sądom angielskim. Przed sądcem stanął oskarżyciel ze strony ambasady rosyjskiej. Dochodzenie wykazało, że podsądny jest przestępcą politycznym, oskarżenie bowiem nie sformułowało przeciwko niemu zarzutu poważniejszego nad posadzenie go o zabranie pewnej małej ilości marek pocztowych. Proces zakończył się uwolnieniem oskarżonego zarówno na angielskim jak na Stanów Zjednoczonych gruncie, wykazawszy jeno obecność tajnej policyi moskiewskiej nietylko w Europie, ale i na najodleglejszych kuli ziemskiej punktach, oraz funkcję zaszczytną, jaką otaczające się blaskiem majestatów państwowych ambasady pełnią.

Sporo jeszcze z mego w Detroit pobytu miałbym do zanotowania, gdyby niemalej części wspomnień moich przytaczanie takiej nie miało miny, jakbym się chwalić chciał. Na licznem np. na intencję moją do hali Harmonia, pod przewodnictwem wice-cenzora, ob. Welzanta, zwołanem zebraniu mówiono o Polsce, mówiono atoli i o mnie, przymioty moje (?) sławiono, upominkami mnie darzono. Przemawiaii mężowie, przemawiały niewiasty i panienki. Zdając z tego sprawę, swoje ja bym naprzód wypychać musiał. Poprzestanę więc na zanotowaniu, że się zebranie odbyło; słów parę zaś poświęcę gminie związkowej w Detroit.

O gminach jaszczem nie wspomniał, nie wszędzie bowiem one istnieją, pomimo, że nie małe, pod względem zwłaszcza oświatowym, oddają usługi. Formują się one ze złączenia kilku lub kilkunastu w jednym mieście przebywających grup. Złączenie takie zwiększa środki materyalne i ułatwia zakładanie towarzystw naukowych, dobroczynnych, śpiewackich, orkiestr, sokołów, etc. W Detroit gmina istnieje i funkcjonuje — byłem na jej posiedzeniu i słuchałem obrad, którym przewodniczył prof. T. Siemiradzki.

części jest nieprzestrzeganie przez Anglię grzeczności we względzie wydawania przestępców politycznych. Caotliwi Moskale i Niemcy jeńców mordowali, rannych dobijali.

XX.

Toledo — miasto o nazwie hiszpańskiej, przypominającej sławną niegdyś fabrykę broni siecznej, leży nad jeziorem Erie, w stanie Ohio (czytaj: Ohajo). W podręcznikach, z których nas w Europie geografii lat temu siedemdziesiąt parę uczono, aniśmy przypuszczali, ażeby miasto z tą nazwą znajdowało się gdzieindziej, niż na półwyspie Pirenejskim. Zdaje się, że w pierwszej wieku XIX ćwierci — w połowie może — nie istniało ono jeszcze. Nie rozpytywałem o jego dzieje, które są zapewne do dziejów wszystkich, pozakładanych nad wielkimi jeziorami wewnętrznymi, miast podobne. Zapoczątkowuje je zazwyczaj złożone z rodzin kilku, niekiedy z jednej, osadnictwo, które się oddaje uprawie roli, rybołostwu i myślistwu, walcząc o byt nie tylko z naturą, ale i z Indianami, pierwotnymi tych okolic mieszkańcami. Walka ta hartuje osadników na życie. Z czasem ci, co najpierwi przybyli, rozradzają się; przybywają nowi; z osady do osad sąsiednich torują się drogi; do rolnictwa, rybołostwa i myślistwa dołączają się przemysł i handel, które się ulepszają, rozwijają i z upływem lat dziesiątków przybierają postać dzisiejszą, wymagającą obsługi telefonów, telegrafów elektrycznych, statków parowych, dróg żelaznych.

Skorzystaliliśmy z tego ostatniego środka komunikacyjnego i z Detroit przenieśliśmy się do Toledo.

Podróż nam się nie dłużyła, raz dlatego, że trwała mało co więcej, jeżeli nie mniej, niż godzinę, powtóre dla towarzystwa prof. T. Siemiradzkiego, trzymającego pióro sprawozdawcy politycznego w tygodniku p. t. *Ameryka*, wychodzącym w Toledo a wydawanym przez p. A. A. Paryskiego. Na gawędce szybko nam ubiegł czas, — że zaś wyruszyliśmy z Detroit o szarej godzinie, przybyliśmy więc na miejsce przy świecach. W ciągu jazdy była — przypominam sobie — mowa o wyznaniach religijnych i sektach, znajdujących swobodę i opiekę w Stanach Zjednoczonych, ale opiekę poręczającą

jeno swobodę, nie zaś przewagę jednemu lub kilku wyznaniom nad innymi.

W Stanach Zjednoczonych państwo zgola się do kościołów we względzie wyznaniowym nie wtrąca. Prawodawstwo zna je jeno, jako przedsiębiorstwa. Kościoły wyznań chrześcijańskich, tych zwłaszcza, co na kuli ziemskiej liczą wyznawców najwięcej, bardzo dobrze na oddzieleniu ich od państwa wychodzą. Pomiedzy nimi najlepiej stoi kościół katolicki. Widziałem, liczebnego stosunku wyznawców wykaz graficzny na kole, podzielonem wychodzącemi ze środka a opierającemi się o linię obwodową promieniami na wycinki, których rozwartości, zabarwione każda inaczej, dają pojęcie o liczebności wyznań. We względzie tym najpoważniej przedstawia się Katolicyzm, zajmujący więcej aniżeli ćwierć kola; po nim idą Metodysci episkopalni, na dwa dzielący się rodzaje; dalej Lutrzy-Niemcy, niełączący się z Lutrami-Anglikami; dalej Prezbiterianie, Baptyści, Kongregacyoniści, Protestanci episkopalni, Chrześcijanie, Żydzi i t. d.

Dla wykazania rozmaitości dróg, na których ludzie zbawienia duszy szukają, spiszę, pomijając powyższe, nazwy wyznań, przedstawiających się na kole statystycznym w wycinkach większych, mniejszych i ledwie dostrzegalnych. Oto one:

Towarzystwo ewangelickie, Ewangelicy niemieccy, Metodysci wolni, Prezbiterianie zjednoczeni, Reformowani, Bracia zjednoczeni, Unitaryanie, Mormoni, Swedenborgianie, Adwentysci, Spirytualiści, Anabaptyści, Chrześcijanie katolicy, Salutysci, Teozofisci, Infideliści, Uniwersaliści, Wyznawcy nowego objawienia, Wyznawcy kościoła bożego, Chrześcijańscy mędrce, Kwakry, Wyznawcy wolnej świątyni, Missyjni, Postępowi myśliciele, Wesleyeńscy metodyści, Albrigtyści, Buddyści (Chińczycy), Niezależni, Unici, Prawosławni i inne jeszcze zapewne wyznania i sekty, o których statystycy nie wiedzą. Mnogość sekt świadczy, jak mocno Amerykanów życie przyszłe obchodzi i jak mało w tej tak dla nich ważnej sprawie wzbudzą w nich zaufania istniejące instytucje religijne. Polacy słabo się do nich garną. Mówiono mi, że osób kilka zaciągnęło się do armii Salutystów; o jednym księdzu, który ze mną

przed laty zawiązał był w rzeczach wiary korespondencję, dowiedziałem się, że do Baptistów przystał. Cały zresztą w materji kościelnej wśród Polaków spór około niezależności się toczy—około niezależności w Detroit zapoczątkowanej, o czem w rozdziale VIII «Opowiadania» mówiłem.

W Toledo o niezależnych cicho.

Rzecz ta dużo od proboszczów zależy.

Zdaje się, że prof. T. Siemiradzki, gdy się w rozmowie o proboszczów potrąciło, zauważył, że w Toledo winienem wizytę złożyć ks. Szymonowi *Wieczorkowi*, proboszczowi parafii św. Jadwigi.

— Czemu?...— zapytałem.

— Kolega...

— Zkąd?...

— Bil się w r. 1863 w powstaniu... Jest to przytem Nemrod zawołany i człowiek zącości wielkiej, przez całe w Toledo szanowany wychodztwo... O! ksiądz *Wieczorek*...

Na dworcu toledańskim czekał na nas, jak wszędzie indziej, komitet przyjęciowy z pojazdami. Wraz z członkami komitetu zbliżył się do mnie słuszny, szczupły, młody ksiądz i, po przywitaniu, oznajmił mi, że ksiądz proboszcz *Wieczorek*, nie mogąc z powodu choroby osobiście na dworzec przybyć, ugościć mnie pragnie wieczera powitalną, z którą na mnie na plebanii czeka. Wymówić się ani racyi, ani sposobu nie było. Spędziłem wieczór u księdza — eks-powstańca, dotkniętego chorobą obłożną. Siedział w fotelu — niemoc mu z oblicza i z oczu patrzała. Tłumaczył się, że prosił mnie do siebie dla tego, że wiedząc o bytności w Toledo jednego z wodzów powstania, nie umarłby spokojnie, gdyby go oglądać nie mógł. Żałował, że ze mną pomówić nie może, a miałby mi dużo nie tylko o powstaniu, ale i o polowaniu do opowiedzenia. Choroba zmogła go — zmizerniał, wedle kosztnej jednak jego kompleksyi sądząc, poznać było można, że był to mąż dużej ręki. Po wieczery, odjechaliśmy do hotelu.

W rok z czemes późnij, w numerze z dnia 16 listopada r. 1901 *Amerykł* wyczytałem: «Ks. *Wieczorek* umarł w sobotę d. 9 listopada. Chorował on przez dwa lata i śmierć jego była przewidywana»

od niejakiego czasu. Liczył lat 68. Sukcesorom swoim pozostawił około pół miliona dolarów... Parafianie św. Jadwigi bardzo żałują swego proboszcza. »

W Ameryce — jak się z tego pokazuje — można na probostwie i majątek duży zrobić, i owieczek swoich miłość pozyskać.

W Toledo mieszka adwokat, Beniamin *James*, z którym w podróży z Europy do Ameryki znajomość na pokładzie zabrałem. Dał mi on swój adres i prosił, ażebym go odwiedził, gdybym do jego rodzinnego zabłądził miasta. Gmach, na adresie wymieniony, znajdował się nieopodal od hotelu, w którym mieszkałem. Odprowadził mnie jeden z członków komitetu. Od odźwiernego na dole dowiedzieliśmy się, że biuro p. B. James na dwunastem, czy na czternastem mieści się piętrze. Winda w lot wyniosła nas na górę. Klucz we drzwiach znaczył, że adwokat w biurze. Pukam — nikt nie odpowiada; pukanie powtarzam — cisza; pukam po raz trzeci, wreszcie kławkę naciskam, wchodzę — nikogo. Rozkład sprzętów, układ przyrządów do pisania świadczyły o chwilowem zajęciu przerwaniu. W pokoju obok, bardzo dodatnio i z gustem umeblowanym salonie — ani ducha żywego. W przypuszczeniu, że gospodarz zjawi się za chwilę, czekałem — czekałem kwadrans, jeżeli nie dłużej i, nie doczekawszy się mego towarzysza podróży morskiej, wyszedłem, zostawiając na widnem miejscu kartę wizytową (1).

Zdarzenie to zanotowałem jako osobliwość, tyczącą się może tylko miasta Toledo, a może Stanów Zjednoczonych. Niesłychaną przecie jest rzeczą, ażeby adwokat biuro swoje, w którem trzyma ważne papiery, cenne dokumenty, pieniądze zapewne, otworem, bez dozoru, na łaskę pierwszego lepszego pozostawiał przybysza. Szczególna do ludności ufność. Do niej wszelako nie pobudzają dzienniki, przepelnione wzmiankami o kradzieżach, rabunkach, gwałtach, naturalnych z powodu przybywania każdym prawie statkiem przewozowym z Europy wychodźców, wśród których szanowanie własności cudzej nie jest wcale rzeczą powszednią i ogólną

Nie zastając towarzysza podróży, poznałem za to osobistość

(1) W miesiącu grudniu, r. 1901, pisał do mnie.

zasługującą na to, ażeby zanotowaną została w «Opowiadaniach z wędrowki»: człowieka, interesującego się wychodźstwem polskiem i oddającego mu duże usługi. Osobistością tą jest p. A. A. *Paryski*. Jest on właścicielem polskiego zakładu wydawniczego, znanego w Ameryce północnej wszędzie, gdzie brzmi mowa polska.

Stany Zjednoczone nie wpuszczają obecnie wychodźców niepiśmiennych, rzadkim więc jest Polak, któryby wychodzących z oficyny p. Paryskiego książek i książeczek nie czytał, ze względu na cenę przystępną oraz na treść, nie wychodzącą po za zakres pisania popularnego, przemawiającego bądź do wyobraźni, bądź do rozumu. Obok prac takich, jak «Unia lubelska», «Wojna polsko-rosyjska w 1863» i «Porozbiorowe dzieje Polski» T. Siemiradzkiego, «Elektryczność» W. Umińskiego, «O ziemi, słońcu i gwiazdach» M. Heilperna, «Historya naturalna» F. Wermińskiego, «Księga wiadomości naukowych i pożytecznych» i t. p., obok «Starej baśni» Kraszewskiego, skróconej przez F. M., «Trylogii» Sienkiewicza, «Deklamatora polskiego», «Śpiewów i Deklamacyi dla robotników», etc., wydawnictwo p. Paryskiego daje w ilości i różności wielkiej rzeczy takie, jak: «Sennik prawdziwy persko-egipski», «Historya o rycerzu złotoskrzydłym», «Historya o koniu zaczarowanym», «Historya o Ali-Babie», i t. p., i t. p. Mnóstwo tego. Wybierać jest w czem. W katalogu, przy każdym prawie z tej kategorii tytule dodatek opiewa zalety książeczki, np.: «Piękna Meluzyna. Cudowna historia o morskiej pannie i o jej walecznem potomstwie. Wydanie nowe, starannie poprawione. Z obrazkami. Cena 10 centów» (trochę więcej niż 50 centimów monetą francuską). Obok tego z pod pras p. Paryskiego wychodzi dużo książek do nabożeństwa.

Wydawnictwa takie suto się zazwyczaj oplacają. P. Paryski, wydając przytem *Amerykę*, jeden z najlepiej w Stanach Zjednoczonych redagowanych tygodników, dobrze na przedsiębiorstwie swoim wychodzi. Posiada dom własny, drukarnię zasobną. Oprowadzał mnie po zakładzie swoim, zaopatrzonym w nowe, poprawne prasy i porządki, odpowiadające stopie, na jakiej obecnie stanęła sztuka drukarska. Czcionki np. układają się nie palcami, ale za

pomocą maszyny do składania, parowej, czyniącej to nierównie szybciej.

Wydawnictwo książeczek «zalecanych» suto się — jak rzekłem wyżej — opłaca, nie posiada atoli uznania ogólnego — nie słusznie poniekąd, zdaniem mojem. Nie zyskuje na tem — co prawda — wiedza pozytywna, lecz i nie traci. Na potępienie bezwzględnie zasługuje literatura niemoralna, podkopująca obyczajność, rozpalaająca imaginację w kierunku erotycznym, wskazująca czytelnikowi sposoby obchodzenia praw w odniesieniu do krzywdzących społeczeństwo i osobistości pojedyncze występków i zbrodni. W katalogach p. A. A. Paryskiego nie znalazłem nic w tym rodzaju. Opowiadanie takie, jak np. o Pięknej Magielonie, są to bajdy — bajki, nie różniące się od bajek, w których zwierzęta toczą rozmowy. Wywierają one taki sam, co te ostatnie, wpływ: budzą ciekawość do czytania. Rozbudzona w kierunku tym ciekawość od bajek prowadzi do rzeczy poważnych — do studyów naukowych. Któż z wielkich uczonych w dzieciństwie bajek, w latach młodzieńczych rzeczy lekkich, na wyobraźnię działających, nie czytał? Co za bajdy tworzyli Boiardowie, Ariosty, autorowie rycerskich w wiekach średnich romansów, bez których nie byłoby literatury nadobnej, a które powtarzają się w Meluzynach, Magelonach, koniach skrzydlatych, kobiercach latających i t. p., pisanych dla czytelników, znajdujących się we względzie ukształcenia umysłowego w wiekach średnich. Książeczki, z pod pras p. Paryskiego wychodzące, tę wychodztwu naszemu w Stanach Zjednoczonych oddają przysługę, że czytelników «Magelony» zachęcają do czytania «Historji polskiej» i w ogóle utworów literackich poważniejszych. Nie jest to wprawdzie ogólnem jeszcze, ani przeważającym, ale... początek dany.

Toledo zaszczyliło mnie przyjęciem na wzór miast innych. Na urządzonym *ad hoc* obchodzie były mowy, produkcje instrumentalne i wokalne, wieńce, bukiety — słowem, wszystko jak gdzie indziej i jak wszędzie indziej uprzejmie, serdecznie, a z tym służenie Polsce poręczającym akcentem patryotycznym, który, pozwalając

z otuchą w przyszłość Polski patrzeć, — mnie starea mocno pocieszała.

* * *

W Toledo jeden tylko cały spędziłem dzień. W podróż dalszą puściłem się pod przewodnictwem syna mego. Odprowadzeni przez spółziomków na dworzec, pożegnani serdecznie, jak się żegna najbliższych, zajęliśmy miejsce w pociągu, jadącym ku najbliższemu podróży naszej celowi — do Cleveland. Przejazd do tego miasta zajął czas od rana do nadwieczera — godzin zapewne sześć. Przyjęcie, jakie nas oczekiwało, zapowiedziało się na dworcu sposobem, w jaki zostałem powitany i na kwaterę odwieziony. Na powitanie uściskałem wyciągających się do mnie dłoni ze dwadzieścia. Do odwiezienia na kwaterę wsadzono mnie do pięknego pojazdu, zaprzęzonego w cztery w lejo dzielne kare konie, poprzedzającego pojazdów kilka, co wiozły członków komitetu i towarzyszących im spółrodaków. Gdym w towarzystwie komitetowych wsiadł, gdy woźnica — Polak, zdaje się — bicz rozwinął i z bata pałnął, zrobiło się ze mną coś niezwykłego. Zaczepiony w chwili tej pytaniem przemówić bym nie był w stanie — takiego w gardle doznałem ściśnienia. Stały mi w pamięci moje lata młode, nasze jazdy szlacheckie, nasze zbytki. I tu — był to zbytek, przeciwko któremu jednak zaprotestować nie mogłem ze względu na to, że odnosił się on nie do osoby mojej, ale do sprawy, którą ona reprezentowała.

W paradzie takiej przejechaliśmy przez miasto i za miastem, w odległości kilometrów paru, zatrzymaliśmy się w długiej z rynku środkowego wychodzącej ulicy, przy domu państwa Niedźwiedzkich, którzy nam u siebie gościnę ofiarowali. Gospodarstwo — ludzie młodzi i bardzo mili: pan adwokaturą się trudni, pani domem zawiaduje i muzykę uprawia. Dziać się im musi dobrze, sądząc po tem, że w domu własnym, dostatnio i gustownie umeblowanym, mieszkają, służbę, konie nawet trzymają.

P. Niedźwiedzki jest przykładem samopomocy, podtrzymywanej przez silną wolę. W latach młodocianych, oficerek w huzarach austriackich, życia używał i zmuszonym został na drugą planetę

naszej wynieść się półkulę. W Ameryce, gdy wyszedł zapasik pieniężny, z którym przyjechał, musiał, dla utrzymania życia, ręcznej jąć się pracy. Ze jednak szkoły średnie ukończył, posiadał więc przygotowanie dostateczne do słuchania nauk uniwersyteckich, z czego w taki skorzystał sposób, że na pracę ręczną poświęcał czasu tyle, ile potrzebował na utrzymanie życia, resztę zaś obracał na słuchanie kursów w uniwersytecie na wydziale prawa. Po ukończeniu nauk, wszedł na linię obrończą i w czasie niedługim zapewnił sobie dobrobyt.

W gościnie u państwa Niedźwiedzkich było nam miło i bardzo, bardzo dobrze.

W Cleveland zabawiliśmy dni dwa, nie licząc tego, w którym przyjechaliśmy, ani tego, w którymśmy wyjechali. W półgodziny po przybyciu pod gościnny państwa Niedźwiedzkich dach miałem do czynienia ze sporem, powstałym pomiędzy związkowcami, zależnymi, niezależnymi i *ohajstami*, z racji przyjęciowego na cześć moja wiecu.

O związkowcach, o zależnych, o niezależnych pisałem poprzednio. Ohajści po raz pierwszy nasuwają się mi pod pióro: nie nasunęli się zaś przedtem, nie nasuną się później dla tego, że nie istnieją nigdzie indziej, tylko w Cleveland. Stronnictwo to powstało z kilku grup miejscowych, które się po sejmie XI od Związku odłamały i Związek narodowy polski *ohajski* (od Ohio — nazwa stanu) zawiązały z powodu, że sejm ów wyzwoilił organizację z pod zwierzchnictwa klerykalnego. Grupy te, wezwane przez komitet przyjęciowy do wzięcia spólnego z całym, bez różnicy stronnictw, wychodztwem w przyjęciu gościa, udziału odmówiły, zapowiadając przyjęcie oddzielne.

Jak skoro przeto rozgościłem się na kwaterze, zjawiała się delegacja, zapraszająca mnie na wiec przyjęciowy Ohajstów. Dwa powody złożyły się na to, ażeby odmówić: naprzód, przyjęcie zaproszenia byłoby z mojej strony — ze strony wysłańca Ligi do Związku Narodowego Polskiego — uznaniem odstępstwa od takowego, następnie brak czasu. Powrotna do Nowego-Yorku podróż moja tak była co do czasu obliczoną, że jeden dzień przeciągnięcia pozbawiłby mnie

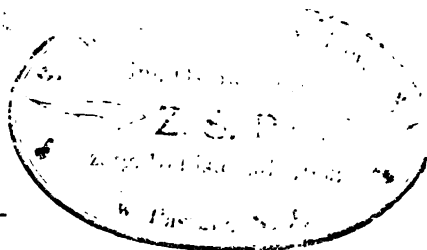
możności odplynięcia do Europy statkiem zamówionym. W razie takim musiałbym na statek następny dni kilka czekać i koszt podróży z powrotem powtórnie zapłacić. Odmówilem przeto po długim przekonywaniu mnie przez delegatów, że, nie przyjmując ich wezwania, nietylko uchybiam im, ale odpycham pewną liczbę Polaków od służby sprawie polskiej. W tem ostatniem było może słuszności trochę, ale przeciwko słuszności tej stała niemożność podwójna, na niemożność zaś rady niema.

Oprócz ohajczyków zachodziła jeszcze trudność od zależnych, w imieniu których proboszcz oświadczył, że we wiecu udział wezmą pod warunkiem, jeżeli usunięci zostaną niezależni, posiadający w Cleveland parafię własną. Ta atoli sprawa o mnie się nie oparła. Komitet warunku, bez odnoszenia się do mnie, nie przyjął. Wiedziałem jeno o tem.

Mimo to, a może dla tego właśnie, obchód przyjęciowy z całym, zwyczajnym przy okazjach takich, odbył się szykiem i ze świetnością całą. Nie przeszkodził temu dzień słotny. Ponieważ zaś w dniu tym wypadła niedziela, zebranie przeto na trzecią czy czwartą po południu zwołanem zostało. Ten sam pojazd paradny, czterema końmi w lejc zaprzężony, którym z dworca kolejowego wyjechałem, zawiózł mnie do hali, pod eskortą dragonów czy huzarów — nie pamiętam. Przypomina mi się za to rzecz jedna komiczna, co pochodowi towarzyszyła. Szeregowi siedzieli na dobrych, na ruchliwych koniach; oficerowi, eskortą dowodzącemu, dostała się klacz tłusta i do niemożliwości leniwa, na którą ostroga ten wywierala wpływ, że szybko ogonem kręciła i jeździec, dla pobudzenia jej do raźniejszego przebierania nogami, łączyć musiał ściskanie ostrogami z biciem po za siodłem w bok rękąjeścią od pałasza. I to nie skutkowało. Na wydobycie z niej ruchliwości sposobu nie było.

Widok znęcania się jeźdca nad tą klaczą pobudził mnie do rozmyślenia nad pożytecznością formacyi wojskowych, zawiązywanych przez wychodztwo nasze w Ameryce północnej. Rozmyślanie posłużyło mi następnie do zasilenia radą praktyczną moich na wiecach przemawiań.

Powodzenie wieca było zupełnem pod krasomówczym i artystycz-



nym względem. Z mową między innymi wystąpił uczeń szkół publicznych, chłopak lat nie więcej jak dwunastu. Jeden z wychodźców wygłosił wierszowany utwór humorystyczny, który słuchaczy rozweselił. Bałę obszerną po brzegi zapełnili nie tylko związkowcy i niezależni, ale zależni a nawet i ohajowcy.

Cleveland, położone nad jeziorem Erie i kanałem Ohio, łączącym jezioro z rzeką Ohio, wpadającą do Missisipi, jest jednym z bardziej handlowych i przemysłowych miast w Stanach Zjednoczonych. Przemysłowość zdradzają wałęsające się nad grodem z fabryk i kopalń dymy czarne. Miasto zwiedzaliśmy, o ile nam na to czas pozwalał. Przedstawia się ono wspaniale. Nie tyle jednak zajmowały mnie pomniki, publiczne i prywatne budowle, co po raz pierwszy w Ameryce oglądany cmentarz. Sz. gospodarz przewodniczył nam w obejrzeniu arcydzieła architektonicznego: mauzoleum Garfielda, jednego natenczas z dwóch (obecnie z trzech) prezydentów Stanów Zjednoczonych zamordowanych. Do Mauzoleum prowadzi droga mimo starannie utrzymanej murawy obszernej, na której od szerokiego tła zieleni w oczy mi się rzuciły niegęsto rozrzucone marmurowe, białe i szare, w kształcie cegieł, sześćościany o zwierzchniej wypukłej nieco powierzchni.

— Co to?... — zapytałem.

— Pomniki grobowe... — była sz. przewodnika odpowiedź.

Na sześćościanach tych, nie dłuższych nad 50, nie szerszych nad 25 centymetrów, nie ogrodzonych, ani obstawionych niczem, napisy oznaczają, że pod nimi spoczywają ciała takich to a takich nieboszczyków, porodzonych i pomarłych wtedy a wtedy. I tyle. Podobało mi się to tembardziej, że nie przypuszczałem, ażeby tak reklamami strzępiastymi wsławieni Jankiesi tak obojętnie się do reklam po śmierci — do « dzikiej żądy pośmiertnego żalu » — odnosili.

O ciekawości tej wspomniawszy, wspomnieć wypada o innej, również po pierwszy w życiu mojem raz w Cleveland oglądanej. Oglądnięcie jej zawdzięczam księdzu Kołaszewskiemu (czy Kolaśińskiemu), proboszczowi parafii niezależnej, tyle na mnie łaskawemu, że przewodniczył mi w zwiedzaniu szkoły i kościoła.

W szkole, przy niedzieli, oprócz ławek, szaf, tablic i służących do nauki pogładowej rysunków, nic innego do widzenia nie było. W kościele, obok ołtarzów zwyczajnych i malowideł pospolitych, nic w oczy nie uderzało. W zakrystyi dopiero oglądać i podziwiać było co. Na ornatach i stulach, kapiących od złota i klejnotów, artystyczne hafty oczy zrywały, bogactwo materiałów w podziw wprawiało. Ksiądz widocznie lubował się w tem, pokazywał więc i opowiadał.

Z tego, cośmy widzieli i słyszeli, wypadło, że zakrystya kościoła niezależnego w Cleveland przechowuje kosztowności za jakich kilkanaście tysięcy dolarów. Parafianie Polacy ochoczo na rzeczy takie grosze składają. Ksiądz, zaopatrujący kościół w utensylia i szaty kapłańskie bogate, zyskuje u nich księdza dobrego opinie.

XXI.

Przed przybyciem mojem do Cleveland najechałem się kolejami żelaznymi w Ameryce dosyć i uwagi na jedną nie zwróciłem rzecz : na towarzyszy i towarzyski podróży. Rozpatrywałem się we wszystkim : w wagonach, w ich konstrukcyi, w tem co się na zewnątrz przez okna widzi. Zajmowały mnie żywo uprawne i nieuprawne pola, lasy, łąki, pasące się na łąkach bydło, osady ludzkie, ale ludzie, w których towarzystwie jeździłem, zajmowali mnie najmniej. Pochodziło to, zdaje się, stąd, że towarzystwo amerykańskie zaslaniał mi zawsze prawie towarzysz z wychodztwa. Zwykle z miejsca na miejsce przejeżdżałem z przewodnikiem, z którym dużo miałem do mówienia, wychodztwo bowiem zajmowało mnie ponad wszystko. Dopiero z Cleveland wyruszyłem pod przewodnictwem człowieka, z którym się tak nagadałem w Chicago, że w podróży mogłem się czem innem, aniżeli wychodztwem polskim, zająć. Uwaga moja skoczyła nie na towarzyszy, ale na towarzyski, na istoty płci niewieściej, — nie dla tego jednak, o co podejrzenie rodzi się zapewno w umyśle czytelników, ale dla tego,

że były to Murzynki — córy tego gatunku rodu człowieczego, co świeżo wyprowadzony został ze stanu poniewierki ostatecznej. Widok ich zajął mnie. Pierwszą rzeczą, co mi się w oczy rzuciła, była ich obcość. Wśród podróżnych widocznym był brak łączności pomiędzy nimi a bliźnimi ich płci obojej koloru białego. Murzyni mężczyźni, pełniąc funkcyje służebne, ocierają się o białych, o ile tego rodzaj ich służebności wymaga. Kobiety trzymają się na stronie, całkowicie na stronie, zespalaając się z siostrzycami białymi w jednym tylko — w staranności, z jaką postacie swoje przystrajają, trzymając się mody we wszystkim do czego się ona odnosi: w kroju odzieży, w kształcie obówia, w rękawiczkach, wstążkach, szlarkach, okryciu głowy, we wszystkim — słowem, bo nawet w czesaniu włosów na głowie. Z tem ostatniem muszą mieć one kłopot nie mały ze względu na wełniste pokrycie głów, jakim je natura obdarzyła. Czy sposób wełnę splatać w warkocze? Murzynki jednak sztuki tej dokazują — jak? — jest to dla mnie tajemnicą. Przypatrywałem się fryzurom ich, zdobywam w warkocze, w grzywki, w chmurki, w różne inne mody wymyśli — z tajemnicy zasłony zdjęć nie mogłem. Wchodzą w to zapewne obce mi całkowicie arkany sztuki fryzjerskiej. Sądząc jednak wedle tego, com widział, zdaje mi się, że Murzynki, w rzeczy potęgowania wdzięków swoich, nie powinnyby ani w krawieckim, ani we fryzjerskim względzie kobiet białych naśladować. Różnią się one od białych nietylko kolorem ciała, ale i konstrukcją anatomiczną, nadającą ich upostaciowaniu i obliczu wyraz odmienny. Do nichby bardziej, aniżeli staniki obcisłe i spódnice ogoniaste, przystawały tuniki o barwach krzyżących. Że, co się tego tyczy, powinny one o jakiejś radykalnej pomyśleć zmianie, dowód w tem, że naśladownictwo siostrzyc białych ku tym ostatnim, nie ku nim, zwraca zapędy czarnych don Juanów, tak często z tego powodu lynchowanych, oraz nierzadko na szubienicach, za wyrokiem sądów regularnych, żywoty kończących. Gdyby się odpowiednio odziewały, przypuszczać należy, iżby u nóg swoich nie tylko czarnych, ale może i białych don Juanów miawały. Nawet w wełnie na głowie do twarzy by im było bardziej, aniżeli w warkoczach, w grzywkach

i w chmurkach. Nie wiem, co o tem ludzie w Ameryce myślą — z nikim w materji tej nie mówiłem.

Obok Murzynek inny czarny przedmiot zwracał w czasie podróży uwagę moją na siebie. Kolej, zbliżając się do Pittsburga, idzie wzdłuż rzek spławnych : Alleghany, Ohio. Zdaje się, żeśmy i nad kanałem, nazwę Ohio noszącem, jechali. Owóz wszędzie, gdzie się nam jeno przez okna wagonu woda ukazywała — wszędzie widok jej zasłaniały statki i tratwy, napełnione węglem kamiennym. W miejscach niektórych wody wcale widać nie było — nikła pod pomostem czarnym, stojącym na miejscu. Powodem tego było zapowiedziane w kopalniach węgla bezrobocie, co do którego układy, odnoszące się do wyboru prezydenta, toczyły się między stronnictwem Mc Kinleya a stronnictwem Bryana.

W sprawie tej o robotników zgola nie chodziło. Robotnikom groziła nędza. Los ich znajdował się w ręku politykierów, o których pisałem poprzednio, że zaś zanosilo się na zaciętość ze strony tej spółki kapitalistów, od której kopalnie w zależności pozostawały, fabryki przeto na lęb na szyję gromadziły węgla zapasy jaknajwiększe. Kompanie, właścicielki kopalni, nic na tem nie traciły. Strat ciężar cały spadał na robotników, zniewolonych przez miesiąc parę bez zarobku pozostawać.

Tak w Ameryce wygląda socyalizm, który się zrazu ostro był postawił, — dał się jednak tak wyzyskać, że się nim obecnie posługują stronnictwa, na których czele stoją olbrzymie spółki kapitalistyczne.

Czy losowi podobnemu socyalizm nie podlegnie w Europie? Przeciwno temu nie zabezpieczy go — jak się zdaje — siejba w społeczeństwach nienawiści pod postacią walki klas, tworzącej socyalizmowi wrogów potężnych w tem nawet, co jest w nim słusznego i sprawiedliwego, w środowiskach, w którychby gorliwych znaleźć mógł współpracowników.

W miarę jakieśmy się od Cleveland oddalali, okolica, którą pociąg nasz przebiegał, przybierała coraz to wyraźniej charakter górzysty. Przesuwały się nam przed oczami pejzaże górskie tem od poprzednio oglądanych różne, że cechowało je ożywienie prze-

mysłowe, zaznaczające się gęstością okazów. Zrazu w oczy się fabryki rzucały, następnie kopalnie nafty. Pierwsze rusztowania wiertnicze nad studniami powitałem, jak się dawnych wita znajomych. Rzadko się jawiały z początku, następnie coraz to gęściej i gęściej, tak że zdarzały się miejscowości, w których rusztowanie siedziało na rusztowaniu. Wieżyczki ażurowe ukazują się tuż nad rzeką i dalej na podgórzach, jakoteż na gruntach niskich, mających zdaleka pozór podmokłych. Przypatrując się tej studni naftowych mnogości, myślałem o spółzawodnictwie, które, dzięki troskliwości sprzyjających (?) Galicyi rządów zaborczych, wypada na korzyść Stanów Zjednoczonych i Kaukazu, a na szkodę tego Polski działu, który sobie Austria przyswoiła.

Do Pittsburga zawitaliśmy nad wieczorem, ale dosyć jeszcze wcześniej. W grodzie tym, stolicy handlu i przemysłu na wielką skalę, rezydował najwyższy Związku Narodowego Polskiego urzędnik, cenzor, którym w czasie owym był dr. Leon Sadowski. Poznałem się z nim w Chicago — poznałem w nim jednego z tych Polaków, należących do pokolenia, jeżeli nie zrodzonego, to odhodowanego i wychowanego w Ameryce, które polskiem jest nawskróś. Jako medyk, posiada on, jak *vox populi* głosi, wziętość, przysparzającą mu dochodów; jako człowiek, cieszy się uznaniem powszechnem i zaufaniem, które ku niemu wzbudza jego zacność nieposzlakowana i spokojny, powolny temperament, poręczający za rozwagę we wszystkim, co postanowi. Przyczynia się do tego postawa, nacechowana powagą przy wzroście słusznym. Zauważyłem, że w materyach spornych kilka sz. doktora słów wystarcza na załagodzenie lub rozstrzygnięcie sporu. Wybrany na XIII-ym Związku Narodowego Polskiego sejmie w Grand-Rapids na wysoki urząd cenzora, zdaje się na urzędzie tym będzie mógł, jeżeli zechce, żywota dokonać. Wybór jego jest, ze względu na jego patriotyzm, pomyślnem dla instytucyi Skarbu Narodowego zdarzeniem. Jak wiadomo, każdorazowy cenzor spełnia w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej funkcję Komisarza Generalnego Skarbu Narodowego Polskiego. Jako więc taki, sz. D^r L. Sadowski obchodził mnie specjalnie.

Zdaje się—jeżeli mnie pamięć nie zawodzi—w gronie witających mnie na dworcu kolejowym w Pittsburgu spółziomków Dra Leona Sadowskiego nie było. Nie—nie było. Przypominam sobie, że jeden z komitetowych przeproszał mnie w imieniu doktora, którego obowiązek lekarski zatrzymał w tym momencie w oddaleniu od dworca. Przypominam to sobie i stąd jeszcze, że skorom w hotelu mieszkanie zajął, w tym samym momencie odpierać musiałem rdzenny atak gościnności, domagającej się odemnie pozostania w Pittsburgu cały prawie tydzień, bo od poniedziałku do niedzieli podczas, kiedym dłużej niż do środy pozostawać nie mógł.

— Nie mogę...—tłumaczyłem się.

— Co tam : nie mogę !... Nie puścimy i kwita...

Takim był argument jeżeli nie najważniejszy, to najdosadniejszy, za pomocą którego przekonać mnie chciano, że powinienem statek, na którym miałem do Europy przejazd opłacony, opuścić i jechać statkiem następnym. Argument inny miał pewną za sobą rację. Ogromnie większa część wychodztwa polskiego przebywa nie w Pittsburgu, lecz w przylegającej doń okolicy po fabrykach, zakładach, kopalniach, część ta przeto w dniu powszednim wziąć udziału w zgromadzeniu na cześć moją nie może. Racyi tej uwzględnienie przechodziło niestety możność moją. Wypraszałem się w sposób dobry i gniewnie — nie pomagało to. Jeden zwłaszcza z obywateli, którego postać w oczach mi stoi a nazwisko z pamięci wypadło, mocno na mnie naciskał.

— Krzywda !... krzywda !... — wołał—dla mnie osobista...

— Osobista?...—zapytałem zdziwiony-trochę.

— W niedzielę przywiózłbym synów moich, niechby widzieli pułkownika polskiego i z ust jego o Polsce usłyszeli !...

Racya ta na uznanie zasługiwała. Na uznanie atoli zasługiwała i niemożność z mojej strony uczynienia zadość żądaniu, które mi pochlebiali i zaszczyt czyniło, a które wypływało z gościnności, będącej cnotą i przywarą polską. Strona jej ujemna ukazała się mi w natarczywości, od której z sił całych bronić się musiałem i już już siły moje słabnąć poczynały, gdy z pomocą przyszedł mi Dr. L. Sadowski.

— Doktorze, ratuj!... — zawołałem, gdy go wchodzącym ujrzałem.

Kilka wymienionych przez niego słów wytłumaczyły mnie i usprawiedliwiły.

Nie zakończyły się jednak na tem sprawy sporne. Doktor zwrócił się do mnie w imieniu zamieszkałej w Pittsburgu rodziny polskiej z prośbą na wieczerzę. W chwilę później zajęliśmy siedzenia w karcie, z której o mil (nb. angielskich) parę od hotelu wysiadłszy, znaleźliśmy się w licznym polsko-litewskim towarzystwie. Na wieczerzę czekaliśmy z godzinę, którą spędziliśmy na piętrze w salonie na ożywionej dyskusji, prowadzonej przez młodego księdza, Litwina, proboszcza parafii litewskiej.

Parafii litewsko-polskich i czysto litewskich kilka znajduje się w pobliżu Pittsburga. Do niedawna, dzięki poczętej w kraju a przeniesionej do Ameryki agitacji, udało się pomiędzy Polakami a Litwinami zaszcześcić nienawiść, manifestującą się potwornie. Doszło było do tego, że w parafiach mieszanych Litwini Polaków, Polacy Litwinów kościele ze cmentarzy wyrzucali. Polacy w każdym razie mniej okazywali zawziętości w słowie pisanem zwłaszcza. Litwini w gazetach swoich przeklinali ich i Polskę, złożyli się z nią Litwy, przypisując temu klęski, jakie na tę ostatnią spadły, oraz niedopuszczenie jej do rozwoju życia narodowego. Wystąpili oni z takimi samymi co Rusini pretensjami i pretensje ich z tego samego wypływały źródła: były dziełem polityki moskiewskiej, mającej na celu utrzymanie Polski w stanie ustawicznej wojny domowej.

Przed laty, w Paryżu, natknąłem się był na jednego z agitatorów, nazwiskiem — zdaje się — Muraszko. Za stan Litwy odpowiedzialną czynił on szlachtę polską i propagował oddanie się Moskwie. Kilku z ramienia moskiewskiego agitatorów działało w Ameryce. Pisma litewsko-amerykańskie, drukowane czcionkami łacińskimi, posiadały szczególny dla Litwinów w Europie urok, raz dla czcionek w Rosyi zakazanych, powtóre dla treści anti-polskiej, która dla nich nowością była. Wychodzące w Ameryce gazety litewskie, przesyłane pakami całemi do Tyłży i z Tyłży na Żmudź przekradane,

więcej w Europie, niż w Ameryce czytelników miały. Idea pre-tensyi do Polski umysłów się chwytala, rozrastała się i szerzyła ku wielkiej Moskali uciecze. Do czasopism przyłączały się broszury i książki, wydawane częścią w Stanach Zjednoczonych, częścią w Prusiech Wschodnich. A wszystkie one grzmiały i huczały: «Precz z Polską!»

I ciągnęło się to lata, posiłkując się i zasilając agitacją socyali-styczną polską, przyklaskującą Litwinom ze względu na nastawia-nie się ich przeciwko szlachcie, przeciwko tej klasie, przez którą, przed wiekami, zaznaczyło się państwowe Polski kielkowanie i która następnie, przybrawszy nazwę «narodu politycznego», państwo polskie urobiła, ukształtowała i stała się politycznym i narodowym onego wyrazem. Zasilana dwustronnie — ze strony socjalistycznej i ze strony moskiewskiej — agitacja jątrzyła Litwin-ów, wzmagala się, aż — nie wiem skutkiem czego — przesiliła się. Może — co jest przypuszczalnem — agitatorowie moskiewscy miarkę przebrali. Może — co jest prawdopodobnem — ich spółdziałalność z socjalizmem polskim na drodze jątrzenia przeciwko Polsce, od chwili zwłaszcza jak socjalizm w patryotyczne dąć począł dudy, otrzeźwiająco na Litwinów umysły podzielała. Bądź co bądź, dla powodu tego lub innego, nienawiść ze strony Litwinów do Pola-ków, która ogromnym rozgorzała była płomieniem, zgasła i, w czasie mego do Ameryki przybycia, należała już do wspomnień przeszłości, świadczącej, że nasze wychodztwo w Stanach Zjedno-czonych żywiej i bardziej interesuje rząd rosyjski, aniżeli polskich w Starym Kraju działaczy politycznych.

Na zgromadzeniu, poprzedzającym wieczerzę, na którą nas Dr. L. Sadowski przywiózł, nie koniecznie się zrazu wygaśnięcie płomie-nia nienawiści zaznaczyło. Ksiądz Sztukajtis, jasny, rumiany blondyn, wyglądający na młodziutkiego, wziął w rozmowie ogólnej prym i, zacząwszy od zarzutów przeciwko księżom w ogóle, których oskarżał o pychę («ksiądz, gdy proboszczem zostanie, nie wie jak nogi stawiać, ażeby się poważnym wydawać»), zwrócił się przeciwko szlachcie polskiej na Litwie, patrzącej z góry na chłopów i postponującej pisaną zwłaszcza mowę litewską.

— Moskale nas za czcionki łacińskie prześladowają, Polacy za język litewski. . . — słowa księdza. Z kimże trzymać mamy? . . .

Wywiązała się dyskusya ogólna. Wzięłem w niej udział i ja. Dane przezemnie księdzu Sztukajtis odpowiedzi dadzą się jak następuje streścić :

« Kultura na Litwę weszła z Polski, tak jak do Polski z Zachodu, kiedy na Zachodzie panowała kultura łacińska. Jak w Polsce językiem pierwotnie kulturalnym był łaciński, tak na Litwie polski i stąd rodząca się obecnie potrzeba kultury narodowej spotyka się na Litwie z podobną, jak rodząca się też sama potrzeba w Polsce w wieku XV, opozycya. Opozycya ta jest naturalną i naturalnie usunie ją konieczność rzeczy : potrzeba kultury narodowej, tkwiąca w łonie ludu litewskiego. Uczynieniu zadość potrzebie tej Polska sprzeciwiać się nie może ze względu na interes własny, polegający w momencie obecnym na odzyskaniu niepodległości, co wymaga spółdziałania — wedle sztandarowej na Unii lubelskiej wyrzeczonej zasady : « wolni z wolnymi, równi z równymi » — wszystkich Państwa Polskiego części składowych. Stąd wynika, że przyszła Polska innem być nie może państwem, tylko, na wzór Szwajcaryi, federalnem, poręczającym dla każdej ze składających je części — dla Polski, Litwy i Rusi — samodzielny rozwój narodowy. »

W materyi tej dyskusya toczyła się żywo, w tonie rozmowy przyjacielskiej, mającej na celu nie tyle przekonywanie, eo informowanie udział w niej biorących. Sz. ksiądz Sztukajtis opowiadał o stosunkach na Litwie, jakie wytworzył ruch narodowy, którego spolonizowana szlachta nie popiera ; Moskwa zaś, popierając go, o ile się on przeciwko Polsce zwraca, usiłuje kulturę polską zastąpić moskiewską, prześladowając zawiązujące się piśmiennictwo litewskie.

Dyskusyę przerwało wezwanie do stołu. Do wieczerzy zasiadło nas osób mniej więcej trzydzieści — mężczyźni sami ; kobiety usługiwały. W opowiadaniu mojem zaznaczyłem poprzednio, że mnie to dziwiło ; domyślałem się racyi i w Pittsburgu domysł mój uznany został trafny. Sfera mieszczańska w ogóle — wychodźcza i tuziemna — obchodzi się bez służby, która drogo sobie płacić każe.

Wśród Amerykanek zdarzają się niewiasty ekscentryczne; wśród Amerykanów zdarzają się małżonkowie ulegli: w stadiach takich role się zmieniają. Są to jednak wyjątki, które, dzięki wyjątkowości swojej, stają się głośne i jako takie powodują z odległości uogólnianie, sprowadzające mylnie o stosunku płci jednej do drugiej wyobrażenie. I w Ameryce, jak w Europie, rzadkimi nie są kobiety skromne, poczciwe żony, dobre matki, wierne ogniska domowego stróżki. O wartości ich, wynikającej wprost z opieki, jakiej im prawo udziela, świadczy dowodnie zawód nauczycielski w szkołach początkowych i średnich nawet, który dla nich otworem stoi i któremu się one z gustem oddają. Młódź płci obojej wiedzę naukową ochotniej i łatwiej od nauczycielek, aniżeli od nauczycieli, przejmuje. Nauczycielki bez hałasu ogromne społeczeństwu oddają usługi, zastępując przymus naukowy tym pociągiem naturalnym, skutkiem którego dzieci chętniej się do kobiet, aniżeli do mężczyzn, garną. Na ogół przeto biorąc, kobieta w Ameryce bierze na siebie dwie funkcje społeczne: gospodarstwo domowe i nauczanie dzieci — i zadowalniająco je pełni.

O kobiecie w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej znaleźć sposobność do pomówienia jeszcze. Jest to przedmiot bardzo zajmujący i ważny, — gdyby podróży mojej cel nie był ściśle określony i co do czasu ograniczony, byłbym przedmiotowi temu więcej poświęcił uwagi. Zasługuje on na zajęcie się nim specjalne. Za wielką by mi on atoli sprawiał dystrakcję wobec pochłaniającej mnie sprawy natury czysto politycznej, dla której do Ameryki przyjechałem.

Na gruncie Stanów Zjednoczonych sprawa ta, o ile wyobrazicielem jej jest idea Skarbu Narodowego, opiera się o Cenzora Związku Narodowego Polskiego. Z nim przeto o niej pomówić miałem i pomówienie to wchodziło do tej do pewnego stopnia apostołskiej funkcji, której pełnieniem była moja po osadach polskich wędrówka. Zapiszę je przy końcu rozdziału — po zanotowaniu jednego z okazów gościnności, jaki mnie w Pittsburgu spotkał, a którego szczegóły wchodzi do objawów, charakteryzujących życiowy w Stanach Zjednoczonych rozwój. Objawów w tym rodzaju

zaznaczyłem już sporo i razy parę wspominałem o bogaczach amerykańskich — o ich w społeczno-politycznej działalności znaczeniu. Mówić o tem mogłem ze słyszenia tylko — wedle opowiadań spółziomków, z którymi się schodziłem. W Pittsburgu dali mi oni sposobność dotknięcia — że się tak wyrażę — palcem oznaki głosu sumienia jednego z tych, co nie posiadając funduszu zakładowego innego nad dziesięć palców i jedną głowę — głowę nb. zaopatrzoną jeno w wiedzę, udzielaną przez szkółki elementarne, do miliardowej doszedł fortuny.

W dniu, w którym wieczorem odbyć się miał obchód przyjęciowy, D^r L. Sadowski prosił nas na obiad do siebie. W przed czy w pobiedniej porze zwiedzaliśmy miasto pod przewodnictwem jednego ze spółziomków, oddającego się malarstwu. Zaprowadził on nas do wspianiałej oranżeryi, następnie do zakładu, ślady świeżości na sobie noszącego, będącego czytelnią, biblioteką, szkołą i muzeum zarazem. Ogromną była budowla, mieszcząca w sobie tyle takich instytucyi. Zwiedzaliśmy ją pobieżnie, zaglądając tu do sal bibliotecznych, czytelnianych, ówdzie do sal wykładowych; najdłużej zatrzymaliśmy się w niskiej, długiej, na kurytarz wyglądającej izbie, w której na zasłanej słomą podłodze ustawione były w równej jeden od drugiego odległości koziołki, a na nich spoczywał długi na jakich dziesiątek metrów szkielet ichtyozaurusa. Nie był to szkielet całkowity; brakło mu kręgów kilku, które specyjalista do tego rodzaju restauracyi z innych, w różnych w Ameryce miejscowościach znalezionych szkieletów, dobierał i przystosowywał. Osobliwość okazu tego na tem polegała, że w świecie uczonym do niedawna panowało mniemanie, jakoby te jaszczury przedpotowe przebywały wyłącznie — w Niemczech, w Anglii, we Francyi.

Fundatorem zakładu, w którym przyrządzanie tego preparatu widziałem, jest głośny « król stali », Carnegie. Rzuca on milionami, dziesiątkami milionów dolarów na przeważnie naukowe instytucye. Przypisują mu powiedzenie, że: « łajdakiem jest ten bogacz, co majątku swego całkowicie na korzyść społeczeństwa nie oddaje. » Bezwątpienia nabycie majątku przedstawia mu się, jako zaciągnię-

oie u społeczeństwa długu, którego spłacenie uważa za obowiązek sumienia. Dodać należy, że nie on jeden w Ameryce tego jest zdania, często bowiem w Europie dochodzą nas słuchy o galeryach, muzeach, uniwersytetach i innych dobru publicznemu służących instytucjach, fundowanych przez bogaczy i bogaczki. Widocznie, pomiędzy nimi zdarzają się ludzie sumienni.

Zwiedzając miasto, natknęliśmy się na widowisko publiczne, polegające na tem, że konie jeden po drugim z przyrządzonego na ten cel rusztowania, z wysokości metrów dwudziestu może, spadały do wody. Ludzie się gapili — i myśmy się pogapili na to, co ani pięknem, ani ciekawem nie było.

Wieczorem dnia tego odbył się obchód przyjęciowy. Przed obchodem rozmówiłem się z Sz. Cenzorem, Komisarzem głównym Skarbu Narodowego. Przedmiotem rozmowy było opodatkowanie Związku Narodowego Polskiego na Skarb Narodowy. Dr. L. Sadowski zapewnił mnie o możliwości wprowadzenia podatku stopniowo i zobowiązał się starać o to. Nie chodziło mi o nic we względzie tym więcej, wiedząc, iż opodatkowanie konstytucyjne było rzeczą niemożliwą. Kwestyę opodatkowania wkluczałem już do przemówień moich na obchodach; tym razem, silny zapewnieniem Sz. Cenzora, wkluczyłem ją z naciskiem na zgromadzeniu wieczornem, na którym ks. Sztukajtis oznajmił, że bierze na się obowiązek Komisarza Skarbu Narodowego w swojej parafii litewskiej. Było to preludjum zjazdu Polaków, Litwinów i Rusinów, który w kilka miesięcy później odbył się w Pittsburgu, celem umówienia się o wspólne i zgodne na drodze ku wyzwoleniu Polski, Litwy i Rusi pracowanie.

XXII.

Nie zetknąłem się w wędrówce mojej nigdzie ze sprawą ruską. W Scranton udział w urządzonym na cześć moją obchodzie wziął młody ksiądz, proboszcz parafii unickiej, z którym przy wieczery pożegnalnej zamieniłem kilka frazesów uprzejmych. I tyle. Rusini

podobno we względzie kościelnym w wygodniejszym niż Polacy znajdują się położeniu, z powodu że biskupi katoliccy, nie mając o unii pojęcia, zostawiają ich w spokoju i oni parafie urządzają sobie na prawach kościołów niezależnych. Od mącenia im spokoju są agenci moskiewscy i popi prawosławni. Tym atoli — jak mi powiadano — powodziło się w początkach jeno, póki nie było księży unickich. Do czasów tych odnosi się sprawosławienie kilku parafii rusińskich. Z chwilą jednak pojawienia się księży unitów ustało prawosławienie się Rusinów; ustało zarazem nagabywanie ich przez agentów, pozbawione celu wobec zabiegów moskiewskich, powodzeniem wieńczonych na gruncie, na Rusi, polegających na szczwaniu Rusinów przeciwko Polakom. Rusini przeto, zadowoleni w odniesieniu do spraw kościelnych, mały biorą udział w ruchach, odbywających się wśród wychodźstwa, napływającego do Ameryki z ziem dawnej Rzeczypospolitej Polskiej.

Inaczej rzecz się ma z Litwinami. Tych z Polakami nie różni wyznanie religijne, nie różnią tradycje i podania wysnute z bratobójczych wojen domowych; owszem: w zawiązku państwowej dwóch tych narodów wspólnoty świeci wielkimi zgłoskami w dziejach zapisane wspomnienie uratowania przez Polaków Litwy od niewoli krzyżackiej. Od tego momentu unia, na podstawie potrzeby zobopólnej, zacieśniać się musiała. I zacieśniała się — mimo stawiane jej przez lękających się o prerogatywy swoje litewskich wielmożów przeszkody. Ostatecznie stanęła r. 1569 w Lublinie. Stanęło państwo trójjedne. Losy Litwy zwały się w jedno z losami Polski i dwa te narody wspólnie dobrą i złą uprawiały dolę. W zlej, w najgorszej, jakby się za Grunwald wywdzięczając, sprawy Litwa Polsce dotrzymywała — sprawy, której nawet w r. 1863 64 nie opuściła. W ostatniej o Polskę walce orężnej lud na Litwie udział wziął i z łona swego naczelników oddziałów powstańczych wydał. Z takich konopi nie mogli Moskale litewskiego na Polskę ukreścić bicza. We względzie tym postużyło im podłoże socjalistyczne, które, niby kanwę, rękami biegłych agitatorów, rząd obhaftował pretensjami narodowemi, wystosowanemi przeciwko szlachcie spolonizowanej. Spolonizowana na Litwie szlachta nadawała się

podwójnie do walki : o stosunki społeczne (walka klas) i o zdradę kulturalną. Otworzyło się szerokie do wyzyskiwania Litwinów pole, na którym wyzyskiwać się dawali, póki opamiętanie nie poczęło do umysłów zaglądać. Ztąd ta wynika nauka, że narody w niewoli z wielką ostrożnością odnosić się powinny do hasel, podsuwanych im zzewnątrz a powodujących rozbijanie ich sił w walce o niepodległość. Niewolnikom nie o tuczenie się w niewoli, ale o wyzwolenie się chodzić przedewszystkiem powinno. W polonożerstwie litewskim nastąpił przełom, do którego w pewnej mierze przyczyniła się może moja w Pittsburgu bytność (*). Obyż tak samo obróciło się polonożerstwo rusińskie!...

Obok polonożerstw moskiewskiego i pruskiego, polonożerstwa litewskie i rusińskie to... trochę na nas za wiele. Ale... ponieważ Litwini do rozumu przychodzą, to może z kolei i Rusinom na przyjęcie do rozumu się zbierze.

Rozmyślaniu powyższemu oddawałem się w podróży z Pittsburga do Washingtonu—stolicy Stanów Zjednoczonych. W podróż puściliśmy się — o ile przypominam sobie — późnym wieczorem. Przypomnienie to wywołują w pamięci mojej widziane z okna wagonu obrazy iluminacji, przesuwających mi się przed oczami. Tu przedstawiały się w szeregach lub w kolumnach migocące na poziomie światełka, ówdzie do góry wznosiły się syjące iskry lub zionące dym płomienie. Towarzyszyło to zrazu pociągowi bez przerwy ; następnie ciągłość się przerywać poczęła ; przerywała się coraz częściej i coraz na dłużej ; światła rzadły, wreszcie ustąpiły miejsca ciemności. Noc do praw swoich powróciła z powodu nieobecności fabryk, gęsto zalegających poblizze Pittsburga.

(*) Do Pittsburga przyjechałem d. 8 października r. 1900; wyjechałem d. 10, może 11 t. m. W roku następnym, w miesiącu lutym, z inicjatywy Dra Szlupasa, odbył się w Pittsburgu zjazd przedstawicieli postępowych pism i organizacji polskich, litewskich i rusińskich, celem porozumienia się i pomagania sobie wzajemnie w obronie spraw wspólnych. Na zjeździe tym uchwalonem zostało wydawanie spólnemi siłami pisma w języku angielskim, szerzącego ideę federacji polsko-litewsko-ruskiej. Uchwala ta nie weszła jeszcze w życie, ale idea stoi i, po usunięciu opóźniających ją trudności, urzeczywistni się. Urzeczywistnić się ona musi, jest bowiem wyrazem potrzeby koniecznej.

Nie umiem nazwać miast, przez któreśmy przejeżdżali. Przypominam sobie jeno, żeśmy pociąg o północy zmienili i na ten, co nas zabrać miał, bodaj czy nie ze dwie czekać musieliśmy godziny. W pamięci kręci mi się nazwa miasta Harrisburg, stolicy stanu Pensylwanii, nie przewyższającego w stanie tym miast takich, jak Pittsburg, Filadelfia i paru innych, ani liczbą mieszkańców, ani znaczeniem. Zdaje mi się, żeśmy właśnie w Harrisburgu na nasz pociąg czekali. Na dworcu tamecznym raz jeszcze przekonałem się, że o ile kompanie kolei żelaznych dbają o podróży w wagonach, o tyle ich na dworcach lekceważą. Oczekujących na pociąg do Washingtonu było osób kilkanaście, mężczyzn i kobiet — kobiet samych murzynek. Przy okazji tej dowiedziałem się, że stolica unii północno-amerykańskiej jest zarazem *de facto* stolicą murzyńską.

Po wypiciu filiżanki lichej kawy i wyczekaniu się w poczekalni, w której na czem wygodnie usiąść nie było, doczekaliśmy się pociągu, podążającego wprost do stolicy unii.

W Washingtonie na dworcu nikt na nas nie czekał; na powitanie mnie żaden nie zawiązał się komitet z racyi, jeżeli nie innej, to z tej, że gród stołeczny w murach swoich Polaków nie więcej nad głów parę dziesiątków, dzieci w to licząc, posiadał. Ks. Sztukajtis dał nam adresy hoteli paru; do jednego z nich zajechaliśmy i, nie zwłócząc, odświeżywszy się, udaliśmy się z wizytą do pułkownika J. Smolińskiego.

Pułkownikowi J. Smolińskiemu należy się odemnie słów parę. Znałem go z posłuchów tylko, głośniejszych nieco w czasach ostatnich z powodu poruszenia przezeń sprawy pomnika Kazimierza Pułaskiego. Wzniesienie pomnika bohaterowi Konfederacji barskiej, który pod Saratogą (r. 1779) zginął w obronie wolności wychodźców na gruncie amerykańskim, zawotowanem zostało na jednym z kongresów pierwotnych, wraz z wyznaczeniem na ten cel funduszu. Uchwała ta, nie wykonana na razie, poszła następnie w zapomnienie. Pułk. J. Smoliński przypominał o niej i szturmuje o nią. Wieść o tem doszła mnie w Europie. Nie dla niej jednak, ani dla tego drogę moją powrotną na Washington obróciłem, żem

w r. 1863 poznał był ojca sz. pułkownika, oficera wojsk polskich z r. 1831, który, wyemigrowawszy do Stanów Zjednoczonych, opuścił w czasie wojny secesyjnej szeregi amerykańskie i do Polski pośpieszył,

Do stolicy Stanów Zjednoczonych, obok potrzeby dowiedzenia się u źródła o ilości wychodźstwa polskiego, pociągnęła mnie ciekawość polityczna podwójna: 1° jak wygląda stolica mocarstwa, powołanego do odegrania w niedalekiej może przyszłości ważnej w losach zamieszkujących kulę ziemską narodów roli? 2° czy możliwymi są dla Polaków polityczne w Stanach Zjednoczonych wpływy?

U pułkownika Smolińskiego spotkało nas (mnie i syna mego) serdeczne, przyjacielskie przyjęcie: zajął się nami; pani swojej nas przedstawił; stał się przewodnikiem naszym.

Pułkownik wygląda na lat mniej więcej pięćdziesiąt, znaczących się białymi włosami, przebijającymi się na zaroście płowym, okrywającym głowę i policzki, cechując je wyrazem marsowym; wzrostu średniego, silnie zbudowany. Ojciec ulokował go był w szkole baignolskiej w Paryżu, ale na tak krótko, że się po polsku nauczyć nie mógł. Po polsku nie mówi, nie rozumie nawet; mimo to Polakiem jest w najczystszej wyrazów tych znaczeniu, i osobą swoją, uczuciem i rozumieniem swoim odpowiada na zamieszczone powyżej zapytanie N° 2, odnoszące się do podwójnej ciekawości, co mnie do Washingtonu ściągnęła. Pułk. Smoliński zajmuje urzędowe w departamencie wojny stanowisko. Pojedynczy człowiek może nie wiele; specjalne w zakresie wojennym zajęcie wpływów nie zapewnia. I wpływy atoli i możność nadawania sprawom politycznym obrotu i kierunku znalazłyby się, gdyby Polacy do służby publicznej w rozmaitych nadawali się gałęziach i zdolnościami swymi zapewniali sobie kroczenie ze szczebli niższych na wyższe i najwyższe. Przeszkód we względzie tym i trudności nie do przewyciężenia nie ma wcale. Drogi wszystkie dla Polaka każdego otworem stoją. Chodzi o to tylko, ażeby Polacy, z tem do Polski uczuciem, jakim pułk. Smoliński jest przejętym, w rozmaitych kształcili się kierunkach i zajmowali, odpowiednio do uzdolnień

osobistych, stanowiska. W porządku tym same przez się wpływy urobią się i ustalą. Na to liczyć można pod warunkiem, ażeby w duszy wychodztwa polskiego duch polski uświadamiał się i w takiej, jak w duszy sz. pułkownika uchowywał czystości.

Nie chcąc sz. przewodnika nadużywać, zwiedzaliśmy miasto we dwóch, wyszukując wedle planu godne widzenia rzeczy.

Na widzenie zasługuje przedewszystkiem samo miasto z tego oryginalne względu, że łączy w sobie dwa, nie chodzące zazwyczaj w parze przymioty: skromność i przepych. Połączenie to nie przedstawia się tak, jak w tych miastach europejskich, co nie wyzbyły się jeszcze w zupełności cech średniowiecznych, w których ulic szerokiach i prostych czepiają się uliczki wąskie, kręte, i obok pałaców widzieć się dają lepianki. Washington jest miastem nowem, dyszy świeżością wczorajszą; ulice wszystkie szerokie, równe, długie, pod prostemi przecinające się kątami; przy ulicach chodniki wygodne; ulice i chodniki wyźwirowane, wybrukowane, zamiecione, czyste; przy nich, w środkowej części miasta, ciągną się szeregi zabudowań, mieszczących w sobie sklepy, restauracye, golarnie, saloony, hotele a raczej hoteliki drugo-trzeciorzędne,—pierwszorzędne na bocznych znajdują się ulicach. Hotelików jest moc wielka, co świadczy, że są one potrzebne w razach pewnych i że natenczas około nich wytwarza się ruch, który nie istniał w czasie pobytu naszego. Zastaliśmy ciszę i spokój w stolicy mocarstwa, sposobiącego się do pojęcia o lepsze z takimi jak Rosya, jak Anglia potęgami. Spokój ów maćci zapewne obecność Kongresu, który później, po naszym zgromadzić się miał wyjeździe i którego członkowie nie wszyscy mieszkać mogą w apartamentach wspaniałych. Hoteliki są dla nich. Za ich sprawą ruch się powiększać musi, nie w tym atoli stopniu, co w miastach, będących stolicami nie państwa, ale handlu i przemysłu.

Po Nowym-Yorku, Buffalo, Chicago i innych ludzkich mrowiskach, Washington sennym mi się wydał grodem — sennym, ale przeslicznym. Piękność jego stanowi harmonia obrazowa. Rozkład miasta doszykowanym jest do Kapitolu—olbrzymiej i w najściślejszem wyrazu tego znaczeniu wspaniałej budowli, wznoszącej

się na wzgórzu, dominującym nad okolicą. Nie będąc budowniczym, nie mogę o niej w dodatnim ani w ujemnym sensie krytycznej wyrazić opinii. Mogę jeno zdać sprawę z wrażenia, jakie na mnie sprawiła i dać o niej jakie takie wyobrażenie opisowe.

Kapitol, frontem głównym zwrócony na wschód, przedstawia się pod postacią budynku podłużnego, składającego się z korpusu środkowego i związanych z nim korytarzami dwóch pawilonów. W pawilonach, w jednym na lewo mieści się izba posłów, w drugim na prawo—senat. Korpus środkowy okrywa kopuła, opierająca się na perystylu kolumn porządku korynckiego, zakończona u góry latarnią elektryczną, oświetlającą nakształt słońca wnętrze ogromnej sali krągłej, zwanej rotundą. Na latarni stoi olbrzymi posąg wolności. Kolumnady u wnieścia głównego i wnieść bocznych, okna, odrzwia, rzeźby zewnętrzne i ozdoby, wszystko to razem i z osobna zasługuje na szczegółowe znawców studyowanie. To samo powiedziec należy o szczegółach architektonicznych i ozdobach artystycznych wewnętrznych, o malowidłach, posągach, popiersiach, w odpowiednich porozwieszanych i poustawianych miejscach. Na lewo od rotundy obszerna półkulista izba, z góry oświetlona, nosi nazwę *Statuary Hall*. Jest to rodzaj Walhalli amerykańskiej.

Wśród posągów i popiersi mężów, zasłużonych w Stanach Zjednoczonych, miło Polakowi oglądać biusty: Tadeusza Kościuszki (dzieło H. D. Saundersa) i Kazimierza Pułaskiego (Dra H. D. P. Mochowskiego). Świadczy to, że Amerykanie wdzięczność czuć umieją. Nazwiska dwóch tych bohaterów są przez nich pamiętane, a pamięć o nich szanowana. Fakt ten, natury czysto moralnej, mógłby się przydać do zawiązania ścisłych w zakresie politycznym pomiędzy Amerykanami a Polakami stosunków, gdyby wśród tych ostatnich znalazła się ilość pewna ludzi, rozumiejących stosunków tych potrzebę i użyteczność. Wątpić nie należy, że się tacy wśród wychodźstwa polskiego znajdują.

W Kapitolu zasiada i obraduje, składający się z izby posłów i senatu, kongres — władza prawodawcza najwyższa, czuwająca nad prawodawstwem w zasadniczych onego kierunkach, bez naru-

szania w szczegółach samorządu wchodzących do Zjednoczenia, w liczbie 37 państw niezależnych (Stanów) i 10 Ziem (terytoryów). Do kongresu należą dalej sprawy ogólne, takie jak: siła zbrojna lądowa i morska w odniesieniu do stosunków zewnętrznych, stosunki zewnętrzne, wypowiedanie wojny, zawieranie pokoju, traktaty polityczne i handlowe. Do centralnej Stanów Zjednoczonych władzy przyłączonym jest jeszcze i sąd najwyższy, zasiadający w Kapitolu, w budynku środkowym, po prawej stronie rotundy, w izbie półkuliastej, noszącej nazwę: *Supreme Court*.

Władze prawodawcze i sądownicze pod jednym znajdują się dachem. Władza wykonawcza spoczywa w rękach prezydenta Stanów Zjednoczonych, rezydującego w t. zw. Domu białym, o którym wzmiankę uczynię pod koniec rozdziału.

Kapitol nie jest w Washingtonie jedyną na uwagę zasługującą budowlą. Znajdują się jeszcze inne, posiadające znaczenie we względzie tak architektonicznym, jak użytecznościowym. Np. wznosząca się tuż obok, pod nazwą Czytelni kongresowej (*Congressional Library*), biblioteka, zawierająca z górą milion dzieł, odnoszących się do wszystkich umysłowości ludzkiej działów, jakoteż czasopisma i dzienniki w ogromnej na stołach czytelnianych ilości. Czytelnia kongresowa w niczem nie ustępuje innym, o których pisałem; owszem—w niejednym przewyższa je względnie: ozdobięszą jest niż inne, posiada przytem wielkie w dostawianiu książek czytelnikom ułatwienia, oraz osobne dla pracowników naukowych gabinety.

Słówko o planie miasta. Przeciąwszy punkt środkowy rotundy w Kapitolu pięcioma liniami prostymi, otrzymamy na zewnątrz punktu tego dziesięć promieni, formujących dziesięć kątów ostrych. Linie te na zewnątrz kwadratu, wewnątrz którego wznosi się Kapitol, formują szerokie ulice, noszące ogólną francuską nazwę *avenue* i dzielące grunt miejski na dziesięć kątów ostrych. Jeden z tych ostatnich, na wschód rozwartością zwrócony, posiada, w obrębie dwa razy tak długiego jak szerokiego równoległoboku, parki, stanowiące oprawę jednego z gmachów publicznych. Najbliżej od Kapitolu znajduje się oranżerya w otoczeniu ogrodu botanicz-

nego ; następnie park spacerowy ; dalej Instytut smitsoński (*Smithsonian Institution*) i Muzeum narodowe ; na końcu Departament rolniczy. Potem idzie jeszcze park Washingtona z kolumną pamiątkową ; lecz park ów i kolumna stanowią rodzaj wspólnej Kapitolu i Białego domu przynależności.

O Kapitolu dużo jeszcze do opowiadania by było, gdybym był opowiadaczem turystą, artystą lub feljetonistą, albo, gdybym na wędrowną moją nie z wyłącznie politycznego, w odniesieniu do sprawy polskiej, zapatrywał się punktu. Studya po za tym punktem sprawiałby mi dystrakcyę,—zresztą i czasu na nie nie miałem. Co do Kapitolu przeto, ograniczę się na zaznaczeniu jeszcze malowniczości, jaką mu nadaje podkład zieleni. Z morza zieleni wyskakuje do góry i maluje się na tle horyzontu budynek olbrzymi a lekki, strojny a poważny—i uwagę na sobie więzi—i podziw wzbudza—i sprawia to zadowolenie, jakie z siebie rzetelnie estetyczne wydziela piękno. Wyznać muszę, że osobiste zadowolenie moje nie wyłącznie się do estetycznej dzieła budowlanego strony odnosiło. Potęgowała je myśl, że gmach ów, jaśniejący wdziękiem kształtów, jest świątynią wolności, przybytkiem, w którym się na obrady zgromadzają republikanie, obywatele mocarstwa potężnego, powołanego do odegrania ważnej w politycznych na kuli ziemskiej powikłaniach roli. Nie zaręczę, czy do odczuwania piękna na widok przybytku tego nie przyczyniało się myślenie o Rzeczypospolitej Polskiej—o tym w niej Kapitolu ideowym, w którym naród polski o wyzwoleniu się radzi.

Z myślą o tem w głowie zwiedziłem zakładów kilka. Instytut Smithsoński jest stosunkowo świeżym—datuje od 1829 r. ; założonym został przez Anglika Jamesa Smithsona ; posiada bibliotekę naukową i sale z archeologicznymi i etnograficznymi okazami. Obok gmach muzealny uzupełnia niejako instytut pod względem artystycznym. Najbardziej zajęło mnie Muzeum wojenno-lekarskie (*Army Medical Museum*), w niem zaś szczególnie dział chirurgiczny, zawierający okazy pomocy lekarskiej na polu bitew, oraz skutków wywieranych przez pociski nowożytnie. Widocznie interesuje to Amerykanów mocno i świadczy, że nie przywiązują oni wiary do

wynurzeń pokojowych, rozkrzykiwanych przez Wilhelmów hałaśliwych i rozszepetywanych przez Mikołajów potulnych. Wojna ich obchodzi.

Zakłady i budowle zwiedzałem albo w towarzystwie syna, albo sam. Sz. pułk. J. Smoliński oprowadzał mnie po urzędach i przewodniczył w wizytach, które, zdaniem jego, przyzwoitość nakazywała mi złożyć osobistościom, pełniącym w kraju funkcję gospodarskie. Osobistości takich, z powodu pory wakacyjnej, znajdowało się natenczas w stolicy nie wiele. Mnie właściwie o nich nie chodziło, z wyjątkiem jednego — dyrektora biura statystycznego: dowiedzieć się bowiem chciałem o ilości Polaków w Stanach Zjednoczonych.

Powiedziałem to pułkownikowi.

— A... dobrze... — odrzekł. Zajdziemy do biura...

Biura państwowe mieszczą się w dwóch gmachach, oskrzydających Dom biały, z których jeden nosi nazwę: państwowe, wojenne i marynarskie departamenty (*State, War and Navy departments*), drugi Stanów Zjednoczonych Skarb (*U. S. Treasury*). Zachodziliśmy do obydwóch. Przedstawiłem się wodzowi naczelnemu, generałowi Miles, który nie to grzecznie, ale uprzejmie, życzliwie mnie przyjął. Mówiliśmy o Polsce, o Kościuszcze.

— Kościuszek dla mnie jest wzorem bohatera... — odezwał się generał w ciągu rozmowy.

Wizyta ta miłe mi pozostawia wspomnienie, wraz ze wspomnieniem, żywo mi dotychczas w oczach stojącej, marsowej generała postawy.

W departamencie marynarki, w nieobecności admirała, przyjął nas oficer wyższy, pełniący — jak mi pułkownik powiedział — funkcję eksperta w konstrukcyi okrętów wojennych. Człowiek młody — z pozoru lat ze trzydzieści, wyglądu bardzo miłego, Niemiec, baron X. (nazwisko zapomniałem). Ten, jak skoro nazwisko moje usłyszał, dłoń mi pochwyił i ścisnął, ścisnął, jak się ścisnąją dłonie ludzi, z którymi spotkanie się jest pożądanem. Zdziwiło mnie to nie pomalu.

— Bardzom rad... bardzom rad... — powtarzał, dłoń moją w dłoni swojej trzymając.

Zawiązała się wnet rozmowa o Polsce. Oficer opowiedział, że ze służby w marynarce pruskiej przeszedł do marynarki Stanów Zjednoczonych i obywatelstwo amerykańskie przyjął.

— Pókim był Prusakiem — mówił dalej — byłem wrogiem waszym... Służba... cóż?... Dziś, rozpatrzywszy się w kraju wolnym w prawach narodów, przyznaję wam rację, słuszność, prawo, obowiązek upominania się o wyrządzoną ojczyźnie waszej krzywdę... Gdybyście tego nie czynili, nie zasługivalibyście na nazwę narodu...

Mówił to prędko, w uniesieniu, z zapalem i akcentem za prawdę słów wymówionych poręczającym. Cóżby miał za interes w prawnieniu mi nieprawdy?

Zaszliliśmy następnie do archiwów i do biura statystycznego. W archiwach oglądałem woryginalne listy Pułaskiego do Kongresu, publikowane w druku przez pułkownika J. Smolińskiego; w biurze statystycznym nie dano mi pewnej wychodztwa polskiego w Stanach Zjednoczonych cyfry.

— Cyfra pewna niemożliwą jest do osiągnięcia — tłumaczył mi urzędnik — nie wszyscy bowiem Polacy za Polaków się podają... Jedni przy spisach deklarują, że pochodzą z Niemiec, inni z Rosyi, z Austrii... A Litwini?... a Rusini?... wreszcie Żydzi... Wynika stąd bałamuctwo, w którym się rozeznać trudno... Liczymy więc Polaków na mniej więcej dwa miliony, ale przypuszczamy, że do trzech dochodzą... Jeżeli zaś — rzekł z uśmiechem — nie dochodzą jeszcze, to dojdą niebawem... Dla przeświadczenia się o tem, dość po miastach, w których się Polacy w znaczniejszej gromadzą ilości, przejść po dzielnicach polskich... Co tam za mrowie dzieci!..

Zauważyłem to najprzód w Buffalo, następnie w innych z ludnością polską miastach.

Po przejściu po biurach pozostawał Biały dom.

Biały dom jestto rezydencya czteroletnia każdorazowego Stanów Zjednoczonych prezydenta — dostojnika z władzą obszerniejszą, aniżeli była władza królewska w Rzeczypospolitej polskiej, posiadającego znaczenie polityczne wyższe, niż znaczenie monarchów drugorzędnych, jakimi są cesarze niemiecki i austriacki, sułtan turecki, król włoski etc.

Stany Zjednoczone Ameryki Północnej zajmują obecnie stanowisko polityczne pomiędzy Rosją a Anglią (*), mając do wyboru: albo wspólnie z Anglią federacyjne w interesie własnym (według uchwalonej w Lublinie 1569 r. zasady: «Wolni z wolnymi, równi z równymi») urządzenia na kuli ziemskiej ustroju międzynarodowego; albo w sojuszu z Rosją pokonanie Anglii dla wzmocnienia caratu, na czem by z pewnością Stany Zjednoczone dobrze nie wyszły.

Stanowisko to dostojnikowi, zamieszkującemu Biały dom, wielkie nadaje znaczenie. Odpowiednio do znaczenia rezydencyja wyglądać by powinna. Tak nie jest. Biały dom ma pozór wcale skromny — zgoła nie monarszy; z zewnątrz ani się domyślić można, że przebywa w nim przedstawiciel mocarstwa, dzierżącego w ręku swoim wagę losów świata. U wstępu nic się militarne w oczy nie rzuca; mundurów, hełmów, oręża, wart, strażnic — ani śladu. Przed frontem budowli jednopiętrowej widnieje park, zwany *Lafayette-Square*, bliżej zaś, pomiędzy parkiem a podjazdem, oku przedstawia się barwny, kwiatowy kłęb, z estetycznym ułożony smakiem.

Pod Dom biały kamień węgielny założył r. 1792 Washington na wybranem przezeń miejscu. Pierwszym z prezydentów, co w nim, r. 1800, zamieszkał, był John Adams. W r. 1814, za prezydentury John Quincy Adamsa, w czasie wojny z Anglią (1812 — 1814), spalili go maruderzy angielscy — tylko dymem oczernione ściany pozostały. Od obielenia ścian przy odbudowie dom nazwę «białego» otrzymał.

Wnijszcia do rezydencji naczelnika rządu nie wzbronil nam nikt. Wkraczalismy w progi prezydyalne w przeświadczeniu o nieobecności p. Mc Kinley w stolicy. Odźwierny wyprowadził nas z błędu, co stanowiło przeszkodę w zwiedzeniu rezydencji we wszystkich szczegółach.

(*) Obecne (lutym — marcem r. 1902) Wilhelma II-go do Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej umizgi, mimowolnie nasuwające na myśl porównanie mojej i księcia Henryka pruskiego do Ameryki podróży, świadczą o wielkiem północnej Unii amerykańskiej znaczeniu politycznem. Umizgów tych rezultaty poznać dadzą, czy i o ile Yankiesi na lisach farbowanych się znają.

Niedostępne są nam komnaty mieszkalne... — zauważył sz. mój przewodnik. Ale przyzwoitość nakazuje złożyć karty nasze wizytowe...

Złożyliśmy przeto (pułk. J. Smoliński i ja) karty nasze i poszliśmy po salonach chodem powolnym, zatrzymując się tu i ówdzie wobec ozdób i malowideł, zapelniających komnaty. Przeszliśmy w sposób ten komnat kilka, gdy na spotkanie nasze nadszedł młody człowiek z oświadczeniem, że: «prezydent prosi».

— Wzgląd szczególny... — szepnął pułk. Smoliński.

Młody człowiek ofiarował się nam na przewodnika i, po przejściu komnat kilku, wprowadził nas do gabinetu, w którym na nas oczekiwał prezydent.

Stanięcie wobec Mc Kinleya oko w oko sprawiło na mnie wrażenie nie dla tego, że znalazł się wobec potentata, stojącego na czele milionów, ale dla podobieństwa, które mnie uderzyło — podobieństwa do Napoleona I. Któż Napoleona I-go nie zna? Ogół z postacią jego oznajmiają liczne tego wojownika wielkiego portrety, portreciki, posągi, posążki, które mnie tem bliżej z nim zapoznały, że wiele o nim słyszałem z ust ojca mego. Z zewnątrznością przeto wodza rodzica mego tak byłem oswojony, jakbym go znał osobiście. Zdumiał mnie więc konterfekt jego, gdym ujrzał w osobie prezydenta Stanów Zjednoczonych: te same rysy, taki sam wzrost, także na głowie włosów przyczesanie, takie samo wygolenie. Ze zdumienia jednak wnet sam on mnie wyprowadził — powitaniem uprzejmem. Po powitaniu zapytał, jak współziomków moich w Stanach Zjednoczonych znalazłem. W odpowiedzi mojej powiedziałem, po com przyjechał i jak się do wychodźców polskich w Stanach Zjednoczonych we względzie politycznym odnoszę.

— Domagam się od nich — rzekłem — ażeby, wiernie przybranej służąc ojczyźnie, nie zapominali o pierwotnej, szarpiącej się w więzach niewoli potrojnej...

— Uznają to... — odrzekł Mc Kinley z giestem odpowiednim i z uśmiechem życzliwym.

Zamieniliśmy ze sobą jeszcze frazesów kilka w tonie powitania,

t. j. uprzejmym i życzliwością mocno ze strony prezydenta akcentowanych. Pożegnanie w tym również odbyło się tonie.

— To nadzwyczajne!... nadzwyczajne!... — powtarzał pułk. Smoliński, gdyśmy Dom biały opuścili. To nadzwyczajne i ważne, świadczy bowiem, że w Ameryce sprawa polska znaleźć może nie samo tylko społeczeństwo...

Nadzwyczajność sz. pułkownik upatrywał w poufności charakteru udzielonej mi audyencji, o którą nb. nie prosiłem.

Nie darłem się, wzorem księcia Henryka pruskiego, do zaszczytu tego.

XXIII.

W Washingtonie, oprócz pułkownikostwa Smolińskich, poznałem jeszcze rodzinę (ojca, małkę, siostrę) młodego człowieka, którego nazwisko z pamięci mi wypadło, a który w ministerstwie wojny zajmował posadę—jeżeli się nie mylę—tłumacza. W młodym tym człowieku, ku zdziwieniu memu, spotkałem wielbiciela modernizmu w literaturze polskiej. Trzymał *Życie* krakowskie, zachwycał się Przybyszewskim, Tetmajerem. Mieszkał daleko za miastem. Zaprosił nas do siebie na objad i od niego, po przybyciu z Baltimore członka komitetu przyjęciowego, udaliśmy się na kolej, która nas bardzo prędko na miejsce zawiozła. Baltimore w niewielkiem (54 kilometrów) od Washingtonu leży oddaleniu.

Zwykle, gdym z którego wyjeżdżał miasta, wywoziłem ze sobą mniej lub bardziej obfity do rozmyślenia materiał. Materiał washingtonski byłby bardzo obfitym, gdybym miał być sposobność porównywania wędrówki mojej z wędrówką w podobnym, lub w odnośnym celu, innego osobnika. Przychodzi mi to obecnie dopiero na myśl, gdy z dzienników dowiaduję się o szczegółach podróży księcia pruskiego. Ja objeżdżałem (r. 1900) miasta, w których się Polacy w znacznej gromadzą ilości. Książę pruski objeżdża (r. 1902) miasta, w których w znacznej ilości gromadzą się Niemcy. Cel wędrówki ks. pruskiego zwracał się do sprawy niemieckiej. Mnie wy-

prawiła Liga Narodowa Polska. Księcia pruskiego wyprawił dostojny brat jego, władzca państwa, pnącego się do pierwszeństwa mocarstwowego,— władzca, który złożył liczne dowody samowładczych zapędów i ciekawości. Przypuścić nie sposób, ażeby on o podróży mojej i jej celach nie wiedział, ażeby go agenci tajni nie zawiadamiali, co robią i jak się do mnie spółziomkowie moi odnoszą. Czy zawiadomienia podobne nie nasuwały mu do głowy myśli, że Polacy, mając takich jak Kościuszko i Pułaski orędowników, mogą Yankiesów dla siebie pozyskać i w momencie, kiedy on ich potrzebować będzie, na poprzek mu stanąć?... Konsyderacye te ępoważniają jaknajzupełniej do przypuszczenia, że Wilhelm II, cesarz niemiecki, brata do Ameryki wyprawiając, poszedł za Ligę Narodową Polską przykładem. Poszedł on za jej przykładem dla tego właśnie, że z nią na śmierć, nie na życie, walczy. Przeciwników, nieprzyjaciół się nie lekceważy. Jeżeli w Niemczech za ubliżający cesarzowi, w karczmie przez biednego rzemieślnika wymówiony wyraz, rzemieślnika się przed kratki sądowe pociąga i surowo karze, to jakżeby miał tenże cesarz nie przedsiębrać środków, mających na celu zneutralizowanie za granicą zabiegów tego wroga, z którym w kraju taką toczy walkę zawziętą, a którym jest Liga Narodowa Polska? Wszystko się składa na usprawiedliwienie przypuszczenia tego. Liga Narodowa Polska wyprawiła jednego ze swoich wybitniejszych i na zaufanie zasługujących członków; Wilhelm II wyprawia brata rodzonego. Wysłaniec Ligi w różnych miastach wobec czyniących mu owacye a przez cesarza niemieckiego srodze prześladowanych Polaków stawał i wzywał ich do wierności dla ojczyzny przybranej i do pamiętania o starej; to samo w tym samym duchu czynił brat cesarski. Różnice zachodziły w odcieniach jeno. Wysłaniec demokracji polskiej obecność nie stawiała się wyzywająco wobec licznego w Stanach Zjednoczonych wychodztwa niemieckiego; osobistość wysłaniec cesarskiego, wyprawiona z Berlina po huczku, jaki w świecie cywilizowanym sprawiło katowanie przez Prusaków dzieci polskich, tem samem się wyzywająco względem wychodztwa polskiego postawiła. Ta przeto wizyta księżęca mocno się podejrzewać każe o zamiar zaszczerpienia w Ameryce hakatyzmu.

Jeszcze jedną z namienną mam do zaznaczenia różnicę: wysłańca Ligi prezydent unii amerykańskiej sam do siebie zaprosił; wysłaniec cesarski wprosił się do prezydenta, biorąc za pretekst zjednanie córki jego na chrzestną matkę zbudowanego w dokach amerykańskich yachtu cesarskiego. Rzecz ta białemi jest zeszyta niemi. Że zaś pretekst ów, obok zamiaru zaszczerpienia na szkodę wychodztwa polskiego hakatyizmu, maskował inne jeszcze zamiary polityczne, to rzecz pewna. Pewnem jest atoli, że dopięcie owych innych (zapewnienie sobie pomocy Stanów Zjednoczonych we względzie widoków na dalekim Wschodzie, pozyskanie poparcia ich w możliwych z Anglią, z Rosyą, z Francją zajściach, zaskarbiecie względności amerykańskiej w odniesieniu do polityki taryfowej i t. p.) zamiarów nie wymagało zgola literalnego wędrowki wysłańca Ligi naśladowania. Liga nie posiada akredytowanych ani przy rządzie Stanów Zjednoczonych, ani przy żadnym innym ambasadorów; nie może oraz z rządami, a przez nie z narodami za pośrednictwem nadzwyczajnych porozumiewać się posłów. Wystaniec jej przeto zwracać się musiał do mas — i to wyłącznie polskich — przemawiać do nich w imię patryotyzmu i w tem imieniu się z niemi porozumiewać. Cesarz Wilhelm II trzyma w Washingtonie ambasadora upelnomocnionego; może przytem w razie każdej specjalnej potrzeby wyprawić posłańca nadzwyczajnego. W mniemaniu atoli cesarza widocznie to nie wystarcza, jeżeli szle brata, ażeby w odniesieniu do mas niemieckich czynił to samo, co wysłaniec Ligi w odniesieniu do mas polskich. W czynnościach wysłańców jednego i drugiego cale ścisła zachodzi tożsamość.

Nastrecza się wszelako pytanie, tyczące się możliwych następstw patryotyzmów polskiego a niemieckiego dla Stanów Zjednoczonych. Czy patryotyzm polski może kiedy bądź, w jakimkolwiek względzie, stać się im szkodliwym? Czy nie mogą one z niego, w przypuszczalnym z Rosyą np. zatargu orężnym, ogromnych wyciągnąć korzyści? Patryotyzm zaś niemiecki na gruncie amerykańskim niebezpiecznym — i bardzo — jest dla Stanów Zjednoczonych. Nie sposób chyba, ażeby się na tem Yankiesi nie poznali. Nie tacy oni naiwni, jak się zapewne Wilhelnowi II wydaje.

To, com powyżej o wędrowce brata Wilhelma II napisał, w myśli mi w podróży z Washingtonu do Baltimore ani postało. Z Niemcami — z wyjątkiem eksperta w departamencie marynarki wojennej — się nie schodziłem. Słyszałem jeno o nich — i to nie wiele. Mówiono mi, że się z nimi przyjaźnią Zmartwychwstańce; mówiono, że źle o mnie gazety niemieckie w Milwaukee pisały; mówiono o współdziałaniu biskupów Niemców z biskupami Irlandczykami w wynarodawianiu Polaków. I tyle. Osobiście nic z nimi nie miałem. Więc i nie myślałem o nich.

Do myślenia tym razem miałem Baltimore, gdzie zagrażało mi spotkanie z księdzem Barabaszem, doktorem filozofii i teologii uniwersytetu krakowskiego, poczytywanym za filar katolicyzmu w Stanach Zjednoczonych, «lejącym» na biskupa.

«Lecieć» na urząd taki lub inny, jest to wyrażenie, z którym się po raz w życiu mojem pierwszy w Ameryce spotkałem. Oznacza ono: «starać się» o..., «mieć pretensję» do..., «ubiegać się», «być kandydatem».

Słyszałem o lejącym na biskupa księdzu i o tem, że ksiądz ów jest z powrotem z pielgrzymki, którą do grobu Chrystusa odbył, a także o tem, że w Baltimore znajduje się parafia niezależna. Z wiadomości tej ostatniej z łatwością wysnułem wniosek o panowaniu pomiędzy zależnymi a niezależnymi niezgody, wobec której tak tu, jak wszędzie, neutralne zająć winienem stanowisko. W potrzebie zajęcia stanowiska tego utwierdził mnie przewodniczący nam członek komitetu przyjęciowego oświadczeniem, że ksiądz Barabasz ofiaruje mi gościnę u siebie. Na oświadczenie to odpowiedziałem, że z wielkim żalem moim gościnę u księdza przyjąć nie mogę.

— Czemu?... — zapytał sz. przewodnik.

— Dlatego — odrzekłem — ażeby w zajęciach i sporach kościelnych nie stawać ani po tej, ani po tej stronie...

Przewodnik rację mi przyznał i powiedział, że komitet, przewijając odmowę moją, mieszkanie dla mnie zamówił w hotelu.

Na dworcu, jak zwykle, spora mnie spółziomków gromadka spotkała, a w gromadce miłej bardzo powierzchowności ksiądz —

nie ks. Barabasz jednak—i człowieczek wzrostem niewieliczki, wyglądający na kalekę, grzeczny, obleśny, który się mi jako miejscowego dziennika redaktor przedstawił.

Na dworcu znów się z zaprosinami ks. Barabasza spotkałem. I znów się wymawiać musiałem tem mocniej, że natarczywość zaprosin redaktor do wysokiego podniósł diapazonu, oświadczając, jako ks. Barabasz byłby osobiście na powitanie mnie na dworzec przybył, gdyby nie musiał pozostać przy gościu, którym jest J. E. arcybiskup z Milwaukee.

— W razie takim — podchwycilem — nie chcę ks. Barabaszowi subiekcyi czynić.

— Ależ nie!... odparł redaktor. Jego eminencya za godzinę odjeżdża...

Na tom oświadczył stanowczo, że zaszczyt mi czyniącego zaproszenia przyjąć nie mogę i nie przyjmę.

— Zatem objadek przynajmniej... Tego czcigodny pułkownik nie odmówi... Ks. Barabasz z objadem czeka... Odmowa pułkownika sprawiłaby mu przykrość niewymowną... ubliżyłaby mu *gratuitement*...

Ponieważ u księży w Chicago, Detroit, Toledo jadałem już objady, przeto nie miałem słusznego do wymówienia się od objadu u ks. Barabasza powodu. Zaprosiny te przyjąłem. Pojechaliliśmy z dworca na probostwo. Na probostwie powitał nas ksiądz, którego zewnątrzność uderzyła mnie. Człowiek młody (lat po za trzydzieści), słuszny, szczupły, o obliczu wyrazistym, mocny brunet, z długą, do pasa prawie sięgającą, czarną brodą. Broda na księdzu rzymsko-katolickim zdziwiła mnie. Pytałem ponoś kogoś o racyę, dla której się nią ks. Barabasz przyozdabia, alem owego kogoś odpowiedzi nie zapamiętał. Bodaj czy broda ta nie pozostawała w jakiejś od podróży do Jerozolimy zależności. Nie wiem. To wiem tylko, że ksiądz nią mocno «szyku zadawał» — imponującym był, z góry na ludzi z po nad brody spoglądając. Powitał mnie jak można najbardziej uprzejmie i przeprosił, że nie może mi «służyć», póki nie pożegna arcybiskupa, będącego na wyjeźdnem. Mówiąc to, pokazał mi walizkę arcybiskupa spakowaną i, odprowadziwszy nas do obszer-

nej na drugim piętrze izby, czuwanie zaś gospodarskie nad nami, wobec stojącego na środku i zastawionego szklankami, kieliszkami i butelkami stołu, powierzył jednemu z kilkunastu wychodźców, co wraz z nami z dworca przybyli.

W izbie tej wystawiony zostałem na atak formalny, celem zdobycia osoby mojej na gościa ks. Barabasza. Najbardziej dojeżdżał mi sekretarz grupy Związku Narodowego Polskiego, noszącej nazwisko moje. Napróżno mu po razy kilka tłumaczyłem, że w miejscowościach, w których się walka pomiędzy kościołami toczy, nie mogę, ponieważ nie przyjechałem do Ameryki w sprawach ani kościelnych, ani religijnych, jednemu z kościołów preferencji okazywać. Byłoby to z mojej strony mieszaniam się w rzeczy nie swoje.

— Czy rozumiesz to, obywatelu?...

— Rozumiem... — odpowiadał i po chwilce znów mnie o przyjęcie u ks. Barabasza gościny nagabywał.

Redaktor — nazwiskiem Zieliński, jeżeli się nie mylę — bawił mnie opowiadaniem o sobie i o południowych Stanów Zjednoczonych stanach, skąd przybywał. Mają być tam dla Polaków daleko miłsze, aniżeli w stanach północnych stosunki dlatego że, mimo zniesienia niewolnictwa, niewolnictwo jednak istnieje i biali wobec murzynów zachowują się tak, jak szlachta nasza wobec chłopów, mimo że poddaństwo zniesionem zostało. Otwartość, czy naiwność taka podobała mi się. Zapytałem o Polaków. « Mało ich ma południe — brzmiała odpowiedź — i Bałki, Kałki nasze, boso w Polsce chodzące, nie podpisują się tam, jak na północy, w trzewikach, pończochach, w sukniach szeleszczących i kapelusikach modnych. »

— Tego tam nie ma... — rzekł z przekonaniem i żalił się, iż go z południa wyciągnięto do dziennika, który kto wie, czy się na co przyda.

Dziennik'ów, zdaje mi się, miałem w ręku, alem go nie zachował w pamięci.

Rozmowa z redaktorem, dla naiwności jego i dla zuchowatości szlacheckiej, okazywanej przez człowieka kalectwem połamanego,

bardzo mnie zajmowała. Przerwało ją wejście gospodarza. Uwaga wszystkich obecnych na niego się zwróciła. Ktoś go (może ja) o świeżo odbytą do Jerozolimy wędrówkę zaczepił; on na to odpowiedział, że w podróży największą, jaka go spotkała, przyjemnością, było spotkanie się w Krakowie z hr. Ostrowskim.

— Rodzonym Krystyna synowcem, tego co majątek swój na stypendya zapisał... — rzekł, ku mnie głowę skinąwszy. To mój kolega uniwersytecki... Przyjechał do Krakowa umyślnie dla widzenia się ze mną...

— To wielka przyjemność z kolegą się spotkać... — ktoś się odezwał.

— O wielka!... z kolegą zwłaszcza i z przyjacielem... Byliśmy ze sobą w przyjaźni ściślejszej... niby dwaj bracia...

O przyjaźni tej ksiądz ze znaczącym mówił przyciskiem.

Na wezwanie jego ja z synem zeszedliśmy o piętro niżej do salonu, umebłowanego i przyozdobionego z wyszukaniem, o smaku estetycznym świadczącym. Z salonu wskazał nam przez szeroko otwarte drzwi pokój obok.

— Tam arcybiskup nocował... — rzekł. Sypialnia ta przeznaczoną jest dla sz. pułkownika i jego syna...

— Ależ... — zacząłem.

— Pomówimy o tem... — przerwał i dodał, że wyjść musi, ale za chwilę wróci, — a ma z nami do mówienia dużo.

Chwilka się nieco przeciągnęła. Przez ten czas przeglądaliśmy złożone na stole albumy i karty wizytowe. Na wierzchu w oczy się rzucały zaproszenia rozmaitych naukowych, artystycznych i literackich w Krakowie korporacji oraz bilety osobistości znanych. W wystawie tej poznać się dawała swego rodzaju kokieteryja, śmiesznie cokolwieczek wyglądająca.

Ksiądz na siebie z powrotem długo czekać nie kazał, siedzieć nas prosił, pomiędzy nami usiadł i do mnie się niezwłocznie z zapytaniem zwrócił, skąd moja względem niego niełaska pochodzi. Odpowiedziałem to samo, co przewodnikowi na drodze z Washingtonu z naciskiem na to, że nie chcę, bo prawa z punktu zasadniczego nie mam, wtrącać się do nieporozumień pomiędzy kościołami, wyznaniem.

— Pułkownik o niezależnych mówi?... — zapytał.

— Tak... — odrzekłem.

— Pomiędzy nami a nimi nieporozumienia nie ma żadnego...
My ich znać nie chcemy!... Są to odstępcy od wiary, zdrajcy
sprawy narodowej... nie Polacy...

— Sąd o ich od wiary odstępstwie nie do mnie należy... —
odparłem.

— Ale do pułkownika chyba wiedzieć należy, że katolicyzm
znamionuje polskość... Kto nie jest katolikiem, nie jest Polakiem...

— Znam Polaków katolików, protestantów, ewangelików, mu-
żulmanów, izraelitów, prawosławnych nawet...

— My tu na wychodźstwie na sprawę polską zapatrujemy się
inaczej... Pozwoli pułkownik, że mu jedną uczynię uwagę...

— Proszę... — odrzekłem.

— Pułkownik przyjechał do nas w sprawie bardzo, przynaję
to, ważnej: w sprawie Skarbu Narodowego... W sprawie tej
przeto, ażeby ją przeprowadzić pomyślnie, zastosować się powi-
nienes do nas, do ogromnej wychodźstwa polskiego większości...

— Zwracam się do wszystkich; bez różnicy... — wtrąciłem.

— I do tych, których my, większość ogromna odtrącamy, jako
nie Polaków?... Przez to odtrącasz nas Polaków i krzywdzisz
Skarb Narodowy, pozbawiając go milionów dla niedostrzegalnej
mniejszości... Nas, trzymających ze Stolicą apostolską są, pułko-
wniku, miliony; ich zaś, odstępców... mniejszość mizerna...
setki... może tysięcy parę się zbierze... Co z nich dla Skarbu
przyjdzie?...

— Gdyby w sprawie polskiej tylko o pieniądze chodziło, nie
o co innego, tylko o pieniądze, miałby może ksiądz dobrodziej
racyę... — odpowiedziałem. Ale do sprawy tej wchodzi zasady,
od których my, co o nią walczymy, odstępować nie możemy,
stanowią one bowiem jej istotę, jej wartość wszechludzką, jej przy-
datność międzynarodową wobec tej głębokiej demoralizacji poli-
tycznej, jaka skutkiem rozbiorów Polski w stosunkach politycznych
zapanowała... Nie mamy przekonania naszych na sprzedaż...

— Czyż nie należy przekonania przymierzać do tradycji... do

tradycji, mówiących nam o bojach przodków naszych w obronie wiary rzymsko-katolickiej, z pieśnią Boga-Rodzica na ustach?

— O! księżę dobrodzieju... W tradycjach naszych są walki z pieśnią Boga-Rodzica na ustach, są i Jezuici...

— Cóż wam ci biedni Jezuici złego zrobili?...

ks. Barabasz.

— Chociażby nic więcej i nic innego tylko wojny kozackie... — odparłem.

Na tem się ta zajmująca, ciekawa i charakterystyczna pomiędzy mną a jednym z księży, mających głowy olejem świętym dobrze napełnione, zakończyła. Ksiądz uznał, że ponieważ on od swoich, ja od swoich zasad nie odstępimy, dalszy przeto nasz spór byłby bez celu. To samo uznałem i ja. Wstałem i pożegnałem sz. gospodarza. Ksiądz nas jeszcze do drzwi odprowadził i uprzejmie nam drogi pomyślniej i powodzenia w zamiarach życzył.

Rzecz godna zanotowania. Członkowie komitetu tak byli pewni, że ks. Barabasz, mimo, że doktor filozofii i teologii, z drogi przekonania mnie nie sprowadzi, że zamówili pojazd, który przed probostwem czekał i nas do hotelu zawiózł, gdzieśmy walizy i pakunki nasze złożone znaleźli.

Czy Skarb Narodowy na tem co stracił, zem się ks. Barabaszowi nawrócić nie dał? Nie myślę, ani przypuszczam. Dla Polaków w Stanach Zjednoczonych kościół katolicki w pierwocinach swoich oparł się na skale Piotrowej, wyrosłej z gruntu patryotyzmowi polskiemu zasadniczo nieprzyjaznego. Patryotyzm wszczepił się i szerzy wśród Polaków nie dla tego, że są katolikami, ale mimo, że są katolikami. W celach, o których w rozdziałach poprzednich kilkakrotnie wspominałem, biskupi irlandzcy z biskupami Niemcami sprzymierzyli się do wynarodowienia Polaków. Od biskupów zależnym jest cały kler niższy, wśród którego księża patryoci znajdują się wprawdzie—w ilości atoli nie takiej, jakby sobie życzyć należało. Gdy lat temu dwadzieścia kilka idea Skarbu Narodowego do Stanów Zjednoczonych przez ś. p. Agatona Gillera przerzuconą została, kościół powitał ją, jak się wita psy w kręgielni, upatrując w niej zamach na majestat swój i na... dochody. Obecnie nie

minęło to i nie zmieniło się—przeciwnie : wrogie usposobienie dla Skarbu Narodowego w katolickim w Ameryce kościele potęgowa-
nem jest przez napór, wynarodowienie Polaków na celu mający.
O przyszłości z tego miary brać nie można. Łatwość z jaką się
kościół akomoduje do warunków wręcz mu nieprzyjaznych w pra-
wosławnej np. Rosyi, w protestanckich Niemczech, w muzul-
mańskiej Turcyi, wnosić pozwala, że niełaska jego złagodnieje,
a może nawet uznaniem sprawę polską zaszczyci, gdy po groszu
składany Skarb Narodowy dojdzie wysokości, nakazującej powa-
żanie. Chodzi o to, ażeby się trudnościami, przeszkodami i prześlą-
dowaniami nie zrażając, w raz powziętym i za pożyteczny uznanym
kierunku wytrwale podążać.

Skarb przeto najmniejszej na mojem z księdzem doktorem obej-
ściu się nie poniósł straty. Straciliśmy na razie my dwaj — syn mój
i ja : ominął nas objad, na któryśmy byli proszeni. O głodzie spęd-
ziliśmy dnia resztę—posililiśmy się wieczorem dopiero.

Nazajutrz oczekiwaliśmy, że jak wszędzie indziej, tak w Balti-
more, około dziesiątej ktoś z komitetu nas odwiedzi. Nadeszła
jednak dziesiąta—nikogo ; jedenasta—nikogo ; dwunasta—nikogo.
Przybity na drzwiach druk głosił, że objady w niedzielę (była to
niedziela) podawane są punkt o dwunastej. Zamierzaliśmy więc do
objadu zasiąść z postanowieniem opuszczenia niegościnnego miasta
pierwszym, idącym w kierunku Filadelfii, pociągiem popołudnio-
wym. Zamiar ów powzięliśmy w przypuszczeniu, że ksiądz, który,
zaprosiwszy nas na objad, bez objadu od siebie puścił, wyperswa-
dował zapewne parafianom swoim, że nie zasługujemy na co
innego, tylko, w najlepszym razie, na zapomnienie. Omyliliśmy się
jednak. Nimeśmy do spożywania darów bożych przystąpili, na-
deszli obywatele komitetowi i opowiedzieli nam, czemu w dniach
wczorajszym po południu i dzisiejszym przed południem o nas
pozornie zapomnieli.

W dniu wczorajszym ksiądz ich u siebie za długo zatrzymał,
tłumacząc im, czem jest i na co się obraca Skarb Narodowy.
O instytucyi tej wiadomości dokładnej i pewnej udzielił mu jakoby
hr. Ostrowski, rodzony Krystyna Ostrowskiego synowiec. Owóż

Skarb Narodowy, równie jak i zapis ś. p. Krystyna idzie według niego na stypendya dla młodzieży, ale dla młodzieży takiej tylko, co podpisuje deklaracyę, że się *katolicyzmu wyrzeka*.

— Co?! — zawołałem zdumiony.

Ciekawa ta bądź co bądź, z ust kapłańskich wychodząca, wiadomość przeniosła się zapewne z probostwa do któregoś z bardziej przez Polaków uczęszczanych salunów i stać się musiała przedmiotem omówień i narad. Spowodowało to spędzenie przezemnie i przez syna mego wieczoru wczorajszego we dwóch. W dniu zaś niedzielnym wierni coś się z ambony usłyszeć spodziewali. I usłyszeli—ale nic, słówka jednego, ani o osobie mojej, ani o Skarbie Narodowym, ani o stypendyach, ani o niczem podobnem. Ksiądz kazał wedle przepisanej na niedzielę tę Ewangelii. Po kazaniu jeno oznajmił parafianom, że wygłosi naukę po południu o godzinie (godzinę wymienił) przeznaczonej na powitanie mnie, w hali (halę nazwał) wybranej na uczczenie osoby mojej przez wychodztwo polskie w Baltimore.

Ponieważ hala owa od kościoła zależała, zabrakło przeto hali na obchód przyjęciowy. Trzeba było starać się o inną. Wypadek podobny miał miejsce w Cleveland,—tam atoli w sobotę wiedziano, że ksiądz halę Czechom odstąpił. Tu zaś ksiądz Barabasz sprawił niespodziankę, której zarządzenie było — dzięki świętowanej przez Amerykanów niedzieli—trudnem. Zaradzono jednak: wynaleziono dwie hale; zarazem inny rzymsko-katolicki ksiądz, celem zreperowania wyrządzonej mnie i synowi memu z objadem przykrości, na objad nas zaprosił. Ten pobytu mego w Baltimore dzień dobrze nam upłynął.

Obchód przyjęciowy na dwa rozpadł się warsztaty, w dwóch halach, w których, oprócz mówców komitetowych, przemawiał po angielsku pułk. J. Smoliński, który z panią swoją, w towarzystwie hołdownika modernizmu w literaturze, młodego Polaka z siostrą, z Washingtonu przybył. Ja przemawiać musiałem dwa razy i obydwą razy, objaśniając istotę i znaczenie Skarbu Narodowego, mówiłem o funduszu stypendyalnym, udzielanym młodzieży polskiej, bez różnicy pici i wyznania religijnego. Mówiłem i o de-

klaracyach, składanych nie na rzekanie się katolicyzmu, ale na *pracowanie dla Polski*. Ostrzegałem przeciwko oszczerstwom i fałszom, szerzonym przez przeciwników pracy patriotycznej w duchu obrony czynnej.

Hr. Ostrowski, synowiec ś. p. Krystyna, który się hrabią nie tytułował, przyjeżdżał, po śmierci stryja, do Rapperswylu w zamiarze wydzielenia z zapisu nieboszczyka pamiątek familijnych, mianowicie portretów. Przy okazji tej zaproponował Radzie muzealnej zamieszczenie w ustawie stypendyalnej warunku udzielania stypendyów wyłącznie katolikom. Propozycji tej Rada nie przyjęła. Na to zapewne przyjaciel i kolega skarżył się ks. Barabaszowi i ksiądz zapewne, wysłuchawszy skargi w roztargnieniu, przerobił ją w pamięci na sprzęgnięcie funduszu stypendyalnego ze Skarbem Narodowym i wypośrodkował stąd potworne istoty rzeczy przekręcenie. Nie przypuszczam bowiem, ażeby się który z tych dwóch panów świadomie kłamstwa dopuścił. Podoobny *lapsus memoriae* zdarza się często ludziom, mającym zwyczaj dostrajania wspomnień do wymóg lub potrzeb bieżących, niekiedy urojonych.

Wieczór, w dniu dwóch obchodów przyjęciowych, spędziłem w licznych towarzystwie u proboszcza parafii niezależnych. W wieczorze udział wzięli niezależni i, bodaj czy nie w większej liczbie, zależni. Czas nam miło w jaknajlepszej upłynął harmonii — co wskazuje, że na polu wyznaniowym pomiędzy Polakami zgoda jest możliwą. Zachodzi pytanie: kto zgody nie dopuszcza? — kto ją ma i dla czego?...

Wspominając o Baltimore, obronić się nie mogę uczuciu żalu do uczonego ks. Barabasza. Dzięki wywołaniu przezeń zamieszania, ominęła mnie sposobność obejrzenia miasta, słynącego nie tylko z handlu tytoniem (Maryland), mąką i konserwami, ale pięknnością budowli i pomników. Amerykanie nazywają je *Monumental-City*. Bez przewodnika nie mogłem się hazardować, dostojny bowiem duszpasterz tak na razie głowy wszystkim wieścią o rzekaniu się katolicyzmu dla stypendyów zaprzętnął, że nikt mi się na przewodnika nie zaoferował. Przewodnik zgłosił się w dniu wyjazdu

meo, ale z Wilmington, wysłany przez zawiązany tam dla przyjmowania mnie i goszczenia komitet. Baltimore więc widziałem o tyle jeno, o ilem przez nie przejechał. Zamieszkali tam wychodźcy w znacznej nas na kolej odprowadzili licznie i serdecznie żegnali, przepaszając za... «księdza doktora». Po wyjeździe moim na czarno podobno osmarowany zostałem w dzienniku, redagowanym przez męża, który Baški nasze i Kaški woli na bosaka, anizeli w trzewikach i pończochach.

XXIV.

Czytelnicy opowiadań moich myślą sobie zapewne, że albo ja się chwale, albo w rzeczy samej w wędrówce drogi mi się kwiatami uścielały. Ani jedno, ani drugie. Uprzednio wyjaśniłem, że owacyi nie brałem na mój rachunek osobisty, jeżeli więc chwaliłem co i kogo, to nic, co by mego dotyczyło ja. Moje ja pełniło funkcję gońca, obnoszącego do podpisu deklarację z nagłówkiem: *Patryotyzm polski*. Brzmienie deklaracji tej przypominało sens jednej strofy z wiersza Henryka Jabłońskiego p. t. «Zazdrosna kochanka»:

« O! nasza Ojczyzna zazdrosna kochanka ;
Szalone z miłości ku niej serce rwie się ;
Ona w przepaść rzuca białe kwiaty z wianka :
« Kto mnie kocha — mówi — ten mi kwiat przyniesie » . »

Wobec trudności, przeszkód, warunków, prześladowań, z jakimi udotykalniony w Skarbie Narodowym patryotyzm polski ma do czynienia, podpisywanie się na deklaracji, brzmiącej na podobieństwo strofy powyższej, wymagało pewnej, nie małej dozy odwagi cywilnej. Jakże się tu dziwić zgrozie, przejmującej ludzi na myśl, że za rzucenie na Skarb Narodowy grosika spadnie na nich surowa nie tylko w tem, ale i w przyszłym życiu, odpowiedzialność!...

— Tam... w górze... Ojczyzna wasza!... dla niej życie, na nią ofiary nieście!...

Iluz to, inteligentów nawet, ta i tej podobna pogróżka, odpowiednią trójlojalizmową perswazyą zaprawiona, od rzucania na sprawę polską grosików powstrzymuje!

Sprawa polska w osobie mojej po kwiatach w Ameryce kroczyła — dla tego atoli, że pod nogi jej kwiaty najodważniejsi jeno sypali. A i z nimi się jej na cierń nadeptać zdarzało. Nie przypominam sobie gdzie, gdy prezydujący obchód wobec pełnej sali otworzył, odezwał się w tłumie głos, protestujący przeciwko obecności mojej, mającej na celu, według niego: « wyłudzanie pieniędzy na rozpustę ». Ledwie mówić zaczął, wnet umilkł. Nie widziałem, kto i jak go do milczenia zmusił. Widocznem było, że wyskok ów umyślnie przez zwolenników ofiar na « ojczyznę tam » został przysposobiony. W Wilmington powtórnie spotkałem się z protestem, ale milczącym.

Nie wymieniam licznych protestów pokątnych po saloonach, po mieszkaniach prywatnych, publicznych, na zwoływanych *ad hoc* zebraniach, z wysokości kazalnicy, o których mnie słuch nawet nie dochodził, ani rozpraw, poważnie i humorystycznie, na wzór *Kraju petersburskiego*, *Słowa warszawskiego*, *Czasu krakowskiego*, *Dziennika Poznańskiego* i innych tego kalibru organów opinii publicznej, zwalczających działalność w kierunku polityki « obrony czynnej », króre mi od czasu do czasu — rzadko jednak — w ręce wpadały. Prowadzonej przezemnie akcji odpowiadała reakcja, posługująca się sposobami, do których ja — z racji przekonania moich — przystępu nie miałem. Sposoby te, działające za pomocą olśniewania na masy, wzbronione mi były.

— « Nas miliony... was garstka!... — cisnął mi w oczy kapłan wymowny, « lecący » na biskupa.

Wobec tego, co faktycznie prawdą było, a co Bismark w sławną cynizmem: « siła nad prawem », formułę ujął — cóż mi pozostawało?... W « wymowę cyfr i faktów » uwierzyć, przed « koniecznością dziejową » czoło uchylić i na « dobrze zasłużonym spoczynku » gdzieś osiąść?... Gdyby tak byli czynili pierwsi na

drodze chrześcijańskiej działać, którzy przeciwko sobie mieli cyfry, mieli fakta, mieli siłę, których wieszano, krzyżowano, w smołę i oliwie gotowano, w żywe pochodnie zmieniano, chrześcijaństwo by się było nigdy nie przyjął i nie ostał. Tryumfu chrześcijaństwa wyrazem jest tryumf garstki nad milionami — tryumf mniejszości nad ogromną, potężną większością.

Powody, co tryumf ów sprowadziły, ściśle analogicznie odnoszą się do sprawy polskiej, którą nasi na polu walki o niepodległość poprzednicy nie bez słuszności ze sprawą chrześcijańską na równi stawiali. Racja, przyrównanie to usprawiedliwiająca, tkwiła w tem, że tak jedną, jak drugą wywołało moralne w panujących i rządzących sferach rozprężenie — rozprężenie obyczajowo-społeczno-polityczne w czasach nowożytnych. W wiekach przedchrystusowych nie targano się na narodowości: podbijano państwa, deptano prawa człowiecze (niewolnictwo); narodami się nie troszczono — pozostawiano je samym sobie: istniały one faktycznie, nie posiadając uznania prawnego i nie poczuwając się do praw bytowania odrębnego. To ostatnie (poczucie się do praw bytowania) jest następstwem rozebrania pracy dla oświaty przez warsztaty językowe — rozebranie jej przez języki, pozostające w wiekach średnich pod zarzutem wulgaryzmu wobec języka łacińskiego, uznanego za powszechny. Wytwarzać się poczęły piśmiennictwa narodowe, wywołujące poczucie praw do odrębności w bytowaniu, do samorządu, do niezależności, do uojczyźniania się. Prawo miłości, wprowadzone przez chrześcijaństwo zasadniczo do ustrojów społecznych, regulując stosunek bliźni człowieka do człowieka, poczucie narodowe przeniosło na ustroje nie wypadkowością podbojów, monarszych spadkobierstw, politycznych facyend i t. p. klejone, lecz wyszłe z łona natury, spoistsze, niż kreacje sztuczne, musowe, tem samem przeto poważniejsze i ważniejsze o całą różnicę pomiędzy człowiekiem pojedynczym a zbiorowym. Na miejscu ludzi bliźnich stanęły narody bliźnie — miejsce krzywdzonych klas zajęły krzywdzone ludzkie komplekсы organiczne. Dzieło epoki chrystusowej wyszło w nowej, rozszerzonej i uzupełnionej edycji, w której rozbiory Polski odegrały rolę główną, moment

dziejowy charakteryzującą. Dokonanie przez te same moce, co prawdę i sprawiedliwość w epoce pierwocin chrystyanizmu deptały, gwałtu na Polsce; dokonanie gwałtu tego w połączeniu z prześladowaniem polskiej kultury, polskiego ducha, polskiej idei — z rozpinaniem narodu polskiego na trzech krzyżach (prawosławnym, protestanckim i katolickim), mieniających się chrystusowemi; dokonanie gwałtu takiego wywołało, dzięki mistycznemu nastrojowi politycznej emigracji polskiej z r. 1831, wśród niej przyrównanie Polski do Chrystusa. Polskę:

« Na trzy wielkie krzyże wbito,
I męczeństwem czterech zgonów
Narodową pierś przeszzyto. »

Nastrój mistyczny usprawiedliwia to przez poetę wyrzeczone przyrównanie; usprawiedliwia oraz dochodzenie tą drogą do wiary w zestępowanie na ziemię przewodników-nauczycieli-zbawców (messyanizm), urabiające osobliwego rodzaju rezygnację nerwową.

Umysły przez mistycyzm nieopanowane widzą w tem odwieczną pomiędzy pierwiastkami złego a dobrego, ciemnością a światłem, niewolą a swobodą, stanem posiadania a dążnością ku wyzwoleniu walkę. Widzą to i sprawę sobie zdają z tego, że stan posiadania, zwłaszcza przemocą sprowadzony, będąc nadużyciem sam przez się, potęgowaniem jeno nadużyć utrzymywać się daje. Wymownie a przekonująco świadczą o tem: wyzyskiwanie pracowników przez kapitalistów, tępienie narodu polskiego przez zaborców Polski; jedno—stary w nowej formie ucisk społeczny; drugie — nowy, na korzyść cesaryzmów, sposób tłumienia swobody ducha, niebezpieczniejszej dla nich w narodach, aniżeli bądź to w warstwach, bądź w klasach społecznych, bądź w osobistościach pojedynczych.

Sprawa polska jest sprawą polityczną, związaną nierozzerwalnie z etyką międzynarodową, z etyką tą samą, dla której chrystyanizm wkroczył w szranki dziejowe, ale spotęgowaną o stopień przewagi indywidualizmu zbiorowego nad indywidualizmem pojedynczym

— bliźnich narodów nad bliźnimi ludźmi. Stąd wielkie, ogromne jej, wobec obecnych polityczno-dyplomatycznych powikłań znaczenie—znaczenie, którego nam, na polu sprawy polskiej działaczom, sprzedawać nie wolno za miskę soczewicy, przyprawionej na sposób moskiewski, pruski, czy austriacki, czy też prawosławny, protestancki lub katolicki. Katolicyzm zlewa się z patryotyzmem polskim w zaborach moskiewskim i pruskim z racyi prześladowania, któremu wraz z patryotyzmem podlega; w zaborze austriackim zaś zlewa się z powodu, że jest przeciwko interesom Polski wyzyskiwany. W Ameryce pełni on funkcję taką prawie, jak w Austrii, służąc sprawie polskiej westchnieniami, czynem zaś dając się wyzyskiwać na rzecz kościoła katolickiego w Stanach Zjednoczonych, różniąc się od wyzyskiwania austriackiego tem, że rząd w niem najmniejszego nie bierze udziału. Na gruncie przeto Stanów Zjednoczonych przybywała dla mnie racya jedna więcej nie mieszania *sacra cum profanis* — zachowywania neutralności wobec wyznań, różniących osadników polskich w Ameryce. Oportunizm w stosunkach tych nie był na miejscu swoim w takim nawet razie, gdyby ks. Barabasz zobowiązywał się na Skarb Narodowy dawać rok rocznie po jakich 20 dolarów.

Nie! — Skarbu Narodowego, jak sprawy polskiej, najmniejsza szpecić nie powinna plamka. Miliony przyjdą w swoim czasie. Trzeba umieć czekać na nie, ale — nie z rękami założonemi. «Pieczone gołąbki nie spadają same do gąbki».

Niepodległość Polski nie samych tylko obchodzi Polaków: ma ona znaczenie wszechludzkie, gdy bowiem czynem dokonany się stanie, będzie zadatkiem i rękojmą moralności politycznej w stosunkach międzynarodowych. O tem powinniśmy wiedzieć i... nie zapominać.

Tak rozmyślając z Baltimore do Wilmington i następnie z Wilmington do Filadelfii, pocieszałem się w niełasce, jaką ściągnąłem na siebie ze strony ks. Barabasza. Niełaska podobna po raz pierwszy mnie w wędrówce mojej spotkała. Spotkała tak wyraźnie, — niewyraźnie bowiem czułem ją w Chicago, w Cleveland i dała mi się uczuć w Wilmington. W Baltimore nie wyszedłem na niej źle—

owszem: dwa przyjęcia uprzejme i serdeczne wynagrodziły mi sownie uchylenie się od tego, jakie by mnie było spotkało, gdybym się był dopuścił bezprawia, odsądzając niezależnych od polskości. Lecz nieznanemi mi drogami przeniosła się do Wilmington i tu mnie dojechała.

Z Wilmington, jak z Baltimore, dostałem zaproszenie — z Baltimore od grupy Związku Narodowego Polskiego, nazwisko moje noszącej, z Wilmington od gniazda Sokoła, również mojem zaznaczonego nazwiskiem. Jak tu, tak tu, na przyjęcie moje zawiązał się komitet, do którego weszli delegaci grup i sekcji różnych, takich nawet towarzystw, co ani do Związku Narodowego Polskiego, ani do Sokolstwa nie należały. Tak złożony komitet spotkał mnie [na dworcu kolejowym, zawiózł do hotelu i zasiadł wraz ze mną do obiadu zamówionego. Przy stole poznałem dwóch członków komitetu przyjęciowego z Filadelfii, przystanych dla towarzyszenia mi. Otoczyła mnie uprzejmość serdeczna, w niczem nie ustępująca tej uprzejmości, z jaką spotykałem się wszędzie poprzednio. Szło wszystko jaknajlepiej. Wieczorem, w hali, zeszło się ludu pełno — po brzegi, jak się to mówi. Słuchano przemów i oklaskiwano je, równie jak popisy wokalne i instrumentalne. Przemówiłem i ja — i mnie oklasków nie poszczędzono, wyrażając przez to uprzejmość, polegającą na najpierwszym z warunków uprzejmości, zawartym w staropolskiem przysłowiu: «Czapkę, papkę i solą, ludzie ludzi niewolą». Co do czapki (powitania, pozdrowienia) — tę wypowiedziały oklaski; co do papki — tej zadłość uczynił komitet; solą miała być składka na Skarb Narodowy, zarządzana na każdym ze zgromadzeń na moje przyjęcie publiczne zwolywanych. Zbieranie składki następowało zwykle po przemówieniu mojem. Gdym powiedział, co do powiedzenia miałem, przewodniczący wywoływał z pośród obecnych słuchaczek kilka i polecał im zebranie na Skarb składki. Wezwane z kapeluszymi męskimi w rękach obchodziły szeregi i rezultat kolekty składały na stole prezydyalnym. Tak się robiło wszędzie, — tak się zrobiło w Wilmington; tu jednak nastąpiło coś takiego, czego w innych miejscach nie widziałem: jak skoro kolektancki w obchód ruszyły,

w tej chwili hala wypróżniać się poczęła. Wypróżniała się tłumnie w tylnych szeregach. Wyglądało to na rzecz z góry ułożoną. Na widok tego *exodum* przewodniczący przemówił, upominając, jako składka jest rzeczą dobrowolną; wychodzenie zaś ubliża gościowi. Po przemówieniu przewodniczego, zabrał głos jeden z wysłańców z Filadelfii, który gorzkich Wilmingczanom nie poszczędził wyrzutów. Nic to nie pomogło. Obszerna sala do połowy się prawie wypróżniła. Podobno manifestacyi tej następstwo w ten wyraziło się sposób, że ci, co z hali nie wyszli, hojnie się na Skarb Narodowy złożyli. Składki te przez moje nie przechodziły ręce.

Z tego, co wyżej, pokazuje się, że w wędrówce mojej droga nie słała się całkowicie kwiatami. Zdarzały się i przykrości, któreby zapewne spotykały mnie częściej i na większe rozmiary, gdybym objechał był wszystkie osady polskie. Manifestacya czy też demonstracya wilmingtońska, odbyła się właściwie nie przeciwko osobie sprawy, ale przeciwko Skarbowi Narodowemu, względnie przeciwko sprawie polskiej; jednak było to tem gorzej, oznaczało bowiem stawianie osobistości wyżej, niż sprawy. Nie po tom się do Ameryki wybrał. Członkowie komitetu inaczej rzecz tę zrozumieli. Zdaniem ich postępek wyjścia z hali w momencie składkowania na Skarb odnosił się do mnie — ubliżył mi. Więc mnie przeprasza — przeprasza, usprawiedliwiając tłum, co się ubliżenia mi dopuścił, tem, że uczynił on to nie z siebie.

— « Namówił ich X... »

Nie wymieniam osobistości, bom nie zapamiętał nazwiska, — nie przypominam sobie nawet, czy posądzany o namowę należał do ludzi świeckich, czy też był to mąż, uprawniony do odziewania się w sukienkę kapłańską.

Zdarzenie to mocno mnie zasmuciło, wykazując doniosłość nie-uświadomienia w rzeczach tak, jak sprawa narodowa, ważnych. Uświadomienie nauczyłoby stosowania do sprawy głównej, ogólnej spraw pomocniczych, szczegółowych i odróżniania sprawy narodowej od spraw klasowych lub stanowych. Nauczaniu takiemu przeszkadza szczególnie niesumienność, wynikająca z klasowych czy stanowych, poglądów i widoków.

Przy smutku, jaki mi zdarzenie to sprawiło, dotykało mnie zmartwienie szczerze, okazywane przez szanownych gospodarzy, członków komitetu przyjęciowego. Nieustawali w przeproszaniu. Perswadowałem im, że najmniejszej nie żywię do nich pretensyi, że—przeciwnie—uprzejmość ich we wdzięcznej zachowam pamięci. Jakoż, w rzeczy samej, w każdym ich — zwłaszcza sz. prezesa — słowie, w każdym spojrzeniu, odczuwałem serce, protestujące przeciwko wyrządzonej mi przykrości. Protest najdosadniej wyraził się przy pożegnaniu, towarzyszyły mu bowiem odgrazania się, przeciwko którym ja znów zaprotestować uważałem za rzecz wskazaną. Sens protestowania mego tkwił w Chrystusowem: «Nie przyszedłem rozwiązać, ale wypełnić»; — wędrówka bowiem moja miała na celu nie burzenie, ale budowanie: budowanie moralnych i materyalnych podwalin wyzwolenia Polski. Cel ten zabraniał mi wtrącania się do międzywyznaniowych sporów i nieporozumień, jakoteż brania udziału w agitacyi klasowej. Z tą ostatnią nie spotykałem się; tamte atoli w drogę mi to tu, to ówdzie wchodziły.

Następny po Wilmington etap wypadła dla mnie w Filadelfii. Filadelfia należy do tych w Stanach Zjednoczonych miast, których nazwa w świecie bardziej jest niż innych spopularyzowaną. O Chicago, Toledo, Pittsburgu i o wielu, wielu dziś głośnych grodach nie słyszano jeszcze, kiedy Filadelfia była już znaną, jako pierwsza unii północno-amerykańskiej stolica. Zaszczyt ten nie ciągle i nie długo jej przystugiwał. W roku 1776 odbył się w niej pierwszy kongres związkowy; w roku następnym zdobyli ją Anglicy; przechodziła później z rąk do rąk; aż przyznanie niepodległości (1783) Stanom Zjednoczonym traktatem w Paryżu pozostawiło ją w spokoju. W r. 1800 dostojność stołeczna z Filadelfii do Washingtonu przeniesioną została. Bardziej przeto nominalnie, niż faktycznie pełniła ona funkcję stolicy w ciągu trwania wojny o niepodległość, później zaś prawnie już i faktycznie. przez lat siedemnaście tylko.

Odjęcie zaszczytu stołeczności pozbawiło Filadelfię splendoru

budowlanego zwłaszcza. W dzielnicy miejskiej zabudowaną jest na wzór i podobieństwo wszystkich na świecie miast wielkich w stylu, który nazwać można europejskim. Ulice szerokie, wygodne, chodniki również. Przedmieścia ciągną się w nieskończoność, obsadzone willami i dworkami. Willi właścicielami są Amerykanie ; po dworkach mieszkają przybysze różnonarodowi, między nimi, w ilości mniej więcej 40.000, Polacy. Polaków nigdzie dokładnie obliczyć nie można.

Na dworcu, powitany uprzejmie przez komitet, którego dwóch członków poznałem w Wilmingtonie, ulokowany zostałem z synem u państwa Goreckich, mieszkających daleko na przedmieściu w domku oddzielnym. Gospodarstwo składało się z dwóch par małżeńskich : jednej — rodzicielskiej, ludzi wiekowych, drugiej — młodych. W parze wiekowej prym dźwierzyl były huzar pruski, człek o minie marsowej, na którego patrząc żal zbierał, że nie jest byłym ułanem polskim — żal tem większy, że losy nie dały mu służyć Polsce w Polsce. Okazyja służenia Ojczyźnie znalazła się dla niego za Oceanem, nie w szeregach wojskowych, ale w fachu kuśnierskim. Pracuje i dla siebie i dla Polski, wszedłszy na drogę, wskazaną mu przez ś. p. Juliana Lipińskiego, jednego z założycieli Związku Narodowego Polskiego. Do wprowadzenia go na drogę tę przyczyniło się i to zapewne, że siostrzenicę J. Lipińskiego, człowieka pięknej duszy i wielkiego serca, pojmującego zadanie Polaka na wychodźstwie, za małżonkę pojął. To też pamięć męża tego w rodzinie państwa Goreckich w ten czczoną jest sposób, że ojciec pracuje w fachu kuśnierskim, zięć w kowalskim, syn w szkołach na adwokata się sposobi i muzykę uprawia, wszyscy zaś razem, w Związku Narodowym Polskim, sprawą polską się interesując i na jej rzecz do Skarbu Narodowego datkując, Ojczyźnie służą.

W żadnym z miast, w których poprzednio w mojej w Stanach Zjednoczonych wędrówce gościłem, tylem o wychodźstwie polkiem w Ameryce się nie nasłuchiwał, co w Filadelfii. Pochodziło to stąd, że w czasie mego u państwa Goreckich pobytu domek ich nie wyróżniał się z gości. Gość gościa wypędzał, a każdy przynosił jakiś szczegół, tyżący się życia Polonii na obczyźnie. Przed oczyma

przesuwali się mi przybysze ze wszystkich działów Polski, z których każdy prawie na gruncie amerykańskim znalazł się w charakterze rozbitka, nie wiedzącego co począć ze sobą. Każdemu życie ciężko się zrazu układało; lecz trudności początkowych nie przewycięzał ten jeno, co bądź do pracy czuł wstręt, bądź w fachach przebierał. Z fachami zdarza się rozmacie. Wychodźców, co w Polsce roli się trzymali, większość ogromna poszła do fabryk lub kopalni. Z rzemieślników niejeden fach zmienić musiał. Iluż to szewców i krawców stolarki lub ślusarki w Ameryce się jęło! Poznałem szlachcica jednego, co na Litwie głodem z rodziną na urządzie jakimś w sądownictwie przymierał i znosić musiał brutalność zwierzchników Moskali, w Ameryce w fabryce sukna dostał zajęcie, zapewniające mu byt dostatni i szacunek ludzki.

Opowiadano mi o nieprzyjemnościach, na jakie się przybysze narażają, zanim nabiorą nawyku do stosowania się do praw i porządków miejscowych zwłaszcza we względzie stosunków pomiędzy mężczyzną a kobietą. W Polsce, we wszystkich trzech zaborach, przewaga znajduje się po stronie męskiej — przewaga łagodzona zwyczajem w sferach towarzyskich wyższych, prawie nieograniczona w niższych. Bijanie, *vulgo* «pranie» bab przez mężów uważa się za rzecz zwyczajną. Mężowie nie przypuszczają, ażeby im nie wolno być miało kobiet ich wygrzmocić od czasu do czasu. Z obrażeniem tem przybywają do Ameryki i doświadczenie — niekiedy gorzkie — naucza ich, że wolność w Ameryce jest we względzie tym niewolą. Mąż nie tylko ręki na żonę podnieść nie ma prawa, ale żona do odpowiedzialności pociągnąć go może nietylko za bicie, ale nawet za stosowanie do niej wyrazów obelżywych. W ogóle w stanach, wchodzących do składu Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej, mężowie za przekroczenia tego rodzaju karani bywają grzywną i dłuższem lub krótszem więzieniem. Istnieje jednak stan jeden — Delaware czy Maryland — w którym kara cielesna nie została jeszcze zniesioną.

Zamieszkały w stanie dwym Polak pewien żonę swoją, nie z potrzeby ale z przyzwyczajenia, bił często. Znosiła to biedna kobieta, żaliła się przed kumoszkami, i te doradziły je, ażeby na

męża swego wzięła warant, t. j., ażeby na niego wniosła skargę, pociągając areszt za sobą. Posłuchała rady tej. Mąż aresztowany — oddany został pod sąd i skazany na tyle a tyle miesięcy więzienia, przeplatanego w każdym tygodniu różgami, wymierzaniem mu w ilości oznaczonej i wystawianiem go raz na tydzień pod pręgierzem na środku miasta. Gdy się o wyroku takim dowiedziała, babę rozpacz ogarnęła. Chciała męża od kary wyprosić; gubernatorowi u nóg się włóczyła. Nie pomogły płacze, prośby. Mąż karę w całości odcierpiał i dziesiątemu znęcania się nad babami zakazał. Podobno stan ów — Maryland czy Delaware (nie pamiętam) — w którym kodeks karny takie przechowuje jeszcze okrucieństwa, omijanym jest przez wychodzców nie tylko Polaków. Dwa te stany, z których w jednym pobyt dla mężów tak jest niebezpiecznym, należą do mniejszych w Stanach Zjednoczonych.

W żadnym innym kara cielesna nie istnieje. Niebezpieczeństwo jednak ze strony prawnej, w całej unii północnej, grozi istotom płci męskiej nie tylko ożenionym, ale i w stanie kawalerskim pozostającym. Grozi im niebezpieczeństwo z tego względu, że stan nietrzeźwy wobec prawa nie służy ani za wymówkę, ani też za okoliczność łagodzącą w razie, gdy kto bądź zobowiązanie jakie powęźmie, bądź występku się dopuści. Pijaństwo, samo przez się jako występki w kodeksach stanowych zaznaczone, zobowiązania potęguje, występki powiększa. Biada przeto młodzieńcowi, coby się po pijanemu — przy świadkach nb. — pannie o rękę oświadczył i po trzeźwemu słowa nie dotrzymał!... Panna wyjmuje warant; młodziana aresztują, sądzą i w razie, jeżeli, mimo świadkami dowiedzione mu oświadczenie, kawaler pojąć pannę za małżonkę się wzbrania, patrolką go do sądu przywożą, księdza sprowadzają i siub mu dają. Płeć mocna więc, do stanu małżeńskiego sposobna, mocno się na baczności wobec płci słabej w Stanach Zjednoczonych mieć musi.

W rozmowach, jakie toczyłem w Filadelfii z wychodzcami polskimi, nie przypominam sobie, ażeby o szkołach, bibliotekach, czytelniach była mowa; przypominam sobie, że nie było mowy

o wyznaniach ; była zaś i często się powtarzała mowa o sprawach Związku Narodowego Polskiego.

W Filadelfii ogniskowała się przeciwko Zarządowi opozycja, pochodząca z racyi podwójnej : z tej, że gród ten jest pierwotną Stanów Zjednoczonych stolicą, bardziej zaś z tej, że tu się Związek Narodowy Polski zawiązał, dzięki staraniom i zabiegom zmarłych Juliana Lipińskiego, Juliusza Andrzejkowicza, żyjącego Jana Nepomucena Popielnickiego i dwóch jeszcze, których nazwiska z pamięci mi wypadły. W mniemaniu Filadelfijczyków przeniesienie siedziska Zarządu związkowego do Chicago nastąpiło skutkiem nadużycia czy podstępny, którego istoty dojsć nie mogłem. Nie umiał mi tego nikt jasno wytłumaczyć. Zauważyłem, że niechęć do Chicago ogólną nie była ; nie wyczuwałem jej ze strony jednego z założycieli, wyżej wymienionego J. N. Popielnickiego, z którym się często widywałem i nie jedną miłą chwilę na rozmowie spędziłem.

Co do położenia Polonii w Filadelfii, jest ono w ogóle dobrem. Zajęcia stałe i niestałe opłacają się sownie. Do niestałych a zyskowych należą w odpowiednich roku porach : zbieranie truskawek, jagód i otwieranie ostryg. Stanowi to specjalność dziewcząt, które przy jagodach nie bardzo się trują, w otwieraniu zaś ostryg takiej dochodzą doskonałości, że dziennie zarabiają po dolarów parę i w ciągu sezonu ciulają sobie okazałe posażki. Czynność ta dokonywa się celem fabrykowania z jagód, z owoców wszelakich i z ostryg konserw, będących jednym z ważniejszych przedmiotów handlu. Wyrabia się tego niezmierna w Ameryce moc. Gdzież się to konsumuje ?

Przyznaję się, że jestem z takich, co nadużywania gościnności nie mają ani we zwyczaju, ani w naturze. Natura pozbawiła mnie skłonności do zbytkowania we względzie wszelakim. Z łatwością więc przychodziło mi bronić się przeciwko obkarmianiu się i opijaniu, ale zabrakło mi sił do oparcia się tentacyi zwiedzenia miasta, gdy mi takowe (zwiedzanie) zaproponowanem zostało. Pod przewodnictwem więc dwóch członków komitetu zaczęliśmy od mienicy. Monetę brzęczącą Stany Zjednoczone biją w Filadelfii. Fabry-

kacya odbywa się jak wszędzie, a osobliwość lokalna na tem polega—raczej—polegała, że pieniądze, za mojej w Ameryce bytności, odbijały się w starym budynku, budowla zaś nowa, mająca być wspaniałą, doprowadzoną była do połowy.

Zwiedzaliśmy galerie malowideł, wśród których od jednego oka rzutu poznałem jeden z obrazów Chełmońskiego; zwiedzaliśmy muzeum starożytności, ciekawe z tego względu, że mieści w sobie reprodukcję mieszkań starorzymskich, wedle wzorów, znalezionych w odkopaliskach pompejańskich. Zwiedzaliśmy warsztaty okrętowe, na których w robocie znajdował się jakiś wojenny dla Rosyi statek, o którym jako nie fachowiec nic powiedzieć nie umiem. W przystani nie zauważyłem natenczas ruchu roboczego. Przy budowlu, wyglądającej na koszary, kręcili się żołnierze—pierwsi i jedyni przedstawiciele wojska regularnego, jakich mi się w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej oglądać zdarzyło. Syna mego gorszył ich wygląd *trop pékin*.

Rzewne uczucie budzi wewnątrz domu, w którym r. 1774 zasiadał pierwszy Stanów Zjednoczonych kongres. Zgromadzone są w nim wszystkie, do momentu onego odnoszące się świadectwa i pamiątki historyczne: dokumenty, okazy, wizerunki. Gdzie zaś pamiątki te w tej dziś tak wielkiej i potężnej rzeczypospolitej się gromadzą, tam niechybnie oko polskie spotyka spółziomków, co w wywalczeniu dla niej wolności udział czynny wzięli. Nazwiska i podobizny w rysunku, w malowidle lub w rzeźbie Kościuszki i Pułaskiego widzieć się dają bardzo często. Obok nich z cudzoziemców miejsce poczesne zajmują Francuzi. Nigdzie atoli na gruncie, na którym o wolność walki się toczyły, roli żadnej nie odegrywali przyjaciele nasi: Moskale, Austriacy, Prusacy (*). Bohaterowie ich zasłynęli w walkach, gruntujących niewolę. Miło jest Polakowi różnicę tę sprawdzać na obydwóch kuli ziemskiej półkulach. Człowieka, co jest Polakiem, duma przenika.

(*) W Paryżu przebywa nie mało Polaków, mających dużo czasu zbywającego. Czemu nikt z nich nie pomyślał jeszcze o spisaniu nazwisk spółziomków naszych, wyrzniętych na Bramie tryumfalnej (*Arc de triomphe*)?

Dumą tego rodzaju poczułem w sobie wobec wznoszącego się na placu, u wnijscia do parku, pomnika Jerzego Washingtona. Pomnik ów, jedno z najznakomitszych dzieł sztuki rzeźbiarskiej, przedstawia wodza zbuntowanej ludności amerykańskiej na koniu w chodzie, okrytego płaszczem, z pod którego przegląda mundur powstańczy. Koniowi za podstawę służy piedestał okrągły, przyozdobiony w czterech równej wielkości ramach płaskorzeźbami, wyobrażającymi sceny i postacie historyczne z dziejów walki. Wśród współpracowników Washingtona oko polskie z zadowoleniem wewnętrznym zatrzymuje się na znanych postaciach wodzów walk o wolność w Polsce, spółziomków naszych, mężów, o których wspomnianie, za ledwie tolerowane w jednym dziale Polski, uchodzi za występki, za zbrodnie na ziemi ojczyznej. Płaskorzeźb pola dzielą jedne od drugich grupy symboliczne. Pomnik, o rozmiarach kolosalnych, przedstawia się imponująco; ulanym jest całkowicie z brązu, z wyjątkiem podstawy szerokiej, dla której ze Szwecyi sprowadzono granit. Pomysł do uczczenia w sposób ten Washingtona wyszedł od towarzystwa, które pod nazwą Cyn-cynata zawiązało się było po wojnie o niepodległość, celem zabezpieczenia bytu wdowom i sierotom po poległych. Pomnik, wykonany według planu rzeźbiarza niemieckiego, Rudolfa Siemeringa, kosztował 250.000 dolarów.

Pomnik Washingtona wznosi się u głównego wnijscia do parku, zwanego *Fairmount* (Piękna Góra). Chyba na kuli ziemskiej nie ma parku obszerniejszego. Niewiem ile on morgów zajmuje. Do objechania go i zwiedzania częściowego istnieje specjalna kolej parowa, z której oczom widza przedstawiają się tu łąki obszerne, tam lasy, ówdzie góry skaliste, urwiska, ustronia dzikie i t. p. gruntu odmiany.

Obwozili mnie i pokazywali mi to wszystko członkowie komitetu. Uwieńczeniem goszczenia osoby mojej był publiczny obchód przyjęciowy, połączony z popisami gimnastycznymi i zakończony balem. Obchód odbył się jak zwykle: mowy, śpiewackie i muzyczne popisy, deklamacye. Deklamacyę wygłosiła prześliczna panienka. Na balu, który się do rana przeciągnął, panowała wesołość szczerą przy harmonii zupełnej.

Raz ten jedyny w Ameryce w balu emigracyjnym udział wziąłem. Miło mi, że przyświadczyć mogę, iż balowi temu nic do zarzucenia nie było. Pod względem przyzwoitości nie zewnętrznej tylko, ale rzetelnej nie ustępował on najbardziej wymyślnym tego rodzaju zabawom.

XXV.

Honeste w Filadelfii przyjęty, również honeste z Filadelfii wyprawiony zostałem. Komitet za towarzysza—raczej za przewodnika przydał nam milego i zacnego spółziomka, ob. Słowika. Przejazd wypadł nam niedługi, nie dłuższy nad godzin kilka, byłby zaś jeszcze krótszy, gdyby nie zmiana w połowie drogi pociągu; która nam z górą półtorej godziny zabrała. Wspominam o tem dla tego, że z racy tej wpadła mi w oczy pewna, inżynierów dróg i mostów interesująca osobliwość. Pomiędzy szynami dostrzegłem równoległe do nich ciągnący się rowek obmurowany, wodą płynącą napełniony. Zapytany o znaczenie tego kanaliku sz. przewodnik wytłumaczył mi, że służy on do zasilania wodą kotła na lokomotywie, bez zatrzymywania się w ciągu podróży.

Celem podróży naszej było tym razem po naszym miasto, po amerykańsku miasteczko Perth-Amboy—miasteczko dla tego, że liczy nie więcej nad około 200.000 mieszkańców. Miasteczko to, nowo zabudowywujące się przy zatoce Nowoyorskiej, należy do rzędu osad, tulących się pod skrzydła Nowego-Yorku, liczących na to, że w cieniu tych skrzydeł i im się część pomyslności tej olbrzymiej metropolii udzieli. Nowość, świeżość zewsząd w miasteczku tem przeglądają. Śródmieście nawet nie ma pozoru wielkomiejskiego; po za niem zaś ciągną się ulice niebrukowane jeszcze, wyboiste, w deszcz zapewne błotniste, przy których szeregują się domki, zewnętrznoscia swoją świadczące, że zamieszkane są przez wychodźców.

Wychodźce, przeważnie Słowianie (Czesi, Słowacy, Polacy),

w części znacznej zaludnienie Perth-Amboy stanowią. Polacy liczą się na tysiący kilka—tworzą parafię polską, posiadają kościół przy jednej z ulic bocznych.

Przyjęcie, jakie mnie na wstępie do miasteczka tego ze strony spółziomków spotkało, ani trochę nie ustępowało przyjęciom najserdeczniejszym, w ciągu wędrówki mojej doznawanym. W dniu przyjazdu w hotelu, w którym zamieszkałem, w liczbie biesiadników około czterdziestu, wspólnie spożyliśmy wieczerzę. Przed wieczerzą i po wieczerzy w hotelowem *reading room* panował ruch ustawiczny przychodzących i odchodzących mieszkańców, składających mi powitanie. Wchodzący przedstawiali się mnie i moim towarzyszom podróży. Wynikło stąd nieporozumienie zabawne. Gość Słowak nazwał siebie, podając dłoń do uścisku ob. Słowikowi, który mu w zamian swoje dał nazwisko.

— A ja sem Słowak... — ten mu odrzekł na to.

— A ja Słowik...

— A ja Słowak...

« Słowik — Słowak ». Jeden drugiemu o lrzucał dwa te wyrazy, aż się Słowak zmiarkował, że nazwisko Polaka wziął za nazwę narodowości. nazwa zaś nie do ludzkiej, ale do ptasiej odnosi się zbiorowości.

Do Perth-Amboy zaproszony byłem przez dwie grupy Związku Narodowego Polskiego (św. Stanisława i Zygmunta-Augusta), przez oddział kanonierów i przez klub polski. W imieniu organizacji tych gospodarzyli Ob. ob. F. Borowicz, J. Ejdynt i St. Ogiński. Ten ostatni zawiadował artyleryą. Urządzili też oni dla mnie przyjęcie publiczne, jakiegom się nie ośmielał przewidywać, a nie przewidując, nie spodziewałem się.

Dzień, w którym wieczorem przyjęcie odbyć się miało, upłynął dla mnie na zwiedzaniu miasta i odwiedzaniu zakładów, mających z polskiem życiem społecznem i towarzyskiem styczność. Byliśmy w kilku miejscach, między innymi, w jadalni, w której spożyliśmy śniadanie, w sklepiku, przy którym w izbie przyległej mieści się biblioteczka i czytelnia. Dobrobyt wśród Polaków nie rozwinął się tu jeszcze do tego stopnia, ażeby się znajdowały polskie na wielką

skale sklepy i saloony. Szynki przez Polaków trzymane świecą nieobecnością. Nie myślę, ażeby się to dziać miało z krzywdą ludności polskiej. Pytałem o szkołę. Szkoła jest przy kościele; lecz zwiedzenie jej uniemożliwił proboszcz, który nietylko udziału w przyjmowaniu mnie odmówił, ale z kazalnicy z taką — jak mi opowiadano — rekomendacją osobistości mojej wobec owieczek wystąpił:

— «Przyjechał tu, jak slysze, niejaki Miłkowski, mieniący się pułkownikiem Bóg wie jakiej armii... Jest to socyalista, nie socyalista nawet, ale anarchista... anarchista!, który zabierze wam wasze pola, wasze łąki, wasze ogrody, wasze domy, wasze żony, wasze dzieci...»

Konkluzya rekomendacyi takiej ta — rzecz prosta — być musiała, ażeby się z potworem tego co ja gatunku parafianie, zwłaszcza zaś parafianki księdza X. (o nazwisko nie pytałem) nie wdawali.

Zawiadomiono mnie o tem nad wieczorem. Nie chcąc gospodarzy narażać na nieprzyjemności możliwe, oświadczyłem, że wystarczają mi najzupełniej te okazy gościnności, jakie mnie w dniach wczorajszym i dzisiejszym spotkały. Gospodarze jednak o tem sobie mówić nie pozwalali, odpowiadając mi:

— Pułkownik będziesz widział, jak parafianie ukazu księdza proboszcza posłuchają...

Jakoż widziałem. Żaden z pochodów poprzednich tak się wspinał nieodbył, jak perth-amboyski. Wśród tłumów ludzi, pod eskortą wojskową, z artyleryą na przodzie, posuwaliśmy się powoli ulicami, prowadzącemi z hotelu do hali. W ulicach polskie, a nawet i amerykańskie domy jaśniały iluminacją. Od czasu do czasu rozbłyskiwały się ognie bengalskie i rakiety w powietrze szypiąc się wznosiły. Razy parę huknęły wystrzały działowe. Akcesorye ogniowe gęsto szczególnie zajaśniały i zahuczały wobec domu dużego o okiennicach szczelnie pozamykanych. Nieobecność światła w domu tym zwróciła na siebie uwagę moją. Siedzącego obok mnie w powozie jednego z gospodarzy zapytałem:

— Co to za dom?...

— Plebania... — była odpowiedź.

Zrozumiałem, jak mi się posłuch ukazowi pokazać miał.

Godził się na podobne narażać kompromitacye?...

Niewiem, co w Perth-Amboy po wyjeździe moim nastąpiło: jak się pomiędzy duszpasterzem a trzódką parafialną, nie wyznającą niezależności, stosunki ułożyły?... Jeżeli się tam kościół niezależny zawiązał, to sprowadził go nie kto inny, jeno proboszcz sam. Boć tak ów proboszcz, jak inni księża, którzy się na mnie srożyli — co mi do zarzucenia mieć mogli? byłem dla nich osobistością całkowicie nieznaną, — stawałem zaś wobec Polaków jak Polak, przypominający im obowiązki względem Ojczyzny i wzywający ich do pełnienia ich, bez zrzekania się dla nich obowiązków bądź to względem kraju, którego są obywatelami lub gośćmi, bądź też względem kościoła, którego zwierzchność duchową nad sobą uznają. W Filadelfii kwestyj religijnych nie poruszałem, nikt ich nie dotykał i mego w mieście tem pobytu najmniejsze nie zamącało nieporozumienie. Gdyby się był ksiądz w Perth-Amboy zachował, jak się zachowywali księża w Filadelfii, byłby nie potrzebował ani świateł w plebanii zapalać, ani okiennic zamykać, ani — co najgorzej — dopuszczać się w odniesieniu do osoby mojej grzechu przeciwko VIII przykazaniu Bożemu i gorszyć parafian swoich. Gdyby nie oparty na nieprawdach ukaz księdza X., obchód przyjęciowy z pewnością o połowę przynajmniej mniej byłby okazałym.

Obchód w Perth-Amboy odbył się jaknajlepiej. Na niczem mu nie zabrakło. Były mowy i zwyczajne muzykalno-wokalne popisy, z dodatkiem popisów artyleryjskich pod kierownictwem ob. Ogińskiego. Obsługa działa bardzo poszła składnie. Z popisów tych wzięłem asumpt do wkluczenia w mowę moją rzeczy o zaprowadzanych na wychodźstwie organizacyach wojskowych. Uznawałem organizacyi tych potrzebę, z tem atoli zastrzeżeniem, ażeby one praktyczny miały cel — cel, mający na widoku bojową w razie danym przydatność. Dla tego radziłem w organizacyach za rzecz główną uważać nie mniej lub więcej okazałe mundury, ale gimnastykę i strzelanie celne. Powtarzałem to w mowach publicznych i w rozmowach prywatnych wszędzie w powrotnej z Chicago podróży mojej. Mowy i przemówienia moje następujące obejmowały przed-

mioty : znaczenie sprawy polskiej polityczne oraz moralno-polityczne ; obowiązek nasz pracowania dla niej ; konieczność utrzymania pomiędzy wychodźstwem polskim a polskim narodem stosunków ; organizacje wychodźcze ; Skarb Narodowy ; zachowywanie polskości w rzeczy i w duchu na wychodźstwie za pomocą zakładania własności spółnych w domach, w prawie i faktycznie polskich kościołach, w szkołach, czytelnich ; zakładania towarzystw strzeleckich i gimnastycznych (Sokoly). Z programem tym w pamięci — a powiedzieć mogę, w głowie i w sercu — przejeżdżałem z etapy na etapę, głosząc wszędzie słowo polskie w postaci nie żadnej dobrej nowiny, obiecującej nagrody, lecz powoływania do pracy i ofiarności. Nie uciekałem się do sposobów jakimi mają zwyczaj posługiwać się twórcy sekt i wyznań religijnych, reformatorowie społeczni, założyciele towarzystw akcyjnych, banków i przedsiębiorstw rozlicznych, ukazujących w perspektywie — jedne zyski w doczesnem, drugie nagrody nieochybne w przyszłem życiu.

Perth-Amboy była to moja etapa przedostatnia. Powierzona mi misya, mimo że żadnych zysków na ziemi ani nagród w niebie nie obiecywał, ni w perspektywie ukazywał, mimo że mnie gwałcąc prawdę napaść spotkała, mimo to, na etapie tej, w zupełności mi się powiodła.

Pozostawała jeszcze etapa ostatnia, miasto Newark, położone w stanie New-Jersey, lecz pozostające w promieniu wpływów Nowego-Yorku. Newark od Nowego-Yorku dzieli Jersey-City, oddzielone od Nowego-Yorku rzeką Hudson, a mającego się do niego jak przedmieście do miasta — jak, na ten przykład, Praga do Warszawy.

Newark dla nas Polaków szczególne ma z tego względu znaczenie, że w nim Kościuszko założył Szkołę dla Murzynów. Miasto nie liczy podobno więcej nad 50.000 mieszkańców, jest handlowem, przemyslowem, posiada liczną stosunkowo kolonię polską, grupującą się około kościoła polskiego.

O kościele tym słówko.

Wszystkie obchody przyjęciowe, jakimi mnie spółziomkowie

w Ameryce szczykali, odbywały się po za kościołem. Mówię o kościele zależnym, uznającym władzę przez Rzym mianowanych biskupów. Obsługujący kościół ów księża zachowywali się wobec osoby mojej tu nieprzyjaźnie, ówdzie obojętnie, w paru miejscach w obchodach udział brali, ale bierny — sami nigdzie przyjęć dla mnie nie urządzali. Prawda, że się do nich nie garnałem, z wyjątkiem czcigodnego księdza Dąbrowskiego, któremu się narzuciłem. W ogóle się wymawiałem od gościny u duchowieństwa kościołów zależnych, niezależnych, protestanckich, wszelakich chrześcijańskich, jakbym się był wymawiał, gdyby mnie do siebie zapraszali imani, szeikowie, kapłani Budy, rabini. Sprawy religijne nie do mnie należały, nie chciałem się w nich przeto angażować ani wprost, ani ubocznie; że zaś duchowieństwo katolickie zależne mocno się na mnie za zalecanie Ojczyzny ziemskiej, za nicodwracanie się od « odstępców », za « wyciąganie » grosza na Skarb Narodowy chmużyło, wolałem trzymać się zdaleka. Utwierdził mnie w tem w ostatku proboszcz Perth-Amboyski.

W towarzystwie obywateli Borowicza i Słowika przyjeżdżam od Newarku. Na dworcu powitać nas miał komitet miejscowy: wysiadamy, rozglądamy się, widzimy ludzi dużo, ale z komitetowych nikogo. Oczekiwanie na przybycie ich nie sprowadziło rezultatu pożądanego i rozstrzygnęło się w ten sposób, że ob. ob. Borowicz i Słowik odeszli, pozostawiając mnie z synem na dworcu. Nieobecność ich nie trwała długo. Powrócili w towarzystwie członków komitetu, którzy na dworzec na przybycie nasze nie nadeszli dla tego, że zapowiadającego przyjazd nasz telegramu nie otrzymali. Wypadek taki sam spotkał mnie był w Milwaukee. Powtórzenie się onego nie nader dobrze świadczy o akuratności służby telegraficznej w Stanach Zjednoczonych. A przecież, gdzież bardziej niż w kraju, w którym się publiczne i prywatne sprawy wedle handlu i przemysłu regulują, przestrzegana być winna akuratność w obsłudze telegraficznej! Komitetowi przepraszałem mnie nie za swoją winę i, gdy ich upewniłem, że najmniejszej do nich nie żywię pretensji, oznajmili mi, że w imieniu proboszcza zapraszają mnie na plebanję.

— Ależ... — zacząłem głosem protestu, może przestrachu.

Do słowa mnie jednak nie dopuszczono. Jeden się odezwał:

— To ksiądz nie taki!...

Za nim powtórzyli wszyscy:

— Nie taki!... nie taki!...

— Niezależny?... — zapytałem.

— Nie!... — odpowiedziano chórem.

Księży «nie takich» spotykałem; przed niektórymi z nich czoło (do słowa się w ciągu opowiadania mego przyznawałem) z czcią głęboką chyliłem; dla jednego nawet z «takich» — z obozu, co za doznany co do osoby mojej zawód błotem mnie przy okazji każdej obrzuca — zachowuję szacunku pełne uznanie za jego zapaly pedagogiczne (*): z tem wszystkim uważałem za rzecz, że się tak wyrażę, wskazaną żadnemu z księży ani «takich», ani «nie takich» subiekty nie czynić. Tym razem jednak od postanowienia odstąpiłem nie dla tego, ażebym miał naleganiu uledeć, ale ponieważ przyjęcie zaprosin proboszcza w Newarku nie stanowiło precedensu. Etapa ostatnia. Zład — do Nowego-Yorku i na okręt. Nie pozostawało mi nic innego, tylko, po wyjeździe z Newarku, pożegnać tych, co mnie najpierwsi na ziemi amerykańskiej powitali i do Europy nawigować.

I nie pożałowałem tego, że skorzystałem z gościnności sz. proboszcza, poznałem w nim bowiem księdza w rzeczy samej «nie takiego», u niego zaś jeszcze jednego «nie takiego» i przekonałem się, że w łonie duchowieństwa polskiego nie zaginął jeszcze rodzaj księży Polaków, Ojczyznę miłujących bezwzględnie i bezwarunkowo. Do tego rodzaju należy ksiądz Masnicki, człowiek młody, przybyły z Galicji, który, po niedługim na czele parafii pobycie, dał się wychodźcom poznać ze strony jaknajlepszej pod względem tak obowiązkowym, jak obyczajowym. Mówiąc mi o zaletach proboszcza parafianie, nie omieszkiwali zapewniać, że obowiązku-

(*) Ksiądz Jan Kruszyński, rektor Kollegium św. Stanisława Kostki w Chicago. Pisałem o nim w rozdziale XIV «Opowiadania» mego — nazwiska nie podałem, bom je był zapomniał.

jacy go kanonicznie celibat przestrzega *de jure* i *de facto*. Zauważyłem, że jest to jedna z drażliwszych dla katolickiej ludności polskiej kwestyi. U ludu naszego ksiądz, co się bez maskowanego obchodzi małżeństwa, w wysokiej jest cenie, u wychodźstwa zaś w cenie rośnie, gdy, chowając śluby kapłańskie, jest jeszcze i przykładem patryotyzmu. Wielu księży nie domyśla się, a może domyślać się tego nie chce, ile oni w oczach owieczek swoich zyskują, gdy czynnie polski patryotyzm uprawiają—patryotyzm, który w Ameryce na małej polega rzeczy — na przypominaniu parafianom :

« A pamiętajcie o grosiku na sprawę polską !... »

Jednym wydaje się, że o grosiki owe zubożonym zostanie kościół, innym, że się o tyle dochody ich umniejszą.

Nieprawda ! Mylą się ci, co się na Skarb Narodowy z tego punktu zapatrują. Ani kościołowi, ani jego sługom najwierniejszym nie zagraża on uszczerbkiem. Jeżeli kto krzywdę jaką poniesie, to jedni chyba szynkarze, którzy w najgorszym dla nich razie — gdyby datkowanie na Skarb Narodowy ostro szło—nie zdołaliby sprzedać w ciągu roku po jakich kilka szklanek piwa na głowę wychodzącą. Dla nich jednych byłaby to strata—i to nie wielka, bo na dużą saloonów ilość rozłożona.

Ksiądz Masnicki należał do « nie takich ». Nocowałem na plebanii i nazajutrz rano z okna pokoju sypialnego przypatrywałem się działwie, do szkoły śpieszącej. Schodziło się ich po kilkoro razem. Nie oderwałem od tych dzieci polskich oczu, póki nie przeszły i odkryłem w sobie słabość, do której się dawniej nie poczuwałem : słabość do dzieci. Słyszałem, że skłonność ta w ludziach w późnym budzi się wieku, ale do tego, ażeby się obudziła, okazyi potrzeba. Okazała dla mnie znalazła się w Ameryce. Zrazu sprawy sobie z tego nie zdawałem. Po miastach z ludnością polską doznawałem czegoś, niby pociągu magnetycznego, do dzielnic, przez Polaków zamieszkałych i, gdym na nie wchodził, oglądałem się na dzieci. Dzieci obchodziły mnie szczególnie. Gdym zoczył gdzie gromadkę, zatrzymywałem się przy niej. Zkąd to szło ? Nie zdawałem sobie — jak rzekłem — zrazu z tego sprawy. I teraz fenomen ten nie jest mi całkiem jasnym. Czy poszło to z naturalnego chylenia się starość

ku dzieciństwu? Czy też w roku 1900 w Ameryce miałem działwy wrzesińskiej przeczucie? A może się obie złożyły racye i wypośredkowała się z nich trzecia ogólna, najważniejsza, bo zbawieniem Polski brzemienna, polegająca na odczuciu potrzeby bronienia dzieci polskich przeciwko tej zawziętości, z jaką zaborce Ojczyzny naszej przerabiają je na zmodernizowane i do wrogich lub obojętnych nam potrzeb i widoków państwowych przystosowywane jeniczarstwo.

Turcyca wiekiście jest i będzie dla wszelakich rozbojów politycznych wzorem. Moskwa, Prusy na ślepo a brutalnie ją naśladowują. Jakież wielkie dobre, polskie dzieci polskich w Ameryce wychowywanie ma znaczenie! Potomkowie dziś w Stanach Zjednoczonych zamieszkałych Polaków przydać się Polsce mogą nie jutro, to pojutrze, w pokoleniu drugim, trzecim, dalszem jakim, kiedy liczebnie w opinii publicznej społeczeństwa ważyć będą.

Tak rozmyślałem, przyglądając się z okna plebanii wążkiem do szkoły przejściem przemykającej się działwie polskiej, chłopczykom i dziewczętkom 6—10 letnim. Szło to i szło —wszystko czyste, dobrze odziane i wesole. Na intencję jej szykowało się mi w umyśle życzenie serdeczne: oby się drobiazg ten uczył, uświadamiał na pożytek Ojczyźnie jego, przez zbrodniarzy bezkarnie deptanej! Tacy, jak gospodarz mój, przewodnicy mogą działwie tej drogę właściwą wskazać.

Na plebanii w Newarku spotkałem się z gościem z New-Yorku, ks. Zygmuntem Swidrem, doktorem teologii z uniwersytetu krakowskiego, pełniącym funkcję kapelana w Domu św. Józefa, przytulisku emigracyjnym. Bardzom był spotkaniu temu rad. O istnieniu Domu emigracyjnego, założonego w celu niesienia pomocy przeważnie informacyjnej przybywającym do Ameryki wychodźcom polskim, wiedziałem, lecz nie miałem o nim wiadomości dokładnych, zwłaszcza bezstronnych. Za słuszne uważałem wymaganie emigracyi, ażeby założeniem i utrzymywaniem domu takiego zajęli się księża raz dla tego, że w ogóle świetnie stoją majątkowo (w ich gronie znajdują się osobnicy, co spadkobiercom swoim pół miliona dolarów zostawiają), powtóre dla tego, że im

najłatwiej gromadzić o zarobkowych w Ameryce stosunkach wiadomości. Któż mnie z tem wszystkim zaznajomić mógł lepiej, jeżeli nie kapelan? Był to powód jeden mego ze spotkania się z księdzem Swidrem uradowania. Powód drugi odnosił się do osobistości szanownego księdza — osobistości stworzonej na kapelana pułkowego. Z postaci jego przeglądał żołnierz, ale żołnierz w pojęciu dawniejszem, grenadyer: rosły, silnie zbudowany, młody. Przypominał on mi w wydaniu poprawnym księdza Niewiadomskiego, kapelana w drugim pułku ułanów, w legionie polskim na Węgrzech (r. 1849). Tamten tegim był ułanem; ten by jeszcze był tęższym: potrafiłby bowiem nietylko z krzyżem w jednym, a szablą w drugim ręku szwadrony w boju poprzedzać, ale w potrzebie odpowiednio przemówić do żołnierzy. Jako mówca ks. Niewiadomski równać się z nim nie mógł. Mówca znakomity w całym słowa tego znaczeniu. Gdy na obchodzie przyjęciowym głos zabrał, hala drżała od powtarzających się co moment oklasków. Napomnął słuchaczy, ażeby Polskę kochali.

« Bóg na niebie, Ojczyzna na ziemi, Bóg nam Ojczyznę dał, więc, jako daną nam przez Niego, winniśmy czić, kochać, bronić i pamiętać... pamiętać o niej w każdej życia chwili... I ona ofiar od nas wymaga: ofiary krwi gdy godzina wybije, ofiary grosika w porze oczekiwania na godziny tej nadejście... »

W duchu tym i treści tej, głosem mocnym, donośnym, odpowiednio giestem akcentowanym, wypowiedział przemówienie, którego wyraz każdy, jasny, zrozumiały, do serca słuchaczom wpadał. Słuchając je, przedstawiałem sobie w wyobraźni batalionu bagnety, po przemówieniu podobnem do ataku się pochylające.

Księża tacy — co za dzielne Polaków pokolenia na wychodźstwie w Ameryce przysposabiać by mogli!

Ze księża tej wartości, Polacy rzetelni, w Ameryce się znajdując, o tem przekonać się niejednokrotnie sposobność miałem.

Sposobność taka na samym nadarzyła się mi ostatku — na pożegnaniu. I to w kontraście. W sąsiednim Perth-Amboy proboszcz zwymyślał mnie od socyalistów, anarchistów, od czegoś nakształt tradycyjnego « wilka w oborze », dybiącego na żony i dzieci para-

fian. W Newarku nie spotkało mnie nic podobnego. Przeciwnie. Misyę moją księży za godziwą i prawowitą uznali i nie szczędzili mi dla niej moralnego wobec wychodźstwa polskiego poparcia.

W ostatniej oficjalnej mowie mojej do wychodźstwa polskiego w Stanach Zjednoczonych, starałem się streścić wszystko, com w ciągu wędrówki wygłosił w postaci bądź żądania, bądź życzenia, bądź rady. Mówiłem z tą pewnością, jaką daje doświadczenie a potęguje zachęta mówców poprzednich. Mowy, co zabranie przezemnie głosu poprzedzały, ułatwiły mi zadanie. Tak było wszędzie, toż powtórzyło się w Newarku. Nie potrzebowałem się przelo rozwódzić i nowych wyszukiwać argumentów, dla poparcia niemi powtarzanych przezemnie: 1° żądań, 2° życzeń, 3° rad praktycznych, polegających na zaopatrywaniu się przez zamieszkałych w miejscowościach przemysłowych i handlowych, w ilości znacznej, Polaków we własności wspólne takie, jak domy (hale) na zgromadzenia, obchody i zabawy, biblioteki, czytelnie, szkoły niższe i wyższe i kościoły polskie, rzeczywiście polskie na dziś i na zawsze; do rad dołączałem utrzymywanie organizacyi takich jak Związek Narodowy Polski i zakładanie towarzystw gimnastycznych (gniazda sokolskie) i strzeleckich, przy których również własności wspólne (szkoly gimnastyczne, strzelnice) fundować by się dały.

O własnościach wspólnych, czyniących zadość potrzebom intelektualnym i moralnym, mówiłem z naciskiem szczególnym, jako o rękojmi, zapewniającej ciężenie wychodźstwa, zamieszkałego w Ameryce i uobywatelonego w Stanach Zjednoczonych, do tego ogniska idealnego a czysto moralnego, jakim jest Ojczyzna. Dla zamieszkałych w Polsce i w Europie ideał ów bliższym jest, rzeczywistym, niż dla spółbraci naszych za Oceanem; jest on dla nas dotykającym, — czujemy go na grzbietach pod postacią ciosów, zadawanych nam przez zaborców co moment, często niespodzianie — spadających niby pioruny z jasnego nieba.

W roku 1900 nie zdarzyła się jeszcze była awantura wrzesińska, nie popisali się Prusacy wyrokami sądów gnieźnieńskich, — było już jednak do opowiadania moc awantur i sądów pruskich, mo-

skiewskich i austryackich, znamionujących usiłowania potrójne tępienia narodu polskiego tu tak, ówdzie inaczej, a wszędzie przestoczenia go na to, czem nie jest i być nie może. Miałem, co się tego tyczy, na rozporządzenie moje materiał bogaty w faktach autentycznych krzywd, o pomstę do nieba wołających. Gdym je przytaczał, znajdowałem posłuch z podziwem, znamionującym powątpiewanie, połączone :

« Czy to być może! ?... »

Na połączone z pytajnikiem wykrzyknik ten odpowiadałem nie ja : odpowiadały pytających wspomnienia osobiste, które wszelką usuwały wątpliwość. Boć — dla czego kraj opuścili? Pytanie to na ciekawe jedno naprowadziło mnie spostrzeżenie. Przebyte cierpienia i zagrażające śmiercią lub kalectwem wypadki pozostają we wspomnieniach, lecz pod postacią tryumfów, nierzadko mocno w opowiadaniu ubarwionych. Niektórzy, natury zuchowatej, chwalą się, jeden, wyprowadzeniem w pole Austryaka, drugi, daniem dobrej nauczki Prusakowi, inny, pokonaniem Moskala w rozprawie na pięści. Pewien był kawalerzysta pruski dziwa mi prawil o zajściach w maneużu z rotmistrzem — « huncfotem Prusakiem », — z których to zajść zawsze wychodził zwycięsko. W opowiadaniach tego zucha czuć było przesadę samochwalczą.

Mniej przesadnie z powodów wyjścia z Polski sprawę nieinteligencji — włościanie — zdawali. Powszechnie wychodztwo przypisuje się stosunkom ekonomicznym — wyłącznie ekonomicznym. W kierunku tym wyłącznie przeprowadzone wśród wychodzców dochodzenie dało by z pewnością w rezultacie potwierdzenie opinii, przypisującej powód wychodztwa stosunkom ekonomicznym jedynie. Emigranci zapytywani, jak im się w kraju działo, nie chwaliłoby się dobrobytem, porównywując zarobki i dochody w Polsce z zarobkami i dochodami w Ameryce, sposób życia tam, ze sposobem życia tu, niedostatek z dostatkiem. Lecz posuwając dochodzenie dalej i głębiej, z po za powodów natury ekonomicznej wychylają się powody społeczne, z po za tych religijne, w końcu polityczne — i dwa te ostatnie, w zaborze moskiewskim zwłaszcza, główną śród powodów wychodztwa grają rolę. Polityka — rzecz

prosta — występuje w przydziejku narodowym. Wychodźce z pod panowania moskiewskiego — «ruski», jak świeżo stamtąd przybywających dawniejsi przezywają — gorzko się uskarżają na czynownictwo moskiewskie, na język moskiewski, na **nauczanie** w języku tym dzieci, na administrację, na sądownictwo, w ogóle na wtrącanie się Moskali do bytowania ludowego.

— A kościół?... — zapytałem jednego.

— Ah, panie!... toć te świny i tam się pchają...

Dotknięcie tej materyi każe wychodźtzu polskiemu w Ameryce zapominać o ekonomicznych i społecznych stosunkach w Starym Kraju. Z po za ekonomicznych i społecznych stosunków, z pod nacisku nędzy i zadawanych pracy przez kapitalizm gołej szlachty proletaryatowi wiejskiemu krzywd, występuje i w całym staje majestacie patriotyzm polski — patriotyzm nie wyrozumowany, lecz odczuty, wrodzony, wyssany z mlekiem z chudej piersi matczynej, przejęty od zczerniałego od pracy ojca.

W Ameryce patriotyzm ów, wywołany przez takiego jak ja ciekawca, nie koniecznie parlamentarnie się wyrażał :

« Niemiec psiakrew... niedowiarek... Moskal « świnią »... »

Moskwa, co przez «udobrodziejstwowanie» ludu wiejskiego po ostatniem naszym powstaniu, przekonaną była, że lud ten kupiła i przywiązanie jego do siebie na zawsze pozyskała, niechby posłuchała, co on o niej rozpowiada w Ameryce. A i ugodowce nasi mogliby się od niego o nie jednej ciekawej dowiedzieć rzeczy.

Ostatnim był dla mnie w Newarku przyjęciowy w Stanach Zjednoczonych obchód. Powodzenie jego było zupełnem, takim jak wszędzie indziej, nie wyjmując Wilmingtonu, gdzie końcowa antliskarbowa demonstracya nie zaburzyła harmonii wiecu. Poczuję się przeto do obowiązku podziękować serdecznie spółziomkom moim za obchody na cześć moją urządzane, poczawszy od Nowego Yorku a skończywszy na Newarku ; poczuwam się do obowiązku podziękować im w imieniu sprawy polskiej, którą przedstawiałem ze strony pracowników, co o Polsce i jej przyszłości nie zropaczyli, dobijając się dla niej niepodległości na drodze demokratycznej — ludowej. Owacye, jakie ninie spotykały, nie na

własny, ale na jej brałem rachunek. Z powodu owacyi tych wyniosłem z Ameryki wspomnienia jaknajmilsze, oraz rzeczowych upominków kilkanaście, które do Europy ze sobą zabrałem.

XXVI.

Do Nowego-Yorku odprowadził mnie czcigodny gospodarz mój z Newarku. Podróż była niedaleka, a z tego osobliwa względu, że, nie wysiadając z wagonu, zakończyliśmy ją promem, który pociąg cały przez rzekę Hodson przewiózł. Przy wylądowaniu spotkać nas mieli przyjaciele nowoyorscy, których o przybyciu mojem zawiadomił ob. Białd, obecny na obchodzie w Newarku. Nie znaleźliśmy jednak nikogo. Zaszło nieporozumienie, które się wyjaśniło później; że jednak ob. Białd dał nam w dniu wczorajszym adres upatrzonego dla mnie hotelu, wzięliśmy więc fiakra i do hotelu pojechali.

Jeszcze się był nie rozgościł, gdy zawitał do mnie gość. Był to ksiądz — proboszcz może — z New-Jersey, człek młody, wzrostu więcej trochę niż miernego, szczupły, chudy, blondyn jasny, mający wygląd ascety. Po przywitaniu tonem, w którym akcent rozkazu przebrzmiewał, wezwał mnie do New-Jersey.

— Nie mogę... — odrzekłem.

— Czemu?... —

— Wyjeżdżam... —

— Dokąd?... —

— Z powrotem do Europy... —

— Pułkownik nie pojedziesz!

Zdziwione i zapewne wyrazu zapytania pełne wejrzenie zwróciłem na młodego księdza, który chwilę pomilczał i znów się rozkazującym odezwał tonem:

— Pułkownik odjeżdżać nie możesz, nie skończywszy dzieła rozpoczętego... dzieła wielkiego...

Znów mnie zdziwienie opanowało. Odparłem:

— Co do mnie należało... zrobiłem...

— Nie... Zaczęłeś, nie dokończyłeś... Zostać musisz...

— Nie mogę...

— Zostać musisz!... — powtórzył z naciskiem rozkazującym.
Nie puścimy...

Wyrzekł to tak stanowczo, że błyskawicznie przemknęło mi w umyśle przypuszczenie, że ksiądz ów ma moc dokonania tego, co powiedział.

Nie przypominam sobie, jak się rozmowa ta rozwinęła i w jaki zakończyła sposób. Rezultat jej w razie każdym nie wypadł po woli księdza. Rozstaliśmy się. Ksiądz wyraźnie nie określił «działa», do którego uzupełnienia mnie wzywał a które—jak się domyślam—tyczyło się reform czy reformy w kościele. «Dzieło wielkie». Wyrazy te w ustach księdza nie mogły się chyba do czego innego odnosić. Przypuszczalnie wchodziła w to i sprawa polska, lecz w oskrzydleniu względów religijnych. Zauważyłem, że w umysłach młodych polskich księży katolickich w Ameryce pokutują idee reformatorskie. Sprawia to otaczające ich powietrze, swobodę myślenia w mózgi ludzkie wzywające. Wpływowi temu nie opiera się i wyższe duchowieństwo katolickie amerykańskie. Arcybiskup, głośny ksiądz Ireland, promotor angliczenia Polaków przez kościół, znanym jest z poglądów i dążeń liberalnych, nie wybuchających dla tego jeno, że w nim je cześć dla Ojca św., Leona XIII, powściąga.

Po odejściu księży nadeszli ob. ob. Prus, Nawrocki, Białd. Czekali na przyjazd mój w przystani obok tej, w której wylądowaliśmy — i ten rozminięcia się naszego był powód.

W Nowym-Yorku, obok wybrania się w podróż powrotną, trzy na mnie czekały czynności: zwiedzenie Domu Emigracyjnego św. Józefa, chrzciny i napisanie «Słowa Pożegnania» do wychodźstwa. Przed sobą miałem dni trzy, czy cztery. Statek, *Kaiser Wilhelm der Grosse*, wyruszał z portu 31-go października; ja zaś, jeżeli się nie mylę, w Nowym-Yorku d. 28-go t. m. stanąłem i w tymże dniu, pod przewodnictwem sz. ob. Nawrockiego, udałem się do Domu Emigracyjnego.

Dom ów leży nie opodal od zatoki portowej, przy ulicy, wycho-

dzącej na plac, na którym, na samym brzegu, wznosi się spora budowla, służąca do sortowania emigrantów, nasyłanych przez wszystkie Europę zamieszkujące narody. Tam ich ze statków przewozowych przywożą, tam pod względem zdrowia, piśmienności i posiadania conajmniej 30 dolarów gotówki egzaminują; stamtąd ich w świat na swobodę puszczają. Na wypuszczanych wychodźców czyhają, celem wyzyskiwania ich, rozmaici upowatnieni i nieupowatnieni agenci; czekają, dla ochronienia ich od wyzysku, przedstawiciele wychodźstw wszechnarodowych: włoskiego na Włochów, niemieckiego na Niemców, szwedzkiego, czeskiego, węgierskiego, etc. na Szwedów, Czechów, Węgrów i t. d. Na Polaków długo, długo nikt nie czekał. Wyzyskiwano ich bez miłosierdzia. Aż, lat temu mniej więcej dwanaście, publiczna na wychodźtwie opinia, wywołana jak się zdaje przez Związek Narodowy Polski, domagać się poczęła zapobieżenia temu. Domaganie się do duchowieństwa naturalnie i słusznie zwróconem było — słusznie, ponieważ: z jednej strony, obowiązek moralny, duszpasterski, nakazywał mu «owieczki» od zaprzepaszczenia bronić, z drugiej do owieczek tych odnosiły się względy materyalne, zapewniające księżom dochody donośne. Każdy na brzegu amerykańskim wylądowujący wychodźca polski przedstawiał sobą kokosz, co proboszczowi swemu złote niesie jaja. Moralne przeto i materyalne względy powoływały duchowieństwo do zaopiekowania się przybyszami z Ziemi Niewoli.

Duchowieństwo się nietylko samo tego nie domyśliło, ale długo głuchem na nawoływania się okazywało. Nieznane mi są szczegóły, tyżące się pierwotnego założenia i zorganizowania Domu emigracyjnego. Drogą publicystyczną i prywatną do wiadomości mojej dostawały się skargi, narzekania i krytyki. W Domu emigracyjnym bywało i dobrze i źle — częściej źle niż dobrze, niekiedy zaś bardzo źle tak, że dom stawał się nie przytuliskiem moralnem, ale jaskinią zgorzenia. Działo się tak w czasach, kiedy rząd nie ustanowił był jeszcze prawa, zakazującego wylądowywać w Stanach Zjednoczonych wychodźcom, nie posiadającym najmniej dolarów 30. Wówczas do Domu cisnęła się biedota bez grosza przy duszy i trzeba jej

było przytułek dawać. Przytułek bezpłatny ustanowiony był na dni trzy; w czasie tym administrator, którym był ksiądz, miał obowiązek wywiedzenia się o zapotrzebowaniach robotników i wyprawienia bezpłatnych pensyonarzy. W warunkach takich często zdarzał się brak pieniędzy — goście głodem przymierali. Gdy atoli zapadło prawo niewpuszczania do kraju emigrantów bezpiennych, w Domu emigracyjnym przyjmowani są pensyonarze za opłatą, wynoszącą dolara na dobę od osobnika pełnoletniego. Od dzieci płaci się mniej. Za dolara ma się mieszkanie i pożywienie całodzienne.

Nie to atoli stanowi główne instytucji tej zadanie. Zadaniem jej jest chronienie przybyszów przed tak zwanymi « łapichłopami » — agentami różnych przedsiębiorstw, polującymi na robotnika taniego. We względzie tym wychodźca polski, nieznający praw, ani zwyczajów, nieznający przytem języka krajowego, posiadał wszystkie, w gatunku najlepszym, bydła roboczego zalety. Postawionemu przy robocie chłopu dość było palcem wskazać, co ma kręcić, przesuwać, dźwigać, kopać, łuć, ażeby robota szła, bez potrzeby chodzenia dozorey z batogiem ustawicznie za robotnikami, jak się chodzi za wołem, koniem, osłem. Przeszkadzanie wyzyskiwaczy: — na tem głównie polegało i polega zadanie przełożonych w Domu emigracyjnym. Jest ono niezmiernie trudnem. Ułatwia je porozumiewanie się z agentami przedsiębiorstw pewniejszych i uczciwszych i zapewnienie sobie, do wydzierania ludzi z rąk wyzyskiwaczy, pomocy asystujących przy wylądowywaniu wychodźców policyantów.

Przy wydzieraniu chodzi szczególnie o pleć słabą: o młode mężatki i ładne dziewczęta. Te wabią nasadzeni na nie żydkowie z Polski.

— Chodź ze mną... chodź do pani... pani na ciebie czeka...

— Nie słuchaj go!... woła ksiądz. Idź tam, poczekaj... rozmówię się z tobą...

Wzbudza zaufanie żydek, znanym przemawiający językiem, przypominający Sruła lub Abramka z pod Wiechy. Wzbudza zaufanie ksiądz w sutannie. Zwykle górę bierze ten ostatni. Dziew-

czyna idzie w kierunku wskazanym do gromadki dziewcząt, nad którą czuwa opiekuńcze agenta policyjnego oko, aż wypuszczenie przesortowanych wychodźców ustaje. Wówczas ksiądz lub pomocnik jego gromadkę albo do Domu św. Józefa zabiera, albo odprowadza do jakiejś fabryki, do jakiegoś warsztatu, lub dorywczej roboty, potrzebującej czasowej pomocy kobiecej, ażeby później dziewczęta odpowiednio, bez niebezpieczeństwa dla nich, rozlokować.

Relację powyższą powtarzam według opowiadania księdza Swidra.

Dziewczęta niemały sprawiają kłopot. Łapichłopi wykradają je na drodze, gdy są na miejsce bezpieczne prowadzone. Zdarzyło się to na krótko przed mojemi Domu emigracyjnego odwiedzinami. Ks. Swider ku pomocy ma starca, inwalidę, zajętego udoskonaleniem mechanicznego jakiegoś wynalazku, mającego ogromne sprowadzić korzyści. Nieudaje mu się to pomimo, że nie odstępuje od stolika, przy którym ze struganych starannie patyczków buduje i przebudowuje maszynę swoją. Jemu to wykradzono dziewczynę z liczby kilku dziewcząt, które obowiązany był do jakiejś pralni, czy szwalni doprowadzić. Gdy mu wypadek ten wymawiają, odpowiada z niecierpliwością :

— Co mi tam dziewczęta!...

Ksiądz Swider oprowadzał nas po domu i pokazywał izby mieszkalne. Znaleźliśmy w nich czystość zadowalniającą. Osobno mieszkają mężczyźni, osobno kobiety. Dla tych ostatnich trzymane są przybory do prania i prasowania. W czasie odwiedzin naszych kobiet w zakładzie przebywało nie więcej jak pięć i mężczyzna jeden, ojciec z dwojgiem dzieci, oczekujący na statek, którym zamierzał do Europy wracać. Ksiądz mówił nam o jednym, co przyjechał, zainstalował się w Domu emigracyjnym, pomieszkał do odejścia statku do Europy i odjechał. Raz jeden przeszedł się po ulicy i... w Ameryce mu się nie podobało.

Domowe gospodarstwo w przybytku św. Józefa prowadzą zakonnice pod dozorem księdza, zależącego zapewne (zapomniałem o to zapytać) od biskupa diecezji miejscowej. Przełożony zakładu często

bywa zmieniany. Wątpię, ażeby przytułek dobrze na tem wychodził, — czy bowiem ksiądz Swider miał czas i możność dokonania zamiarów, o których wspominał: nabycia domu na własność i urządzenia go stosownie do wymóg higieny, szwankującej w tym, któryśmy zwiedzili? (*). Sprawa Domu emigracyjnego, stosownie urządzonego, o którymby w kraju, we wszystkich trzech zabiorach, ludzie wiedzieli, ważną jest dla wychodźstwa polskiego do Stanów Zjednoczonych, — ważną jest dla wychodźstwa i dla... księży.

* * *

W opowiadaniu mojem byłbym o chrzcinach krótko jeno i pobieżnie wspomniał, gdyby nie kum, postać typowa, z którą czytelników bliżej zapoznać warto.

W ciągu wędrówki mojej po Stanach Zjednoczonych, rozeszła się była wśród przyjaciół moich pogłoska, jakobym w Baltimore miał zamiar zaambarkować się do Europy. Dzięki pogłosce tej doszedł mnie od ob. Prusa list, domagający się, ażebym na Nowy-York wracał i zapraszający mnie w imieniu ob. Komorowskiego, ażebym syna tego ostatniego do chrztu trzymał. Nie mając zamiaru Nowy-York w podróży powrotnej omijać, nie miałem żadnej dobrej racyi ob. Komorowskiemu tej chrześcijańskiej nie oddać usługi.

Nie chrzest atoli na upamiętnienie w druku zasługuje, ale typowa sz. mego kuma osoba.

Przed ceremonią ob. Komorowski złożył mi w hotelu, w towarzystwie ob. Prusa, wizytę i *curriculum* życia swego opowiedział. To właśnie opowiadanie na typ go pasuje, — inaczej nic w nim osobliwego nie ma. Wygląda na lat czterdzieści parę, wzrostu średnio słusznego, silnie zbudowany, szatyn — oto rysopis jego. Po polsku mówi płynnie, z lekkim akcentem, zamiast polskiego «mocium panie», albo «mości dzieju», pomagając sobie wtrętem angielskim: *well*. Życie swoje opowiadał, jak niektórzy czytają, bez zatrzymywania się na przecinkach. Rodem jest z Królestwa,

(*) W rok może po powrocie do Europy dowiedziałem się o nieobecności ks. Z. Swidra w Domu św. Józefa.

z Kutna albo z Koła, jeżeli się nie mylę. Do Ameryki przybył, licząc wieku lat dwanaście. Przyszedł z kapitałem zakładowym, składającym się z paru rąk i ochoty do pracy. Pracował w dwóch fachach: marynarskim i elektrycznym. Że nie był z rodzaju tych pracowników, o których powiadają: «Maciek zrobił, Maciek zjadł», nie przejadał więc zarobków, i opłynawszy na okręcie światła sporo, znalazł się w Nicei z kaletą niepróżną i sercem niezajętym.

— To ja tam poznał taką jedną Włoszkę... no... *well*... I ona poznała mnie... Poznaliśmy się, ta ja wziął i ożenił się... no... *well*...

Żonatemu nie wypadło na pokładzie mieszkać. Wyszukał sobie służbę przy oświetleniu elektrycznym, zarabiał i składał, a gdy ojcem został raz i drugi, pomyślał, że jest Polakiem i, że dzieci jego Polakami być powinny. Jak to zrobić? Otoczenie angielskie, żona Włoszka, on, pracą zarobkową za domem zajęty, nie ma możliwości potomstwa swego od wynarodowienia uchronić.

— Jakżeż się ja sam uchował?... Tak, żem do dwunastego roku życia mego był w Polsce... no, *well*... Pomyślał ja, pomyślał i powiadam do żony: posprzedawaj ty wszystkie nasze sprzęty, nasze statki, zabierajmy dzieci i jedźmy do Polski... W Polsce... i ty się zrobisz Polką, i dzieci Polakami będą... Ona na to... co?... Ona na to: *well*... Tośmy się my zabrali i pojechali... wprost do Polski...

W podróży morzem i lądem przykrości i przeszkody nie doznali żadnej. Przejechali koleją przez Niemcy i dopiero na granicy... «halt!»

— Żołnierze... szable... brzęki... «Paszport!?...» Co?... ja na to... «Paszport!»... Jaki paszport?... Przecie ja z żoną i dziećmi wracam do siebie, do swego kraju, do Polski... Był to jakiś oficer, czy co, do którego ja mówił... On mi coś odpowiedział... ja nie zrozumiał... Ja do niego po angielsku, po włosku, a on głupi oczy na mnie wytrzyzczał... Aż nadszedł jeden, co po polsku mówił i ten mi powiedział, że mnie bez paszportu do Polski nie puszczą... Jakto!?... krzyknąłem: mnie nie złodzieja, nie rozbójnika, z żoną, z dziećmi jadącego; nie wpuszczą do polskiej

ojczyzny mojej?... « Tu żadnej polskiej ojczyzny nie ma »...: odpowiedział mi on... A król?... polski król?... « Nie ma króla polskiego... Jest imperator russki »... Jest imperator rossyjski i król polski... Tak się pisze... na własne czytałem oczy... Jest król, król mój, polski... Ja chcę do mego króla... Dajcie mi papier, pióro i kałamarz... niech no ja do niego napiszę...

Kałamarza, pióra i papieru mu nie dano, ale go do więzienia zamknęto; badano, do protokołów ciągnano; opłacać się różnym żydom i nie-żydom musiał. Wreszcie, mocno z grosza oskubanego Moskale wypuścili i z rodziną mu do rodzinnego miasta udać się pozwolili.

Ustęp opowiadania kuma o powrocie do gniazda, mimo że dużo by mu we względzie stylowym do zarzucenia było, wzruszył mnie i rozrzewnił.

— *Well...*—ciągnął dalej. Mówię żonie, dzieciom: jedźmy... pojechaliśmy. Przyjeżdżamy... Patrzą — wszystko niby tak jak było, niby nie tak... Stanęliśmy w zajeździe u żyda... Dzieci pytają o ten domek, w którym się urodziłem a o którym im opowiadałem... Poczekajcie... pójdziemy... *Well...* Idziemy... Drogę to ja zapamiętałem i, gdym do domku doszedł, to zrobiło mi się tak jakoś... tak jakoś... Ale nic... Wchodzę i powiadam, że to ja się tu urodziłem i chciałbym pokazać dzieciom moim tę izbę, w której stała kołyska moja... czy można?... « Można », odpowiada mi kobieta... To ja idę i... i... i...

Tu mu się głos załamywać zaczął.

— ... i... kiedym stanął na progu tej izby, w której stała ko... ko .. koły... ko...

Mówić dalej nie mógł. Łkanie mu wyrazi tłumilo. Odwrócił się, łzy ocierał.

I mnie łzy się do oczu pocisnęły.

Po chwili się uspokoił i opowiadanie ciągnął dalej.

Do Polski jechał z zapasikiem grosza w zamiarze założenia gospodarstwa rolnego. Uskuteczniению zamiaru tego przeszkodziło przyjęcie, jakie mu urzędnicy carscy urządzili na granicy. Nie mając za co gospodarstwa zaprowadzić, oglądać się musiał za

z Kutna alb
licząc wieki
składający
fachach :
pracowni
nie prze
znalazł
—
pozn
well
ż
sh
o
j

ob. Prusowiadał przezeń fuchy na nie mu się nie przydały,
nie wymagając wiadomości facho-
W Ameryce zajęcia podobne
mi obdartusa,
W Chicago pokazywano mi
rodzin polskich, który
ratuje się i znów w nędzę wpada,
przy zajęciach dorywczych. Do
szukał zajęcia jakiegoś. Szukając atoli,
nie wystarczy : do znale-
nie tylko go za obcego, ale i za
nie tylko go za obcego, ale i za

— Niedowiarek?... ja?... A toż co?... No... well... Zarazem
m pokazał, co ja za niedowiarek... Wzięłem i wypowiedziałem
się...

I to jednak nie pomogło. Zagroziła mu nędza. Napisał więc do
Nowego Yorku do przyjaciela swego, ob. Stanisława Prusa ; ten
mu posłał dwieście dolarów — i Komorowski do Ameryki powrócił.
Ob. S. Prus posiadał na własność farmę (folwark) w pobliżu miasta,
która ob. Komorowskiemu na wypłaty odstąpił. Kum mój, zamiast
w Polsce, w Ameryce się zagospodarował. Gospodarstwo dobrze
mu szło nie tylko we względzie dochodu, ale i w tym, że, nie
potrzebując się dla zarobków z domu wydalac, spoliczył żonę
i dzieci.

W czasie pobytu mego w Ameryce urodził się mu syn, do któ-
regu, z okazji korzystając, na ojca chrzestnego powołać zapragnął
ob. Prus, w dowód polskiego pułkownika». Pragnieniu jego stało
się udziałem. Pojechaliśmy koleją powietrzną dokądś — hen — na
przedmieście, czy za miasto, do jednej z parafii polskich i tam
w kościele, wspólnie z panią Prus, trzymałem do chrztu chłopca,
któremu nadano imię Zygmunt. Pochrześnik mój taki był ciężki,
izbył go był przy ceremonii na rękach nie utrzymał, bez czynnej
ob. Prusa pomocy. Jest nadzieja, że z tego Zygmunta, za sprawą
ojca, którego do Polski doznane przezeń w Polsce niepowodzenia

bynajmniej nie zraziły, dzielny wyrośnie Polak. Życzę tego i jemu i Polsce.

Ceremonia zakończyła się w domu państwa Prusów, u których stał się zwyczajny dawniej w Polsce cud: rozszerzenie się ścian dla gości — tylu się życzliwych państwu Prusom i państwu Komorowski wychodźców polskich płci obojej zeszło!

W Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej wytwarzają się typy, z których kilka zaledwie zauważyć miałem sposobność: golibroda w Chicago, eks-huzar w Filadelfii, kum w Nowym-Yorku. Wogóle w słuch mi wpadało kaleczenie mowy polskiej w pokoleniu młodem akcentem, w starem wtrącaniem zwrotów lub wyrazów angielskich. Naprzykład: «kuždy jeden» zamiast każdy; *lot*—kawalek gruntu na dom z ogródkiem, *blok*—dział kwadratowy w mieście, *warda* — dzielnica, *kierydz* — karetka, *kara* — tramwaj i t. d., i t. d.

* * *

Miło mi, bardzo miło ostatnie pobytu mego w Ameryce momenty wśród współrodaków upłynęły. Kilku z nich—szanownego i zacnego ob. S. Nawrockiego, Wł. Białda, Cieszewskiego, Renza — odwiedziłem w ich mieszkaniach. Pod przewodnictwem ob. Białdę zwiedziłem dwa salony polskie, z których w jednym, w izbie osobnej, zbiera się na obrady. Towarzystwo oświaty, pozostające natenczas pod prezydencją ob. St. Nawrockiego, oraz znajduje się biblioteka i czytelnia. Pod łaskawem przewodnictwem tegoż obywatela, złożyłem wizyty redakcyom dwóch pisemek polskich, wychodzących w Nowym-Yorku. Tytułów ich nie zapamiętałem. Jedno z nich, kościelne, za pomieszczenie miało istną norę, składającą się z dwóch izdebek w suterdach: w jednej, z oknem na ulicę wychodzącą, młodzieniec lat około dwudziestu, stojąc przy kaszcie, pełnił czynność zecerą; w drugiej przy stoliku siedzącemu redaktorowi przerwaliśmy robotę. W obydwóch nikt widocznie nie trudnił się zamiataniem podłóg, ścieraniem kurzu i zdejmowaniem pajęczyn. Widok ochędóstwa takiego objaśnił mnie dostatecznie we względzie moralnego wpływu i materyalnego położenia pisma. Niedługo też w redakcyi tej zabawiliśmy.

Druga, liberalna, przedstawiła się nam inaczej na — że się tak wyrażę — zewnątrz, przyjęcie nas bowiem odbyło się nie w lokalu redakcyjnym, ale w czystym i eleganckim salonie redaktora. Sz. redaktor, człowiek młody a poważny, przedstawił mnie żonie swojej i jej siostrze. O polskim w Nowym-Yorku dziennikarstwie albośmy — o ile przypominam sobie, nie mówili wcale, albośmy mówili bardzo mało z powodu, że nie potraçał tej materyi dla niewyrządzenia przykrości redaktorowi, redaktor zaś nie potraçał jej dla tego zapewne, że się czem pochwalić nie miał.

Dla dziennikarstwa polskiego Nowy-York zdaje się być ogrodem zakazanym. Nie wie dzie się mu nie dla braku fachowców i pisarzy zdolnych, ani też z powodu obojętności ogółu, ale dla jakiejś przy czyny nie wyjaśnionej. Nieboszczyk Juliusz Horain w r. 1871 próbował założyć tam ognisko publicystyczne i powodzenia nie uzyskał. Po nim próbowali inni. Obecnie p. Waclaw Perkowski, zasilający *Zgodę* chicagoską bardzo ciekawemi i ważnemi, z pism amerykańskich i angielskich wyciągami, p. t. «Co mówi o nas obca prasa», oraz pisarz bardzo zdolny, władający w prozie i mowie wiązanej świetnie językiem polskim, ob. Stanisław Nawrocki, mogliby we dwóch nadać pismu rzeczywistą, polityczną i literacką, wartość. Niewątpliwie około nich zgrupowałyby się redakcyja odpowiedzialna. Co im przeszkadza skojarzyć się w celu dziennikarskim?...

Z osobistości, z któremi się w Nowym-Yorku bliżej nieco zetknąłem, zanotować jeszcze winienem od lat paru z Polski przybyłego, Dra Łapowskiego, człowieka bardzo wykształconego i żywo się sprawami emigracyjnymi interesującego, z którym spędzony wieczór jeden miłe mi pozostawił wspomnienie.

Nie godzi mi się jeszcze jednego nie zanotować wspomnienia, jakie zatrzymuję w pamięci z racyi wizyt u redaktorów dwóch wpływ duży wywierających pism irlandzkich.

Irlandczycy, dzięki stosunkom wychodźstwa polskiego z wyższym narodowości irlandzkiej klerem katolickim, nie koniecznie są na Polaków łaskawi. Chcąc we względzie tym mieć *cœur net* — jak powiadają Francuzi — mówiłem o tem z pułkownikiem Smolińskim

i on dał mi do redaktorów listy polecające. Jeden z nich przyjął mnie bardzo uprzejmie, niemal serdecznie, sprawą polską się interesował i życzliwym się dla niej okazywał; drugi zaś oświadczył mi tonem, niedopuszczającym repliki, że Polacy pod panowaniem moskiewskiem bez porównania szczęśliwsi są, niż Irlandczycy pod angielskiem. Nie zdziwiło mnie to, ze względu na regułę polityczną, opiewającą, że: «Nieprzyjaciół nieprzyjaciół naszych są przyjaciółami naszymi». Z racyi tej samej Norwegczycy — nb. republikanie — w zająciach ze Szwecyą z sympatjami do Rosyi się zwracają. Racya ta tłumaczy, a po części może, z punktu politycznego⁴ usprawiedliwia zbrodnie, za które kodeksy kryminalne surowe wyznaczają kary, usprawiedliwia nawet Francycę, poniewierającą cześć narodową i republikańską przed samodzierzawną, carską Rosyą. Na usprawiedliwienie Irlandczyków — Ajryszami przez wychodźców polskich zwanych — to jeszcze przytoczyć można, że niewolę (?) ich surowo Anglii i Anglikom wymawiają, zadowoleni z «wolności» (?) przed panowaniem moskiewskiem, pruskim i austryackim, trójjohaliści nasi.

Do zanotowania z Nowego-Yorku mam jeszcze wieszczę późną, ofiarowaną mi przez spółziomków. Do wieszczery zasiadło osób 30—40, kobiety i mężczyźni. Przy deserze zabierali głos pp.: St. Nawrocki, Cieszewski i dr. Łapowski. P. Cieszewski zaproponował zawiązanie Towarzystwa ogniskowego, polityczno-etycznego, któreby stanowiło dośrodkowy punkt dla rozsypanego na ogromnej przestrzeni i gubiącego się w masie ludności kilkumilionowej wychodźstwa polskiego. Projekt ów, na razie przyjęty, nie wiem, czy następnie skutecznym został.

Był to ostatni w Ameryce, osoby mojej dotyczący, bardziej towarzyski, aniżeli polityczny, do zanotowania nadający się ewenement.

Nazajutrz wsiadłem na statek, serdecznie na pokładzie przez pozyskanych w Nowym-Yorku przyjaciół żegnany. W niejednego z nich oczach lzy widziałem. Rozstawałem się z nimi z tą rezygnacją, z jaką się rozstawać musiałem z tylu przedtem osobistościami, sercu mojemu drogiemi: z rodzicami, braćmi, siostrami, z krew-

Dru-
ga,
wyrzę-
redakcy-
redakc-
swojej
alboś
wili l
wyr-
dla

I
za'
zc
c

... Jednego z braci moich Moskale z rąk
... z kolegów ukochanych w oczach
... W szereg życia mojem nie mało rozstań
... Najbliższym w Nowym-Yorku było
... którego kocham i któremu rzucał
... przyszłości zapewnionej.
... długo jeszcze widziałem gromadkę
... dających mi znaki pożegnania
... wylądowałem w Cherbourg.

Kaiser Wilhelm der Grosse, większym od Grosse
i odrywającym pomiędzy Europą a Ameryką podróż
... aniżeli tamten, pisać nie będę. Rozkład taki
... sam, porządek także same, wygody także same, — jedno tylko, co
... było szczególnie ze strony obsługi po-
... sprowadzone przez otrzymane na pokładzie list reko-
... na którego kopercie nazwisku memu towarzyszył
... pułkownik. List ów wręczył mi płatnik, człek siwy, po-
... zachowywaniem się zdradzający byłego oficera pruskiego.
... i wyższa na statku służba na sposób pruski się akcento-
... w takim parweniuszowskiem jak Prusy państwie,
... pułkownika stawia człowieka na wyzynie, mającej pod sobą
... się mężowi rangą tą nacechowanemu tłumy, korzy-
... z przywileju, do którego najmniejszej nie miałem
... Rozstępowano się przedemną, miejsce mi czyniono,
... składano, nie wiedząc, że wobec takiego jak pruskie pań-
... taki jak ja pułkownik, należy do tego rodzaju dostojni-
... którym się nie kłaniają, ale lby na pieńku ucinają. To jedno
... się do zanotowania. Zresztą — trafiła się któregoś dnia bu-
... rza, z racyi której przy obiedzie, przy wieczerzy pustkami całe
... świeciły stoły. Burza opóźniła o godzin kilka nasze do Cherbourg'a
... przybycie. Przybyliśmy, wylądowali i... już.

W podróży z powrotem towarzysze nie sprawiali mi roztargnienia najmniejszego, nie wyjmując jednego—męża o postaci dystygowanej, którego podejrzewałem i podejrzewam, że był jednym z seniorów mormońskich i jechał z dwiema żonami, celem werbowania w Starym świecie wyznawców i wyznawczyń dla kościoła, mającego ludzkość odrodzić; nie wyjmując drugiego, ciemnego na obie oczy, który starał się zachwycać profanów popisami muzycznymi (na fortepianie) i wokalnemi. Nie sprawiali mi dystrykcyi towarzysze, nie sprawiał dystrykcyi ocean, nie sprawiła dystrykcyi burza, byłbym się więc zanudził z jakąś nabytą na wyjeździe książką w rękę, gdybym nie miał materyi do rozmyślania o odbytej wędrówce misyjnej.

Boć była to misya—ta wędrówka moja, misya wielce do odprawianych przez kościół misyi podobna, nie brakło jej bowiem na tem, na co Francuzi stworzyli wyrażenie techniczne: *mise en scène*, pod postacią pochodów (procesyi), w jakich ceremonialnie po miastach mnie przeprowadzano.

Misję, na mnie przez Ligę i przez związany z nią Związek Wychodztwa Polskiego włożoną, czysty cechował patriotyzm. Poprowadziła mnie ona do zetknięcia się w Ameryce z wychodztwem polskim — do zetknięcia się z wychodztwem całym, bezpośrednio atoli z tą onego częścią, która, zogniskowana w organizację pod nazwą Związku Narodowego Polskiego, wchłonęła w siebie ideę patriotyzmu polskiego dla Polski, całkowicie dla Polski, nie w narzędziem ale w celowym znaczeniu, w znaczeniu, nadanem mu przez założycieli (Lipińskiego, Andrzejkowicza, Popielnickiego), ugruntowanem następnie przez członków wybitniejszych (Gryglaszewskiego, Jabłońskiego, Sadowskiego i in.)

Z tą częścią wychodztwa bezpośrednio się zetknąłem i znalazłem skład jej o tyle od składu społeczeństwa w Polsce odmienny, że brak mu tej warstwy, co za czoło społeczeństwa uchodzi. Inne warstwy wszystkie reprezentowane są w Ameryce. Lecz z braku tej, co za czoło uchodzi, wynika brak spojonego z nią węzłem rodzicielskim przedstawicielstwa moralnej i intelektualnej narodu polskiego wartości — tej na polach wojennem, naukowem,

literackiem, artystycznym okazanej wartości, którą się wyraziła w odniesieniu do ludzkości cywilizacyjna Polski przydatność. Tego istotnej inteligencji przedstawicielstwa brak wychodztwu. Składa się ono z dwóch warstw społecznych: rzemieślniczej i robotniczej. Warstwa rzemieślnicza, wychodźcy, po większej części, z zaboru pruskiego, z których rzadki szkoły miejskiej nie skończył, nosi miano i odegrywa rolę inteligencji. Wśród niej przerzucają się tu i ówdzie osobniki, co przez wyższe przeszli szkoły. Ci tworzą kwiat inteligencji, bardzo dobry wywierają wpływ, są we względzie intelektualnym pożyteczni, a byłiby jeszcze o wiele pożyteczniejsi, gdyby bardziej życzliwie przyjmowali inteligentów, przybywających z innych rozebranej Polski dzielnic. Tłumaczy się to psychologicznie wedle następującego znanej piosnki dwuwiersza:

« Każdy i zawsze i wszędzie
Myśli, że jest w wyższym rzędzie. »

W sposób ten wyraża się pospolita słabość ludzka, z jednej strony — nie licująca z pokorą chrześcijańską, z drugiej — przynosząca społeczności polskiej w Stanach Zjednoczonych szkodę nie małą przez to, że zraża ludzi wykształconych, którzy nie w Berlinie, ani we Wrocławiu wykładów profesorskich słuchali. Trudno temu zapobiedz i potrzeba liczyć na to, że wychodztwo wyleczy się z tego, gdy z jego łona wyjdzie zastęp inteligencji, odpowiednio przysposobionej do czynienia zadość moralnym i intelektualnym wychodztwa polskiego potrzebom. Dziś ich można jeszcze na palcach policzyć. Coraz jednak przybywają nowi.

Polskę wychodztwo polskie w Stanach Zjednoczonych z dwóch obchodzi względów: ekonomicznego i politycznego.

Ze względu ekonomicznego korzyść, jaką ono krajowi przynosi, polega na wyswobodzeniu kraju od zbytku ludności. Na wyswobodzenie to uskarżają się ci, co taniego potrzebują robotnika. Lecz potrzeba pracodawcy ustępuje wobec potrzeb pracownika, nie będącego w możności zarobić na wyżywienie siebie i rodziny. Na punkcie tym względ ekonomiczny łączy się ze względem filantropijnym i wyraża się życzeniem, ażeby ludność, opuszczająca zie-

mię rodzinną, znalazła gdzieindziej wygodniejsze, aniżeli w ojczyźnie warunki życiowe. Gdzie? — to mniejsza. Dla filantropii wszystko jedno: Stany Zjednoczone, Kanada, Brazylia, czy Argien-tyna, Ameryka, Afryka, Australia czy Azja.

Względy polityczne kwestyę tę stawiają inaczej. Wobec nich pytanie: « gdzie? » — szczególnej nabiera wagi.

Szczególnej wagi nabiera ono w oczach Polaków nie ugodowców, nie trójlojalistów, nie doktrynerów specjalnych, ale tych, co sprawę polską traktują z tego punktu, z którego ona strąconą została: z punktu państwowego. Z punktu tego nie tylko ma ona prawo, lecz powołaną jest do bytowania niezależnego, obchodzącego nie samą jeno Polskę, nie wyłącznie Europę, ale — skutkiem rozszerzenia w czasach ostatnich (w drugiej wieku XIX połowie) horyzontów politycznych — całą kulę ziemską.

Tak... Rozszerzenie horyzontów politycznych, dzięki rozwojowi polityki kolonialnej, skomplikowanej spółzawodnictwem pomiędzy dwoma imperjalizmami: rosyjskim absolutycznym, szczepiącym niewolę, a angielskim, niosącym swobodę federalistyczną, pociąga za sobą (jeżeli Anglia ma ochotę nad Rosyą tryumfować), konieczność umoralizowania polityki. W konieczności tej, interesującej ludzkość w ogóle i naród każdy (moskiewski nawet) z osobna, sprawa polska, wobec której etyka polityczna w sposób zbrodniczy a najbezczelniej zgwałconą została, główną, pierwszorzędną, najważniejszą odegrywa rolę. Zachodzi przeto pytanie: gdy nadejdzie ta pora, że dwie te potęgi, od których przyszłe ludzkości losy zależą, za bary się wezmą, z którą z nich sprawa polska sprzymierzyć się ma?... Zdaje się, że dwóch na pytanie to nie masz odpowiedzi. Zachodzi jednak pytanie jeszcze jedno: w jaki przymierze polskie sposób wyrazić się może?

W razie ostatecznym nie w inny chyba, jeno w taki, w jaki się wyraziło pod wodzą Dąbrowskich i Kniaziewiczów, Wysockich i Bemów, którzy Legionistów polskich przeciwko zaborcom Polski prowadzili. Legiony zaś w momencie, w którym spółdziałanie ich potrzebnem się okaże, nie w Brazylji, nie w Argentynie, nie gdzieindziej, jeno w Ameryce Północnej niezależnej lub angielskiej pole do formowania się dla siebie znajdują.

Brutalna pomiędzy dwiema temi potęgami rozprawa nie rychło zapewne nastąpi. Rosya krytym sztychem podsuwa się na bliskim i dalekim Wschodzie ku Anglii, licząc na to, że jej na polu kolonialnem zakusy rozognią konkurencyjny ze strony tak Francyi jak Niemiec antagonizm i popchną dwa te państwa, bądź każde z osobna, bądź w przymierzu, do wojennej przeciwko niej akcji, która ją osłabi i osłabioną na pastwę Rosyi wyda. Rosya na to czeka. Francya, na Faszodzie sparzona, pieniądze Rosyi daje, nie rwie się jednak z hazardowaniem floty swojej. Władca Niemiec zdobył się na poszczucie przeciwko Anglii Boerów ; lecz nie zdobył się na odwagę poparcia ich sprawy na drodze jeżeli nie orężnej, to dyplomatycznej, — ogląda się za poważniejszymi niż oni sprzymierzeńcami. A Rosya czeka cierpliwie na to, co nastąpić musi i, czekając, powoli, dobrodusznie się pod antagonistkę podsuwa w zamiarze dobitcia jej, gdy powaloną zostanie.

Że Rosya nie jest nieomylną, to rzecz przypuszczalna ; że Anglia o planach i rachubach Rosyi wie, to wątpliwości nie ulega : stąd wynika możliwość zmian w oryentowaniu się, oraz zawodów dla niej na drodze politycznej.

Do niepowodzeń zaborców Polski na drogach zarówno militarynych, jak politycznych, a nawet i dyplomatycznych, w znacznej mierze przyczynić się mogą Polacy pod warunkiem, jeżeli wytrwale, celowo, a umiejętnie sprawie polskiej wszędzie, gdzie nieprzyjaciół jej wpływy i stosunki sięgają, będą służyli.

Służba ich Polsce nie może się na działalności w kraju ograniczyć, nie tylko dla tego, że sprawa polska jest sprawą europejską, ale i dla innych ważnych powodów. Dzięki troskliwości dozorców naszych najserdeczniejszych, niemożliwym jest dla nas trzymanie na gruncie polskim naszych rezerw tak rzeczowych jak ideowych. Wkraju nie masz na Skarb Narodowy miejsca, nie sposób otwarcie i szczerze na rzecz sprawy polskiej pracować, — swoboda druku nawet, w jednym zaborze ograniczona bardzo, w drugim jeszcze bardziej, w trzecim nie istnieje wcale. Obok tego staranne przez zaborców knowań ich maskowanie utrudnia zapobieganie zamyślanym przez nich zamachom. W kraju przeto możliwą jest tylko

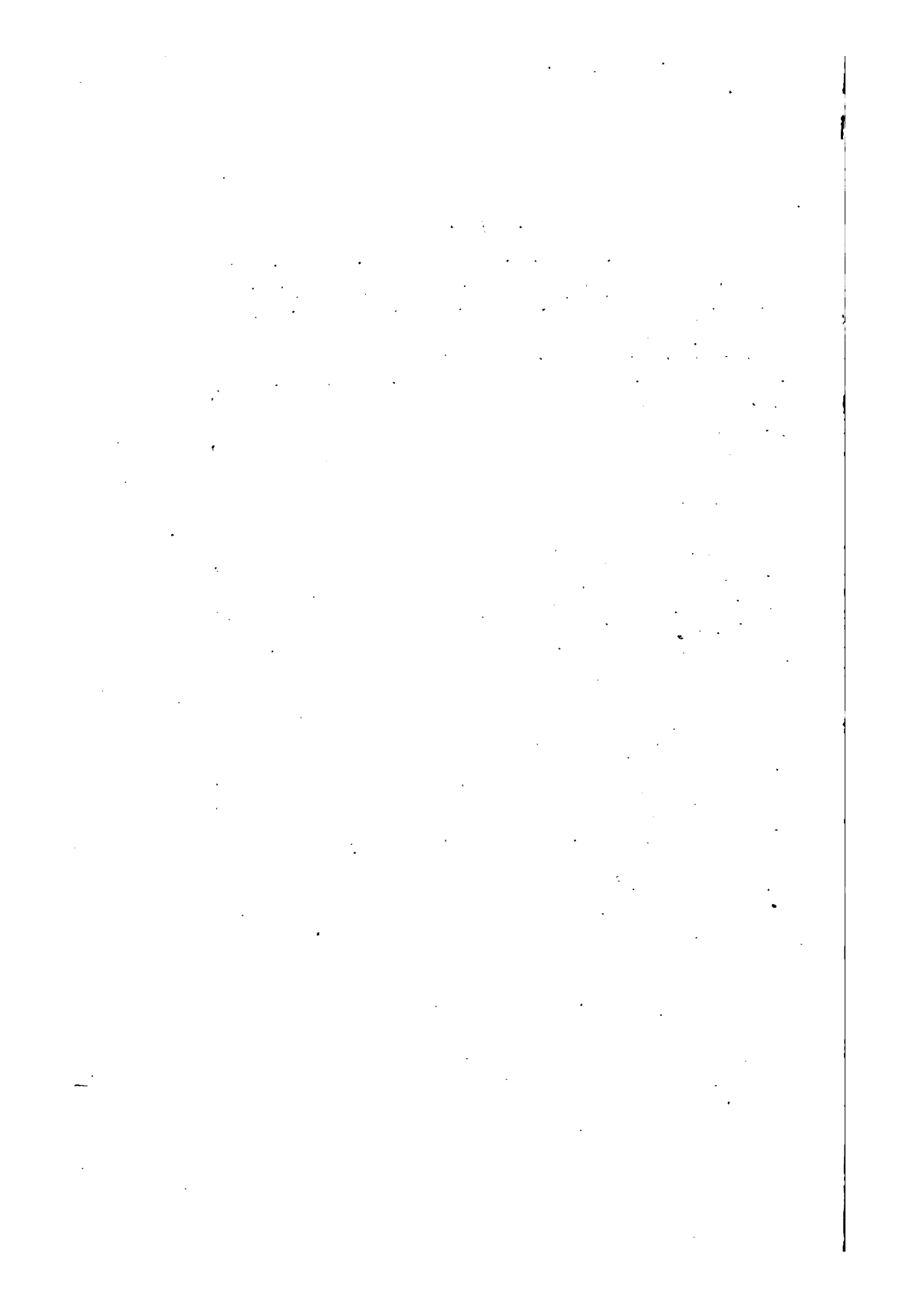
obrona narodowości i to nie jawna ze względu na materialne i intelektualne prześladowanie narodu polskiego w pruskim i moskiewskim zaborach, na duchowe i moralne gniesienie w austriackim.

Obok obostrzeń i trudności ze strony zaborców, — szczepiona i szeroko przez różnego gatunku i kalibru doktrynerów, tchórzów, stańczyków i telimeńczyków propagowane bałamuctwa, to sprawiają, że wychodztwo polskie ważnym było i dziś jest czynnikiem, oraz nieodzownem w pracy dla Polski uzupełnieniem. Bez niego — bez wychodztwa w Europie i Ameryce — nie mogłaby sprawa jej posiadać ani tego charakteru państwowego, jaki się jej należy, ani tego znaczenia międzynarodowego, jakie jej wychodztwo nadaje. O tem ostatniem świadczył udział osób urzędowych w owacyach, jakie w osobie mojej sprawie polskiej spółziomkowie moi czynili, — poświadczyło zainteresowanie się misją moją prezydenta olbrzymiej i do odegrywania wielkiej a ważnej w świecie roli powołanej rzeczypospolitej amerykańskiej (*). Mocarstwo to w gronie obywateli swoich liczy obecnie Polaków dwa miliony.

Polska ma prawo i powinna na nich liczyć. Rozumieniem i uczuciem lgną oni w momencie obecnym do sprawy polskiej i, ze względu na kiełkujące uświadomienia patryotycznego zasiewy, nie zapomną o niej w przyszłości — w tych nawet pokoleniach, które albo słabo będą władały, albo wcale władać nie będą ojców, praojców językiem.

Chodzi o to, ażeby kraj nie zapominał o nich: ażeby te organizacje patryotyczne, co broniąc czynnie narodowości polskiej, głównie na celu niepodległość Ojczyzny mają, nieustającą z nimi utrzymywały styczność. Nieodzownem to jest dla tego, że i oni są bałamuceni — i wśród nich nurtują mocne prądy, usiłujące dusze ich i serca dla Ojczyzny zobojętniać.

(*) Dwa fakty: wysłanie po powrocie z mojej do Stanów Zjednoczonych misji brata swego w misji takiej samej, oraz ofiarowanie posągu Fryderyka W. po wyjednanu przez pułk. Smolińskiego postawienia pomnika Kazimierzowi Pułaskiemu, utwierdzają w przypuszczeniu, że Wilhelm II w pierwszym razie naśladował Ligę Narodową Polską, w drugim pomysłem pułk. Smoliński go natchnął.



Odjeżdżając, do polskiego w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej wychodźstwa wystosowałem :

SŁOWO POŻEGNANIA.

Przed wyjazdem do Europy winienem spółbraci mojej w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej na piśmie wypowiedzieć w streszczeniu to wszystko, o czem im w mojej po większych wychodźstwa polskiego zbiorowiskach wędrownie żywem mówiłem słowem. Winienem im to, nie tylko jako dłużnik za gorącą, serdeczną gościnność jakiej od nich doznałem, ale zwłaszcza jako wysłaniec tych ze Starego Kraju (z Polski i z po za jej granic w Europie) organizacyi politycznych, co Polskę kochają, o Polsce myślą, dla Niej na drodze rzetelnie demokratycznej pracują, o Nią walczą, za Nią cierpią i w Nią wierzą.

W imieniu Związku Wychodźstwa Polskiego i Ligi Narodowej stawić się miałem w roku zeszłym (1899) na sejmie Związku Narodowego Polskiego w Grand Rapids. Choroba obłożna przeszkodziła spełnieniu zamiaru tego. Dokonałem go obecnie nie odpowiednio zapewne do chęci moich, ale w miarę jak mi na to dozwoliły z lat dawniejszych pozostałe umysłowe i fizyczne siły.

Co właściwie zadania mego istotę stanowiło? Na zapytanie to odpowiadam bez ogródki, jak na każdym mówiłem zebraniu : « Sprawa polska łącznie ze Skarbem Narodowym ».

Instytucya ta, założona w celu obrony czynnej sprawy polskiej — « obrony czynnej », to jest takiej, która, torując niezbędną do wyzwolenia Polski rozprawy orężnej drogę, paraliżuje wynarodowiające Polaków zaborców usiłowania — stała się w czasach ostatnich symbolem patriotyzmu polskiego, widocznym wiary w Polskę znakiem, rękojmą ciągłości sprawy, spychanej z porządku dziennego przez wrogów, podrywanej przez tych, co « dają Ojczyźnie

pół duszy». Skąd to poszło? Skarb Narodowy ma wrogów i przeciwników. Wrogami jego, obok zaborców, są Polacy, zaliczający się do stronnictwa tak zw. «trójlojalistów», dla których sprawa polska nie istnieje a podnoszenie jej w jakibądź sposób jest zbrodnią stanu. Skarbowi Narodowemu sprzeciwiają się różnego kalibru i rozmaitych odcieni ugodowce. Uważają go oni za szkodliwy ze względu na to, że przeszkadza porozumieniu się z zaborcami, którzy, mówiąc nawiasem, o żadnym porozumiewaniu się słyszeć nie chcą, domagając się od nas jednego tylko, a to, poddania się bezwarunkowego, czyli, zgody z losem, wykluczającej wszelką na jakąkolwiek Ojczyznę naszej samoistność nadzieję. Obchodzi ich nie nasz, ale ich interes.

Rodzaj jeszcze jeden przeciwników Skarbu Narodowego stanowią liczni, niestety, półśrodkowce — czy jak ich tam nazwać. Dó ugodowców przymykają oni bardzo z bliska. Ci nadziei nie tracą, — mówią o niej jedni mniej, drudzy więcej szczerze i poprzestają na pracowaniu dla narodu na drogach względnie a warunkowo pomocniczych. Z dróg tego rodzaju najważniejszą jest edukacyjna, naukowa. Potęgowałaby ona ogromnie patriotyzm polski, gdyby niektórzy z kroczących nią nie twierdzili, że fundusz Skarbu Narodowego jest «marnotą» w porównaniu z funduszami, gromadzonymi na szkoły i szkółki polskie.

Pożyteczności ogromnej i ważności wielkiej szkołom i szkółkom nie zaprzeczamy; pożyteczność edukacji uznajemy. Edukacja jednak zależy od kierunku. Jaki zysk dla Polski krzeszą Moskale, Prusacy, Austriacy w znajdujących się pod ich kierownictwem szkołach?... Jaką korzyść odniosła Polska z edukacji, wprowadzonej do niej w XVII i XVIII wiekach przez Jezuitów?... Jaką korzyść odniesie Polska z dzieci w polskim języku nauczanych, że Polakiem nie może być kto inny tylko katolik, że ziemska ich ojczyzna jest niczem w porównaniu z niebieską, że osobista w życiu przyszłym pomyślność ważniejszą jest, aniżeli zbawienie ojczyzny, że grosze ofiarowane dawać należy raczej na świętopietrze, aniżeli do Skarbu Narodowego?... Owóż Skarb Narodowy, owóż Instytucyi tej idea, wykazująca wolność i niepodległość Polski, stawiana

na widowni w szkołach i w szkółkach, w Starym Kraju potajemnie, za granicą jawnie — sama ta idea nadaje edukacji kierunek. Srodze błędzą, a nawet grzeszą względem Polski ci, co tego nie widzą i nie uznają. Jedni świadomie, drudzy nieświadomie pozbawiają Polskę sił, na które ona liczyć ma prawo.

Ma przeto Skarb Narodowy wrogów i przeciwników, szkodzących mu szczególnie w Starym Kraju, gdzie pomagają im rządy zaborcze, zabraniając jaknajsurowiej dziennikom o instytucji tej wspominać! Z powodu tego, jakoteż z tej racji, że obrona czynna wymaga ciągłych i natychmiastowych wydatków, kraj szczupły, jeno w pomnażaniu funduszu skarbowego udział brać może. Poborcza w Polsce działalność połączoną jest z ogromnemi, nierazko nie do przełamania trudnościami. Idzie ona jednak raz żywiej, znów słabiej, wynikając z działalności obrończej, nie ustającej na chwilę, a prowadzonej przez ogarniającą Polskę całą organizację, zwaną Ligą Narodową.

Historja Ligi Narodowej w krótkich skreślić się da wyrazach. Zawiązała się ona w momencie, gdy duch narodowy, zgnębiony klęskami lat 1863—64, odzyskiwać począł hart i odzyskał ochotę do dalszej z najazdem walki. Do prowadzenia walki potrzebnym jest ład celowy. Cel — wolność i niepodległość — nie dał się szukać; ładu wzór znalazł się w zapomnieć się nie dającym Rządzie Narodowym. Wedle wzoru tego stanęła organizacja pod nazwą zrazu Ligi polskiej, następnie Ligi Narodowej i rozpoczęła prowadzoną już do dziś przez lat kilkanaście działalność na zasadach demokratycznych, ludowych. Działalność ta, stosowna do warunków miejscowych i czasowych, posiada charakter obrończy; prowadzi ona « politykę obrony czynnej » to jest takiej, która w razie danym zmienić się może w zaczepną. Obrona w momencie obecnym polega szczególnie na paraliżowaniu usiłowań rządowych w zakresie wychowawczym przedewszystkiem — na zubożeniu trucizny, zadawanej przez rządy zaborcze dzieciom naszym i ludowi. Na polu tem pomiędzy Ligą a rządami państw, co Polskę rozszarpały, toczy się walka zażarta, na chwilę nieustająca, zaznaczająca się ze strony naszej ofiarami licznymi... ginących za Polskę.

Bez walki Polski nie wyzwolimy ; bez ofiar niemasz walki ; walka wymaga środków, dla których Skarb Narodowy ustanowiony został.

Istotę Skarbu Narodowego określa Ustawa, wedle której fundusz skarbowy pozostaje pod dozorem Komisji, wybranej początkowo przez Związek Wychodźstwa i następnie uzupełniającej się drogą doboru w razie ubytku w komplecie, składającym się z członków pięciu. Komisya w dwóch tylko wypadkach kapitał naruszyć może: na cele jawne, przynoszące widoczne korzyści sprawie narodowej, przedyskutowane w prasie przynajmniej emigracyjnej (§ 23); w chwili stanowczej akcji politycznej całego narodu, dążącej bezpośrednio do zdobycia zupełnej lub częściowej niepodległości Polski. W pierwszym wypadku naruszalną jest 1/10, w drugim 3/4 części kapitału (§ 24). Poza tem Komisji przysługuje prawo udzielania corocznie z procentów 2/3 organizacji politycznej, zajmującej w życiu politycznem narodu stanowisko podobne do organizacji Komitetu Centralnego z r. 1862 (§ 22).

Wszystko, co powyżej, mówiłem i powtarzałem na czyniących mi zaszczyt licznych zebraniach spółziomków, zamieszkujących Stany Zjednoczone. Mówiłem oraz i powtarzałem, że fundusz skarbowy ani w kapitale, ani w odsetkach na żadne stypendya, na żadne zapomogi, na nic nie idzie i iść nie może innego, tylko wyłącznie i jedynie na czynną sprawę polskiej obronę. Com głosił ustnie, powtarzam teraz na piśmie i wzywam Związek Narodowy Polski o wysłanie w roku przyszłym, w miesiącu sierpniu, do Rapperswylu kontrolerów, ażeby słowa moje na gruncie sprawdzili. W ten — spodziewać się należy — sposób postawi się tamę plotkom, szerzonym na szkodę instytucji, która bądź co bądź droga dla serca i świętą w oczach Polaka każdego być powinna.

W przemówieniach moich wzywałem wchodzące w skład Związku Narodowego Polskiego grupy do opodatkowania się na rzecz Skarbu Narodowego, a to dlatego, ażeby datkowaniu składkowemu nadać charakter obowiązkowy. Winniśmy Ojczyźnie służbę, — pełni ją nie z łaski, lecz z obowiązku. Niech Związek Narodowy Polski da z siebie w sposób ten przykład pozazwiązkowym orga-

nizacyom i towarzystwom za granicą i w kraju!—niech wychodźczy na obronę sprawy polskiej podatek stanie się stałym na czas cały, póki Polska w niewoli pozostawać będzie.

Nie wątpię, że wezwanie moje posłuch w Ameryce znajdzie. Pewność we względzie tym opieram nie na obietnicach tylko, lecz na faktach—na faktach, do których z chlubą zaliczyć mogę gromadę braci Litwinów, co do datkowania na Skarb Narodowy, pod przewodem swego zacnego duszpasterza, przystąpiła. Dzięki im za to serdeczne składam, z faktu tego wnioskując, że jak przed słońcem znika tuman porankowy, tak wobec wspólnej Ojczyźnie naszej służby zaniknie sztucznie przez wspólnego nam wroga pomiędzy Polakami a Litwinami, pomiędzy Polakami a Rusinami wywoływana i podżegana niezgoda. Polska, w przeszłości wadliwie urządzona rzeczpospolita federalna, charakter ten, przy urządzeniu poprawnem, zachować winna na przyszłość dla rzeczypospolitej federalnej polsko-litewsko-ruskiej.

Przypominam moim w rozmaitych Stanów Zjednoczonych miastach słuchaczom, że zwracałem się do nich, wzywając ich do spółdziałania z krajem na drodze politycznej. Nie wiadomo, jak się to spółdziałanie wyrazić będzie mogło. Ogólny kwestyi politycznych nastrojów wnioskować każe, iż prędzej czy później przyjdzie do zawikłań, w których otworzy się dla Polaków sposobność, czy to do zabrania głosu, czy też do wystąpienia z bronią w garści. Może, ze względu na to, że potężna północno-amerykańska rzeczpospolita wzięsza się już czynnie do spraw europejskich, wychodztwu polskiemu w Stanach Zjednoczonych pierwsza w udziale przypadnie rola. Ewentualność tę prawdopodobnemi czynią rozmaite, do ciśniętej na dalekim Wschodzie (Chiny) do ogryzania kości, apetyty.

Gdyby pomiędzy Stanami Zjednoczonymi a głównym wrogiem naszym, Moskwą, do orężnego przyszło starcie — czyżby w tych milionach Polaków, osiadłych w Stanach Zjednoczonych, w tych milionach obywateli amerykańskich, wszyscy, czy to świeżo przybyli, czy też dawno od dziadów, pradziadów zamieszkali, do noszenia broni zdolni, do pierwszych nie pocisnęli się szeregów, na pierwszy nie ruszyli ogień?... Co?...

Wypadkowość ta, ta bardzo możliwa ewentualność, nakazuje wam, bracia moi, wierność tej nowej ojczyźnie waszej, co wam wolność i chleb dała, łączyć z wiernością ojczyźnie starej, której grunt kości i krew ojców, praojców naszych użyźniają. Podwójna ta wierność nie pociąga za sobą służby dwom panom, będzie to bowiem służba Pułaskiego, co za Stany Zjednoczone Ameryki Północnej walczył i zginął, Kościuszki, co się do ich wyzwolenia z orężem w rękę przyczynił. W nich dwóch, Polakach wielkich, bojownikach za polską i amerykańską wolność, macie wzór. Idea wolności i niepodległości narodowej jest jedną i jedną dla wszystkich na całej kuli ziemskiej. Służąc idei tej w Ameryce wolnej, służycie Polsce w niewoli pozostającej.

Stąd wynika dla was obowiązek starania się o uczynienie służby waszej jaknajowocniejszą. Owocność we względzie tym daje nauka. Niech przeto dzieci wasze z bogacają umysły swoje w szkołach naprzód polskich, ażeby w głowach ich ugruntowała się pamięć o Polsce, w sercach miłość dla ojczyzny uciśnionej, następnie w stanowych, wyższych i najwyższych, któreby je usposabiały do oddawania społeczeństwu krajowemu usług radą i czynem.

Nauka jest rzeczą ważną, bardzo ważną. Z nią łączą się ściśle rozrywki godziwe, wywierające wpływ, jaki wiedza na umysł wywiera. Do rozrywek rodzaju tego należą wszelkie ćwiczenia gimnastyczne, zbiorowe zwłaszcza. Na przyjęciach, jakimiście mnie zaszczycali, oglądałem oddziały umundurowane i uzbrojone; oglądałem ćwiczenia sokolskie i ćwiczenia wojskowe, artyleryjskie, wykonywane bardzo dobrze. Świadczy to, że nie zaszła u was żyłka, nie wygasła wrodzona Polakom ochota żołnierska. W czasach, które przeżywamy, przy świeżych wspomnieniach o zwolaniu lat temu parę przez cara, dla zapruszenia ludziom i ludom óczów, kongresu pokojowego w Hadze, ta ochota wasza na całkowite zasługuje uznanie. Burze wojenne wiszą nad ludzkością — grożą jej.

Wobec groźby tej ćwiczcie się wojskowo, ażebyście nie zostali zaskoczeni zniemacka. Pozwolę sobie jeno dać wam we względzie tym radę, czy wskazówkę. W ćwiczeniach uwagę szczególną

zwracacie na strzelanie z broni ręcznej, na służbę tak zwaną « tyralierską », przy której gimnastyka jest niezbędną. Zakładajcie przeto towarzystwa strzeleckie i gimnastyczne (sokolskie), albo strzelecko-gimnastyczne. Wypadną wam one taniej, aniżeli huzarskie, ulańskie, dragońskie szwadrony i więcej przyniosą korzyści. Szybkostrzelny a dalekonośny karabin pozbawił jazdę tego jakie dawniej miała znaczenia, — wziął w bitwach połowych górę nad artylerją nawet. Niech więc wydatek na karabin zastąpi wydatki na piękne, lecz kosztowne mundurki. Taniłość do szeregów gimnastyczno-strzeleckich sprowadzi członków ilość znaczniejszą, przyczyni się do stowarzyszenia się Polaków szerszego i przez to do utrzymywania i potęgowania w wychodźstwie naszym ducha polskiego.

Duch polski wśród was, bracia — to grunt. Chodzi o to, ażeby grunt ten utrzymywał się wśród was nie tylko w momencie obecnym, ale i na przyszłość, w pokoleniach następnych, w takim nawet razie, gdyby wnuki i prawnuki wasze język dziadów swoich zatracili. Dzieje się to u Żydów, dzieje u Irlandczyków: Żydzi, przyjmując język narodów, wśród których przebywają, Irlandczycy, zatracając dla mowy angielskiej mowę praociców swoich, nie przestają jednak ci myślą i uczuciem ku Jerozolimie ciężyc, ci wrogo się do Anglików, w których języku myślą i mówią, odnosić.

My — Polacy — gorszymi, czy też niższymi od jednych albo drugich być mamy?... Wątpliwości nie ulega, że duch polski w następnych wychodźców przechowa się pokoleniach, jeżeli, nb., pokolenie obecne o to się postara, dla dzieci, wnuków, pra-prawnuków swoich przysposabiając ogniska, które ich łączyć będą. Ogniskami takimi są: wspólną stanowiące własność pomieszczenia instytucji i stowarzyszeń, sale i hale do ćwiczeń, popisów artystycznych, balów, wystaw, zgromadzeń etc., czytelnie, biblioteki, muzea, domy (jak dom związkowy np.), szkoły, kościoły, rzetelnie polskie. Zakłady takie skupiać będą właścicieli w pokoleniach najpóźniejszych. Trzeba się o nie postarać.

Nie przyjechałem bynajmniej do Ameryki w sprawach kościelnych, ale w interesie sprawy, potrzebującej i wymagającej wspól-

J. Durski,

188 Pierre Ave., Garfield, N. J.

— 266 —

działania wszystkich dzieci krainy, co historyczną Polski nazwę nosi i hoduje narodowości, mówiące językami różnymi i wyznające wyznania religijne i religie rozmaite. Oficjalnie posłannictwo moje ograniczało się do Związku Narodowego Polskiego, nie wykluczając atoli ani odrzucając żadnych poza związkowych organizacyi, stronnictw, wyznań. Miałem prawo, ba obowiązek iść do wszystkich, co mnie w imię Ojczyzny dla sprawy polskiej wzywali. Wezwany szedłem wszędzie, do zależnych i niezależnych, w tem przypuszczeniu, że święte imię Ojczyzny jest tym punktem, na którym Polacy schodzą się i godzić się mogą i muszą.

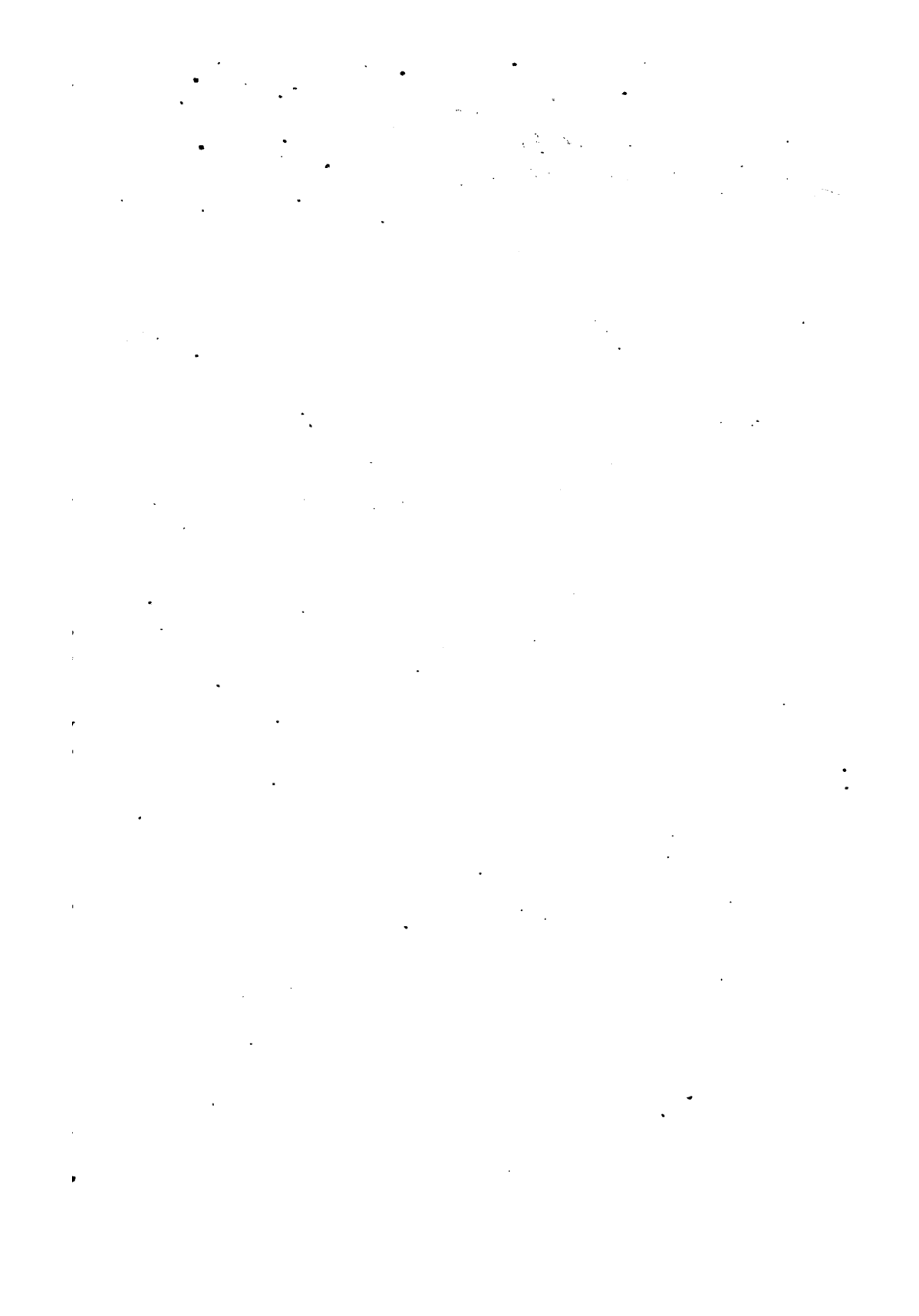
Niestety, zawiodłem się — zawiodłem się srodze. Zgodę ofiarowano na punkcie parad, służących ku ozdobie przyjęć, jakimi osobę moją we wszystkich, gdzie się zatrzymywałem, miastach współziomkowie szczytali. Ofiara atoli pewnej ich części była warunkową. Wymagali odrzucenia niezależnych, jako — wedle wyrażenia się jednego z kapłanów — «zbrodniarzy, zdrajców». Nie przyjąłem warunku tego, w dwóch, czy w trzech stawianego mi miejscowościach. W tem — temu chyba kazuiści teologiczni nie zaprzeczą — naśladowałem Chrystusa: szedłem, dokąd mnie wzywano. Polacy rzetelni, patryoci niepodejrzani, przyjęli mnie, ugościli i Ojczyznę, w srogiej pozostającej potrzebie, wspierać przyrzekli. Z przyrzeczeniem tem, w przekonaniu, że się ono w czyn zmieni i potrwa póty, póki Polska wolności nie odzyska, wracam do Europy, niosąc słowa otuchy tym, co na gruncie polskim sprawy polskiej z narażeniem mienia, wolności i życia bronią.

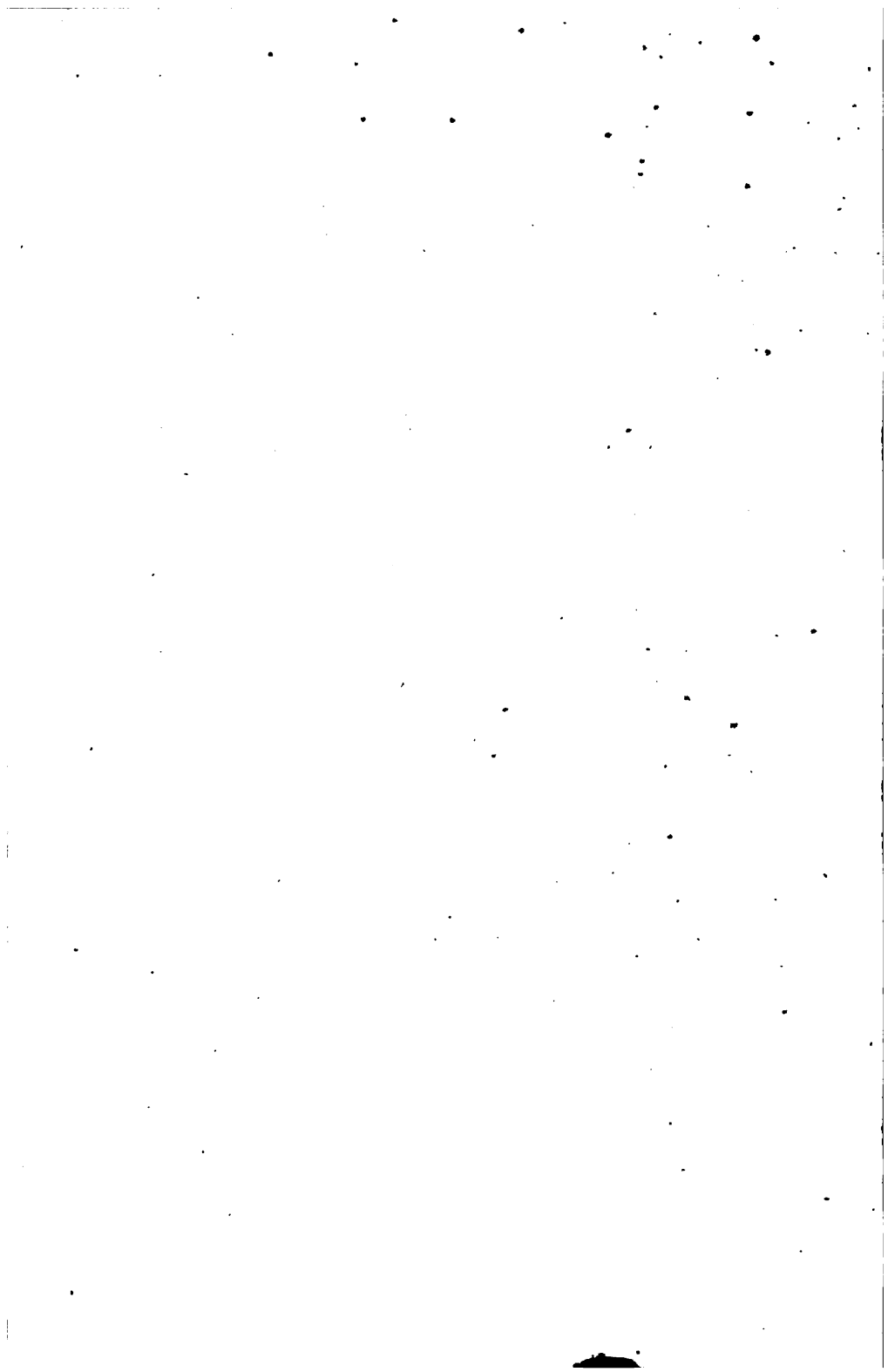
Żegnam Was, bracia, żegnam i dziękuję Wam za serdeczną a gorącą gościnność, jakiej od Was w wędrowce mojej po kolo- niach waszych doznałem. Ze Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej o Was, drodzy moi, jaknajlepsze ze sobą unoszę wspomnienia: umiła mi one ostatnie starości mojej chwile.

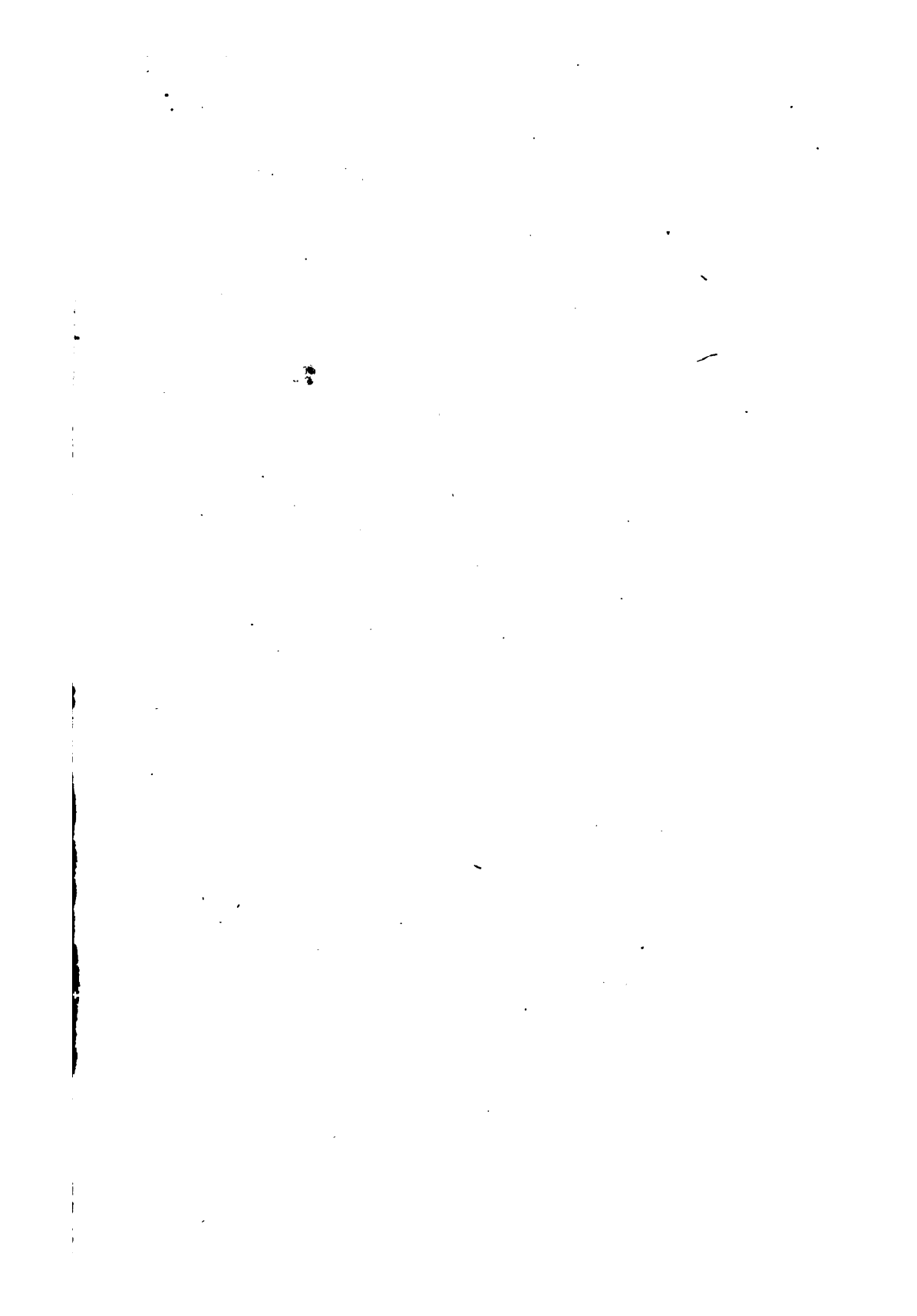
Żegnam Was!...

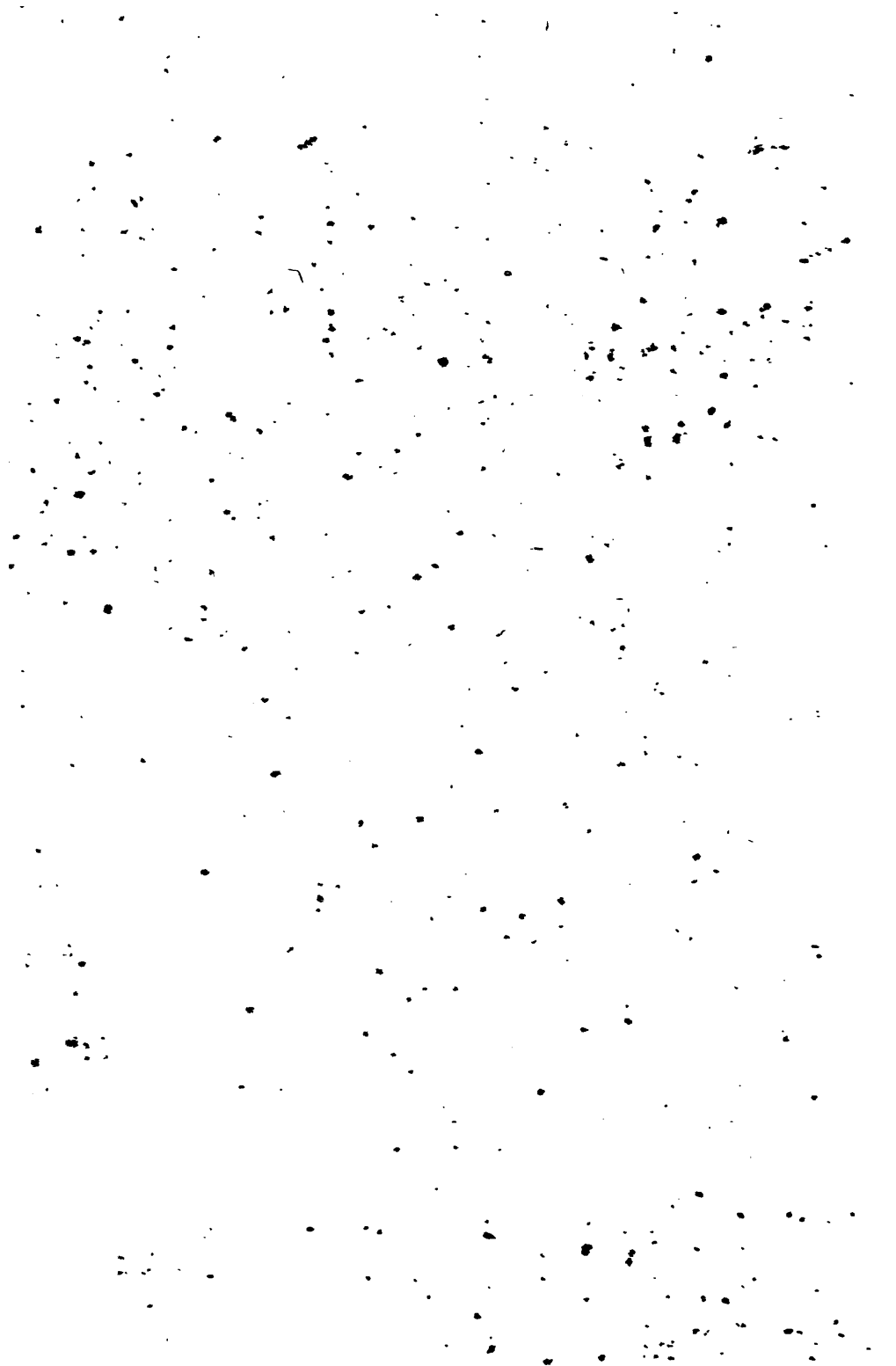
Z. MIŁKOWSKI, *putkownik,*

Prezes Komisji Nadzorczej Skarbu Narodowego Polskiego.









THE BORROWER WILL BE CHARGED
AN OVERDUE FEE IF THIS BOOK IS NOT
RETURNED TO THE LIBRARY ON OR
BEFORE THE LAST DATE STAMPED
BELOW. NON-RECEIPT OF OVERDUE
NOTICES DOES NOT EXEMPT THE
BORROWER FROM OVERDUE FEES.

WIDENER
BOOK DUE
AUG 2 1984

1227395



3 2044 025 694 688